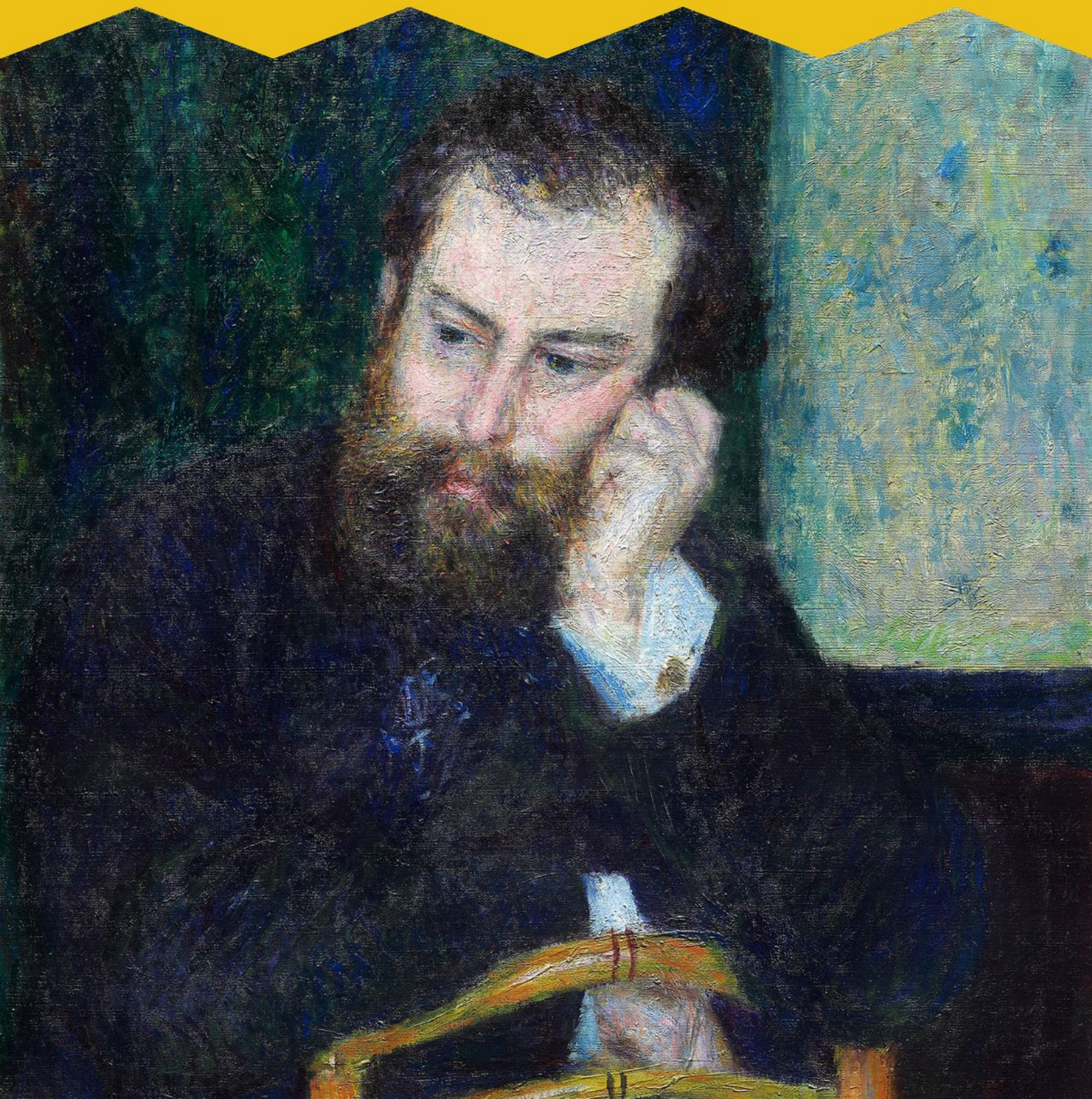


# Życie Henryka Brularda





STENDHAL

# Życie Henryka Brulard

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

## ROZDZIAŁ I

Znalazłem się dziś rano, 16 października 1832, w San Pietro in Montorio, na wzgórzu Janiculum w Rzymie. Słońce świeciło wspaniale; lekkie, zaledwie wyczuwalne sirocco gnało parę błękitnych chmur nad górą Albano; rozkoszne ciepło w powietrzu, czułem się szczęśliwy, że żyję. Rozróżniałem doskonale Frascati i Castel Gandolfo leżące o cztery mile, willę Aldobrandini, w której znajduje się cudowny fresk *Judyta* Dominikina. Widzę doskonale biały mur, znaczący naprawy dokonane świeżo przez księcia F[ranciszka] Borghese, tego, którego widziałem pod Wagram jako pułkownika kirasjerów w dniu, w którym panu de Noue, memu przyjacielowi, kula urwała nogę. O wiele dalej widzę skalę Palestrina i biały domek Castel San Pietro, który niegdyś był fortecą. Poniżej muru, o który się wspieram, są wielkie pomarańcze w sadzie kapucynów, potem Tyber i opactwo maltańskie; nieco dalej, po prawej, grobowiec Cecylii Metelli, Św. Paweł i piramida Cestiusza. Na wprost widzę Santa Maria Maggiore i długie linie pałacu Monte Cavallo. Cały dawny i nowy Rzym, od starożytnej via Appia z ruinami jej grobowców i wodociągów aż do wspaniałego ogrodu Pincio zbudowanego przez Francuzów, rozciąga się przed oczyma.

Oto miejsce jedyne w świecie, powiadałem sobie rozmarzony; starożytny Rzym mimo mej woli przesłaniał nowy, wszystkie wspomnienia z Tytusa Liwiusza tłoczyły się hurmem. Na górze Albano, po lewej od klasztoru, widziałem pola Hannibala.

Cóż za wspaniały widok! Więc to tutaj podziwiano przez półtrzecia wieku *Przemienienie* Rafaela. Cóż za różnica ze smutną galerią z szarego marmuru, gdzie je dziś zagrzebano w Watykanie! Zatem przez dwieście pięćdziesiąt lat, to arcydzieło było tutaj dwieście pięćdziesiąt lat!... Och, za trzy miesiące będę miał pięćdziesiąt lat, czy to możliwe! 1783, 93, 1803, znam cały rachunek na palcach... i 1833 — pięćdziesiąt. Czy to możliwe! Pięćdziesiąt! Będę miał pięćdziesiątkę... I zanuciłem Grétry'ego:

Gdy pięćdziesiątka zbliża się...

To niespodziane odkrycie nie zmartwiło mnie; myślałem dopiero co o Hannibalu i o Rzymianach. Większy ode mnie pomarli!... Ostatecznie, powiadałem sobie, nieźle wypełniłem swoje życie, *zapelnilem je!* Ba! to znaczy, że przypadek nie zwałił na mnie zbyt dużo nieszczęść, bo w istocie czyż ja jakiegokolwiek mierze kierowałem swoim życiem?

Zakochać się w takiej pannie von Griesheim! Czego mogłem się spodziewać od panny dobrze urodzonej, córki generała będącego w łaskach dwa miesiące wprzód, przed bitwą pod Jeną? Brichard miał diabelską słuszość, kiedy mi mówił ze swoją zwykłą złośliwością: „Kiedy się kocha w kobiecie, trzeba sobie powiedzieć: czego ja chcę od niej?”

Usiadłem na stopniach San Pietro i dumałem tam z godzinę lub dwie nad tą myślą: jestem w przededniu pięćdziesiątki, byłby czas znać samego siebie. Czym byłem, czym jestem? Doprawdy, byłbym w kłopotcie, co odpowiedzieć.

Uchodzę za człowieka bardzo inteligentnego, bardzo oschłego, zepsutego nawet, a widzę, że stale pochłaniała mnie jakaś nieszczęśliwa miłość. Kochałem szalenie pannę Kubly, pannę von Griesheim, panią Diphortz, Metyldę — i nie miałem żadnej z nich, i niejedna z tych miłości trwała po kilka lat. Metylda wypełniła szczerze moje życie od 1818 do 1824.

I nie jestem jeszcze wyleczony, dodałem, poświęciwszy marzeniu o niej dobry kwadrans. Czy ona mnie kochała?

Byłem roztkliwiony, rozmodlony, w ekstazie. A Menti, w jakiejż rozpacz pogrążyła mnie, kiedy mnie rzuciła! Tu uczułem dreszcz na wspomnienie 15 września 1826 r. w San Remo, po moim powrocie z Anglii. Co za rok spędziłem od 15 września 1826 do 15 września 1827! W dniu tej straszliwej rocznicy byłem na 5 wyspie Ischia. I uczułem wybitne polepszenie: zamiast myśleć o moim nieszczęściu wprost, jak kilka miesięcy wprzód, zachowałem jedynie *wspomnienie* nieszczęśliwego stanu, w jakim byłem pogrążony na przykład w październiku 1826 r. To spostrzeżenie pocieszyło mnie znacznie.

Czymże ja byłem? Nie dowiem się tego. Jakiegoż przyjaciela, choćby najinteligentniejszego, mogę o to spytać? Sam pan di Fiori nie mógłby mi na to odpowiedzieć. Ktoremuż z przyjaciół wspomniałem kiedy słowo o moich zgryzotach miłosnych?

A co jest osobliwe i bardzo nieszczęśliwe, powiadałem sobie dziś rano, to że moje zwycięstwa (jak je nazywałem wówczas, z głową nabitą sprawami wojskowymi) nie dały mi ani połowy przyjemności równej cierpieniu, jakie mi sprawiały moje niepowodzenia.

Zdumiewające zwycięstwo nad tą Menti nie dało mi przyjemności dającej się bodaj w setnej części porównać z bólem, jaki mi zadała, rzucając mnie dla pana de Rospiec.

Czyżbym ja miał tak smutne usposobienie?

...I oto, nie wiedząc, co odpowiedzieć, znów zacząłem bezwiednie podziwiać cudowny widok ruin Rzymu i jego nowoczesnej wspaniałości: Koloseum na wprost mnie, a pod moimi stopami pałac Farnese wraz z łukami jego pięknej galerii Karola Maderno, i pałac Corsini pod moimi stopami.

Czy ja byłem człowiekiem inteligentnym? Czy miałem talent do czego? Pan Daru powiadał, że byłem ciemny jak tabaka w rogu, tak, ale to Besan[çon] powtórzył mi to, a wesołość mego usposobienia przyprawiała o zazdrość tego markotnego generalnego sekretarza. Ale czy ja miałem usposobienie wesołe?

Zeszedłem wreszcie z Janiculum aż wówczas, kiedy lekka mgła wieczorna ostrzegła mnie, że niebawem przejmie mnie nagły, bardzo przykry i niezdrowy chłód, który w tych stronach następuje natychmiast po zachodzie słońca. Czym prędzej wróciłem do Palazzo Conti (Piazza Minerva), byłem zmęczony. Byłem w spodniach z białej angielskiej flaneli; napisałem na pasku, wewnątrz: „16 października 1832 będę miał pięćdziesiątkę”, tak skrócone, aby nikt nie zrozumiał: „B. miał 5”..

Wieczorem, wracając dosyć wynudzony z wieczoru u ambasadora, powiedziałem sobie: „Powinien bym spisać moje życie, dowiem się może, kiedy to skończę, za dwa albo trzy lata, czym byłem, wesoły czy smutny, rozumny czy głupiec, dzielny czy tchórz, i wreszcie, w sumie, szczęśliwy czy nieszczęśliwy; będę mógł przeczytać ten rękopis panu di Fiori”.

Ta myśl spodobała mi się. Tak, ale ta straszliwa obfitość „ja” i „mnie”! Jest czym zepsuć humor najżyczliwшему czytelnikowi. „Ja” i „mnie” to byłoby — poza różnicą talentu — coś jak pan de Chateaubriand, ten król *egotystów*.

„Ja” i „mnie” ciągle to istna choroba<sup>1</sup>...

Powtarzam sobie ten wiersz za każdym razem, ilekroć czytam którą z jego stronic.

Można by pisać, to prawda, posługując się trzecią osobą: *on* zrobił, *on* powiedział; tak, ale jak oddać wewnętrzne drgnienia duszy? O to zwłaszcza chciałbym się poradzić pana di Fiori.

Wracam do tego aż 23 listopada 1835 r. Ta sama myśl napisania *my life*<sup>2</sup> nasza mnie świeżo w czasie mojej podróży do Rawenny; po prawdzie miałem ją wiele razy od 1832, ale zawsze mnie zniechęcała straszliwa trudność owych „ja” i „mnie”, które muszą obrzydzić autora; nie czuję w sobie dość talentu, aby jej uniknąć. Prawdę mówiąc, nie jestem zgoła pewny, czy mam talent po temu, aby być czytany. Znajduję niekiedy przyjemność w tym, aby pisać, oto wszystko<sup>3</sup>.

<sup>1</sup>„Ja” i „mnie” ciągle to istna choroba — parodia wiersza z *Uczonych białogłów* Moliera (akt II, sc. 6). [przypis autorski]

<sup>2</sup>*my life* — mego życia. [przypis redakcyjny]

<sup>3</sup>Ta sama myśl napisania (...) — *Na marginesie*: Zamiast tej całej gadaniny może wystarczy, co następuje: Brulard (Maria Henryk) urodził się w Grenobli w 1783, w dobrej mieszczańskiej rodzinie z pretensjami do szlachectwa; w dziewięć lat później, w 1792, nie było dumniejszych od nich arystokratów. B. od wczesnego

Jeżeli istnieje tamten świat, nie omieszkam odwiedzić Monteskiusza; jeśli mi powie: „Mój dobry przyjacielu, nie masz ani odrobiny talentu”, będę zmartwiony, ale bynajmniej nie zdziwiony. Czuję to często, któreż oko może widzieć samo siebie? Nie ma jeszcze trzech lat, jak odkryłem rację tego.

Widzę jasno, że różni pisarze, którzy cieszą się wielką sławą, są okropni. To, co byłoby bluźnierstwem powiedzieć dziś o panu de Chateaubriand (rodzaj Balzaca<sup>4</sup>), będzie *truizmem* w r. 1880. Nigdy nie zmieniłem zdania co do tego Balzaca: kiedy w roku 1803 ukazał się *Duch chrześcijaństwa*, wydał mi się śmieszny. Ale czuć czyjeś wady — czy to znaczy mieć talent? Widzę, jak najgorsi malarze spostrzegają doskonale wzajem swoje wady: pan Ingres ma zupełną słuszność w sądach o panu Gros, pan Gros o panu Ingres (wybieram tych, o których będzie się może jeszcze mówiło (w roku 1935)).

Oto rozumowanie, które mnie uspokoiło co do tych pamiętników. Przypuśćmy, że będę ciągnął dalej ten rękopis i że, raz napisawszy, nie spałę go; zapiszę go nie przyjacielowi, który mógłby zostać bigotem lub sprzedać się partii, jak ten młody dudek Tomasz Moore, zapiszę go księgarzowi, na przykład panu Levavasseur (plac Vendôme, Paryż).

Zatem księgarz otrzyma po mojej śmierci oprawny, gruby tom tego okropnego pisma. Każę przepisać kawałek i odczyta go: jeśli rzecz wyda mu się nudna, jeżeli nikt nie będzie już mówił o panu de Stendhal, rzuci w kąten rupiec, który odnajdą może w dwieście lat później, jak pamiętniki Benvenuto Cellini.

Jeśli go wyda, a rzecz okaże się nudna, będą o niej mówili po trzydziestu latach tak, jak dziś się mówi o poemacie o *Żegludze* tego szpiega d'Esménard, o którym tak często była mowa na śniadaniach pana Daru w r. 1802. I jeszcze ten szpieg był, jak sądzę, cenzorem czy redaktorem wszystkich dzienników, które go „puffowały” (od: *to puff*<sup>5</sup>) wściekle co tydzień. To był Salvandy owych czasów, jeszcze bezwstydniejszy, jeśli możliwe, ale bogatszy w *pomyśły*.

„Wyznania” moje nie będą tedy istniały w trzydzieści lat po ich wydrukowaniu, jeżeli wszystkie „ja” i „mnie” zanadto zmęczą czytelników; bądź co bądź będę miał przyjemność spisania ich i zrobienia gruntownego rachunku sumienia. Co więcej, jeżeli przyjdzie powodzenie, będę miał szansę, że w roku 1900 będą mnie czytały pokrewne dusze, nowe panie Roland, Melanie Guilbert, nowe...

Na przykład dziś, 24 listopada 1835 r., wracam z Kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nie doznałem żadnej przyjemności, mimo że opatrzonej dobrą lunetą, aby oglądać sklepienie i *Sąd ostateczny* Michała Anioła; ale nadużycie kawy przedwczoraj u Caetanich z winy maszynki, którą Michel Angelo przywiózł z Londynu, przyprawiło mnie o newralgię. Maszynka zbyt doskonała. Ta zbyt dobra kawa, weksel wystawiony na rachunek przyszłego szczęścia, a na rzecz obecnej chwili, wróciła mi dawną newralgię; byłem w Kaplicy Sykstyńskiej jak baran, *id est* bez przyjemności, wyobraźnia nie mogła działać ani na chwilę. Podziwiałem brokatową draperię wymalowaną *al fresco* obok tronu, to znaczy wielkiego orzechowego

dzieciństwa patrzył na złośliwość i hipokryzję pewnych ludzi, stąd instynktowna nienawiść do religii. Jego dzieciństwo było szczęśliwe do śmierci matki, którą stracił mając siedem lat, później księża zmienili je w piekło. Żeby się z niego wydobyć, studiował z entuzjazmem matematykę i w 1797 czy 98 uzyskał pierwszą lokatę, podczas gdy pięciu uczniów przyjętych w miesiąc później do Szkoły Politechnicznej miało tylko drugą. Przybył do Paryża nazajutrz po 18 brumaire'a (9 listopada 1799), ale ani myślał poddać się egzaminowi do Szkoły Politechnicznej. Wyruszył na ochotnika z armią rezerwową i dotarł na przełęcz Św. Bernarda w dwa dni po Pierwszym Konsulu. Kiedy się znalazł w Mediolanie, pan Daru, jego krewniak, wówczas inspektor rewii przy armii, przydzielił go w randze kwaternistrza, a potem podporucznika do szóstego pułku dragonów, którego pułkownikiem był pan Le Baron, jego przyjaciel. W swoim pułku B., który miał 150 franków miesięcznej pensji i uważał się za bogatego (miał siedemnaście lat), został nie najlepiej przyjęty: zazdrośczone mu; mimo to otrzymał dobre świadectwo z Rady Administracji. W rok później został adiutantem dzielnego generała, porucznika Michaud, brał udział w bitwie nad Mincio, gdzie przeciwnikiem był generał Bellegarde, poznał głupotę generała Brune, stał garnizonem w uroczym Brescia i Bergamo. Zmuszony opuścić generała Michaud, gdyż pełnienie funkcji adiutanta wymagało co najmniej stopnia porucznika, dogonił szósty pułk dragonów w Alba i Savigliano w Piemontcie. W Saluzzo był umierający, czternaście razy puszczono mu krew; miał tam śmiesznie przygotować z wielką damą. Zbrzydźszy sobie towarzyszy, wojaków, B. przybył do Grenoble i zakochał się w pannie Wiktorynie M[ounier]; korzystając z krótkiego pokoju, podał się do dymisji i wyjechał do Paryża, gdzie spędził samotnie dwa lata na lekturze *Listów perskich* Montaigne'a, Cabanisa, Tracy'ego; co wówczas uważał za zabawę, w rzeczywistości było dopełnieniem edukacji. [W dalszej części zostały uwzględnione tylko najważniejsze z marginaliów; red. WL] [przypis autorski]

<sup>4</sup>rodzaj Balzaca — mowa oczywiście nie o autorze *Komedii ludzkiej*, ale o Guez de Balzac, pisarzu z XVII wieku, z którego napuszonym stylem Stendhal porównywał Chateaubrianda. [przypis tłumacza]

<sup>5</sup>puff (ang.) — przesadnie wychwalać. [przypis redakcyjny]

fotela papieskiego. Draperii tej, która nosiła imię Sykstusa IV, papieża (*Sixtus IIII, Papa*), można dotknąć ręką, jest o dwie stopy od oka, które mam po trzystu pięćdziesięciu czterech latach.

Niezdolny do niczego, nawet do pisania urzędowych listów, kazałem zapalić na kominku i pisać to, mam nadzieję, bez kłamstwa, bez złudzeń, z przyjemnością, jak list do przyjaciela. Jakie będą pojęcia tego przyjaciela w roku 1880? Jak różne od naszych! Dziś te dwie myśli: *największy drab ze wszystkich Kings i obłudny Tatar*<sup>6</sup>, w odniesieniu do dwóch imion, których nie śmiem napisać, to dla trzech czwartych z moich znajomych straszliwa nieostrożność, potworność; w roku 1880 sądy te będą *truizmem*, którego nawet ówczesni panowie Kératry nie będą śmieli powtarzać. To jest dla mnie nowość: mówić do ludzi, których sposobu myślenia, rodzaju wychowania, przesądów, religii absolutnie nie znam! Co za zachęta do tego, aby być *szczerym*, po prostu *szczerym*, to jedno jest coś warte. Benvenuto był *szczerzy* i czyta się go z przyjemnością, jakby był pisany wczoraj, podczas gdy przewraca się kartki tego jezuita Marmontela, który wszakże dokłada wszystkich starań, aby niczym nie urazić, jak prawdziwy Akademik. Nie chciałem w Livorno kupić jego pamiętników po franku za tom, ja, który ubóstwiam tego rodzaju lekturę.

Ale ile trzeba ostrożności, aby nie kłamać!

Na przykład na początku pierwszego rozdziału jest coś, co może zdawać się przechwałką: nie, czytelniku, nie byłem żołnierzem pod Wagram w 1809.

Trzeba ci wiedzieć, że czterdzieści pięć lat przed tobą było w modzie być eks-żołnierzem Napoleona. Jest to więc dziś, w roku 1835, kłamstwo zupełnie godne zapisania: dać do zrozumienia pośrednio i bez absolutnego kłamstwa (*jesuitico more*<sup>7</sup>), że się było żołnierzem pod Wagram.

Fakt jest, że byłem kwatermistrzem i podporucznikiem w szóstym pułku dragonów za przybyciem tego pułku do Włoch, w maju 1800, jak sądzę, i że wzięłem dymisję w czasie krótkiego pokoju w 1803. Dali mi się we znaki moi koledzy; nic nie zdawało mi się miłsze niż żyć w Paryżu jak *filozof* (to było słowo, którym posługiwałem się wówczas z samym sobą) za 150 franków miesięcznie, jakie dostawałem od ojca. Przypuszczam, że po jego śmierci będę miał dwa albo cztery razy tyle; przy żądzy wiedzy, jaka mnie pożerała wówczas, to było aż nadto.

Nie zostałem pułkownikiem, jak byłbym został przy potężnej protekcji hrabiego Daru, mego krewniaka, ale byłem, jak sądzę, o wiele szczęśliwszy. Niebawem przestałem myśleć o tym, aby studiować Turenusza i naśladować go, która to myśl była moim stałym celem przez trzy lata służby w dragonach. Czasami myśl tę spędzała druga: pisać komedie jak Moliere i żyć z aktorką. Miałem już wówczas śmiertelny wstręt do „uczciwych” kobiet i do ich nieodzownej obłudy. Moje straszliwe lenistwo przeważało; znalazłszy się w Paryżu, spędziłem pół roku, nie składając wizyt mojej rodzinie (państwu Daru, pani Le Brun, państwu de Baure), wciąż powiadałem sobie „jutro”; tak spędziłem dwa lata, na piątym piętrze przy ulicy d’Angivilliers, z pięknym widokiem na kolumnadę Luwru, czytając La Bruyere’a, Montaigne’a i Jana Jakuba Rousseau, którego napuszoność zraziła mnie niebawem. Tam urobił się mój charakter. Czytałem też dużo tragedii Alfieriego, siląc się znaleźć w nich przyjemność, czyłem Cabanisa, Tracy’ego i J. B. Saya; czytałem często Cabanisa, którego mętny styl przywodził mnie do rozpaczy. Żyłem samotny i nieprzytomny jak Hiszpan, o tysiąc mil od rzeczywistego życia. Zacny ojciec Jeki, Irlandczyk, dawał mi lekcje angielskiego, ale nie robiłem żadnych postępów; byłem zwariowany na punkcie *Hamleta*.

Ale schodzę na manowce, gubię się; stanę się niezrozumiały, jeżeli się nie będę trzymał chronologii; zresztą nie przypominę sobie tak dobrze wszystkich okoliczności.

Zatem pod Wagram w 1809 nie byłem żołnierzem, ale, przeciwnie, zastępcą komisarza wojennego — stanowisko, które wyrobił mi mój kuzyn Daru, „aby mnie wyrwać z błota”, mówiąc stylem mojej rodziny. Bo moja samotność przy ulicy d’Angivilliers skończyła się na tym, że przeżyłem rok w Marsylii z uroczą aktorką, istotą najszlachetniejszą w świecie,

<sup>6</sup>*największy drab ze wszystkich Kings i obłudny Tatar* — Ludwik Filip i car Mikołaj I. [przypis redakcyjny]

<sup>7</sup>*jesuitico more* — na sposób jezuicki. [przypis redakcyjny]

której nigdy nie dałem ani grosza. Przede wszystkim z arcyważnego powodu, że ojciec dawał mi wciąż tylko 150 franków, z których trzeba było żyć; w dodatku pensję tę otrzymywałem w Marsylii w roku 1805 bardzo nieregularnie.

Ale znowu się gubię. W październiku 1806 r., po Jenie, byłem zastępcą komisarza wojennego — posada nienawistna żołnierzom; w roku 1810, 3 sierpnia, audytorem w Radzie Stanu, w kilka dni potem generalnym inspektorem ruchomości Korony. Byłem w łaskach, nie samego pana (Napoleon nie gadał do wariatów w moim rodzaju), ale bardzo dobrze widziany u najlepszego z ludzi, księcia de Frioul (Duroc). Ale znów się gubię.

## ROZDZIAŁ II

Upadłem z Napoleonem w kwietniu 1814 r. Udałem się do Włoch, aby tam żyć tak jak przy ulicy d'Angivilliers. W 1821 opuściłem Mediolan z rozpaczą w duszy z przyczyny Metyldy, silnie myśląc o strzeleniu sobie w łeb. Zrazu wszystko mnie nudziło w Paryżu; potem zacząłem pisać, aby się rozerwać; Metylda umarła, nie było celu wracać do Mediolanu. Stałem się zupełnie szczęśliwy, to może za wiele powiedziane, ale ostatecznie znośnie szczęśliwy w 1830, kiedy pisałem *Czerwone i czarne*.

Byłem uszczęśliwiony z dni lipcowych, słyszałem kule dzwoniące o kolumny Komedii Francuskiej z małym niebezpieczeństwem dla mnie. Nie zapomnę nigdy tego pięknego słońca i widoku pierwszego trójbarwnego sztandaru, dwudziestego dziewiątego czy trzydziestego koło ósmej, po spędzeniu nocy u senatora Pinto, którego siostrzenica się bała. 25 września mianowano mnie konsulem w Trieście, dzięki panu Molé, którego nigdy nie widziałem na oczy. Z Triestu przybyłem w 1831 do Civitavecchia i do Rzymu, gdzie jestem jeszcze i gdzie się nudzę z braku wymiany myśli. Potrzeba mi od czasu do czasu wieczorem rozmowy z inteligentnymi ludźmi, inaczej czuję się jak zaczadzony.

Oto więc główne rozdziały mego opowiadania: urodzony w 1783, dragon w 1800, student od 1803 do 1806. W 1806 zastępcą komisarza wojennego, intendent w Brunszwiku. W 1809 zbieram rannych pod Essling czy pod Wagram, pełnię misję nad Dunajem na brzegach pokrytych śniegiem, pod Linzem i Pasawą, zakochany w hrabinie Petit; aby ją zobaczyć, proszę o wysłanie do Hiszpanii. 3 sierpnia 1810 mianowany przez nią (prawie) audytorem w Radzie Stanu. To życie wysokich faworów i wielkich wydatków prowadzi mnie pod Moskwę, czyni mnie intendentem w Żaganiu na Śląsku, w końcu — upadek w 1815, w kwietniu. Kto by uwierzył, co się mnie tyczy osobiście, upadek ten sprawił mi przyjemność!

Po upadku student, pisarz, oszalały miłością, drukujący *Historię malarstwa we Włoszech* w 1817; ojciec mój, który zrobił się klerykałem, zrzucony umiera w 1819, o ile mi się zdaje; wracam do Paryża w czerwcu 1821. Jestem w rozpacz z przyczyny Metyldy; umiera — woląłem, żeby umarła, niż żeby mi była niewierna; piszę, pocieszam się, jestem szczęśliwy. W 1830 we wrześniu powracam do służby państwowej, w której jestem jeszcze, żałując życia pisarza na trzecim piętrze w hoteliku de Valois, przy ulicy Richelieu 71.

Był ze mnie świetny *causeur* od zimy 1826, przedtem milczałem przez lenistwo. Uchodzę, jak mniemam, za człowieka najweselszego i najzimniejszego pod słońcem; prawda, że nigdy nie mówiłem ani słowa o kobietach, które kochałem. Mam pod tym względem wszystkie cechy natury melancholicznej, opisanej przez Cabanisa. Miałem bardzo mało sukcesów.

Ale któregoś dnia, dumając nad życiem na ustronnej drodze nad jeziorem Albano, spostrzegłem, że życie moje można by streścić tymi oto imionami, których inicjały pisałem w kurzu — jak Zadig — laską, siedząc na ławeczce za stacjami kalwaryjskimi Minori Osservanti, zbudowanego przez brata Urbana VIII, Barberiniego, obok tych dwóch pięknych drzew okolonych murem:

Wirginia (Kubly),  
Angela (Pietragrua),  
Adela (Rebuffel),  
Melania (Guilbert),  
Mina (von Griesheim)

Aleksandra (Petit),  
Angelina, której nigdy nie kochałem (Bereyter),  
Angela (Pietragrua)  
Metylda (Dembowska)  
Klementyna  
Giulia

I wreszcie, najwyżej przez miesiąc, pani Azur, której imienia chrzestnego zapomniałem, i — niebacznie, wczoraj — Amalia (B[ettini]).

Większość tych uroczych istot nie zaszczyliła mnie swymi łaskami, ale dosłownie wypełniły całe moje życie. Po nich nastąpiły moje książki. W rzeczywistości nigdy nie byłem ambitny, ale w roku 1811 uważałem się za ambitnego.

Zwykłym stanem mego życia było: nieszczęśliwy kochanek, kochający muzykę i marlarstwo, czyli rozkoszować się tworamami tych sztuk, nie zaś uprawiać je lichy. Szukałem z cudowną wrażliwością pięknych krajobrazów; dlatego jedynie podróżowałem. Krajobrazy były niby *smyczek*, który grał na mej duszy, a widoki, których nikt nie opisywał — grupa skał w pobliżu Arbois, zdaje mi się, kiedy się jedzie gościńcem z Dôle — są dla mnie żywym i oczywistym obrazem duszy Metyldy. Widzę, że zawsze przekładałem marzenie nad wszystko, nawet nad reputację inteligencji i dowcipu. Nie zadawałem sobie tego trudu, nie siliłem się improwizować dialogów na intencję towarzystwa, w którym się znalazłem; wszedłem na tę drogę aż w roku 1826 z przyczyny rozpacz, w jakiej spędziłem pierwsze miesiące tego nieszczęsnego roku.

Niedawno dowiedziałem się, wyczytawszy to w książce (listy Wiktora Jacquemont z Indii), że mogłem w czyichś oczach być „świetny”. Kilka lat temu czytałem mniej więcej to samo w modnej wówczas książce Lady Morgan. Zapomniałem tego przymiotu, który mi zyskał tylu wrogów. Był to może tylko pozór tego przymiotu, a wrogowie moi są to istoty zbyt pospolite, aby sądzić i o tym, co „świetne”: w jaki sposób na przykład taki hrabia d’Argout mógłby sądzić o tym, co *świetne*? Człowiek, którego pasją jest czytać parę tomów dziennie romansów godnych pokojówki! W jaki sposób pan de Lamartine mógłby sądzić o dowcipie? Po pierwsze, sam go nie ma, a po wtóre, on też pożera dwa tomy dziennie płaskich bredni (widziałem to we Florencji w 1824 czy 1826).

Wielka *drawback* (niedogodność) inteligencji jest to, że trzeba mieć oko zwrócone na przyglupków, którzy cię otaczają, i *nasiąkać ich płaskimi wrażeniami*. Mam tę wadę, że przywiązuję się do najmniej jałowego człowieka i staję się niezrozumiały dla innych, którzy może są z tego radzi.

Od czasu jak jestem w Rzymie, nie silę się na inteligencję ani raz na tydzień, i to ledwie przez pięć minut; wolę marzyć. Ci ludzie nie znają na tyle francuskiego, aby odczuć subtelności moich spostrzeżeń; trzeba im grubego dowcipu komiwojażera jak melodramatu, który ich zachwyca (przykład: Michel Angelo Caetani) i jest ich prawdziwym chlebem powszednim. Widok podobnego sukcesu mrozi mnie, nie radzę odzywać się do ludzi, którzy klaszczą na melodramie. Widzę całą niemość próżności.

Zatem dwa miesiące temu, we wrześniu 1835 r., myśląc o pisaniu tych pamiętników, nad brzegiem jeziora Albano (o dwieście stóp od powierzchni jeziora) kreśliłem na piasku, jak Zadig, te inicjały<sup>8</sup>:

V. An.(1.) Ad. M.(2.) Mi. Al. A.inc.(3.) A.Pg. M.de. C.(4.) G.(5.) A.ur.(6.)<sup>9</sup>  
(P. Azur, której imienia nie pamiętam).

Dumałem głęboko nad tymi imionami i nad zdumiewającymi głupstwami i idiotyzmami, o jakie mnie przyprowadziły (tj. zdumiewającymi dla mnie, ale nie dla czytelnika, zresztą nie żałuję ich).

W rzeczywistości posiadałem tylko sześć kobiet z tych, które kochałem.

<sup>8</sup>inicjały — V. A [przypis edytorski]

<sup>9</sup>V. An.(1.) Ad. M.(2.) Mi. Al. A.inc.(3.) A.Pg. M.de. C.(4.) G.(5.) A.ur.(6.) — Ten ciąg skrótów odpowiada wcześniejszej liście: „Wirginia (Kubly), Angela (Pietragrua), Adela (Rebuffel), Melania (Guilbert), Mina (von Griesheim), Aleksandra (Petit), Angelina, której nigdy nie kochałem (Bereyter), Angela (Pietragrua), Metylda (Dembowska), Klementyna, Giulia”. Do ostatniego skrótu: A.ur. odnosi się uwaga zanotowana poniżej w nawiasie: „P. Azur, której imienia nie pamiętam”. W źródle w tym miejscu jest odwzorowany ręczny zapis. [przypis edytorski]

Największa namiętność waży się między Melanią (2), Aleksandrą, Metyldą i Klementyną (4).

Klementyna jest tą, która sprawiła mi największy ból, rzucając mnie. Ale czy ten ból da się porównać z bólem, jaki zadała mi Metylda, nie chcąc powiedzieć mi, że mnie kocha?

Ze wszystkimi nimi i z wieloma innymi byłem zawsze dzieckiem; toteż miałem bardzo mało sukcesów. Ale w zamian zajmowały mnie one wiele i namiętnie i zostawiły mi wspomnienia, które mnie czarują (niektóre po dwudziestu czterech latach, jak wspomnienie z Madonna del Monte w Varese w 1811). Nie byłem kobieciarzem, nie dosyć, zajmowałem się tylko tą kobietą, którą kochałem, a kiedy nie kochałem nikogo, dumałem w teatrze o sprawach ludzkich albo czytałem z rozkoszą Monteskiusza lub Waltera Scotta. *Za to*, jak mówią dzieci, jestem tak daleki od zblazowania ich chytrściami i ich minkami, że w moim wieku — pięćdziesiąt dwa lata — jestem jeszcze pod urokiem długiej *chiacchierata*<sup>10</sup>, jaką Amalia miała wczoraj ze mną w teatrze „Valle”.

Aby je rozważać możliwie najfilozoficzniej i starać się je rozebrać z aureoli, która mi mąci wzrok, która mnie olśniewa i odbiera mi zdolność wyraźnego widzenia, *uszereguję* te panie (termin matematyczny) wedle ich rozmaitych przymiotów. Powiem tedy — aby zacząć od ich pospolitej namiętności: próżności — że dwie wśród nich były hrabiny, a jedna baronowa.

Najbogatsza była Aleksandra Petit; jej mąż, a zwłaszcza ona wydawali jakich 80 000 franków rocznie. Najbiedniejsza była Mina von Griesheim, młodsza córka generała bez majątku i faworyta upadłego władcy, którego gaża opędzała koszt całej rodziny, lub też panna Bereyter, aktorka w Opera Buffa.

Staram się rozwiać urok, *dazzling* wydarzeń roztrząsając je w ten sposób, po żołniersku. To mój jedyny sposób, aby dojść prawdy w przedmiocie, o którym nie mogę mówić z nikim. Przez wstydlivość melancholicznego temperamentu (Cabanis) rozwijałem pod tym względem zawsze dyskrecję niewiarygodną, szaloną. Co się tyczy dowcipu, Klementyna biła je wszystkie. Metylda przerastała je hiszpańską szlachetnością uczuć; Giulia, o ile mi się zdaje, siłą charakteru, mimo iż w pierwszej chwili zdawała się najsłabsza; Angela P[ietragrua] była wspaniałą włoską dziwką w stylu Lukrecji Borgia, a pani Azur dziwką mniej wzniosłą, w stylu takiej Du Barry.

Z pieniędzmi byłem w zatargu jedynie dwa razy: z końcem roku 1805 i w roku 1806 aż do sierpnia, kiedy ojciec przestał mi posyłać pieniądze, *nie uprzedziwszy mnie* — to było najgorsze; raz przez całych pięć miesięcy nie wypłacił mi moich 150 franków. To były dni naszej wielkiej nędzy z wicehrabią; on otrzymywał regularnie pensję, ale przegrywał ją regularnie całą tego samego dnia.

W roku 1829 i 30 byłem w kłopotach raczej przez brak rządności i przez niedbalstwo niż przez istotny brak środków, skoro od 1821 do 1830 odbyłem trzy czy cztery podróże do Włoch, do Anglii, do Barcelony, z końcem zaś tego okresu miałem jedynie 400 franków długów.

Mój największy brak pieniędzy przywiódł mnie do niemiłej potrzeby pożyczania 100 lub czasem i 200 franków od pana Besan[çon]. Oddawałem mu po miesiącu lub dwóch; wreszcie w sierpniu 1830 winien byłem 400 franków memu krawcowi, panu Michel. Ci, którzy znają życie młodych ludzi mojej epoki, uznają to za bardzo umiarkowane. Od 1800 do 1830 nie byłem nigdy winien ani grosza memu krawcowi, panu Léger, ani też jego następcy, Michelowi (ulica Vivienne nr 22).

Moi ówczesni przyjaciele (1830), panowie de Mareste, Colomb, to byli przyjaciele osobliwego pokroju; uczyniliby z pewnością wiele, aby mnie ocalić z wielkiego niebezpieczeństwa, ale kiedy wychodziłem z domu w nowym ubraniu, daliby — pierwszy zwłaszcza — 20 franków, aby ktoś wylał na mnie szklankę brudnej wody. (Wyjąwszy wicehrabiego de Barral i Bigilliona (z Saint-Ismier) zawsze prawie miałem tylko tego typu przyjaciół).

Byli to dzielni ludzie, bardzo przezorni, którzy zgromadzili po 12 000 lub 15 000 franków pensji lub renty pracą lub wytrwałą zręcznością i którzy nie mogli znieść, że mnie widzą wesołym, beztróskim, szczęśliwym z zeszytem czystego papieru i z piórem i żyjącym z lada 4000 czy 5000 franków. Woleliby sto razy widzieć mnie smutnym i nie-

<sup>10</sup>*chiacchierata* (wł.) — pogawędka. [przypis redakcyjny]



szczęśliwym, że mam ledwo połowę lub trzecią część ich dochodów, mnie, który niegdyś drażniłem ich może nieco, kiedy miałem stangreta, parę koni, kolaskę i kabriolet, bo aż tych wyżyn sięgał mój zbytek za Cesarza. Wówczas byłem — lub myślałem, że jestem — ambitny; krępowało mnie w tym mniemaniu jedynie to, że nie wiedziałem, czego pragnąć. Wstyd mi było, że się kocham w hrabinie Al[eksandrze] Petit; miałem na utrzymaniu pannę A. Bereyter, aktorkę z Opera Buffa, jadałem u Hardy'ego, byłem niewiarygodnie ruchliwy. Wracalem z Saint-Cloud do Paryża umyślnie, aby być na jednym akcie. *Matrimonio segreto* w „Odeonie” (pani Barilli, Barilli, Tacchinardi, pani Festa, panna Bereyter). Kabriolet czekał na mnie pod Hardym — oto czego mój szwagier nigdy mi nie przebaczył.

Wszystko to mogło uchodzić za furfanterię, a nie było nią. Staralem się używać i żyć, ale nie starałem się bynajmniej udawać więcej rozkoszy i życia, niż było w istocie. Pan Prunelle, lekarz, inteligentny człowiek, którego rozsądek bardzo mi się podobał, straszliwie brzydki i sławny później jako sprzedajny poseł i mer Lyonu około 1833, którego znalazłem w owym czasie, powiadał o mnie: „Cóż za pyszałek!”. Ten sąd utarł się wśród znajomych. Może zresztą mieli słuszność.

Mój przeczacny szwagier i prawdziwy mieszczuch, pan Périer-Lagrange (były kupiec, który się rujnował bezwiednie, bawiąc się w gospodarstwo koło La Tour-du-Pin), będąc ze mną na śniadaniu u Hardy'ego i widząc, że musztruję tego służbę (bo przy moich obowiązkach często mi się spieszyło), był uszczęśliwiony z jakiejś uwagi garsonów, która znaczyła, że jestem pyszałek, co mnie wcale nie zmartwiło. Zawsze i jakby instynktownie (jakże potwierdziła ten instynkt nasza Izba!) miałem głęboką pogardę dla mieszczuchów.

Bądź co bądź widziałem także, że jedynie wśród mieszczuchów znajdują się ludzie energiczni, tacy jak mój kuzyn Rebuffel (kupiec z ulicy Saint-Denis), stary Ducros, bibliotekarz z Grenoble, nieporównany Gros (z ulicy Św. Wawrzyńca), wspaniała geometra i mój nauczyciel bez wiedzy męskich przedstawicieli mojej rodziny, bo to był jakobin, a cała moja rodzina szalenie bigocka. Ci trzej ludzie posiadali cały mój szacunek i całe moje serce, o tyle, o ile szacunek i różnica wieku dopuszczała do owego zbliżenia, z którego rodzi się miłość. A nawet byłem z nimi taki, jak później byłem z istotami, które zanadto kochałem, niemy, nieruchomy, tępy, niesympatyczny, a niekiedy wręcz obrażający wskutek siły mego oddania i zaparcia się swego „ja”. Moja miłość własna, mój interes, moje „ja” znikają w obliczu ukochanej osoby, zmieniałem się w nią. Co było, jeżeli ta osoba była łajdaczką, jak pani Pietragrua? Ale wciąż uprzedzam. Czy będę miał odwagę napisać te „wyznania” w sposób zrozumiały? Trzeba opowiadać, a ja piszę *rozważania* nad wypadkami bardzo drobnymi, ale które właśnie z przyczyny swego mikroskopijnego wzrostu wymagają, aby je opowiadać bardzo wyraźnie. Co za cierpliwości trzeba ci będzie, o mój czytelniku!

Zatem wedle mnie *energia* istniała, nawet w moich oczach (1811), jedynie w klasie, która walczy z prawdziwymi potrzebami.

Moi dobrze urodzeni przyjaciele: Rajmund de Bérenger (zabity pod Lützen), de Saint-Ferréol, de Sinard (dewot młodo zmarły), Gabriel du Bouchage (flut, naciągacz, dziś par Francji i zapamiętały klerykał), panowie de Monval, zdawali mi się ludźmi bardzo osobliwymi, mieli straszliwy szacunek dla *konwenansów* (np. Sinard). Silili się zawsze być w *dobrym tonie* albo *comme il faut*, jak mówiło się w Grenoble w roku 1793. Ale wówczas nie uświadamiałem sobie tego. Nie ma roku, jak moje pojęcia o *szlachcie* dojrzały wreszcie. Instynktownie moje życie duchowe zeszło na pilnym rozważaniu kilku zasadniczych pojęć i staraniu się dojścia prawdy o nich.

Rajmund de Bérenger był wybornym przykładem zasady *noblesse oblige*; za to Monval (zmarły jako pułkownik i otoczony powszechną pogardą około roku 1829 w Grenoble) był ideałem posła z centrum. Wszystko to zapowiadało się już bardzo wyraźnie, kiedy ci panowie mieli po piętnaście lat, około 1798.

Co do większości tych rzeczy, widzę jasno prawdę dopiero w chwili, gdy je piszę, w 1835, tak do dziś były spowite aureolą młodości, zrodzoną z nadmiernej żywości wrażeń.

Stosując metody filozoficzne, na przykład starając się sklasyfikować przyjaciół mojej młodości *gatunkami*, jak Adrian de Jussieu zrobił z roślinami w botanice, staram się pochwycić prawdę, która mi się wymyka. Spostrzegam, że to, co brałem za wysokie góry

w roku 1800, to były po największej części jedynie *kretowiska*, ale odkrycie to zrobiłem aż bardzo późno.

Widzę, że byłem jak płochliwy koń, a świadomość tę zawdzięczam słowom, które mi rzekł pan de Tracy (znakomity hrabia Destutt de Tracy, par Francji, członek Akademii Francuskiej i — co jest o wiele więcej — autor ustawy z 3 prairiala o Szkołach Centralnych).

Trzeba mi dać przykład. Z powodu lada błahostki, na przykład uchylonych drzwi w nocy, wyobrażałem sobie, że dwóch uzbrojonych ludzi czatuje, aby mi nie dać dojść do okna wychodzącego na sien, w której spotykałem się z moją kochanką. Było to złudzenie, któremu rozsądny człowiek, jak Abraham Constantin, mój przyjaciel, nie byłby uległ. Ale po paru sekundach (cztery lub pięć najwyżej) ofiara mojego życia była faktem dokonany; rzucałem się jak bohater naprzeciw dwóch wrogów, którzy zmieniali się w nieomknięte drzwi.

Nie ma dwóch miesięcy, jak rzecz w tym rodzaju (tym razem w sferze moralnej) zdarzyła mi się znowu. Ofiara była spełniona, cała potrzebna odwaga zmobilizowana, kiedy po dwudziestu godzinach, odczytując źle przeczytany list (od pana Hérard), spostrzegłem, że to było złudzenie. Czytam zawsze bardzo prędko to, co mi jest przykre. Zatem klasyfikując moje życie niby zbiór roślin spostrzegłem:

Dzieciństwo, pierwsze wychowanie, od 1786 do 1800 .....	15 lat
Służba wojskowa, od 1800 do 1803 .....	3 lata
Drugie wychowanie, pocieszne amory z panną Adelą Clozel i z jej matką, która przywłaszczyła sobie amanta córki. Życie przy ulicy d'Angivilliers. Wreszcie uroczy pobyt w Marsylii z Melanią, od 1803 do 1805 .....	2 lata
Powrót do Paryża, koniec wychowania .....	1 rok
Służba pod Napoleonem, od 1806 do końca 1814 (od października 1806 do abdykacji w 1814) .....	7 ½ lat
Kwiecień, moja deklaracja w tym samym numerze „Monitora”, w którym znalazła się abdykacja Napoleona. Podróże, wielkie i straszliwe miłości, pociecha w pisaniu książek, od 1814 do 1830 .....	15 ½ lat
Druga służba, stanowisko konsula, od 15 Września 1830 do obecnego kwadransa .....	5 lat

Zacząłem edukację światową w salonie pani de Valserre, dewotki o szczególnej twarzy, bez podbródka, córki barona des Adrets, przyjaciółki mojej matki. Było to prawdopodobnie około 1794. Z płomiennym temperamentem łączyłem nieśmiałość opisaną przez Cabanisa. Byłem szczególnie wzruszony piękną ramion panny Bonne de Saint-Vallier, o ile pamiętam: widzę twarz i piękne ramiona, ale nazwisko jest mi niepewne, może to była panna de Lavalette? Pan de Saint-Ferréol, o którym od tego czasu nie słyszałem, był moim wrogiem i moim rywalem; pan de Sinard, wspólny przyjaciel, godził nas. Wszystko to działo się we wspólnym apartamencie wychodzącym na ogród pałacu des Adrets, obecnie zburzonego i zmienionego na zwykły dom, przy ulicy Nowej w Grenoble. W tej samej epoce zaczęło się moje uwielbienie dla ojca Ducros (kordeliera, który zrzucił habit, człowieka bardzo niepospolitego, przynajmniej tak mi się zdaje). Jako serdecznego przyjaciela miałem mego dziadka, Henryka Gagnon, doktora medycyny.

Po tylu ogólnych rozważaniach rodzą się.

## ROZDZIAŁ III

Pierwszym moim wspomnieniem jest, że ugryzłem w twarz czy w czoło panią Pison du Galland, moją kuzynkę, żonę zdolnego człowieka, posła do Konstytuanty. Widzę ją jeszcze, kobietę dwudziestopięcioletnią, tłuściutką, silnie uróżowaną. To zapewne ten róż mnie podrażnił. Siedziała na łączce koło bramy Bonne, a policzek jej znalazł się na wysokości mojej twarzy.

„Uściskaj mnie, Henrysiu” — rzekła. Nie chciałem, ona się pogniewała, ugryzłem ją porządnie. Widzę tę scenę, ale zapewne dlatego, że natychmiast skarcono mnie i bez ustanku mówiono mi o tym.

Łączka ta była porośla margerytkami. Rwałem te ładne kwiatki i robiłem z nich bukiety. Ta łąka z roku 1786 znajduje się dziś z pewnością w środku miasta, na południe od kościoła naszego kolegium.

Ciotka Serafia orzekła, że jestem potwór i że mam okropny charakter. Ta ciotka Serafia była kwaśna jak dewotka, której nie udało się wyjść za mąż. Co jej się zdarzyło? Nigdy nie dowiedziałem się tego, nie znamy nigdy skandalicznej kroniki naszych krewnych, opuściłem zaś na zawsze miasto w szesnastym roku, po trzech latach namiętnej miłości, która mnie wtrąciła w najzupełniejszą samotność.

Drugi rys charakteru jest o wiele czarniejszy.

Zrobiłem sobie kolekcję trzcin, wciąż na łączce koło bramy Bonne. (Zapytać o botaniczną nazwę trzciny, ziele formy cylindrycznej jak pióro kogucie, mające stopę długości).

Odprowadzono mnie do domu, którego okno na pierwszym piętrze wychodziło na ulicę Wielką, na rogu place Grenette. Robiłem sobie ogródek, tnąc te trzciny na kawałki dwa cale długie, które umieszczałem na przestrzeni między balkonem a rynną. Nóż kuchenny, którym się posługiwałem, wysunął mi się i spadł na ulicę, to znaczy z wysokości dwunastu stóp, u nóg pani Chenevaz. Była to najgorsza osoba w całym mieście (matka Kandyda Chenevaz, który za młodu uwielbiał *Klarysę Harlowe* Richardsona, potem był jednym z trzystu pana de Villele<sup>11</sup>, za co go wynagrodzono posadą prezydenta Sądu Apelacyjnego w Grenoble; umarł w Lyonie).

Ciotka moja, Serafia, orzekła, że ja chciałem zabić panią Chenevaz; uznano, że mam okropny charakter; połajał mnie kochany dziadek Gagnon, który się bał swojej córki Serafi, dewotki trzęsącej miastem; połajała mnie nawet moja przezacna cioteczna babka — wspaniała, istic hiszpański charakter — Elżbieta Gagnon.

Oburzyłem się, miałem może cztery lata. Od tej epoki datuję mój wstręt do religii, wstręt, który rozum mój zaledwie zdołał sprowadzić do właściwych rozmiarów, i to niedawno, sześć lat temu. Prawie w tym samym czasie narodziła się moja instynktowna miłość synowska, szalona wręcz w owym czasie, do republiki.

Miałem nie więcej niż pięć lat.

Ta ciotka Serafia była moim złym duchem przez całe moje dzieciństwo; była znienawidzona, ale miała duży wpływ w rodzinie. Zdaje mi się, że później ojciec mój zakochał się w niej, były przynajmniej długie spacery do Granges, po bajorach pod murami miasta, gdzie byłem jedynym, niewygodnym świadkiem, przy czym nudziłem się potężnie. Kryłem się w momencie, gdy zbliżał się czas tych przechadzek. Tam rozbiła się ta odrobina sympatii, jaką miałem dla mego ojca.

W rzeczywistości wychowywał mnie wyłącznie mój kochany dziadek, Henryk Gagnon. Ten rzadki człowiek odbył niegdyś pielgrzymkę do Ferney, aby zobaczyć Woltera, który przyjął go bardzo grzecznie. Miał mały biust<sup>12</sup> Woltera, wielkości pięści, na drewnianym postumencie hebanowym wysokim na sześć cali. (Gust w istocie osobliwy, ale sztuki piękne nie były silną stroną Woltera ani mego przezacnego dziadka).

Biust ten umieszczony był przed biurkiem, na którym dziadek pisał; gabinet jego znajdował się w głębi obszernego apartamentu wychodzącego na wykwinną terasę strojną kwiatami. Był to dla mnie rzadki fawor, kiedy mnie tam wpuszczono, a jeszcze rzadszy oglądać biust Woltera i dotykać go.

Mimo to, jak tylko sięgnę pamięcią, pisma Woltera bardzo mi się nie podobały, wydały mi się dzieciństwem. Mogę powiedzieć, że nic z tego wielkiego człowieka nigdy mi się nie podobało. Nie mogłem rozumieć wówczas, że on był prawodawcą i apostołem Francji, jej Marcinem Lutrem.

Henryk Gagnon nosił okrągłą pudrowaną perukę z trzema rzędami pukli, ponieważ był doktorem medycyny, i to doktorem modnym u pań, posądzanym nawet o to, że był kochankiem niejednej z nich, między innymi pani Teyssere, jednej z najładniejszych w mieście. Nie pamiętam, abym ją widział kiedy, bo wówczas byli poróżnieni; ale dała mi to później do zrozumienia w najosobliwszy sposób. Przez tę perukę mój przezacny dziadek zawsze wyglądał w moich oczach na osiemdziesiąt lat. Miewał wapory (jak ja nieszczęsny), reumatyzmy, chodził z trudnością, ale z zasady nie jeździł nigdy powozem

<sup>11</sup>był jednym z trzystu pana de Villele — Joseph de Villele, stojący w latach 1821–1828 na czele rządu, dysponował w Izbie Deputowanych zastępem oddanych sobie ludzi w liczbie trzystu. [przypis redakcyjny]

<sup>12</sup>biust (daw.) — popiersie. [przypis edytorski]

i nigdy nie kładł kapelusza: mały trójkątny kapelusik do trzymania pod pachą. Rozkoszą moją było dopaść go, aby go włożyć na głowę, co było uważane przez całą rodzinę za brak uszanowania; wreszcie przez uszanowanie przestałem się zajmować trójgraniastym kapeluszem i laseczką z bukszpanową gałką, inkrustowaną szylkretem.

Dziadek ubóstwiał fałszowaną korespondencję Hipokrata, którą czytał po łacinie (mimo że umiał trochę po grecku), oraz Horacego (wydanie Johannesa Bond), drukowanego straszliwie drobno. Przekazał mi te dwie namiętności i w ogóle prawie wszystkie swoje gusty, ale nie tak, jak byłby chciał. Wytłumaczę to później.

Jeżeli kiedy wrócę do Grenoble, muszę poszukać metryki urodzin i zgonu tego kochanego człowieka, który mnie ubóstwiał, a nie lubił swojego syna, Romana Gagnon, ojca Oroncjusza Gagnon, kapitana dragonów, który zabił człowieka w pojedynku przed trzema laty, za co go szanuję; widocznie nie jest ciemną. Będzie trzydzieści trzy lata, jak go nie widziałem, ma może trzydzieści pięć.

Straciłem dziadka w czasie, gdy byłem w Niemczech; czy to było w 1807, czy 1813, nie pamiętam dokładnie. Pomnę, że odbyłem podróż do Grenoble, aby go ujrzeć jeszcze; zastałem go bardzo przygnębionym. Ten człowiek tak uroczy, który był duszą wieczorynek wszędzie, gdzie się pokazał, nie mówił już prawie. Powiedział mi: „To pożegnalna wizyta”, po czym zaczął mówić o czym innym; brzydził się głupimi rodzinnymi rozczuleniami.

Przypomniało mi się coś. Około roku 1807 dałem się portretować, chcąc nakłonić panią Al[eksandrę] Petit, aby się też sportretowała; że zaś wymawiała się niechęcią do długiego pozowania, zaprowadziłem ją do malarza naprzeciw Dioramy, który malował olejno od jednego razu, za 120 franków. Mój zacny dziadek zobaczył ten portret, który posłałem siostrze (zdaje mi się), aby się go pozbyć; już był bardzo podupadły umysłowo, powiedział, widząc ten portret: „To jest prawdziwy” i znów zapadł w przygnębienie. Umarł rychło potem, o ile mi się zdaje, w wieku, jak sądzę, osiemdziesięciu dwu lat.

Jeżeli data ta jest ściśła, musiał mieć sześćdziesiąt jeden lat, w 1789 i urodzić się około 1728. Opowiadał czasami bitwę pod Assiette<sup>13</sup>, potyczkę w Alpach podjętą daremnie przez kawalera de Belle-Isle w 1742, o ile mi się zdaje. Ojciec jego, człowiek z charakterem, pełen energii i honoru, wysłał go tam jako chirurga i wojskowego, aby sobie wyrobił charakter. Dziadek zaczynał wówczas studia lekarskie i mógł mieć osiemnaście albo dwadzieścia lat, co wskazuje również, że urodził się około roku 1724.

Miał stary dom położony w najpiękniejszym punkcie na placu Grenette, na rogu ulicy Wielkiej, od południa, z frontem na najpiękniejszy plac w mieście, na dwie współzawodniczące kawiarnie oraz centrum dobrego towarzystwa. Tam na pierwszym piętrze, bardzo niskim, ale nadzwyczaj wesołym i słonecznym mieszkał dziadek aż do roku 1789.

Musiał być wówczas bogaty, bo kupił wspaniały dom położony za jego domem, będący własnością pań de Marnais. Zajmował drugie piętro w swoim domu na placu Grenette i całe odpowiadające piętro domu pań Marnais i urządził sobie najpiękniejsze mieszkanie w mieście. Były tam schody wspaniałe jak na owe czasy i salon mający może trzydzieści pięć stóp na dwadzieścia osiem.

Poczyniono reperacje w dwóch pokojach wychodzących na plac Grenette, między innymi przepierzenie, aby oddzielić pokój straszliwej ciotki Serafii, córki dziadka Gagnon, od pokoju mojej ciotecznej babki, Elżbiety, jego siostry. Były żelazne klamry na tym przepierzeniu, na otynkowaniu każdej z nich napisałem: „Henryk Beyle, 1789”. Widzę jeszcze te piękne napisy, którymi dziadek był zachwycony. „Skoro tak dobrze piszesz — rzekł — godzin jestes zacząć łacinę”.

To słowo obudziło we mnie strach. Niebawem pedant o straszliwej postaci, pan Jobert, wysoki, błydy, chudy, wspierający się na lasce, zaczął mnie uczyć deklinacji słowa *mura*, morwa. Poszliśmy kupić elementarz u pana Giroud, księgarza, w dziedzińcu wychodzącym na plac Targowy. Nie podejrzewałem wówczas, co za złowrogi instrument mi kupiono.

Tu zaczynają się moje nieszczęścia.

Ale odwlekam od dawna konieczny epizod, jeden z paru, które sprawią może, że rzucę te pamiętniki w ogień.

<sup>13</sup>Opowiadał czasami bitwę pod Assiette — Bitwa pod Assiette rozegrała się w czasie wojny o sukcesję austriacką (1747); rok wcześniej gen. de Belle-Isle odparł Austriaków spod Tulonu. [przypis redakcyjny]



Matka moja, Henryka Gagnon, była to urocza kobieta; byłem zakochany w mojej matce.

Pospieszam dodać, że straciłem ją, mając siedem lat.

Kochając ją może w szóstym roku (1789), byłem zupełnie ten sam, co kiedy w 1828 kochałem do szaleństwa Albertę de Rubempré. Mój sposób polowania na szczęście nie zmienił się w gruncie wcale, z tym jedynie wyjątkiem: byłem, co się tyczy fizycznej strony miłości, takim, jakim byłby Cezar, gdyby wrócił na świat, w stosunku do armat i broni palnej. Byłbym się tego szybko wyuczył i nie zmieniłoby to w gruncie nic mojej taktyki.

Lubiłem okrywać matkę pocałunkami, lubiłem ją bez ubrania. Ona kochała mnie namiętnie i całowała mnie często; ja oddawałem jej pocałunki z takim ogniem, że często była zmuszona się oddalić. Nienawidziłem ojca, kiedy przerywał nasze pieszczoty. Wciąż chciałem całować ją w piersi. Niech czytelnik raczy pamiętać, że straciłem ją wskutek połogu, kiedy miałem ledwie siedem lat.

Była pulchna, świeża, była bardzo ładna; zdaje mi się jedynie, że nie była dość wysoka. Rysy miała szlachetne i pogodne; bardzo żywa, często wołała zająć się czymś sama niż wydawać rozkazy swoim trzem służącym; wreszcie, czytała często w oryginale *Boską Komedię* Dantego, której o wiele później znalazłem kilka egzemplarzy w rozmaitych wydaniach w jej apartamencie, zamkniętym od jej śmierci.

Zginęła w kwiecie młodości i urodę w roku 1790; mogła mieć dwadzieścia osiem albo trzydzieści lat.

Tu zaczyna się moje życie wewnętrzne.

Ciotka moja, Serafia, śmiała mi wyrzucać, że nie dosyć płaczę. Osądźcie moją boleść i co się działo we mnie! Ale zdawało mi się, że ujrzę matkę jutro, nie rozumiałem śmierci.

Tak więc jest czterdzieści pięć lat od czasu, jak straciłem największe moje ukochanie na ziemi.

Nie może czuć się obrażona śmiałością, z jaką mówię, wyznając, że ją kochałem; gdybym ją spotkał kiedy, powiedziałbym to jej jeszcze. Zresztą nie brała w niczym udziału w tej miłości. Nie poczyniła sobie po wenecku, jak pani Benzoni z autorem *Nelli*. Co do mnie, byłem tak występny, jak tylko można, kochałem jej powaby do szaleństwa.

Jednego wieczora, kiedy jakimś przypadkiem ułożono mnie do snu w jej pokoju na ziemi, na materacu, kobieta ta, żywa i lekka jak sarenka, przeskoczyła przez mój materac, aby szybciej dostać się do łóżka.

Pokój jej był zamknięty przez dziesięć lat po jej śmierci. Ojciec z trudem pozwolił mi tam umieścić ceratową tablicę i studiować matematykę w roku 1798, ale żaden służący nie wchodził tam, dostałby tęgie wcieranie, ja jeden miałem klucz. Teraz, kiedy o tym myślę, to uczucie mego ojca przynosi mi zaszczyt w moich oczach.

Umarła tedy w swoim pokoju przy ulicy des Vieux Jésuites (piąty lub szósty dom po lewej, idąc z ulicy Wielkiej, naprzeciw domu pana Teisseire). Tam się urodziłem, dom ten należał do mego ojca, który go sprzedał wówczas, kiedy zaczął budować swoją nową ulicę i robić szaleństwo. Tę ulicę, która go zrujnowała, nazwano ulicą Delfina (ojciec mój był skrajnym reakcjonistą, stronnikiem księży i szlachty); dziś, zdaje mi się, nazywa się ulicą La Fayette.

Przebywałem najczęściej u dziadka, którego dom był zaledwie o sto kroków od naszego.

## ROZDZIAŁ IV

Napisałbym cały tom w związku z okolicznościami śmierci osoby tak mi drogiej.

To znaczy; nie znam zupełnie szczegółów, umarła w połogu, podobno wskutek niezręczności chirurga nazwiskiem Hérault, głupca wziętego prawdopodobnie na złość innemu położnikowi, człowiekowi zdolnemu i zręcznemu. Tak samo mniej więcej umarła pani Petit w roku 1814. Obszernie mogę opisać jedynie moje uczucia, które prawdopodobnie wydałyby się przesadzone albo nieprawdopodobne widzowi przywyklemu do fałszu powieści (nie mówię o Fieldingu) lub do błędnych romansów wyciśniętych z serc paryskich.

Muszę pouczyć czytelnika, że Delfinat ma swój odrębny sposób czucia, żywy, uparty, logiczny, którego nie spotkałem nigdzie indziej. Dla ludzi umiejących patrzeć — co trzy stopnie szerokości geograficznej muzyka, krajobrazy i powieści powinny by się zmieniać. Na przykład w Valence, nad Rodanem, charakter prowansalski kończy się, charakter burgundzki zaczyna się od Valence i ustępuje między Dijon a Troyes naturze paryskiej, grzecznej, dowcipnej, płytkiej, słowem, myślącej wiele o drugich.

Charakter Delfinatu ma upór, głębię, inteligencję, spryt, których na próżno by się szukało w Prowansji lub Burgundii, jego sąsiadkach. Tam gdzie Prowansalczyk wyżywa się w straszliwych przekleństwach, tam mieszkaniec Delfinatu zastanawia się i patrzy w głąb swego serca.

Wszyscy wiedzą, że Delfinat był państwem odrębnym od Francji, pół włoskim przez swą politykę, aż do roku 1349]. Później Ludwik XI, następca tronu, poróżniony z ojcem, zarządzał krajem przez... lat<sup>14</sup>; zdaje mi się dość prawdopodobne, że to jego duch, głęboki a nieśmiały, obcy instynktownym odruchom, wycisnął swoje piętno na charakterze Delfinatu. Za moich czasów jeszcze w pojęciach dziadka i ciotki Elżbiety, wcielenia tęgich i szlachetnych instynktów mojej rodziny, Paryż nie był wzorem: to było miasto dalekie i wrogie, którego wpływu należało się strzec.

Obecnie, kiedy umizgnąłem się do mniej czułych czytelników za pomocą tej dygresji, opowiem, że w wilię śmierci mojej matki wyprowadzono nas, mnie i siostrę moją Paulinę, na spacer ulicą Montorge, wróciliśmy wzdłuż domów po lewej (północnej) stronie ulicy. Umieszczono nas u dziadka, w domu wychodzącym na plac Grenette. Spałem na podłodze, na materacu, między oknem a kominkiem, kiedy około drugiej rano cała rodzina wróciła, szlochając.

— Ale jakim cudem doktorzy nie znaleźli lekarstwa? — mówiłem do starej Marion, istnej służącej z Moliera, przyjaciółki państwa, ale mówiącej im prawdę w oczy, która znała moją matkę bardzo młodo i patrzyła na jej zamęcie dziesięć lat wprzód, w 1780, i która bardzo mnie kochała.

Maria Thomasset, z Vinay, typowe dziecko Delfinatu, zdrobniale nazywana Marion, spędziła noc przy moim materacu, płacząc rzewnymi łzami i mając jakoby czuć nade mną. Byłem bardziej zdziwiony niż zrozpaczony, nie rozumiałem śmierci, nie bardzo w nią wierzyłem.

— Jak to — mówiłem do Marion — nie ujrę jej już?

— Jakże chcesz ją ujrzeć, skoro ją powiozą na cmentarz?

— A gdzie to jest cmentarz?

— Przy ulicy Morw, parafia Panny Marii.

Całą rozmowę z owej nocy słyszę jak dziś; ode mnie zależałoby tylko przepisać ją tutaj. Tu naprawdę zaczęło się moje życie duchowe; miałem jakieś półsiódma<sup>15</sup> roku. Łatwo zresztą sprawdzić te daty w aktach.

Zasnąłem; nazajutrz, kiedym się obudził, Marion rzekła:

— Musisz iść uściskać ojca.

— Jak to, mamusia umarła? Ale jak to być może, żebym ja jej już nie ujrzał?

— Będziesz ty cicho, ojciec słyszy; o, leży tam, w łóżku babcinym.

Udałem się z niechęcią do tego łóżka, było tam ciemno, bo firanki były zasunięte. Miałem antypatię do ojca, przykreść mi sprawiało uściskać go.

W chwilę potem przyszedł ksiądz Rey, człowiek bardzo wysoki, bardzo zimny, ospowaty, z twarzą nieinteligentną i poczciwą, i mówiący przez nos (niedługo potem został wielkim wikariuszem). Był to przyjaciel rodziny.

Czy uwierzycie? Z powodu, że był księdzem, miałem do niego antypatię.

Ksiądz Rey stanął przy oknie, ojciec wstał, wziął szlafrok, wyszedł z alkowy zasłoniętej firankami z zielonego perkalu (były drugie, piękne firanki jedwabne, różowe, haftowane białe, które w dzień zasłaniały tamte).

Ksiądz Rey uściskał ojca w milczeniu. Ojciec wydał mi się bardzo brzydki, miał spuchnięte oczy, co chwila płynęły mu łzy. Zostałem w ciemnej alkowie i widziałem wszystko bardzo dobrze.

<sup>14</sup>zarządzał krajem przez... lat — Przez 10 lat: od roku 1446 do 1456. [przypis autorski]

<sup>15</sup>półsiódma (daw.) — sześć i pół. [przypis edytorski]

— Mój drogi panie, to dopust boży — rzekł wreszcie ksiądz, a słowo to, wyrzucone przez człowieka, którego nienawidziłem, do drugiego, którego też nie lubiłem, pogrzyzło mnie w zadumie.

Weźmie mnie ktoś za człowieka bez serca, ale wówczas byłem tylko zdumiony śmiercią matki. Nie rozumiałem tego słowa. Czy odważę się napisać to, co Marion mi wymawiała od tego czasu często? Zacząłem źle mówić o *God*<sup>16</sup>.

Zresztą przypuścmy, żebym kłamał co do tych ostrych punktów, to pewna, że nie kłamię co do reszty. Jeżeli mam pokusę kłamać, to dopiero później, kiedy będzie chodziło o wielkie błędy znacznie późniejsze. Nie mam żadnego zaufania do inteligencji dzieci zapowiadających się na nadzwyczajność. W rodzaju o wiele mniej podległym złudzeniom, bo ostatecznie dokumenty zostają, wszyscy nędzni malarze, których znałem, tworzyli mając osiem czy dziesięć lat rzeczy cudowne, *zapowiadające geniuszów*.

Niestety nic nie zwiastuje geniuszu; może upór byłby jego oznaką?

Nazajutrz była mowa o pogrzebie; ojciec, który był zupełnie zmieniony, ubrał mnie w rodzaj czarnego wełnianego płaszcza, który mi związał na szyi. Scena odbyła się w gabinecie mego ojca, przy ulicy des Vieux-Jésuites; ojciec był w czerni, a cały gabinet wyłożony był żałobnymi księgami, okropne wrażenie. Jedna *Encyklopedia* d'Alemberta i Diderota, oprawna niebiesko, stanowiła wyjątek w powszechnej szpetocie.

Ten przybytek prawa był niegdyś własnością pana de Brenier, męża pani de Valserre i radcy Parlamentu. Pani de Valserre, owdowiawszy, wzięła spadek po mężu, ale wróciła do nazwiska panińskiego uważając je za lepsze, bardziej „szlacheckie” niż de Brenier. Później wstąpiła do stowarzyszenia pań kanoniczek.

Wszyscy krewni i przyjaciele zebrali się w gabinecie ojca.

Przybrany w mój czarny płaszcz, stałem w kolanach ojca w punkcie 1. Pan Pison starszy, kuzyn nasz, człowiek poważny, ale tak jak byli poważni ludzie z dworu, uznany w rodzinie za wyrocznie, był chudy, pięćdziesiąt pięć lat, bardzo dystyngowany wszedł i przystanął w punkcie 3<sup>17</sup>.

Zamiast płakać i być smutny, zaczął rozmawiać jak zwyczajnie i mówić o dworze. (Może to chodziło o Izbę Parlamentu<sup>18</sup>, bardzo możliwe). Zdawało mi się, że mówię o dworach cudzoziemskich, i głęboko dotknął mnie jego brak serca.

W chwilę potem wszedł mój wuj, brat matki, młody człowiek o ślicznej postawie, niesłychanie miły i ubrany bardzo wytwornie. Był to zdobywca serc w naszym mieście; i on zaczął rozmawiać jak zwyczajnie z panem Pison; stał w punkcie 4. Byłem oburzony, przypomniałem sobie, że ojciec nazywał go letkiewiczem. Zauważyłem wszakże, że miał oczy bardzo czerwone, a był bardzo przystojny; to mnie uspokoiło trochę.

Uczesany był bardzo wykwintnie, upudrowany jakimś pachnącym pudrem; fryzurę tę stanowiła czarna jedwabna wstążka i para wielkich „psich uszek” (tak je nazywano w sześć lat później), tak jak je nosi jeszcze książę de Talleyrand.

Zrobił się wielki hałas, wynoszono z salonu trumnę matki.

— A, nie znam się na porządkach takich ceremonii — rzekł obojętnie pan Pison, wstając, co mnie bardzo uraziło; to było moje ostatnie wrażenie „społeczne”. Kiedy wszedł do salonu i ujrzał przykrytą czarnym sukniem trumnę, w której *była moja matka*, chwyciła mnie gwałtowna rozpacz, zrozumiałem wreszcie, co to jest śmierć.

Ciotka Serafia już mnie oskarżyła o nieczułość.

Oszczędzam czytelnikowi wszystkich faz mojej rozpacz w kościele parafialnym Św. Hugona. Dławiłem się, zdaje się, że mnie musiano wynieść, bo moja boleść robiła zbyt wiele hałasu. Nigdy nie mogłem spokojnie patrzeć na ten kościół i na przylegającą doń katedrę. Sam dźwięk dzwonów katedralnych, nawet w roku 1828, kiedy odwiedziłem Grenoble, budził we mnie ów tępy, oschły smutek, bez rozczulenia, ów smutek graniczący z gniewem.

Przybywszy na cmentarz położony w bastionie przy ulicy Morw (dziś, a przynajmniej w 1828, zajęty przez wielki budynek, magazyn inżynierii wojskowej), robiłem szaleństwa,

<sup>16</sup>o *God* — o Bogu. [przypis redakcyjny]

<sup>17</sup>w punkcie 1 (...) w punkcie 3 — W tym miejscu tekstowi towarzyszy szkic autora, przedstawiający plan mieszkania ze wszystkimi pomieszczeniami, znajdującymi się w nich osobami i z zaznaczonym umiejscowieniem trumny. Punkt 1 i 3 zaznaczone są naprzeciwko siebie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Może to chodziło o Izbę Parlamentu — Słowo *cour* znaczy zarówno „dwór” jak „Izba”. [przypis autorski]

które Marion opowiedziała mi później. Zdaje się, że nie chciałem pozwolić, aby rzucano ziemię na trumnę matki, twierdząc, że jej zrobią co złego. Ale

Na te tak czarne barwy smutnego obrazu  
Trzeba spuścić zasłonę.<sup>19</sup>

Wskutek skomplikowanych charakterów mojej rodziny faktem jest, że wraz z matką skończyła się wszelka radość mego dzieciństwa.

## ROZDZIAŁ V

### *Drobne wspomnienia pierwszego dzieciństwa*

W epoce, w której zajmowaliśmy pierwsze piętro przy placu Grenette, przed rokiem 1790 lub ściślej rzekłszy aż do połowy roku 1789, wuj mój, młody adwokat, miał ładne mieszkanie na drugim piętrze na rogu placu Grenette i ulicy Wielkiej. Bawił się często ze mną i pozwalał mi się oglądać, jak zdejmuje swoje piękne ubranie i kładzie szlafrok, wieczorem o dziewiątej, przed kolacją. Był to dla mnie rozkoszny moment; wracałem uszczęśliwiony na pierwsze piętro, niosąc przed nim srebrną pochodnię. Moja arystokratyczna rodzina uważałaby sobie za hańbę, gdyby świecznik nie był srebrny. Co prawda, nie zawierał on szlachetnej świecy, panowała wówczas łożówka. Ale łożówki te sprowadzano bardzo starannie, w skrzyniach, z okolic Briançon; żądano, aby była z łoju koziego, pisało się w tym celu w odpowiednim czasie do przyjaciela mieszkającego w górach. Widzę się jeszcze przy ceremonii odpakowania łożówek, jak jem chleb z mlekiem na srebrnej miseczce; słyszę zgrzytanie łyżki o mokre dno miseczki. Stosunki z owym przyjacielem z Briançon były to stosunki niemal homeryckie, naturalny skutek powszechnej nieufności i barbarzyństwa.

Mój wuj, młody, świetny, wesoły, uchodził za najmilszego chłopca w mieście, do tego stopnia, że w wiele lat później pani Delaunay, chcąc usprawiedliwić swoją mocno obciążoną cnotę, powiadała: „A przecież nigdy nie uległam młodemu Gagnon”.

Wuj mój, powiadam, dworował sobie z powagi swego ojca, który, kiedy go spotykał w towarzystwie w bogatych sukniach, których nie zapłacił, był bardzo zdziwiony. „Wymykałem się czym prędzej” — dodawał wuj, który opowiadał mi te zdarzenia.

Jednego wieczora wbrew opozycji (ale kto byli ci oponenci przed 1790?) zaprowadził mnie do teatru. Dawano *Cyda*.

„Ależ ten dzieciak oszalał!” — rzekł kochany dziadek za moim powrotem. Jego zamiłowania literackie nie pozwoliły mu poważnie sprzeciwić się mojej wyprawie do teatru. Ujrzałem więc *Cyda*, ale o ile mi się zdaje, w strojach z błękitnego atlasu, w białych atlasowych trzewiczkach.

Wygłaszając stance, czy w innym miejscu, wywijając zbyt ognście szpadą, Cyd zranił się w prawe oko.

„Jeszcze włos — powiadano wokoło mnie — a byłby sobie wybił oko”. Byłem w łoży parterowej, druga na prawo.

Innym razem wuj raczył mnie zaprowadzić na *Karawanę z Karru*. (Krępowalem go w jego manewrach dokoła pań. Zdawałem sobie z tego bardzo dobrze sprawę). Kiedy zobaczył wielbłądy, oszalałem zupełnie. *Infantka z Zamory*, w której tchórz czy też kuchcik nucił aryjkę, mając na głowie kask ze szczurem na wierzchu, oczarowała mnie. To był dla mnie prawdziwy komizm.

Powiadałem sobie, bardzo mętnie z pewnością i nie tak jasno, jak to piszę tutaj: „Wszystkie chwile mego wuja są tak rozkoszne jak te, których przyjemność dzieję w teatrze. Najpiękniejszą tedy rzeczą w świecie jest być przystojnym mężczyzną jak mój wuj”. Nie mieściło się w mojej pięcioletniej głowie, aby mój wuj nie był tak samo szczęśliwy jak ja, patrząc na wielbłądy defilujące w *Karawanie*.

Ale poszedłem za daleko; zamiast być nadskakującym, byłem namiętny wobec kobiet, które kochałem, prawie obojętny, a zwłaszcza pozbawiony próżności wobec innych, stąd brak powodzenia i fiasko. Może żaden mężczyzna na dworze Cesarza nie miał mniej kobiet ode mnie, którego uważano za kochanka prezydentowej ministrów.

<sup>19</sup>Trzeba spuścić zasłonę — Corneille, *Rodoguna*, akt II, sc. 3. [przypis redakcyjny]



Teatr, dźwięk pięknego, poważnego dzwonu (tak jak w kościele... nad Rolle, w maju 1800, w drodze na przełęcz Św. Bernarda) czyniły zawsze na mnie głębsze wrażenie. Nawet msza, w którą wierzyłem tak mało, nastrojała mnie poważnie. Bardzo młodo jeszcze, z pewnością nim miałem dziesięć lat i przed bilecikiem księdza Gardon, byłem przekonany, że *God* gardzi tymi kuglarzami. (Po czterdziestu dwóch latach refleksji śledzę jeszcze ich mistyfikacje, zbyt korzystne dla tych, którzy je uprawiają, aby nie miały zawsze znaleźć naśladowców. Historia medalu, którą opowiedział przedwczoraj\*\*\*, grudzień 1835).

Pamiętam bardzo dokładnie i wyraźnie okrągłą i pudrowaną perukę dziadka z trzema rzędami pukli. Nie nosił nigdy kapelusza.

Strój ten przyczynił się, o ile mi się zdaje, do tego, że był znany i kochany u ludzi prostych, od których nigdy nie brał pieniędzy za pomoc lekarską.

Był lekarzem i przyjacielem większości szlacheckich domów. Pan de Chaléon (przypominam sobie jeszcze dźwięk dzwonów po jego śmierci w kościele Św. Ludwika), pan de Lacoste, który umarł na apopleksję, pan de Langon, bardzo dobrze urodzony, jak informowały akta; pan de Raxis, który był chory na świerzb i miał zwyczaj rzucać płaszcz na podłogę w pokoju mego dziadka; gdy kiedyś opowiadając o tym wymówiłem nazwisko pana de Raxis, dziadek połajał mnie w słowach pełnych umiaru; państwo des Adrets, pani de Valserre, ich córka, w której salonie po raz pierwszy *ujrzałem świat*. Siostra jej, pani de Mareste, wydawała mi się bardzo ładna i uchodziła za osobę nader lekką.

Dziadek był od dwudziestu pięciu lat, w epoce kiedy go znałem, duszą wszystkich pożytecznych przedsięwzięć, które, zważywszy dzieciństwo polityczne tych odległych czasów (1760), można było nazwać liberalnymi. Jemu zawdzięcza miasto bibliotekę. Nie była to mała rzecz. Trzeba było najpierw ją zakupić, potem umieścić, potem wyposażyć bibliotekarza.

Popierał, zrazu przeciw ich rodzinie, potem skuteczniej, wszystkich młodych ludzi, którzy okazywali zamiłowanie do nauk. Opornym rodzicom cytował przykład Vaucansona.

Kiedy dziadek wrócił z Montpellier do Grenoble (jako doktor medycyny), miał bardzo piękne kędziory, ale opinia publiczna z roku 1760 oświadczyła mu stanowczo, że jeżeli nie włoży peruki, nikt nie będzie miał do niego zaufania. Stara kuzynka, panna Didier, która zapisała majątek jemu i ciotce Elżbiecie i umarła około 1788, była tego zdania. Ta zacna kuzynka częstowała mnie piernikami z szafranem, kiedy ją odwiedzałem w dzień św. Wawrzyńca. Mieszkała przy ulicy sąsiadującej z kościołem Św. Wawrzyńca. Na tej samej ulicy moja dawna piastunka Franusia, którą zawsze ubóstwiałem, miała sklepik korzenny; opuściła moją matkę, aby wyjść za męża. Zastąpiła ją piękna Genowefa, jej siostra, z którą podobno ojciec mój romansował.

Pokój dziadka, na pierwszym piętrze od placu Grenette, pomalowany był zielono; w owym czasie ojciec powiedział mi: „Dziadek, człowiek tak inteligentny, nie ma poczucia artystycznego”.

Niesmiały charakter Francuzów sprawia, że rzadko używają zdecydowanych kolorów: zielony, czerwony, niebieski, żółty; wolą odcienie niezdecydowane. Poza tym nie widzę, co by można było zganić w guście dziadka. Pokój jego był od południa, dużo czytał, chciał oszczędzić oczy, na które skarżył się czasami.

Ale czytelnik, o ile znajdą się czytelnicy na te bajędy, zrozumie z łatwością, że wszystkie moje komentarze, wyjaśnienia mogą być bardzo mylne. Mam tylko obrazy bardzo wyraźne; wszystkie zaś moje wyjaśnienia przychodzą mi dopiero przy spisywaniu tego, w czterdziści pięć lat po wypadkach.

Mój przeznacny dziadek, który w istocie był moim prawdziwym ojcem i najbliższym przyjacielem aż do chwili, kiedy około 1796 postanowiłem wyrwać się z Grenoble za pomocą matematyki, opowiadał czasami cudowną rzecz.

Matka moja, kazawszy mnie zanieść do jego pokoju (zielonego) w dniu, gdy skończyłem rok, 23 stycznia 1784, postawiła mnie koło okna; dziadek, siedzący blisko łóżka, zawołał mnie: odważyłem się chodzić i doszedłem aż do niego.

Mówiłem nieco i na powitanie mówiłem: „hajty”. Wuj mój droczył się z siostrą swoją Henryką (moją matką) z powodu mojej brzydoty. Zdaje mi się, że miałem olbrzymią głowę bez włosów, że byłem podobny do ojca Brulard, sprytnego mnicha lubiącego dobrze żyć, trzęsącego zresztą swoim klasztorem. Był to mój stryj czy raczej stryjeczny dziadek, który umarł przede mną.

Byłem bardzo przedsiębiorczy; stąd dwa wypadki, które dziadek mój wspomina ze zgrozą i z żalem. Przy skale Porte-de-France kawałkiem zastruganego drzewa ukłułem muła, który miał tę bezczelność, że mnie kopnął w pierś i przewrócił mnie. „Jeszcze odrobina, a byłby trup” — mówił dziadek.

Odtwarzam sobie ten wypadek, ale prawdopodobnie to nie jest wspomnienie bezpośrednie, raczej wspomnienie obrazu, jaki sobie wytworzyłem bardzo dawno, w epoce pierwszych opowiadań, jakie o tym słyszałem.

Drugim tragicznym wydarzeniem było to, że między matką a dziadkiem wybiłem sobie dwa przednie zęby, spadając z krzesła. Poczciwy dziadek nie mógł wyjść ze zdumienia. „Między matką a mną!” — powtarzał, jakby biadając nad siłą fatalności.

Znamienne dla mnie w tym mieszkaniu na pierwszym piętrze było to, że słychać było zgrzypienie<sup>20</sup> sztaby żelaznej, za pomocą której pompowano wodę. Ten przeciągły, ale nieostrzy zgrzyt bardzo mi się podobał.

Zdrowy rozum Delfinatu zbuntował się po trosze przeciw dworowi. Przypominam sobie bardzo dobrze wyjazd dziadka do Stanów w Romans. Był wówczas bardzo poważnym patriotą, ale nader umiarkowanym: wyobraźcie sobie Fontenelle’a jako trybuna ludu.

W dniu wyjazdu mróz był taki, że „kamienie pękały” (była to — sprawdzić — owa pamiętna zima roku 1789 na 1790), było na stopę śniegu na placu Grenette.

Na kominku w pokoju dziadka palił się olbrzymi ogień. Pokój był pełen przyjaciół, którzy chcieli go widzieć na wsiadającym do powozu. Najślawniejszy adwokat tutejszy, wyrocznia prawa — ładne stanowisko w mieście, gdzie był parlament — pan Barthélemy d’Orbane, bliski przyjaciel rodziny, stał obok mnie, przed migocącym ogniem. Byłem bohaterem chwili, bo jestem przekonany, że dziadek żałował w Grenoble tylko mnie i kochał tylko mnie.

W tej okoliczności pan Barthélemy d’Orbane nauczył mnie robić miny. Widzę go jeszcze i siebie także. Jest to sztuka, w której poczyniłem najszybsze postępy; śmiałem się sam z min, które robiłem dla rozśmieszenia innych. Próżno sprzeciwiano się wciąż rosnącej modzie na miny; trwa ona jeszcze; często śmieję się z min, jakie robię, kiedy jestem sam.

Przechodzi ulicą, mizdrząc się, jakiś dudek (na przykład pan Lysi[maque] albo hrabia\*\*\*, kochanek pani Del Monte); naśladuję jego minę i śmieję się. Raczej skłonny jestem naśladować ruchy, lub raczej miny, twarzy niż ruchy całej postaci. W Radzie Stanu naśladowałem bezwiednie i w bardzo niebezpieczny dla siebie sposób nadętą minę słynnego hrabiego Regnault de Saintp Jean-D’Angély siedzącego o trzy kroki ode mnie, zwłaszcza kiedy, aby lepiej słyszeć cholerycznego księdza Louis siedzącego po drugiej stronie sali naprzeciw niego, obciągał straszliwie długi kołnierz u koszuli. Ten zmysł czy ta sztuka, którą zawdzięczam panu d’Orbane, zrobiła mi wielu nieprzyjaciół. Obecnie roztropny di Fiori wyrzuca mi ukrytą albo raczej źle ukrytą ironię, widoczną mimo mej woli w prawym kąciku ust.

W Romans brakło dziadkowi jedynie pięciu głosów do zostania posłem. „To byłaby moja śmierć” — powtarzał często, winszując sobie, że odmówił głosów licznych wieśniaków, którzy mieli do niego zaufanie i przychodzili się go radzić rano. Jego rozsądek à la Fontenelle bronił go od ambicji; mimo to lubił kropnąć jakąś mówkę przed dobranym audytorium, na przykład w bibliotece. Widzę się tam jeszcze, jak go słucham w przepelnionej pierwszej sali, która wówczas zdawała mi się olbrzymia. Ale skąd tyle ludzi? Z jakiej okazji? Tego obraz mi nie mówi; to tylko obraz.

Dziadek opowiadał mi często, że w Romans atrament jego — mimo że kałamarz stał na dobrze ogrzonym kominku — marzył mu na końcu pióra. Nie wybrano go, ale przeprowadził wybór jednego czy dwóch posłów, których nazwisk zapomniałem; ale dziadek

<sup>20</sup>zgrzypienie — dziś: skrzypienie. [przypis edytorski]

nie zapominał usługi, którą im oddał, i śledził ich z dala na obradach, potępiając ich energię.

Lubiłem bardzo pana d'Orbane, jak również grubego kanonika, jego brata; odwiedzałem ich na placu Lipowym albo pod sklepieniem, które z placu Matki Boskiej prowadzi na plac Lipowy, o dwa kroki od kościoła Matki Boskiej, gdzie kanonik odprawiał mszę. Ojciec albo dziadek posyłał sławnemu adwokatowi tłuste indyki na Boże Narodzenie.

Lubiłem też bardzo ojca Ducros, byłego kordeliera (z klasztoru znajdującego się między parkiem miejskim a pałacem Franquieres'ów w stylu odrodzenia, o ile sobie przypominam).

Lubiłem także miłego księdza Chélan, proboszcza w Risset koło Claix; chuderlawy człowiek, same nerwy, sam ogień, iskrzący się dowcipem, już niemłody — mnie wydawał się stary, ale miał może czterdzieści albo czterdzieści pięć lat. Rozmowy jego przy stole bawiły mnie niezmiernie. Nie omieszkał nigdy przyjść do dziadka na obiad, kiedy był w Grenoble; obiad był wtedy o wiele weselszy niż zazwyczaj.

Jednego dnia przy wieczerzy mówił od trzech kwadransów, trzymając w ręce łyżkę poziomek. Wreszcie zaniósł łyżkę do ust.

— Księżę proboszczu, nie będzie ksiądz mógł odmówić mszy jutro — rzekł dziadek.

— Za pozwoleniem, odmówię ją jutro, ale nie dziś, bo już minęła północ.

Rozmowa ta przepelniła mnie radością na cały miesiąc, wydawała mi się fajerwerkami dowcipu. Oto dowcip dla ludu albo dla młodego chłopca, ci mają wrażliwość — porównaj repliki podziwiane przez Bokacjusza lub przez Vasarięgo.

Dziadek mój w owych szczęśliwych czasach brał religię bardzo wesoło, a ci księża dzielili te pojęcia. Zrobił się smutny i dość religijny po śmierci mojej matki (w 1790), a i to, jak sądzę, przez słabą nadzieję odnalezienia jej — spotkania — na tamtym świecie, jak pan de Broglie, który mawiał o swojej milej córce zmarłej w trzynastym roku: „Mam uczucie, że moja córka jest w Ameryce”.

Zdaje mi się, że ksiądz Chélan był u nas na obiedzie w „dniu dachówek<sup>21</sup>”. Tego dnia widziałem pierwszą krew rozlaną przez rewolucję francuską. Był to nieszczęśliwy robotnik kapelusznik raniony śmiertelnie bagnetem w krzyże.

Wstaliśmy od stołu w środku obiadu. Poszukam daty tego dnia w jakiejś chronologii. Obraz mam bardzo jasny, jest może temu jakich czterdzieści trzy lat.

Pan de Clermont-Tonnerre, gubernator Delfinatu, zajmujący pałac gubernatorski — osobno stojący dom wychodzący na wały (ze wspaniałym widokiem na zbocza Eybens, widok spokojny i piękny, godny Klaudiusza Lorrain, wjazd pięknym dziedzińcem od ulicy Nowej blisko ulicy Morw) — chciał, o ile mi się zdaje, rozpędzić zbiegowisko; były tam dwa pułki, przeciw którym lud bronił się dachówkami zrzucanymi z dachów, skąd nazwa „dzień dachówek”.

Jednym z podoficerów tego pułku był Bernadotte, dziś król szwedzki, dusza równie szlachetna jak Murat, król Neapolu, ale o ileż zręczniejszy! Lefevre, perukarz i przyjaciel mego ojca, często nam opowiadał, że ocalił życie generałowi Bernadotte (jak powiadał w 1804) osaczonemu w jakiejś bramie. Lefevre był to piękny i dzielny mężczyzna, marszałek Bernadotte posłał mu jakiś upominek.

Ale to wszystko to jest historia, opowiadana co prawda przez naocznych świadków, ale której ja nie widziałem. Pragnę opowiadać na przyszłość — w Rosji i gdzie indziej — tylko to, co *widziałem*.

Rodzice moi wstali od stołu w połowie obiadu; byłem sam w oknie jadalni lub raczej w oknie pokoju wychodzącego na ulicę. Ujrzałem starą kobietę, która trzymając w rękach swoje stare trzewiki, krzyczała z całych sił: „Bontuję się! Bontuję się!”. Pocieszność tego buntu — stara kobieta przeciw pułkowi — uderzyła mnie. Tego samego wieczora dziadek opowiedział mi śmierć Pyrrusa.

Myślałem jeszcze o tej staruszce, kiedy mnie pochłonęło tragiczne widowisko. Robotnik kapelusznik, raniony w krzyże bagnetem, jak mówiono, szedł z wielkim trudem, podtrzymywany przez dwóch ludzi, na których ramionach zawisł. Był rozebrany, koszula jego i gacie były pełne krwi. Widzę go jeszcze: rana, z której krew płynęła obficie, była w okolicy krzyżów, mniej więcej na wysokości pępka.

<sup>21</sup> „dzień dachówek” — 7 czerwca 1788. [przypis autorski]

Prowadzono go z trudem, aby go zanieść do jego pokoju, na szóstym piętrze domu pana Périer; zanim tam przybył, umarł.

Rodzice połajali mnie, odciągnęli mnie od okna, abym nie widział tego okropnego obrazu, ale wracałem ciągle. Okno to było na bardzo niskim pierwszym piętrze.

Widziałem tego nieszczęśliwego na wszystkich piętrach domu pana Périer, schody miały wielkie okna wychodzące na plac.

Wspomnienie to, rzecz zrozumiała, jest najżywsze, jakie mi zostało z tych czasów.

Z wielkim trudem natomiast odnajduję ślady wspomnienia fajerwerku w Fontanil (droga z Grenobli do Voreppe), gdzie spalono „Lamoignona<sup>22</sup>”. Żałowałem bardzo widoku wielkiej słomianej figury; faktem jest, że rodzice moi, *dobrze myślący* i bardzo niechętni wszystkiemu, co się oddalało od *porządku* („Porządek panuje w Warszawie” — rzekł generał Seb[astiani] około roku 1832<sup>23</sup>), nie chcieli, abym zachował w pamięci te dowody gniewu albo siły ludu. Ja, już w tym wieku, byłem przeciwnego zdania; lub też moje zapatrywania z lat ośmiu kryją się pod tymi — bardzo zdecydowanymi — jakie miałem w dziesiątym roku.

Jednego razu panowie Barthélemy d’Orbane, kanonik Barthélemy, ksiądz Rey, pan Bouvier, wszyscy mówili u dziadka o bliskim przybyciu marszałka de Vaux.

„Przybędzie tu krokiem baletowym” — rzekł dziadek, a powiedzenie to, którego nie rozumiałem, dało mi wiele do myślenia. Co mogło być wspólnego (powiadałem sobie) między starym marszałkiem a baletem?

Umarł; majestatyczny dźwięk dzwonów wzruszył mnie głęboko. Zaprowadzono mnie do jasno oświetlonej kaplicy (zdaje mi się, że w pałacu gubernatorskim, w pobliżu ulicy Morw, bardzo mgliste wspomnienie); widok tej czarnej krypty o zasłoniętych oknach, oświetlonej w biały dzień mnóstwem świec, uderzył mnie. Pierwszy raz objawiło mi się pojęcie śmierci. Zaprowadził mnie tam Lambert, służący dziadka, a mój wielki przyjaciel. Był to młody i przystojny chłopak, bardzo sprytny.

Któryś z jego przyjaciół rzekł doń: „Córka marszałka to straszna skąpitura, sukno, które daje doboszom na pokrycie bębna, nie wystarczy im na parę spodni. Dobosze skarżą się bardzo; jest zwyczaj dawać tyle, ile potrzeba na spodnie”. Za powrotem do domu słyszałem, jak rodzice też mówili o skąpstwie marszałkówny.

Nazajutrz był dla mnie dzień wielkiej batalii; uzyskałem z wielkim trudem, o ile mi się zdaje, aby Lambert zaprowadził mnie w jakieś miejsce, skąd mógłbym widzieć pogrzeb. Był olbrzymi tłum. Widzę się między gościńcem a rzeką, blisko pieca wapiennego, o dwieście kroków na wschód od Porte-de-France.

Dźwięk bębnow przykrytych skrawkiem czarnego sukna, niedostatecznym, aby uszyć spodnie, wzruszył mnie bardzo. Ale oto nowa historia: znajdowałem się na lewym krańcu pułku austriackiego (uniform, zdaje mi się, biały, wyłogi czarne), Lambert prowadził mnie za rękę. Byłem o sześć cali od ostatniego żołnierza, gdy ten rzekł do mnie nagle: „Odsuń się trochę, kiedy będziemy *strzelać*, żebyśmy nie zrobili ci co złego”.

Więc będą strzelać! Tylu żołnierzy! Broń mieli gotową.

Umieriałem ze strachu; zerkałem z dala na czarny wóz, który posuwał się wolno kamiennym mostem, ciągniony przez sześć czy osiem koni. Czekałem z drżeniem salwy. Wreszcie oficer wydał krzyk, a tuż potem nastąpiła salwa. Spadł mi z piersi wielki ciężar. W tej chwili tłum rzucił się w stronę karawanu, który ujrzałem z wielką przyjemnością; zdaje mi się, że były tam świece.

Oddano drugą, może trzecią salwę za Porte-de-France, ale byłem już oswojony.

Zdaje mi się, przypominam sobie trochę wyjazd do Vizille (Stany prowincjonalne w zamku Vizille zbudowanym przez konetabla de Lesdiguières). Dziadek mój ubóstwiał starożytności; sposób, w jaki mówił o tym zamku, obudził we mnie wspaniałe pojęcie o nim. Byłem bliski obudzenia w sobie czci dla szlachty, ale niebawem panowie de Saint-Ferréol i de Sinard, moi koledzy, uleczyli mnie z tego.

<sup>22</sup>spalono „Lamoignona” — Jako wyraz protestu przeciwko przygotowanym przez ministra Ch. Lamoignon w 1788 r. edyktom ograniczającym m.in. uprawnienia parlamentów i wprowadzającym powszechny podatek gruntowy. [przypis autorski]

<sup>23</sup>„Porządek panuje w Warszawie” (...) około roku 1832 — Słowa te wypowiedział w Izbie Deputowanych ówczesny minister spraw zagranicznych Francji na wieść o kapitulacji Warszawy 8 września 1831. [przypis redakcyjny]



„Młody Mounier”, jak powiadał mój dziadek, bywał u nas. Nagłe rozłączenie było powodem, że córka jego i ja nie pokochaliśmy się gwałtownie wzajem w ostatniej godzinie, jaką spędziłem w bramie przy ulicy Montmartre, w pobliżu bulwaru, w czasie ulewy, w roku 1803 albo 1804, kiedy pan Mounier objął funkcję prefekta w Rennes. (Moje listy do jego syna Edwarda, list Wiktoryny do mnie. Najlepsze jest, że Edward, o ile mi się zdaje, przypuszcza, że ja pojechałem do Rennes).

Mały, sztywny i lichy malowany portrecik znajdujący się w pokoju sąsiadującym z biblioteką publiczną w Grenobli i przedstawiający pana Mounier, o ile się nie mylę, w mundurze prefekta, jest podobny. Twarz z charakterem, ale ciasna głowa. Syn jego, z którym wiele przestawałem w roku 1803 i w Rosji w 1812 (Wiaźma), jest to płaski, sprytny i zręczny filut, prawdziwy typ delfinacki, tak samo jak minister Kazimierz Perier, ale ten ostatni trafił na jeszcze lepszego od siebie.

Edward Mounier ma lokalny, rozwlekły akcent, mimo że wychowany w Weimarze; jest parem Francji i baronem i dzielnie sędzi w Trybunale paryskim (1835, grudzień). Czy mi czytelnik uwierzy, gdy dodam, że nie chciałbym być na miejscu panów Feliksa Faure i Mouniera, parów Francji i niegdyś moich przyjaciół?

Dziadek mój, tkliwy i oddany przyjaciel wszystkich młodych garnących się do pracy, pożyczał książek panu Mounier i bronił go od nagan jego ojca. Czasami przechodząc ulicą zachodził do jego sklepu i mówił mu o synu. Stary sukiennik, który miał kupę dzieci i myślał tylko o tym, co praktyczne, patrzył ze straszną zgryzotą, że syn traci czas na czytaniu.

Siłą młodego Mounier był charakter, ale inteligencja jego nie była na tej samej wysokości. Dziadek opowiadał nam ze śmiechem w kilka lat później, że kiedy pani Borel, która miała być teściową pana Mounier, przyszła kupić sukna, Mounier, subiekt u własnego ojca, rozwinął sztukę, miał w palcach sukno i dodał:

— To sukno sprzedajemy po dwadzieścia siedem franków łokieć.

— Więc dobrze, proszę pana, dam panu dwadzieścia pięć — rzekła pani Borel.

Na co Mounier zwinął sztukę i odniósł ją spokojnie na półkę.

— Ależ panie! — rzekła pani Borel zdziwiona — dałabym zresztą dwadzieścia pięć i pół.

— Szanowna pani, uczciwy człowiek ma tylko jedno słowo.

Kumosia była wielce zgorzozona.

Ta sama sympatia do pracy u młodych ludzi, która dziś uczyniłaby mego dziadka tak podejrzany, kazała mu się zająć młodym Barnave. Barnave był naszym sąsiadem na wsi, on w Saint-Robert, a my w Saint-Vincent (droga z Grenobli do Voreppe i Lyonu). Serafia nie cierpiała go; rychło potem cieszyła się z jego śmierci i z nędzy, w jakiej zostały jego siostry, z których jedna, zdaje mi się, nazywała się pani Saint-Germain. Za każdym razem, kiedyśmy przejeżdżali przez Saint-Robert: „A, tu mieszka Barnave” — mówiła ciotka Serafia i robiła kwaśną minę dewotki. Mój dziadek, bardzo lubiany wśród szlachty, był wyrocznią mieszczaństwa i sądzę, że uspokajał matkę nieśmiertelnego Barnave, która z przykrością patrzyła, jak syn zaniedbuje adwokaturę dla Mably’ego i Monteskiusza. W owym czasie krajan nasz, Mably, miał niejaką cenę, a w dwa lata potem nazwano od niego ulicę des Clercs<sup>24</sup>.

<sup>24</sup>Rozdział V (...) ulicę des Clercs — [Na marginesie (tej strony i następnych)]: 19 grudnia, Filharmonia, *before my chair Amalia Betti[ni], with her an young man of Felsina...* [przed moim krzesłem Amalia Bettini z młodym mężczyzną z Felsiny; red. WL] 20 grudnia: wczoraj wieczorem, Filharmonia, *before my chair Amalia Betti[ni]*. Uzupełnić: tajemnica fortuny panów Rothschild odgadnięta przez Dominika 23 grudnia 1835. Sprzedają to, czego wszyscy potrzebują: renty, co więcej, zrobili się ich fabrykantami (*id est* rozpisując pożyczki). Trzeba by wyszukać plan Grenobli i wkleić go tutaj. Zażądać aktów zgonu rodziców — w ten sposób będę miał daty — i aktu narodzin *my dearest mother* [mojej najdroższej matki; red. WL] i mojego dziadka. Grudzień 1835. Kto myśli o nich dzisiaj prócz mnie? A zwłaszcza z jaką tkliwością myślę o mojej matce, zmarłej przed czterdziestoma sześcioma laty. Mogę więc swobodnie mówić o ich wadach. To samo dotyczy pani baronowej de Barcoff, pani Aleks. Petit, pani baronowej Dembowskiej (jak dawno już nie pisałem tego nazwiska!), Wirginii, dwóch Wiktoryn, Angeli, Melanii, Aleksandry, Metyldy, Klementyny, Julii, Alberty de Rub[empré] (uwielbianej tylko przez miesiąc). W. zW. A.(+) M.(+) A. M. K.(+) J.(+) A.(+) Człowiek bardziej trzeźwy napisałby: A. M. K. J. A. Prawo, jakie mam do pisania tych pamiętników: któż nie pragnie, żeby o nim pamiętano? [20 grudnia 1835] Rzeczy do wstawienia w odpowiednim miejscu, zanotowane tu dla pamięci: nominacja na inspektora ruchomości, po stronie 254 według obecnej numeracji. Zaczęłem łączyć w siódmym roku życia, a więc w 1790. Rzeczy zapisane tutaj dla pamięci wstawić w odpowiednim miejscu: dlaczego Omar [Omar: Roma, tj. Rzym;

## ROZDZIAŁ VI

Po śmierci mojej matki dziadek był w rozpacz. Widzę (ale dopiero dziś), że był to charakter w typie Fontenelle'a, skromny, przezorny, dyskretny, bardzo miły i wesoły przed śmiercią ukochanej córki. Później zamykał się często w milczeniu. Kochał na świecie tylko tę córkę i mnie.

Druga jego córka, Serafia, nudziła go i męczyła; kochał przede wszystkim spokój, a ona żyła samymi scenami. Dobry dziadek w poczuciu swojej powagi ojcowskiej wyrzucał sobie, że nie pokazuje zębów (zachowuję wyrażenia lokalne; później może przełożę je na paryską francuszczyznę, na razie zachowuję je, aby sobie lepiej uprzytomnić szczegóły, które mi się cisną). Dziadek szanował (bojąc się jej po trosze) swoją siostrę, która za młodu bardziej od niego kochała drugiego brata, zmarłego w Paryżu; rzecz, której dziadek nigdy jej nie darował, ale przy jego charakterze à la Fontenelle, miłym i zgodnym, nie objawiało się to w niczym; odgadłem to później.

Dziadek wyraźnie nie lubił swego syna Romana, mego wuja, świetnego i miłego młodzieńca.

Zdaje się, że właśnie te przymioty stały między ojcem a synem. To byli — ale każdy w innym rodzaju — najświetniejsi mężczyźni w mieście. Dziadek był pełen taktu w swoich conceptach, a dowcip jego, wytworny i zimny, mógł ujść niepostrzeżony. Był zresztą studnią wiedzy na owe czasy, w których kwitła najpociesniejsza ignorancja. Głupcy lub zazdrośnicy (panowie Champel, Tournus (rogacz), Tourte) bez ustanku przez zemstę komplementowali go za jego pamięć. Znał, wielbił i cytował ulubionych autorów na wszystkie okazje.

„Mój syn nic nie czyta” — powiedział czasami zgryźliwie. To była szczerza prawda, ale nie sposób było nudzić się w towarzystwie, gdzie był młody Gagnon. Ojciec dał mu w swoim domu śliczne mieszkanie i pokierował go na adwokata. W mieście sądowym wszyscy lubili pieniactwo, żyli z pieniactwa i robili koncepty na pieniactwo. Znam jeszcze sporo conceptów na ten temat.

Dziadek dawał synowi mieszkanie i życie; prócz tego pensję, 100 franków miesięcznie — olbrzymia suma na Grenoble w roku 1789 — na drobne przyjemności; wujaszek zaś sprawiał sobie ubrania haftowane po 3000 franków i utrzymywał aktorki.

Na wpol tylko odslaniam te rzeczy, które odgadywałem z półsłówki dziadka. Przypuszczam, że wujaszek dostawał prezenty od swoich kochanek bogatych i że za te pieniądze ubierał się suto i utrzymywał swoje kochanki ubogie. Trzeba wiedzieć, że w naszym mieście i w owym czasie nie było nic złego w tym, aby przyjmować pieniądze od pani Dulauron albo od pani de Marcieu, albo od pani de Sassenage, byle je wydać *hic et nunc*<sup>25</sup> i nie ciuć ich. *Hic et nunc* to wyrażenie, które Grenoble zawdzięczała swemu Parlamentowi.

Nieraz zdarzyło się, że dziadek, przybywszy do pana de Quinsonnas albo do innego domu, spostrzegł młodego człowieka bogato ubranego i otoczonego kołem słuchaczy: to był jego syn.

„Ojciec nie znał tego mojego ubrania — opowiadał mi wuj — wymykałem się tedy co prędzej i biegłem do domu, aby wdziać skromny fraczek. Kiedy ojciec mówił mi: «Bądź tak łaskaw powiedzieć mi, skąd ty bierzesz pieniądze na te stroje?», «Szczęśliwie gram»

---

red. WL.] mi ciąży. Dlatego, że wieczorami nie mam towarzystwa, które by było dla mnie rozrywką po myślach całego dnia. Kiedy coś robiłem w Paryżu, pracowałem aż do zawrotu głowy i odrętwienia. Punktualnie o szóstej trzeba jednak było pójść na kolację, bo później było to niewygodne dla służby w restauracji, zwłaszcza gdy była to kolacja za trzy franki pięćdziesiąt, co mi się często zdarzało ku memu upokorzeniu. Następnie szedłem do któregoś z salonów; jeżeli nie był wyjątkowo nędzny, znajdowałem tam całkowite odprężenie po robocie, tak dalece, że wracając do domu o pierwszej nie pamiętałem już, nad czym rano pracowałem. [20 grudnia 1835] Poranne zmęczenie. Oto pod jakim względem Omar mi nie wystarcza: towarzystwo jest tak nudne (pani Sandre, *the mother of Marietta*), hrabina Koven, księżna de Da... nie są warte, żeby dla nich wsiąść do powozu. Wszystko to nie może mnie rozerwać po zajęciach porannych i wskutek tego, kiedy następnego dnia siadam do pracy, to zamiast być świeży i wypoczęty, jestem zmęczony, zniszczony. Po kilku dniach takiego życia czuję wstręt do pracy, wszystkie moje myśli zużywają się od nieustannego wysiłku. Jadę wtedy na dwa tygodnie do Civitavecchia lub do Rawenny (październik 1835). Jest to przerwa zbyt długa i wszystko przez ten czas zapominam. Oto dlaczego *Zielony strzelec* tak się wlecze, oto dlaczego, nie mówiąc już o zupełnym braku dobrej muzyki, Omar nie jest dla mnie miejscem odpowiednim. [przypis autorski]

<sup>25</sup>*hic et nunc* (łac.) — niezwłocznie. [przypis redakcyjny]

odpowiadałem. «Ale w takim razie czemu nie płacisz swoich długów?» A pani X albo pani Y chciała mnie widzieć w pięknym ubraniu, które mi kupiła! — dodawał wujaszek. — Wykpiwałem się przed ojcem jakimś konceptem”.

Nie wiem, czy mój czytelnik z roku 1880 zna powieść bardzo jeszcze sławną dzisiaj. *Niebezpieczne związki* napisał w Grenoble pan Choderlos de Laclos, oficer artylerii, odmalował w nich życie Grenoble.

Znałem jeszcze panią de Merteuil; była to pani de Montmaur, która mi dawała smażone orzechy, osoba kulawa, mająca dom Drevonów w Chevallon, niedaleko kościoła Św. Wincentego, pomiędzy Fontanil a Voreppe, ale bliżej Fontanil. Posiadłość pani de Montmaur (lub wynajęta przez panią de Montmaur) znajdowała się naprzeciwko domu pana Henryka Gagnon. Bogata, młoda osóbką, która schroniła się do klasztoru, to musiała być panna de Blacons z Voreppe. Rodzina ta może służyć za wzór przez swój smutek, swoją dewocję, surowość życia i klerikalizm lub raczej mogła służyć za wzór w roku 1814, kiedy Cesarz posłał mnie jako komisarza do siódmej dywizji wraz ze starym senatorem, hrabią de Saint-Vallier, jednym ze złotych młodzieńców z epoki mego wujaszka; ten mówił mi dużo o nim jako o człowieku, dla którego robiły szaleństwa panie X i Z, zapomniałem nazwisk. Wówczas płonąłem świętym ogniem i myślałem jedynie o tym, jak odeprzeć Austriaków lub przynajmniej nie pozwolić im, aby wkroczyli zbyt szybko.

Widziałem tedy ten schyłek obyczajów pani de Merteuil, tak jak dziecko dziewięciu- lub dziesięcioletnie, pożerane płomiennym temperamentem, może widzieć te rzeczy, o których każdy strzeże się przed nim pisać słówko.

## ROZDZIAŁ VII

Rodzina składała się tedy w epoce śmierci mojej matki, około roku 1790, ze starszego pana Gagnon (sześćdziesiąt lat), Romana Gagnon, jego syna (dwadzieścia pięć lat), Serafi, jego córki (dwadzieścia cztery lata), Elżbiety, jego siostry (sześćdziesiąt cztery lata), Cherubina Beyle, jego zięcia (czterdzieści trzy lata), Henryka, jego syna (siedem lat), Pauliny, jego córki (cztery lata), Zenajdy, jego córki (dwa lata).

Oto osoby smutnego dramatu mojej młodości, która przywodzi mi na pamięć prawie same cierpienia oraz głębokie udręki duchowe. Ale przejdźmy po trosze charakterzy tych osób.

Dziadek mój, Henryk Gagnon (sześćdziesiąt lat); córka jego, Serafia, ten czart w spódnicy, której wieku nigdy nie umiałem odgadnąć, mogła mieć dwadzieścia dwa albo dwadzieścia cztery lata; siostra jego, Elżbieta Gagnon (sześćdziesiąt cztery lata), wysoka, chuda i sucha kobieta, piękna twarz o włoskim typie, charakter na wskroś szlachetny, ale ze wszystkimi hiszpańskimi wyrafinowaniami i skrupułami sumienia. Urobiła mnie w tym duchu; ciotce Elżbiecie zawdzięczam wstrętne oszukaństwo szlachetności branej z hiszpańska, w których grząłem przez pierwsze trzydzieści lat życia. Podejrzewam, że ciotka Elżbieta, bogata (jak na Grenoble), została panną wskutek jakiejś nieszczęśliwej miłości. Słyszałem coś w tym rodzaju z ust ciotki Serafi bardzo młodo.

Dopełniał wreszcie rodziny mój ojciec.

Józef Cherubin Beyle, adwokat przy miejscowym Parlamencie, reakcjonista i kawaler Legii Honorowej, zastępca mera, zmarł w roku 1819 w wieku, jak mówią, lat siedemdziesięciu dwóch, z czego wniosek, że urodził się w 1747. Miał zatem w 1790 czterdzieści trzy lata.

Był to człowiek bardzo mało sympatyczny, wciąż rozmyślający o kupnie i sprzedaży gruntów, bardzo szczwany, nawykły kupować od chłopów i sprzedawać im, typ arcydelfinacki. Nie było nic mniej hiszpańskiego i mniej skłonnego do porywów szlachetności niż ta dusza; toteż ciotka Elżbieta miała doń zdecydowaną antypatię. Był, co więcej, bardzo pomarszczony i brzydki, nieswój i milczący z kobietami, których jednak potrzebował.

Ta ostatnia cecha obudziła w nim gust do *Nowej Heloizy* i innych pism Russa, o których mówił z prawdziwym uwielbieniem, przeklinając go równocześnie jako bezbożnika, śmierć bowiem mojej matki wtrąciła go w najniedorzeczniejszą dewocję. Nałożył sobie obowiązek odmawiania wszystkich modłów, które odmawiają księża; przez kilka lat była nawet mowa o wstąpieniu do klasztoru, prawdopodobnie powstrzymała go chęć zostawienia mi swojej kancelarii. Miał zostać adwokatem konsystorskim; było to zaszczytne

wyróżnienie, o którym mówił tak, jak młody porucznik grenadierów mówi o krzyżu Legii. Nie kochał mnie jako indywiduum, ale jako syna mającego utrwalić jego ród.

Bardzo trudno było, aby mnie kochał: *primo*, widział jasno, że ja go nie Kocham; nigdy nie odzywałem się doń bez potrzeby, obcy był wszystkim owym pięknym ideom literackim i filozoficznym, które stanowiły treść moich pytań zadawanych dziadkowi oraz wybornych odpowiedzi tego miłego starca. Widywałem ojca bardzo rzadko. Moja żądza opuszczenia Grenobli (to znaczy jego) oraz moja pasja do matematyki — jedyny środek dający mi nadzieję opuszczenia tego miasta, które mi było wstrętne i którego jeszcze nienawidzę, tam bowiem nauczyłem się znać ludzi — moja pasja matematyczna pograżyła mnie w głębokiej samotności od 1797 do 1799. Mogę rzec, że pracowałem przez te dwa lata, a nawet przez część roku 1796, jak Michał Anioł pracował nad Kaplicą Sykstyńską.

Od czasu mego wyjazdu z końcem października 1799 — przypominam sobie datę, ponieważ 18 brumaire’a, 9 listopada, znajdowałem się w Nemours — łączyły mnie z ojcem jedynie sprawy pieniężne. Chłód ciągle wzrastał: nie mógł rzec słowa, które by mi nie było antypatyczne. Nie było dla mnie wstrętniejszej rzeczy niż sprzedać kawał gruntu chłopu, kręcąc przez tydzień, aby zarobić 300 franków, a to była jego namiętność.

Nic naturalniejszego. Ojciec jego, który nosił, o ile mi się zdaje, wielkie imię Piotra Beyle, umarł z podagry w Claix, niespodzianie, w sześćdziesiątym trzecim roku. Ojciec mój, mając lat osiemnaście (było to zatem około roku 1765), został się z kawałkiem ziemi w Claix dającym 800 czy 1800 franków, posadą prokuratora i dziesięcioma siostrami do wydania oraz matką swoją, bogatą dziedziczką (to znaczy mającą może 60 000 franków) i jak przystało bogatej dziedzicze, rozkapryszoną. Długi czas jeszcze biła mnie w dzieciństwie po twarzy, kiedy pociągnąłem za ogon jej psa Azora (piesek boloński z długą białą sierścią). Pieniądz był wtedy, i słusznie, główną myślą ojca, a ja myślałem o pieniądzach zawsze jedynie ze wstrętem. Pojęcie to jest mi nad wyraz przykre, gdyż mieć pieniądze nie sprawia mi żadnej przyjemności, a nie mieć ich to szpetne nieszczęście.

Nigdy może traf nie skupił dwóch natur bardziej odpychających się wzajem jak mój ojciec i ja.

Stąd brak wszelkich przyjemności w moim dzieciństwie od 1790 do 1799. Ten wiek, który wszyscy mienią wiekiem czystego szczęścia, był dla mnie dzięki memu ojcu jedynie pasmem przykrości i wstrętów. Dwa diabły srożyły się nad mym biednym dzieciństwem, ciotka Serafia i ojciec, który od roku 1791 stał się jej niewolnikiem.

Czytelnik może się uspokoić co do opowiadań moich niedoli; przede wszystkim może opuścić kilka kartek i błagam go, aby to uczynił, piszę bowiem zupełnie na ślepo rzeczy nudne może nawet na rok 1835, a cóż dopiero będzie w 1880?

Po wtóre, nie mam prawie żadnych wspomnień ze smutnej epoki 1790–1795, w czasie której byłem biednym, małym, prześladowanym berbeciem, wciąż łajany z lada powodu i wspieranym jedynie przez filozofa à la Fontenelle, który nie chciał wypowiadać wojny z mego powodu, tym więcej że w tych utarczkach powaga jego kazała mu podnosić głos — rzecz, do której miał najwyższy wstręt. Ciotka Serafia, która nie wiem czemu znienawidziła mnie, wiedziała również o tym.

W dwa lub trzy tygodnie po śmierci matki ojciec i ja wróciliśmy do smutnego domu. Spałem w lakierowanym łóżeczku podobnym do klatki, w alkowie ojca. Oddalił służbę i jadał u dziadka, który nigdy nie chciał przyjąć za to pieniędzy. Sądzę, że to przez wzgląd na mnie dziadek mój zgodził się na ciągle towarzystwo człowieka tak mu antypatycznego.

Łączyło ich jedynie uczucie głębokiej bólesci. Po śmierci mojej matki rodzina zerwała wszystkie stosunki towarzyskie i, ku mojej najgłębszej nudzie, żyła w zupełnym odosobnieniu.

Pan Joubert, góral, mój bakałarz, który mnie uczył początków łaciny Bóg wie jak głupio, każąc mi recytować wciąż wstępne reguły — rzecz, przed którą wzdragała się moja inteligencja, a miałem jej podobno dużo — umarł. Chodziłem do niego na lekcje na placyk Matki Boskiej; mogę rzec, że ani razu nie przechodziłem tamtędy, aby sobie nie przypomnieć matki i cudownie wesołych dni, jakie pędziłem za jej życia. Obecnie nawet mój poczciwy dziadek, kiedy mnie całował, budził we mnie wstręt.

Pedant Joubert o strasznej twarzy zostawił mi jako legat drugi tom francuskiego przekładu Quintusa Kurcjusza, owego płaskiego Rzymianina, który napisał żywot Aleksandra.

Pieniądz

Ten okropny pedant, przeraźliwie wysoki, przeraźliwie chudy, zawsze w długim czarnym surducie, brudnym i podartym, nie był wszakże w gruncie zły.

Ale następca jego, ksiądz Raillane, był w całym znaczeniu tego słowa lajdakiem. Nie twierdzę, aby popełnił jakie zbrodnie, ale trudno by o duszę bardziej oschłą, bardziej wrogą wszystkiemu, co zacne, bardziej wyzutą z wszelkiego uczucia ludzkości. Był księdzem, pochodził z jakiejś wioski w Prowansji; mały, chudy, bardzo sztywny, z zielonkawą cerą, fałszywym spojrzeniem i odrażającym uśmiechem.

Dokończył właśnie wychowania Kazimierza i Augusta Perier i ich czterech czy sześciu braci.

Kazimierz był ministrem bardzo sławnym i, wedle mnie, ofiarą Ludwika Filipa. Augustyn, najpompatyczniejszy z ludzi, umarł parem Francji. Scypion umarł, trochę niespełna rozumu, około 1806. Kamil był przeciętnym prefektem, ożenił się po raz drugi z kobietą bardzo bogatą; jest trochę wariat, jak wszyscy jego bracia. Józef, mąż ładnej kobiety, bardzo kochliwej i słynnej ze swych miłostek, był może najrozsądniejszy ze wszystkich. Inny, Amedeusz, zdaje mi się, oszukał podobno w grze około roku 1815 i wolał spędzić pięć lat u Św. Pelagii niż zapłacić.

Wszyscy ci bracia byli trochę wariaci; przypuszczam, że musieli zawdzięczać tę zaletę naszemu wspólnemu preceptorowi<sup>26</sup>, księdzu Raillane.

Człowiek ten przez spryt, przez wychowanie albo przez instynkt księży był zabitym wrogiem logiki i wszelkiego rzetelnego rozumowania.

Ojciec mój wziął go zapewne przez próżność. Milord Perier, ojciec ministra Kazimierza, uchodził za najbogatszego człowieka w okolicy. W istocie, miał dziesięcioro lub jedenaścioro dzieci i zostawił 350 000 franków każdemu. Co za szczyt dla adwokata wziąć dla syna preceptora, który był u pana Perier!

Może księdza Raillane oddalono za jakieś wykroczenie; utwierdza mnie dziś w tym podejrzeniu okoliczność, że było jeszcze w rodzinie Perier troje dzieci bardzo młodych: Kamil w moim wieku, Józef i Amedeusz, o ile mi się zdaje, znacznie młodsi.

Nie znam absolutnie układów finansowych mojego ojca z księdzem Raillane. Zwracanie jakiegokolwiek uwagi na sprawy pieniężne uchodziło w mojej rodzinie za coś w najwyższym stopniu szpetnego i plugawego. Było coś obrażającego w tym, aby mówić o pieniądzach; pieniądz był niby smutna konieczność życia, niestety nieodzowna, tak jak wychodek; ale była to rzecz, o której nie należało nigdy mówić. Mówiło się co prawda wyjątkowo o poważnych sumach, jakie kosztowała nieruchomość: słowo „nieruchomość” wymawiało się z szacunkiem.

Pan Bellier zapłacił za swą posiadłość w Voreppe 20 000 talarów. Pariset kosztuje naszego kuzyna Colomba przeszło 12 000 talarów.

Ten tak spreczny z obyczajem paryskim wstręt do mówienia o pieniądzach pochodził nie wiem skąd i głęboko się zakorzenił w moim charakterze. Widok wielkiej sumy złota nie budzi we mnie innego uczucia, jak tylko myśl o kłopotach ubezpieczenia jej od złodziei; to uczucie brano często za afektację, nie mówię też o nim więcej.

Wszelki honor, wszelkie uczucia podniosłe i dumne mojej rodziny pochodziły od ciotki Elżbiety. Uczucia te władzały despotycznie w naszym domu; a przecież ciotka mówiła o nich bardzo rzadko, może raz na dwa lata, zazwyczaj zaczynało się to od hołdów składanych pamięci jej ojca. Ubóstwiałem tę kobietę rzadkiej podniosłości charakteru; mogła mieć wówczas sześćdziesiąt pięć lat, zawsze ubrana bardzo schludnie i używająca na swoje bardzo skromne toalety drogich materii. Każdy pojmuje, że to dopiero dziś, myśląc o tym, widzę te rzeczy. Nie znam na przykład fizjonomii nikogo z mojej rodziny, a przecież mam przytomne ich rysy aż do najdrobniejszego szczegółu. Jeżeli sobie trochę uprzytamniam fizjonomię mego ukochanego dziadka, to dzięki wizycie, jaką złożyłem mu, będąc już audytorem lub zastępcą komisarza wojennego; zapomniałem absolutnie, kiedy mogła być ta wizyta. Rozwinałem się bardzo późno i tym tłumaczę dziś sobie ten mój brak pamięci do fizjonomii. Aż do dwudziestu pięciu lat, co mówię, często i dziś jeszcze trzeba mi trzymać się oburącz, aby nie poddać się całkowicie wrażeniu wywołanemu przez jakiś przedmiot i móc go ocenić rozsądnie moim doświadczeniem. Ale co to, u diabła, obchodzi czytelnika? Co go obchodzi całe to pisanie? A jednak jeśli nie

<sup>26</sup>preceptor — nauczyciel. [przypis edytorski]

z głębię tego charakteru dziadka, tak trudnego dla mnie do rozeznania, nie postąpię sobie jak rzetelny pisarz starający się powiedzieć o swoim przedmiocie wszystko, co zdoła zeń wycisnąć. Proszę mego wydawcę (jeśli go kiedy będę miał), aby poskreał wszystkie te dłuższy.

Pewnego dnia ciotka Elżbieta roztkliwiała się nad wspomnieniem swego brata młodo zmarłego w Paryżu; byliśmy sami tego popołudnia w jej pokoju. Najwidoczniej ta wzniosła dusza rozmawiała ze swymi myślami, że zaś kochała mnie, zwracała się do mnie dla formy.

— ...Co za charakter! — (To znaczyło: co za siła woli). — Co za energia! Och, co za różnica! — (To znaczyło: co za różnica z *tym*, z moim dziadkiem, z Henrykiem Gagnon). I natychmiast, opamiętując się i przypominając sobie, z kim mówi, dodała: — Nigdy jeszcze tyle nie powiedziałam.

Ja: — Ile lat miał, jak umarł?

Ciotka Elżbieta: — Dwadzieścia trzy.

Rozmowa trwała długo; zaczęła mówić o swoim ojcu. Pośród tysiąca szczegółów, których zapomniałem, rzekła:

— Płakał wtedy z wściekłości dowiadując się, że nieprzyjaciel zbliża się do Tulonu.

(Ale kiedy nieprzyjaciel zbliżał się do Tulonu? Około 1736 może, w czasie wojny patrio-tycznej bitwą pod Assiette, z której widziałem w roku 34 sztych, interesujący przez swoją *prawdę*).

Byłby chciał, aby milicja ruszyła. Otóż nie było rzeczy bardziej przeciwnej uczuciom mego dziadka, egoisty jak Fontenelle, człowieka najdowcipniejszego i najmniej patrio-tycznego ze wszystkich, jakich w życiu znałem. Patriotyzm byłby dla mego dziadka niegodną dystrakcją w jego wytwornych i literackich myślach. Ojciec mój byłby obliczył z miejsca, co by to mogło mu przynieść. Wujaszek Roman powiedziałby zaniepokojony: „Tam do licha! To może pachnieć jakimś niebezpieczeństwem”. Serca starej ciotki i moje zabiłyby wzruszeniem.

Może ja przyspieszam trochę rzeczy, co się mnie tyczy, i odnoszę do siódmego lub ósmego roku uczucia, które miałem w dziewiątym lub dziesiątym. Niepodobna mi roz-różnić w jednej i tej samej rzeczy dwóch tak starożytnych epok.

Czego jestem pewny, to tego, że poważny i groźny portret mego pradziadka w szerokiej na pół stopy złoconej ramie z wielkimi rozetami, portret, którego się bałem prawie, stał mi się drogi i święty, odkąd dowiedziałem się o męźnych i szlachetnych uczuciach, jakie w nim obudził nieprzyjaciel zbliżający się do Tulonu.

## ROZDZIAŁ VIII

Przy tej sposobności ciotka Elżbieta opowiedziała mi, że pradziad mój urodził się w Awinionie, w Prowansji, ziemi, gdzie rodzą się pomarańcze (rzekła z akcentem żalu), mieście o wiele bliższym Tulonu niż Grenoble. Trzeba wiedzieć, że wielką ozdobą naszego miasta było kilkadziesiąt pomarańczowych drzew w skrzyniach, odziedziczonych może po kone-tablu de Lesdiguières, ostatniej wybitnej osobistości Delfinatu. Skrzynie te z początkiem lata umieszczano z paradą w pobliżu wielkiej kasztanowej alei, też, zdaje mi się, zasadzo-nej przed Lesdiguières'a. „Jest więc kraj, gdzie pomarańcze rosną sobie w ziemi?” — spytałem ciotki. Zdaję by sobie dziś sprawę, że bezwiednie przypominałem jej wiekiusty przedmiot jej żalów.

Opowiedziała mi, że jesteśmy rodem z kraju jeszcze piękniejszego niż Prowansja („my” to znaczy Gagnonowie); że dziadek jej dziadka wskutek bardzo nieszczęśliwych wydarzeń przybył się schronić do Awinionu ze świtą papieża; że musiał zmienić tam nieco swoje nazwisko i kryć się, i że żył wtedy z rzemiosła chirurga.

Z tym, co wiem o Włoszech dzisiaj, przetłumaczyłbym to tak: że niejaki pan Gu-adagni lub Guadiano, popełniwszy jakieś drobne morderstwo we Włoszech przybył do Awinionu około 1650, w świcie jakiegoś legata. Co mnie bardzo uderzyło wówczas, to że my przybyliśmy (bo ja się uważałem za Gagnona i myślałem o Beyle'ach zawsze z odrazą, która w 1835 trwa jeszcze), że przybyliśmy z kraju, gdzie pomarańcze rosną po prostu w ziemi. Co za rozkoszny kraj, myślałem sobie!

Co by mnie utwierdzało w tej myśli o włoskim pochodzeniu, to że język owego kraju był w wielkiej czci w mojej rodzinie, rzecz bardzo osobliwa w mieszczańskiej rodzinie z ro-



ku 1780. Mój dziadek znał i kochał włoski język; moja droga matka czytywała Dantego, rzecz bardzo trudna nawet dziś; pan Artaud, który spędził dwadzieścia lat we Włoszech i który świeżo wydał przekład Danta, daje nie mniej niż dwa nonsensy i jedno głupstwo na stronie. Ze wszystkich Francuzów, których znam, jedynie dwaj: pan Fauriel, który mi dał miłosne historie arabskie, i pan Delécluze z „Debatów”, rozumieją Dantego, a przecież wszyscy bazgracze paryscy profanują bez ustanku to wielkie nazwisko, cytując go i siląc się go komentować. To mnie oburza.

Moja cześć dla Dantego jest bardzo dawna; datuje od egzemplarzy, które znalazłem na półce ojcowskiej biblioteki zajętej przez książki mojej biednej matki. Były moją jedyną pociechą w epoce *tyranii Raillane’a*.

Wstręt mój do rzemiosła tego człowieka i do wszystkiego, czego on uczył z rzemiosła, doszedł do punktu, który graniczy z manią.

Czy uwierzyliby ktoś, że wczoraj jeszcze, 4 grudnia 1835, wróciwszy z Rzymu do Civitavecchia, miałem sposobność oddania, bez przykrości dla siebie, poważnej przysługi młodej kobiecie, której nie podejrzewam o zbytnią srogość. W drodze dowiedziała się mimo mej chęci o moim nazwisku, miała list polecający do mego sekretarza. Ma bardzo piękne oczy i te oczy patrzyły na mnie dość słodko przez osiem ostatnich mil drogi. Prosiła mnie, abym jej wyszukał niedrogie mieszkanie; słowem, ode mnie może tylko zależało, aby dostąpić jej łaski; ale ponieważ piszę to od tygodnia, nieszczęsne wspomnienie księdza Raillane obudziło się. Orli, ale trochę zbyt mały nos tej pięknej lyonki, pani<sup>\*\*\*</sup>, przypomniał mi nos księdza; z tą chwilą niepodobna było mi nawet patrzeć na nią; udawałem w powozie, że śpię. Nawet wsadziwszy ją na okręt i ulokowawszy ją, z grzeczności, za 8 zamiast 25 talarów, wahałem się iść obejrzeć nowy lazaret, aby nie musieć jej zobaczyć i przyjmować jej podziękowań.

Ponieważ nie ma żadnej osłody, samo tylko brzydkie i nudne we wspomnieniach o księdzu Raillane, co najmniej od dwudziestu lat odwracam ze wstrętem oczy od tej straszliwej epoki. Ten człowiek powinien był zrobić ze mnie łajdaka; był to, widzę teraz, skończony jezuita. Brał mnie na stronę w czasie naszych spacerów nad Izerą, od bramy Graille aż do ujścia Drac, lub po prostu do gaiku za wyspą, aby mnie ostrzegać, że jestem nieostrożny w słowach.

— Ależ, proszę księdza — mówiłem innymi słowami — to jest prawda, ja tak czuję.

— To nic, moje dziecko, nie trzeba tego mówić, nie wypada.

Gdybym był nasiąkł tymi zasadami, byłbym dziś bogaty, bo kilka razy fortuna zapukała do moich drzwi. (Odrzuciłem w maju 1814 r. generalną dyrekturę zbożową w Paryżu pod rozkazami hrabiego Beugnot, którego żona miała dla mnie najżywszą sympatię; po jej kochanku, panu Pépin de Belle-Isle, moim serdecznym przyjacielu, byłem może jej najbliższy ze wszystkich). Byłbym tedy bogaty, ale byłbym łajdakiem, nie miałbym uroczych wizji *piękna*, które często napelniają moją głowę w wieku *fifty two*<sup>27</sup>.

Czytelnik sądzi może, że ja silę się oddalić ten nieszczęsny puchar goryczy, mianowicie konieczność mówienia o księdzu Raillane.

Miał brata krawca na końcu ulicy Wielkiej, w pobliżu placu Claveyson, który był uosobieniem plugastwa. Jednej ohydy brak temu jezuitcie: nie był brudny, przeciwnie, bardzo dbały o siebie i czysty. Miał pasję do kanarków; chował je i utrzymywał bardzo schludnie, ale tuż przy moim łóżku. Nie rozumiem, jak ojciec mógł cierpieć rzecz tak niezdrową.

Dziadek mój nie przestąpił progu jego domu od śmierci córki, nie byłby tego zniósł; ojciec mój, Cherubin Beyle, kochał mnie, jak rzekłem, jako dziedzica nazwiska, ale zgoła nie jako syna.

Klatka z kanarkami, z drutów przymocowanych do drewnianych prętów, które znów były umocowane w murze, mogła być dziewięć stóp długa, sześć wysoka i cztery głęboka. W tej przestrzeni latało smutno, z dala od słońca, ze trzydzieści biednych kanarków wszelkiego koloru. Kiedy się niosły, ksiądz żywił je żółtkiem jajka; ze wszystkiego, co robił, to jedno mnie interesowało. Ale te piekielne ptaki budziły mnie o świcie; wnet potem słyszałem łopatkę księdza, który poprawiał ogień ze starannością właściwą — jak poznałem później — jezuitom. Ale ptaszkarńia ta wydawała silny odór, o dwie stopy od

<sup>27</sup>*fifty two* (ang.) — pięćdziesięciu dwu [lat]. [przypis redakcyjny]

mego łóżka, w wilgotnym, ciemnym pokoju, gdzie nie było nigdy słońca! Nie mieliśmy okna od strony ogrodu pana Lamouroux, a tylko *jour de souffrance*<sup>28</sup> (w miastach będących siedzibą Parlamentu roi się od wyrażen prawniczych), okienko dające światło klatce schodowej L<sup>29</sup>, która chociaż znajdowała się na wysokości co najmniej czterdziestu stóp nad ziemią, zacieniona była przez piękną lipę, widocznie bardzo wysoką.

Ksiądz wpadał w gniew — spokojny, ponury i zły gniew flegmatycznego dyplomaty — kiedy jadłem suchy chleb w pobliżu jego pomarańcz. Te pomarańcze to była jego prawdziwa mania, o wiele dokuczliwsza niż mania ptaków. Jedne miały trzy cale, inne stopę wysokości; stały na oknie O<sup>30</sup>, do którego słońce dochodziło trochę przez dwa letnie miesiące. Przeklęty ksiądz twierdził, że okruchy spadające z naszego razowego chleba ściągają muchy, które objadają jego pomarańcze. Ten ksiądz mógłby dać lekcje małostkowości najbardziej mieszczańskim mieszcuchom.

Moi koledzy, Chazel i Reytiers (Teyssier), byli o wiele szczęśliwsi ode mnie. Chazel był to dobry chłopak, już duży, którego ojciec, południowiec, o ile mi się zdaje, to znaczy człowiek szczery, nagły i pospolity, agent panów Perier, niewiele dbał o łacinę. Przychodził *sam* (bez służącego) około dziesiątej, robił źle swoje *pensum* łacińskie i zmykał wpół do pierwszej. Po południu często nie przychodził wcale.

Reytiers, bardzo ładny chłopak, jasnowłosy i nieśmiały jak panienka, nie śmiał spojrzeć w twarz straszliwemu księdzu. Był to jedyny syn ojca najtrwoźliwszego i najbardziej religijnego z ludzi. Przybywał o ósmej pod surową pieczę służącego, który przychodził po niego, kiedy południe biło na Św. Andrzeju (modny kościół, którego dzwony było doskonale słycać). O drugiej służący przyprowadzał znów Reytiersa z podwieczorkiem w koszyku. W lecie koło piątej ksiądz Raillane prowadził nas na spacer; w zimie rzadko, około trzeciej. Chazel, który był *duży*, nudził się na tych spacerach i wymykał się nam szybko.

Mieliśmy tę pasję, aby chodzić w stronę wyspy na Izerze; przede wszystkim góra widziana stamtąd wyglądała wspaniale, a jedną z wad „literackich” mego ojca i księdza Raillane było to, że przesadzali bez ustanku pięknosci natury (które te piękne dusze musiały odczuwać bardzo słabo: myśleli tylko o zysku i o pieniądzech). Ksiądz Raillane póty nam mówił o piękności skały Buisserate, aż nas skłonił do podniesienia głowy. Ale inny zgoła przedmiot kazał nam polubić brzeg naprzeciw wyspy. Tam widzieliśmy, my, biedni więźniowie, młodych ludzi, którzy *zażywali swobody*, którzy chodzili sobie *sami* i kąpali się potem w Izerze oraz jej dopływie nazwanym Biole. Nadmiar szczęścia, którego możliwości nie widzieliśmy nawet w najdalszej przyszłości.

Ksiądz Raillane, niby najbardziej ministerialny dziennik naszej epoki, umiał mówić jedynie o niebezpieczeństwach wolności. Ilekroć zobaczył chłopca, który się kąpał, nigdy nie omieszkiał nam przepowiadać, że wreszcie utonie. Oddał nam tę przysługę, że zrobił z nas tchórzów; co się mnie tyczy, doskonale mu się to udało. Nigdy nie nauczyłem się pływać. Kiedy byłem wolny w dwa lata potem, około 1795 (zdaje mi się), i to jeszcze oszukując rodzinę i wymyślając co dzień nowe kłamstwo, myślałem już o tym, aby za wszelką cenę opuścić Grenoblę, kochałem się w pannie Kubly, pływanie nie było już dla mnie rzeczą na tyle interesującą, aby się go uczyć. Za każdym razem, kiedy znalazłem się w wodzie, Roland (Alfons) albo jakiś inny osiłek zmuszał mnie do napicia się wody.

Nie mam dat z czasu okropnej tyranii księdza Raillane; zrobiłem się ponury i zniechęciłem cały świat. Moim wielkim nieszczęściem było to, że nie mogłem się bawić z innymi dziećmi; ojciec, zapewne bardzo dumny, że ma dla syna preceptora, niczego bardziej się nie bał jak tego, że mógłbym się „zadawać z prostymi chłopakami” — takie było wyrażenie ówczesnych arystokratów. Jedna jedyna rzecz mogłaby mi dostarczyć jakiejś daty: panna Marina Perier (siostra ministra Kazimierza Perier) zaszła odwiedzić

<sup>28</sup>*jour de souffrance* — małe zakratowane okno wychodzące na posiadłość sąsiada. [przypis redakcyjny]

<sup>29</sup>(...) *klatce schodowej L* — tekst w tym miejscu odnosi się do zamieszczonego w źródłowym wydaniu szkicu przedstawiającego plan mieszkania. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>(...) *na oknie O* — tekst w tym miejscu odnosi się do zamieszczonego w źródłowym wydaniu szkicu przedstawiającego plan mieszkania. [przypis edytorski]

księdza Raillane, który był może jej spowiednikiem, na krótko przed swoim małżeństwem z tym postrzelonym Kamilem Teisseire. Był to zaciekle patriota, który później spalił swego Woltera i Russa; on to w roku 1811, będąc podprefektem z łaski pana Crétet, swego kuzyna, był tak zdumiony względami, jakimi w jego oczach darzono mnie w salonie hrabiny Daru (parter wychodzący na ogród pałacu Bironów, zdaje mi się, objętego listą cywilną, ostatni dom po lewej stronie ulicy Św. Dominika, na rogu bulwaru Inwalidów). Widzę jeszcze jego zawistną minę i niezręczne uprzejmości, na jakie silił się wobec mnie. Kamil Teisseire wzbogacił się lub raczej jego ojciec wzbogacił się, wyrabiając ratafię wiśniową, czego się bardzo wstydził.

Gdybym poszukał w aktach stanu cywilnego Grenoble (którą Ludwik XVIII nazywał Grelibre<sup>31</sup>) metryki ślubu Kamila Teisseire (ulica des Vieux-Jésuites albo plac Grenette, bo jego duży dom miał dwa wejścia) z panną Mariną Perier, miałbym datę tyranii księdza Raillane.

Byłem ponury, nieufny, niezadowolony; tłumaczyłem Wergilego; ksiądz przesadzał piękności tego poety, a ja słuchałem jego pochwał tak, jak biedni Polacy muszą dziś przyjmować pochwały dobroduszości rosyjskiej w swoich zaprzędanych gazetach. Nienawidziłem księdza, nienawidziłem mego ojca, źródło jego władzy, nienawidziłem więcej jeszcze religii, w imię której mnie tyranizowali. Dowodziłem memu towarzyszewi łańcucha, trwożliwemu Reytiers, że wszystkie rzeczy, których nas uczą, to bajki. Skąd wziąłem te pojęcia? Nie wiem. Mieliśmy wielką Biblię z rycinami, w zielonej oprawie, z drzeworytami w tekście; nie ma nic lepszego dla dzieci. Przypominam sobie, że wciąż szukałem śmieszności w tej biednej Biblii. Reytiers, bardziej nieśmiały, bardziej wierzący, ukochany przez ojca i przez matkę, która się różowała na cal grubo i która była niegdyś bardzo piękna, podzielał moje wątpliwości przez grzeczność.

Tłumaczyliśmy tedy Wergilego z wielkim mozolem, kiedy odkryłem w bibliotece ojca przekład Wergilego w czterech tomach *in 8°*, bardzo pięknie oprawnych; przekład był tego *draba* księdza Desfontaines, o ile mi się zdaje. Znalazłem tom odpowiadający *Georgikom* i drugiej księdze, nad którąśmy się mordowali (w istocie nie umieliśmy wcale łaciny). Ukryłem tę błogosławioną książkę w ustępie, w szafie, gdzie składało się pióra kapłonów spożytych w domu; i tam, w czasie naszego uciążliwego tłumaczenia, zachodził się radzić wersji Desfontaines'a. Zdaje się, że dzięki naiwności Reytiersa ksiądz się spostrzegł, była to straszliwa scena. Robiłem się coraz bardziej ponury, zły, nieszczęśliwy. Nienawidziłem cały świat, a ciotkę Serafię ponad wszystko.

W rok po śmierci matki, około 1791 czy 1792, zdaje mi się dzisiaj, że ojciec zachował się w niej: stąd nieskończone spacerunki do Granges, dokąd mnie brano na trzeciego, bacząc, abym szedł czterdzieści kroków naprzód, z chwilą gdyśmy minęli bramę Bonne. Ciotka Serafia zniecierpiała mnie, nie wiem czemu, i wciąż starała się, aby mnie ojciec polajał. Nienawidziłem ich i musiało to być znać, skoro nawet dziś, gdy mam niechęć do kogo, obecni widzą to natychmiast. Nie cierpiałem mojej młodszej siostry Zenajdy (dziś pani Aleksandrowa Mallein), ponieważ była ulubienicą ojca, który co wieczór usypiał ją na kolanach, oraz wysoce protegowaną przez pannę Serafię. Okrywałem mury domu karykaturami Zenajdy-skarżypyty. Siostra moja Paulina (dziś wdowa po panu Périer-Lagrange) i ja oskarżaliśmy Zenajdę, że pełni wobec nas funkcje szpiega, i sądzę, że było w tym coś prawdy. Jadałem zawsze u dziadka, ale kończyliśmy obiad w chwili, gdy kwadrans na drugą bił na Św. Andrzeju, a o drugiej trzeba było opuścić piękne słońce placu Grenette, aby wracać do wilgotnych i zimnych pokojów, które ksiądz Raillane zajmował w dziedzińcu ojcowskiego domu przy ulicy des Vieux-Jésuites. Nie było przykrzejszej rzeczy dla mnie; ponieważ byłem ponury i skryty, robiłem projekty ucieczki, ale skąd wziąć pieniądze?

Jednego dnia dziadek rzekł do księdza Raillane:

— Ależ, księżo, po co wykładać temu chłopcu system niebieski Ptolemeusza, o którym ksiądz wie, że jest fałszywy?

— Ale tłumaczy wszystko, zresztą uznany jest przez Kościół.

<sup>31</sup> Grenoble którą Ludwik XVIII nazywał Grelibre — Dowcip oparty na grze słów; *gre noble* znaczy: szlachetna wola, *gre libre*: wolna wola. [przypis redakcyjny]

Dziadek nie mógł strawić tej odpowiedzi i często ją powtarzał, ale ze śmiechem; nie oburzał się nigdy na to, co zależało od innych, otóż wychowanie moje zależało od ojca, a im mniej dziadek miał szacunku dla jego wiedzy, tym bardziej szanował jego prawa ojcowskie.

Ale ta odpowiedź księdza, często cytowana przez dziadka, którego ubóstwiałem, do reszty zrobiła ze mnie zawziętego niedowiarka, w dodatku istotę najbardziej ponurą. Dziadek mój umiał astronomię, mimo że nie miał pojęcia o matematyce; spędzaliśmy letnie wieczory na wspaniałej terasie jego apartamentu; tam mi pokazywał Wielką i Małą Niedźwiedzicę, mówił mi poetycznie o pasterzach Chaldei i o Abrahamie. W ten sposób nabrałem szacunku dla Abrahama i mówiłem do Reytiersa: „To nie jest taki łajdak jak inne figury z Biblii”.

Dziadek miał na własność albo pożyczony z biblioteki publicznej, której był założycielem, egzemplarz in 4° *Podróży do Nubii i Abisynii* Bruce’a. Podróż ta była z rycinami, stąd jej olbrzymi wpływ na moje wychowanie.

Nienawidziłem wszystkiego, czego mnie uczył ojciec albo ksiądz Raillane. Otóż ojciec kazał mi recytować na pamięć geografę Lacroix, a ksiądz czynił to w dalszym ciągu; umiałem ją dobrze z musu, ale nienawidziłem jej.

Bruce, potomek królów szkockich, jak mi powiadał kochany dziadek, wszczepił mi żywe upodobanie do wszystkich nauk, o których mówił. Stąd moja namiętność do matematyki i wreszcie ta myśl, śmiem powiedzieć, *genialna: matematyka może mnie wydobyć z Grenoble*.

## ROZDZIAŁ IX

Mimo całego swego delfinackiego sprytu ojciec mój, Cherubin Beyle, nie był wolny od namiętności. Po namiętności do kaznodziejów Masillona i Bourdaloue przyszła namiętność ogrodnictwa, którą w dalszym ciągu wyrugowała namiętność kielni (albo budownictwa), którą, zdaje się, miał zawsze; wreszcie polityka reakcyjna i namiętność gospodarzenia Grenoble na korzyść Burbonów. Ojciec myślał dzień i noc o tym, co było celem jego namiętności; miał wiele sprytu, wielkie znawstwo chytrności innych Delfinatczyków, z czego wyciągnąłbym dość chętnie wnioski, że był człowiekiem zdolnym. Ale tak samo nie mam już o tym pojęcia jak o jego fizjonomii.

Ojciec zaczął jeździć dwa razy w tygodniu do Claix; jest to folwarczek, zdaje mi się, stu pięćdziesięciomorgowy, położony na południe od miasta, na zboczu góry, poza Drac. Grunt w Claix i w Furonieres jest suchy, wapienny, pełen kamieni. Pewien frant, ksiądz, wpadł około 1750 na pomysł, aby uprawić moczar na zachód od mostu w Claix; ten moczar stał się fortuną okolicy.

Dom ojca był o dwie mile od Grenoble; zrobiłem tę drogę pieszo może tysiąc razy. Z pewnością temu ćwiczeniu ojciec zawdzięczał owo doskonałe zdrowie, dzięki któremu dożył siedemdziesięciu dwóch lat, o ile mi się zdaje. W Grenoble człowieka o tyle tylko szanują, o ile ma ziemię. Lefevre, perukarz mego ojca, miał folwarczek w Corenc i często robił zawód klientom, „bo udał się do Corenc” — wymówka zawsze skuteczna. Czasem dla skrócenia drogi chodziliśmy w kierunku Seyssins, przepływając przez Drac promem w punkcie A<sup>32</sup>.

Ojciec był tak przejęty swą nową pasją, że mówił mi o niej bez ustanku. Sprowadził z Paryża czy Lyonu bibliotekę rolniczą czy gospodarską, w której były ryciny; przeglądałem często tę książkę, czemu zawdzięczałem, że często chodziłem do Claix (to znaczy do naszego domu w Furonieres) we czwartki, dni wakacyjne. Przechadzałem się z ojcem po polach i słuchałem z niechęcią wykładu jego planów. Bądź co bądź przyjemność, że ma jakiegoś słuchacza owych romansów, które nazywał kalkulacją, sprawiała, że nieraz wracałem do miasta aż w piątek; czasami wyjeżdżaliśmy we środę wieczór.

Nie lubiłem Claix, bo wciąż nekano mnie tam projektami rolniczymi, ale niebawem odkryłem tam wielką pociechę. Udało mi się ściągać tomy Woltera z czterdziestotomo-

<sup>32</sup>przepływając przez Drac promem w punkcie A — tekst nawiązuje w tym miejscu do szkicu okolicy umieszczonego w źródle. [przypis edytorski]

wego oprawnego wydania, które ojciec miał u siebie w Claix; były doskonale oprawne w cielejącą skórę, deseniem imitującą marmur. Było tam, zdaje mi się, czterdzieści tomów, bardzo ściśniętych; wyciągałem dwa i rozsuwałem nieco inne, nie było znac. Zresztą ta niebezpieczna książka stała na najwyższej półce szafy z wiśniowego drzewa, oszklonej, często zamykanej na klucz.

Dzięki Bogu, nawet w tym wieku ryciny wydały mi się śmieszne, i co za ryciny: do *Darczanki*<sup>33</sup>!

Ten cud budził we mnie niemal wiarę, że Bóg powołał mnie do dobrego smaku i do napisania kiedyś *Historii malarstwa we Włoszech*.

Spędzaliśmy w Claix zawsze ferie, to znaczy wrzesień i sierpień. Moi nauczyciele skarżyli się, że zapominam całej łaciny w tej dobie przyjemności. Nic nie było bardziej wstrętne, niż kiedy ojciec nazywał nasze wyprawy do Claix „naszymi przyjemnościami”. Byłem jak galernik, którego by zmuszono, aby nazywał swoją przyjemnością system łańcuchów nieco mniej ciężki od innych.

Byłem uprzedzony i, jak sądzę, bardzo zły i niesprawiedliwy dla ojca i dla księdza Raillane. Wyznaję, ale z wielkim wysiłkiem rozumu, nawet w roku 1835, że niepodobna mi sądzić tych dwóch ludzi. Zatruli moje dzieciństwo w całym znaczeniu słowa „zatruc”. Mieli twarze surowe i stale bronili mi zamienić słowo z chłopcem w moim wieku. Dopiero w epoce Szkół Centralnych (wspaniałe dzieło pana de Tracy) dostałem się w towarzystwo dzieci w moim wieku, ale nie z dziecięcą wesołością i beztroską. Przybyłem tam nieufny, zły, dyszący żądzą zemsty za najmniejszego kuksańca, który był dla mnie tym co policzek między mężczyznami, słowem, z wszelkimi przywarami z wyjątkiem zdrady.

Najgorszą stroną tyranii księdza Raillane było to, że ja czułem swoje niedole. Widziałem bez ustanku na Grenette dzieci w moim wieku chodzące i biegające *społem, rzecz*, której mi nie dozwolono ani razu. Kiedy okazywałem zgryzotę, która mnie żarła, odpowiadano mi: „Pojedziesz powozem” i pani Périer-Lagrange, matka mego szwagra, skwaszona dama, brała mnie do swego powozu, kiedy odbywała przejażdżkę dla zdrowia. Łajała mnie przynajmniej tyle co ksiądz Raillane; była to zasuszona dewotka i miała jak ksiądz ową niezmienną fizjonomię, która nie śmieje się nigdy. Co za ekwiwalent przechadzki z małymi urwisami w moim wieku! Kto by uwierzył, ja nigdy nie grałem w kręgielki, a baka dostałem jedynie dzięki interwencji dziadka, któremu córka jego, Serafia, zrobiła o to *scenę*.

Byłem tedy bardzo nieufny, bardzo zły; kiedy w pięknej bibliotece w Claix odkryłem *Don Kiszota* po francusku. Książka była z rycinami, ale wyglądała staro, ja zaś nienawidziłem wszystkiego, co było stare, ponieważ moi krewni nie pozwalali mi widywać młodych, a sami wydawali mi się strasznie starzy. Ale w końcu zdołałem zrozumieć ryciny, które wydały mi się zabawne: Sanczo Pansę na jego osłe podpierają czterema tyczkami, gdy Gines de Passamont zabiera mu osła.

Pękałem przy *Don Kiszocie* ze śmiechu. Raczcie się zastanowić, że od śmierci mojej biednej matki ja się nie śmiałem; byłem ofiarą najbardziej konsekwentnego arystokratycznego i religijnego wychowania. Moi tyranie nie odstąpili nigdy na krok od tego planu. Odrzucano wszelkie zaproszenia. Chwytałem czasem urywek rozmów, w których dziadek był zdania, aby mi pozwolono gdzieś bywać. Ciotka Serafia sprzeciwiała się, wyrażając się o mnie w sposób obelżywy; ojciec, który jej ulegał, dawał dziadkowi jezuickie odpowiedzi, które nie zobowiązywały do niczego. Ciotka Elżbieta wzruszała ramionami. Kiedy jakiś projekt przechadzki wyszedł zwycięsko z takiej dyskusji, ojciec odwoływał się do księdza Raillane z przyczyny zadania, którego nie odrobiłem wczoraj i które trzeba było zrobić właśnie w porze przechadzki.

Osądźcie wrażenie *Don Kiszota* wśród tak okropnego smutku! Odkrycie tej książki, czytanej pod lipą w alei, gdzie siadywałem, jest może największą epoką w moim życiu.

<sup>33</sup>*Darczanka* — *La Pucelle d'Orleans*, żartobliwy poemat Woltera o Dziewicy Orleańskiej. Pod tytułem *Darczanka* przełożył część tego poematu Mickiewicz. [przypis tłumacza]

Kto by uwierzył? Ojciec widząc, że parskam śmiechem, łajał mnie, groził, że mi odbierze tę książkę (co uczynił też kilka razy), brał mnie w pole, aby mi wyklądać swoje plany melioracji.

Nękania nawet przy lekturze *Don Kiszota*, kryłem się w krzaki, do altanki na samym końcu sadu okolonego murem.

Znalazłem Moliera z rycinami; ryciny wydały mi się śmieszne zrozumiałem tylko *Skąpca*. Znalazłem komedię *Destouches'a*; jedna z najpociesznějších rozczuliła mnie do łez. Była tam historia miłosna w stylu szlacheckim, to była moja słaba strona. Na próżno szukam w pamięci tytułu owej komedii, nieznaną nawet między nieznanymi komediami tego płaskiego dyplomaty. *Nocny dobosz*, pomysł skopiowany z angielskiego, zabawił mnie mocno.

Widzę jako fakt utrwalony w mojej głowie, że począwszy od siódmego roku postanowiłem pisać komedie jak Molier. Nie ma jeszcze dziesięciu lat, kiedy sobie przypominałem okoliczności tego postanowienia.

Dziadek zachwycony był moim entuzjazmem do *Don Kiszota*, którego mu opowiadałem, bo jemu mówiłem prawie wszystko; ten przeznaczone sześćdziesięcioletni człowiek był w istocie jedynym moim kolegą.

Pożyczył mi, ale bez wiedzy córki, *Orlanda szalonego*, przełożonego lub raczej, sądzę, naśladowanego z Ariosta przez pana de Tressan (którego syn, dziś marszałek polny, a w roku 1820 wstecznik dość płaski, ale w roku 1788 uroczy młody człowiek, tyle przyczynił się do moich postępów w czytaniu, przyrzekając mi książeczkę pełną obrazków, której mi nigdy nie dał: niesłowność, która mnie bardzo zgorszyła).

Ariost urobił mój charakter, zakochałem się do szaleństwa w Bradamancie, którą wyobrażałem sobie jako tęgą dwudziestoczteroletnią dziewczuszkę o wdziękach olśniewającej białości.

Nienawidziłem wszystkich mieszczańskich i trywialnych szczegółów, za pomocą których Molier wyrażał swoją myśl. Te szczegóły zbyt mi przypominały moje nieszczęśliwe życie. Nie ma trzech dni (grudzień 1835), jak dwa znajome mi mieszczechy toczyły między sobą komiczną scenę na wpół udanej kłótni: oddaliłem się o dziesięć kroków, aby ich nie słyszeć. Wstręt mam do tych rzeczy, co mi nie pozwoliło nigdy nabrać doświadczenia. A to nie jest mały brak!

Wszystko, co jest pospolite i płaskie w typie mieszczańskim, przypomina mi Grenoble; wszystko, co mi przypomina Grenoble, budzi we mnie wstręt; nie *wstręt* to zbyt słabe słowo *mdłości*.

Grenobla jest dla mnie niby wspomnienie okropnej niestrawności; nie ma niebezpieczeństwa, ale potworny wstręt. Wszystko, co jest pospolite i płaskie bez kompensaty, wszystko, co jest wrogiem każdego szlacheckiego odruchu, wszystko, co się cieszy z nieszczęścia ludzi kochających ojczyznę lub szlacheckich, oto dla mnie Grenoble.

Nic mnie tak nie dziwiło w moich podróżach, jak kiedy słyszałem z ust znajomych oficerów, że Grenoble to jest miasto urocze, pełne dowcipu i gdzie „ładnych kobiet się nie zapomina”. Pierwszy raz usłyszałem to powiedzenie przy stole u generała Moncey (dziś marszałka, księcia de Conegliano) w roku 1802, w Mediolanie lub w Cremonie; byłem tak zdziwiony, że poprosiłem o wyjaśnienie z drugiego końca stołu; wówczas jako *bogaty* podporucznik (150 franków na miesiąc) nie wątpiłem o niczym. Mój wstręt do nieustannych mdłości i niestrawności, którym dopiero co uciekłem, był u szczytu. Oficer sztabu generalnego potwierdził swą opinię; spędził pięć czy sześć kwartałów w Grenoble, twierdził, że to jest najprzyjemniejsze z miast prowincjonalnych, cytował mi panie: Allemand-Dulauron, Piat-Desvials, Tournus, Duchamps, de Montmaur, panny Rivière (córki oberżysty z ulicy Montorge), panny Bailly, modystki, przyjaciółki mego wuja, panów Drevon, Drevona starszego i Drevona la Pareille, pana Dolle z Porte-de-France, zaś z socjety arystokratycznej (termin z roku 1800, zastąpiony później przez „ultra”, potem przez „legitymista”) kawalera de Marcieu, pana de Bailly.

Niestety, zaledwie znałem ze słyszenia te miłe nazwiska! Rodzina moja wspominała je jedynie po to, aby ubolewać nad ich szaleństwem; potępiała bowiem wszystko, składała się z samych wątrobiarzy, trzeba to wciąż powtarzać, aby wytłumaczyć logicznie moje nieszczęście. Po śmierci mojej matki rodzina moja, zrozpaczona, zerwała wszystkie stosunki ze światem; matka moja była duszą i weselem rodziny; ojciec, ponury, nieśmiały,



obraźliwy, niesympatyczny, miał charakter genewski (tam ciągle rachują, a nie śmieją się nigdy) i utrzymywał, o ile mi się zdaje, stosunki jedynie dla mojej matki. Dziadek, człowiek miły, światowy, poszukiwany dla wdzięku rozmowy przez wszystkich, od rękodzielnika do wielkiego pana, od pani Barthélemy, szewcowej, inteligentnej kobiety, aż do barona des Adrets, do którego nadal chodził na obiad raz na miesiąc, dziadek, ugodzony w samo serce śmiercią jedynej istoty, którą kochał, czując się bliski sześćdziesiątki, zerwał ze światem przez wstręt do życia. Tylko moja ciotka Elżbieta, niezależna, a nawet bogata (jak na Grenoble w roku 1789), zachowała parę domów, gdzie chodziła na partyjkę wieczorem (przed wieczerzą, od siódmej do dziewiątej). Zdarzało się to dwa albo trzy razy na tydzień. Niekiedy, mimo iż przejęta szacunkiem dla praw ojcowskich, przez litość dla mnie, kiedy ojciec był w Claix, oznajmiała, że jestem jej potrzebny, i zabierała mnie jako swego rycerza do panny Simon, która mieszkała w nowym domu jakobinów i różowała się na cal grubo. Zaczyna ciotka wzięła mnie raz nawet na wielką kolację, jaką wydała panna Simon. Przypominam sobie jeszcze blask światła i wspaniałość zastawy; był tam na środku stołu serwis z posążkami ze srebra. Nazajutrz ciotka Serafia zadenuncjowała mnie przed ojcem, przyszło do wielkiej sceny. Te starcia, bardzo uprzejme co do formy, ale pełne owych zatrutych słówek, których nie zapomina się nigdy, stanowiły jedyną rozrywkę tej smutnej rodziny, w której pomieścił mnie mój zły los. Jakże zazdrościłem siostrzeńcowi pani Barthélemy, naszej szewcowej!

Cierpiałem, ale nie widziałem przyczyn tego wszystkiego; przypisywałem wszystko niegodziwości ojca i ciotki Serafii. Aby być sprawiedliwym, trzeba by zrozumieć mieszczan odętych pychą, którzy chcą dać „swemu jedynakowi”, jak mnie nazywali, arystokratyczne wychowanie. Te pojęcia były o wiele ponad mój wiek; zresztą kto by mi ich udzielił? Jedynymi mymi przyjaciółmi byli: kucharka Marion oraz Lambert, lokaj dziadka. Słyszając, jak się z nimi śmieję w kuchni, Serafia wciąż mnie odwoływała. W tej rodzinie ludzi wiecznie w złych humorach byłem ich jedynym zatrudnieniem; stroili te dokuczliwości mianem wychowania i prawdopodobnie byli w tym szczerzy.

Stykając się wciąż ze mną, dziadek udzielił mi swego kultu dla literatury, Horacy i Hipokrates byli w moich oczach czymś grubo innym niż Romulus, Aleksander i Numa. Wolter był czymś innym niż ten dudek Ludwik XVI, z którego sobie drwił, albo ten rozpustnik Ludwik XV, którego brudne nałogi potępiał; mówił ze wstrętem o „Du Barry”, a brak słowa „pani”, na tle panującej w naszym domu dworności, uderzył mnie wielce: brzydziłem się tymi istotami. Mówiło się zawsze: *pan de Voltaire*; dziadek wymieniał zawsze to nazwisko z uśmiechem pełnym szacunku i przywiązania.

Niebawem przyszła polityka. Rodzina moja należała do najbardziej arystokratycznych w mieście, co sprawiło, że natychmiast uczułem się wściekłym republikaninem. Widziałem piękne pułki dragonów ciągnące do Włoch, zawsze ktoś stał kwaterą w domu, pożerałem je oczyma; otóż moja rodzina nienawidziła ich. Niebawem księża zaczęli się kryć; zawsze mieliśmy w domu jednego albo dwóch schowanych. Obżarstwo jednego z pierwszych, którzy przybyli, grubasa z wylażącymi na wierzch oczami, kiedy się napychał salcesonem, przejęło mnie wstrętem. (Mieliśmy wyborny salceson, po który chodziłem do piwnicy ze służącym Lambertem; przechowywało się go w kamieniu wydrążonym na kształt niecki). Jadło się u nas szczególnie czysto i starannie. Pilnowano mnie na przykład, aby nigdy nie jeść głośno. Większość tych księży, ludzi z gminu, mlaskała językiem o podniebienie, łamała niechlujnie chleb; to wystarczyło aż nadto, aby ci ludzie, siedzący po mojej lewej ręce, budzili we mnie wstręt. Zgilotynowano któregoś z naszych krewniaków w Lyonie (pana Santerre); posępny nastrój rodziny, nienawiść jej i niezadowolenie ze wszystkiego zdwoiło się.

Niegdyś, kiedy słyszałem o naiwnych uciechach dzieciństwa, o psotach tego wieku, o szczęściu pierwszej młodości, jedynym prawdziwym w życiu, serce mi się ściskało. Nie znałem tego wszystkiego; co więcej, wiek ów był dla mnie nieustanną epoką nieszczęścia, nienawiści i żądzy zemsty, zawsze bezsilnej. Całe moje nieszczęście da się streścić w dwóch słowach: nigdy nie pozwolono mi rozmawiać z chłopcem w moim wieku. A rodzina moja, nudząc się bardzo wskutek swego odcięcia od świata, zaszczyciła mnie ciągłą uwagą. Dla tych dwóch przyczyn w tej epoce mego życia, tak wesołej dla innych dzieci, byłem zły, ponury, nedorzeczny, słowem, *niewolnik* w najgorszym znaczeniu tego słowa; niebawem też nasiąknęłam uczuciami niewolnika. Odrobina szczęścia, jaką mogłem zdobyć,

Dzieciństwo, Niewola,  
Historia

była chroniona kłamstwem. Z innej strony byłem ściśle w położeniu ludów dzisiejszej Europy: moi tyrani sęczyli mi wciąż słodkie słówka najtkliwszej pieczołowitości, a najsilniejszą ich sojuszniką była religia. Musiałem słuchać nieustannych kazań o miłości ojcowskiej i obowiązkach dzieci. Jednego dnia znudzony gadaniami ojca rzekłem:

— Jeżeli mnie tak kochasz, daj mi pięć groszy dziennie i pozwól mi żyć tak, jak mnie się spodoba. Zresztą możesz być pewny jednej rzeczy, to że gdy dorosnę, zaciągnę się do wojska.

Ojciec podszedł do mnie jak gdyby chcąc mnie zmiażdżyć, był wściekły.

— Jesteś niegodziwy bezbożnik — rzekł.

Czyż nie istny cesarz Mikołaj i Warszawa<sup>34</sup>, o której tyle się mówi w chwili, gdy to piszę (7 grudnia 1835, w Civitavecchia)? Faktem jest, że wszystkie tyranie podobne są do siebie.

Szczególnym przypadkiem zdaje mi się, że ja nie zrobiłem się zły, jedynie zmiażdżony na całe życie mieszczaństwem, jezuitami i obłudnikami wszelkiego rodzaju. Wyleczyły mnie może z mojej złości sukcesy moje z lat 1797, 98, 99 oraz poczucie własnych sił. Poza moimi pięknymi zaletami cechowała mnie nieznośna duma.

Prawdę rzekłszy, kiedy się dobrze zastanowię, nie wyleczyłem się z mojego niezbyt rozsądnego wstępu do Grenobli; raczej po prostu *zapomniałem* o niej. Wspaniale wspomnienia Włoch, Mediolanu zatarły wszystko.

Została mi jedynie znamienita luka w mojej znajomości ludzi i rzeczy. Wszystkie szczegóły, które stanowią życie Chryzala w *Szkole żon*<sup>35</sup>:

Prócz grubego Plutarcha, w którym me rabaty  
Prasuję...

przejmują mnie wstrętem... Jeżeli wolno mi użyć obrazu *równie wstrętnego jak moje urażenie*, jest to niby zapach ostryg dla człowieka, który przeszedł straszliwą niestrawność po ostrygach.

Wszystkie fakty, które tworzą życie Chryzala, zastąpiła u mnie romantyczność. Sądzę, że ta plama na moim teleskopie była użyteczna dla bohaterów moich romansów: jest rodzaj mieszczańskiej płaskości, do której nie są zdolni; dla autora to byłoby tyle co mówić *po chińsku*, czego nie umie. To słowo „mieszczańska płaskość” wyraża jedynie odcień; to będzie może bardzo niezrozumiałe w roku 1880. Dzięki gazetom typ prowincjonalnego mieszczaucha staje się rzadki; nie ma już prawie *obyczajów kastowych*. Młody fircyk paryski, którego spotykałem w bardzo wesołym towarzystwie, był bardzo dobrze ubrany, niewymuszony i wydawał 8000 czy 10 000 franków. Pewnego dnia spytałem: „Co on robi?” — „To bardzo wzięty adwokat” — odpowiedziano mi.

Przytoczę zatem jako przykład płaskości mieszczańskiej styl mego zanego przyjaciela, pana Fauriel (z Instytutu), w jego wybornym *Życiu Dantego*, drukowanym w 1834 w „Revue de Paris”. Ale, ach! czymże będą te rzeczy w roku 1880? Jakiś utalentowany człowiek umiejący dobrze pisać przywłaszczy sobie głębokie badania zanego Fauriela i prace tego poczciwego, sumiennego tępasa będą zupełnie zapomniane. Był najprzystojniejszym mężczyzną w Paryżu. Pani Condorcet (Zofia Grouchy), wielka koneserka, zagarnęła go sobie; Fauriel był tak głupi, że ją pokochał, ona zaś, umierając około roku 1820, zdaje mi się, zostawiła mu 1200 franków renty jak lokajowi! Był tym głęboko upokorzony. Powiedziałem mu (wówczas kiedy mi dał jakieś dziesięć stronic do mojej *Miłości*, historie arabskie): „Kiedy ma się do czynienia z księżniczką albo z kobietą zbyt bogatą, trzeba ją bić, inaczej miłość gaśnie”. To powiedzenie przejęło go zgrozą; powtórzył je z pewnością pannie Clarke, zbudowanej jak znak zapytania, jak Pope. To sprawiło, że wkrótce potem kazała mnie połączyć jakiemś dudkowi ze swoich przyjaciół (Augustyn Thierry, członek Instytutu), za czym posłałem ją w diabły. Była w tym towarzystwie ładna kobieta, pani Belloc, ale ta romansowała z innym znakiem zapytania, czarnym i haczykowanym, panną de Montgolfier; i doprawdy przyznają rację tym biednym kobietom.

<sup>34</sup>istny cesarz Mikołaj i Warszawa — Aluzja do spotkania Mikołaja I z notablami zaboru rosyjskiego w październiku 1835 r., kiedy to car oznajmił, że po to nakazał budowę Cytadeli, by utrzymać w ryzach Warszawę. [przypis redakcyjny]

<sup>35</sup>życie Chryzala w „Szkole żon” — Lapsus: w *Uczonych białogłowych* (akt II, sc. 7). [przypis redakcyjny]

## ROZDZIAŁ X

### *Pan Durand*

Nie pamiętam absolutnie, w jaki sposób wyzwoliłem się spod tyranii księdza Raillane. Ten lajdak powinien był ze mnie zrobić doskonałego jezuitę, godnego następcę mego ojca, lub też plugawego żołdaka, dziwkarza i knajpiarza. Temperament mój byłby, jak u Fieldinga, absolutnie przesłonił plugastwo. Byłbym tedy jedną lub drugą z owych sympatycznych figur, gdyby nie przekochany dziadek, który bezwiednie udzielił mi swego kultu Horacego, Sofoklesa, Eurypidesa i wykwintnej literatury. Szczęściem, gardził wszystkimi dwornymi pisarzami współczesnymi, nie zatruto mnie tedy Marmontelem, Doratem i innym świństwem. Nie wiem czemu, zaznaczał on na każdym kroku swój szacunek dla księży, którzy w istocie budzili w nim wstręt jak coś niechlujnego. Widząc ich zadomowionych w swoim salonie przez córkę swoją, Serafię, i przez mego ojca, był dla nich bardzo grzeczny, jak dla wszystkich. Aby mówić o czymś, mówił o literaturze, na przykład o pisarzach duchownych, mimo że ich nie lubił. Ale ten człowiek tak grzeczny z największym trudem mógł ukryć głęboki wstręt, jaki budziła w nim ich ciemnota. „Jak to, nie znają nawet księdza Fleury, swego historyka!” Usłyszałem jednego dnia ten wykrzyknik, który pomnożył moje zaufanie do dziadka.

Odkryłem rychło potem, że dziadek spowiadał się nader rzadko. Był raczej bardzo grzeczny wobec religii niż wierzący. Byłby dewotem, gdyby mógł uwierzyć, że odnajdzie w niebie córkę swoją Henrykę (książę de Broglie powiadał: „Mam uczucie, że córka moja jest w Ameryce”), ale był tylko smutny i milczący. Z chwilą gdy ktoś przyszedł, przez grzeczność mówił i opowiadał anegdotki.

Może ksiądz Raillane zmuszony był się kryć, nie chcąc zaprzysiąc cywilnej konstytucji kleru. Jak bądź się rzeczy miały, zniknięcie jego było dla mnie wydarzeniem największej wagi, a nic z tego nie pamiętam.

Oto ułomność mojej pamięci, czego mam wiele przykładów od owych trzech lat, kiedy na terasie San Pietro in Montorio (Janiculum) przyszła mi wspaniała myśl, że dochodzę pięćdziesiątki i że byłby czas myśleć o odjeździe, przedtem zaś sprawić sobie wielką przyjemność popatrzenia chwilę wstecz. Nie pamiętam nic z epok lub momentów, w których czułem zbyt żywo. Jedną z przyczyn, dla których uważam się za odważnego, jest to, że przypominam sobie zupełnie ściśle najdrobniejsze okoliczności pojedynków, jakie miałem. W wojsku, kiedy deszcz padał i kiedy maszerowałem w błocie, odwaga ta była ledwo wystarczająca; ale kiedy nie przemokłem poprzedniej nocy i kiedy koń nie ślizgał się pode mną, najryzykowniejsza śmiałość była dla mnie, dosłownie, prawdziwą przyjemnością. Moi rozsądni koledzy robili się poważni i bladzi albo, przeciwnie, bardzo czerwoni: Mathis stawał się weselszy, a Farine rozsądniejszy. To tak jak obecnie: nie myślę nigdy o możliwości *of wanting of a thousand franc*<sup>36</sup>, co mi się zdaje wszakże dominującą ideą, główną myślą przyjaciół w moim wieku, posiadających dobrobyt, od którego ja jestem daleko (na przykład panowie Besan[çon], Colomb etc.). Ale schodzę na manowce. Wielką trudnością pisania tego pamiętnika jest to, że mam i mogę spisać wiernie jedynie wspomnienia odnoszące się do epoki, którą trzymam niejako za włosy; na przykład chodzi teraz o czasy, oczywiście mniej nieszczęśliwe, które spędziłem pod panem Durand.

Był to człowiek może czterdziestopięcioletni, gruby i okrągły we wszelkim rozumieniu. Miał dużego, osiemnastoletniego syna, bardzo miłego, którego podziwiałem z daleka i który później, zdaje mi się, kochał się w mojej siostrze. Ten pan Durand nie miał w sobie nic z jezuitę; co więcej, był grzeczny, ubrany możliwie najskromniej, ale zawsze schludnie. Po prawdzie nie umiał ani słowa po łacinie, ale ja nie umiałem także: nie była to rzecz, o którą moglibyśmy się poróżnić.

Umiałem na pamięć *Selectae e profanis*, a zwłaszcza historię o Androklesie i jego lwie; umiałem też Stary Testament, może trochę z Wergilego i Korneliusza Neposa. Ale gdyby mi przesłano wypisany po łacinie urlop tygodniowy, nie zrozumiałbym nic. Nieszczęsna łacina pisana przez współczesnych (*De Viris illustribus*, mówiące o Romulusie, którego bardzo wielbiłem) była dla mnie niezrozumiała. Otóż z panem Durand było tak samo;

<sup>36</sup>*of wanting of a thousand franc* — że mógłbym potrzebować tysiąca franków. [przypis redakcyjny]

umiał na pamięć autorów, których wykladał od dwudziestu lat, ale kiedy dziadek spróbował parę razy poradzić się go o jakieś trudne miejsce w Horacym nieobjaśnione przez pana Jean Bond (rozkoszowałem się tym słowem: w tym bezmiarze nudy cóż to była za uciecha pośmiać się z *jambon*<sup>37</sup>), pan Durand nie rozumiał nawet, o co chodzi.

Tak więc metoda była oplakana; gdybym zechciał, nauczyłbym łaciny w półtora roku chłopca przeciętnych zdolności. Ale czy to było nic gryźć tę wściekłą łacinę dwie godziny rano i trzy godziny wieczór? To wielkie pytanie. (Okolo roku 1819 nauczyłem angielskiego w dwadzieścia sześć dni pana Antonio Clerichetti z Mediolanu, który męczył się ze skąpym ojcem. Trzydziestego dnia *sprzedał* księgarzowi swój przekład badania księżnej Walii (Karoliny Brunswickiej), wielkiej k...y, której jej mąż, król i mający do wydania miliony, nie mógł dowieść, że zrobiła go tym, czym jest dziewięćdziesięciu pięciu mężów na stu<sup>38</sup>.

Zatem absolutnie nie pamiętam wydarzenia, które mnie rozdzieliło z księdzem Raillane.

Po mękach każdej godziny, owocu tyranii tego niegodziwego jezuitę, widzę się nagle u mego kochanego dziadka, śpiam w gabinecie w kształcie trapezu przylegającym do jego sypialni i biorę lekcje łaciny od poczciwego Durand, który przychodził, o ile mi się zdaje, dwa razy dziennie, od dziesiątej do jedenastej i od drugiej do trzeciej. Moja rodzina przestrzegła zawsze ściśle zasady, aby mi nie dozwalać zetknięcia „z dziećmi z gminu”. Ale lekcje z panem Durand odbywały się w obecności mego kochanego dziadka, w zimie w jego sypialni w punkcie M, w lecie w wielkim salonie koło terasy, w M', czasami w M'', przedpokojem, przez który się prawie nigdy nie przechodziło.

Wspomnienie tyranii Raillane'a przejmowało mnie grozą aż do roku 1814; w tej epoce w przybliżeniu straciłem je z pamięci; wydarzenia Restauracji pochłonęły całą moją zgrozę i moje obrzydzenie. Jedynie te ostatnie uczucia budzą we mnie wspomnienia pana Durand w *domu*; cierpiałem bowiem jego lekcje także i w Szkole Centralnej, ale wtedy byłem szczęśliwy, przynajmniej w porównaniu: zaczynałem być wrażliwy na piękny krajobraz, na widok wzgórz Eybens i Échirolles, piękną łąkę angielską przy bramie Bonne, na którą wychodziło okno mojej klasy, szczęściem położonej na trzecim piętrze; to mi wynagradzało wszystkie przykrości.

Zdaje się, że w zimie pan Durand przychodził do mnie na lekcję od siódmej do ósmej wieczór. Widzę się przynajmniej nad małym stolikiem oświetlonym lojówką, pan Durand siedzi w kręgu rodziny skupionej dokoła kominka w pokoju dziadka, ale jednocześnie zwrócony jest w prawo, twarzą do stolika, przy którym ja, H., siedzę<sup>39</sup>.

Tam to pan Durand zaczął czytać ze mną *Metamorfozy* Owidiusza. Widzę go jeszcze, zarówno jak złoty lub bukszpanowy kolor okładki tej książki. Zdaje mi się, że z przychylności zbyt wesołej treści przyszło do żywej dyskusji między ciotką Serafią, wścieklejszą wówczas niż kiedykolwiek, i jej ojcem. Przez kult literatury pięknej stawiał jej czoło i w miejsce ponurych okropności Starego Testamentu czytałem o amorach Pyrama i Tysbe, a zwłaszcza, o Dafne zmienionej w drzewo laurowe. Ta powiastka ubawiła mnie szalenie. Pierwszy raz w życiu zrozumiałem, że można znaleźć przyjemność w łacinie, która była moją męczarnią od tylu lat.

Ale tutaj chronologia tej ważnej historii pyta: od ilu lat?

Doprawdy nie mam pojęcia. Zacząłem łacinę w siódmym roku, w 1790. Zdaje mi się, że VII rok Republiki to rok 1799 — a to z powodu rebusu:

*Lancette*  
*Laitue*  
*Rat* <sup>40</sup>

<sup>37</sup>*Jambon* (...) *jambon* (fr.) — jambon (szynka) wymawia się podobnie jak: Jean Bond. [przypis redakcyjny]

<sup>38</sup>*zrobiła go tym, czym jest dziewięćdziesięciu pięciu mężów na stu* — Karolina Brunswicka, znana ze swobodnych obyczajów żona księcia Walii, od 1820 r. Jerzego IV króla Anglii, z chwilą objęcia przezeń władzy zaczęła dochodzić swych praw do tronu i głośny ów proces wygrała, lecz niedopuszczona do koronacji wkrótce zmarła. [przypis autorski]

<sup>39</sup>*stolika, przy którym ja, H., siedzę* — odniesienie do szkicu umieszczonego w źródle. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*Lancette, Laitue, Rat* (fr.) — Dosłownie: lancet, sałata, szczur. Rebus oparty na grze słów, gdyż można to przeczytać jako zdanie *l'an sept le tuera*: rok VII go (czyli Dyktoria) zabije. [przypis redakcyjny]

wywieszzonego w Ogrodzie Luksemburskim w związku z Dyrektoriatem.

Zdaje mi się, że w V roku Republiki byłem w Szkole Centralnej.

Byłem tam od roku, zajmowaliśmy bowiem wielką salę matematyczną na pierwszym piętrze w momencie zamordowania Roberjota w Rastatt<sup>41</sup>. Zatem może w roku 1794 tłumaczyłem *Metamorfozy* Owidiusza. Dziadek pozwalał mi niekiedy czytać przekład pana Dubois-Fontanelle, mego późniejszego profesora.

Zdaje mi się, że śmierć Ludwika XVI — 21 stycznia 1793 — zaszła w czasie tyranii księdza Raillane. Rzecz ucieszna i w którą potomność z trudem uwierzy, moja rodzina, mieszczańska, ale ocierająca się w swoim mniemaniu o szlachectwo, ojciec mój zwłaszcza, który uważał się za zrujnowanego szlachcica — wszyscy śledzili proces króla, czytali wszystkie dzienniki, tak jakby chodziło o proces bliskiego przyjaciela lub krewniaka.

Przyszła wieść o skazaniu; rodzina moja była w zupełnej rozpacz. „Ale oni nigdy nie ośmielą się wykonać tego haniebnego wyroku” — powiadali. „Czemu nie — myślałem — jeżeli zdradził?”

Byłem w gabinecie ojca przy ulicy des Vieux-Jésuites, około siódmej wieczór, w ciemną noc; czytałem przy lampie, oddzielony od ojca wielkim stołem. Udawałem, że pracuję, ale czytałem *Pamiętniki szlachcica* księdza Prévost, którego egzemplarz, mocno zniszczony przez czas, znalazłem. Wtem rozległ się turkot kurierskiej poczty przybywającej z Lyonu i z Paryża.

— Muszę dowiedzieć się, co te potwory zrobiły — rzekł ojciec, wstając.

„Mam nadzieję, że zdrajcę stracono” — pomyślałem. Potem zastanowiłem się nad krańcową różnicą uczuć moich a mego ojca. Kochałem czule nasze pułki, które widziałem przeciągające przez plac Grenette z okien dziadka; wyobrażałem sobie, że król chce sprawić, aby były pobite przez Austriaków. (Widać z tego, że, mimo iż miałem ledwie dziesięć lat, nie byłem daleki od prawdy). Ale przyznam się, że wystarczyłoby przejęcie losem Ludwika XVI, jakie okazywał wielki wikariusz Rey i inni księża, przyjaciele rodziny, aby kazać mi pragnąć jego śmierci. Uważałem wówczas, na podstawie piosenki, którą śpiewałem, kiedy się nie obawiał, że mnie usłyszy ojciec lub ciotka Serafia, że *absolutnym obowiązkiem* jest umrzeć za ojczyznę, gdy trzeba. Czymże było życie zdrajcy, który za pomocą tajemnego listu mógł wytracić jeden z tych pięknych pułków, które widziałem ciągnące przez plac Grenette? Rozsądzałem sprawę między moją rodziną a mną, kiedy ojciec wrócił. Widzę go jeszcze w białym flanelowym kubraku, którego nie zdjął, wychodząc na pocztę, o dwa kroki od domu.

— Stało się — rzekł z głębokim westchnieniem — zamordowali go.

Uczulem jedno z najwyższych drgnień radości, jakich doznałem w życiu. Czytelnik pomyśli może, że jestem okrutny; ale jaki byłem w dziesiątym roku, taki jestem w pięćdziesiątym drugim.

Kiedy w grudniu 1830 r. nie ukarano śmiercią bezczelnego draba Peyronneta oraz innych, którzy podpisali *zarządzenia*<sup>42</sup>, powiedziałem o łykach paryskich: nędzę swojej duszy biorą za cywilizację i szlachetność. W jaki sposób po takiej słabości śmieć skazać na śmierć zwykłego mordercę?

Zdaje mi się, że to, co się dzieje w roku 1835, usprawiedliwiło moje przewidywania z roku 1830.

Byłem tak przejęty tym wielkim aktem sprawiedliwości narodowej, że nie mogłem czytać dalej książki, z pewnością jednej z najbardziej wzruszających, jakie istnieją. Ukryłem ją, położyłem przed sobą poważną książkę (prawdopodobnie Rollina, którego ojciec dał mi do czytania) i zamknąłem oczy, aby móc sycić się w spokoju tym wielkim wydarzeniem. Ściśle to samo zrobiłbym dziś, z dodatkiem, że o ile nie zaszłaby absolutna potrzeba, nic nie mogłoby mnie skłonić do oglądania zdrajcy, którego dobro ojczyzny wysyła na stracenie. Mógłbym wypełnić dziesięć stron szczegółami tego wieczoru; ale jeżeli czytelnicy z 1880 są takie same zdechlaki jak wykwintne towarzystwo z roku 1835, tak scena, jak i jej bohater obudzą w nich uczucie głębokiego wstrętu, dochodzącego do tego, co te dusze z *papier maché* nazywają zgрозą. Co do mnie, o wiele więcej czułbym

<sup>41</sup>w momencie zamordowania Roberjota w Rastatt — Tzn. w kwietniu 1799 r., kiedy to na kongresie pokojowym w Rastatt doszło do sprowokowanego przez Austrię zamordowania dwóch posłów francuskich. [przypis redakcyjny]

<sup>42</sup>zarządzenia — zob. *Pamiętnik egotysty*. [przypis redakcyjny]

litości dla mordercy skazanego na śmierć bez niewzruszonych dowodów niż dla *K[ing]*, który by się znalazł w podobnym wypadku. *Death of a K[ing]*<sup>43</sup> — jeśli jest winien — jest zawsze użyteczna *in terrorem* dla zapobieżenia nadużyciom, w które *krańcowe szaleństwo*, zrodzone z absolutnej władzy, wtrąca tych ludzi. (Patrz upodobanie Ludwika XV w grobach świeżo zasypanych na cmentarzach wiejskich, które widział z powozu, przejeżdżając w okolicach Wersalu. Patrz obecne szaleństwo młodej królowej Marii Portugalskiej).

Stronica, którą oto napisałem, zgorszyłaby nawet moich przyjaciół z roku 1835. Potępiono mnie u pani Aubernon w roku 1829 za to, że *wished the death of the Duke of Blacas*<sup>44</sup>. Sam pan Mignet (dziś radca stanu) uczuł wstręt do mnie, a pani domu, którą kochałem (*did like*<sup>45</sup>), ponieważ podobna była do Cervantesa, nie przebaczyła mi tego nigdy; mówiła, że jestem straszliwie niemoralny i była zgorszona w 1833 w kąpielach w Aix, kiedy hrabina C[uri]al wzięła mnie w obronę. Mogę powiedzieć, że aprobata istot, które uważam za *slabe*, jest mi zupełnie obojętna. Mam uczucie, że to wariaci, widzę jasno, że nie rozumieją problemu.

Przypuśćmy wreszcie, że jestem okrutny, więc dobrze, jestem; dowiedcie się o mnie jeszcze innych rzeczy, jeśli będę pisał dalej.

Wnoszę z tego wspomnienia, tak przytomnego moim oczom, że w 1793, czterdzieści dwa lata temu, szedłem na łowy szczęścia absolutnie tak jak dziś, czyli, wyrażając się pospolicie, charakter mój był absolutnie taki sam jak dziś. Wszelkie oszczędzania, o ile chodzi o *ojczyznę*, wydają mi się *dziecinne*.

Powiedziałbym „zbrodnicze”, gdyby nie moja bezgraniczna wżgarda dla istot słabych. (Przykład: pan Feliks Faure, par Francji, pierwszy prezydent, mówiący do swego syna w Saint-Ismier w roku 1828 o śmierci Ludwika XVI: „*Niegodziwcy wydali go na śmierć*”. Ten sam człowiek skazuje dziś w Izbie Parów młodych i czcigodnych szaleńców, których nazywa się „spiskowcami kwietniowymi”<sup>46</sup>). Ja bym ich skazał na jeden rok pobytu w Cincinnati (w Ameryce), przez który to rok dałbym im 200 franków miesięcznie.

Równie wyraźne wspomnienie mam tylko z mojej pierwszej komunii, którą ojciec kazał mi odbyć w Claix, w obecności bigota cieśli Charbonota z Cossey, około 1795.

Ponieważ w roku 1793 kurier potrzebował dobrych pięć, a może sześć dni na drogę z Paryża do Grenoble, scena w gabinecie ojca odbywała się może 28 albo 29 stycznia, o siódmej wieczór. Przy wieczery ciotka Serafia zrobiła mi scenę za moją *okrutną* duszę etc. Patrzałem na ojca, nie otwierał ust, prawdopodobnie z obawy, że sam dojdzie i mnie doprowadzi do ostateczności. Przy całym moim okrucieństwie i dzikości nie uchodziłem przynajmniej w rodzinie za tchórza. Ojciec mój był zanadto *szczwany* i przenikliwy, aby nie przejrzeć, nawet w swoim gabinecie (o siódmej), wrażeń dziesięcioletniego smarkacza.

W dwunastym roku, jako cudowne dziecko, oblegałem bez ustanku pytaniami mego dziadka, który z rozkoszą mi odpowiadał. Byłem jedyną istotą, z którą zdolny był mówić o mojej matce. Nikt w rodzinie nie śmiał mówić do niego o tej ukochanej istocie. W dwunastym roku tedy byłem fenomenem wiedzy, a w dwudziestym — fenomenem nieuctwa.

Od 1796 do 1799 interesowałem się jedynie tym, co mogło mi dać sposób opuszczenia Grenoble, to znaczy matematyką. Obliczałem z niepokojem sposoby poświęcenia nauce pół godziny więcej dziennie. Co więcej, lubiłem i lubię jeszcze matematykę dla niej samej, jako rzecz niedopuszczającą *obłudy i mętności* — dwie moje zmory.

W tym stanie duszy, co mi znaczyła jakaś rozsądna i wyczerpująca odpowiedź mego kochanego dziadka dotycząca Sanchoniathona czy oceny prac Courta de Gébeline, któ-

<sup>43</sup>*Death of a King* (ang.) — śmierć króla. [przypis redakcyjny]

<sup>44</sup>*wished the death of the Duke of Blacas* — pragnąłem śmierci księcia Blacas. [przypis redakcyjny]

<sup>45</sup>*did like* — naprawdę kochałem. [przypis redakcyjny]

<sup>46</sup>*spiskowcy kwietniowi* — Tak nazywano uczestników ruchów republikańskich, które w odpowiedzi na ograniczenie wolności prasy i stowarzyszeń ogarnęły w kwietniu 1834 r. szereg miast, jak Lyon i Paryż. Następstwem tych zajęć były gwałtowne represje rządu i wielki proces republikanów toczący się przez pół roku przed Izba Parów (od maja 1835 do stycznia 1836). [przypis redakcyjny]



rego ojciec mój, nie wiem skąd, posiadał piękne wydanie in 4° (może wcale nie wyszedł w formie in 12°), z piękną ryciną przedstawiającą organy głosu u człowieka.

W dziesiątym roku napisałem w sekrecie komedię prozą lub raczej pierwszy akt. Pracowałem mało, ponieważ czekałem chwili natchnienia, to znaczy owego stanu egzaltacji, która wówczas chwyciła mnie może dwa razy na miesiąc. Pracę tę trzymałem w wielkiej tajemnicy; płody mego pióra budziły we mnie zawsze tę samą wstydlivość co moje sprawy serca. Nic przykrzejszego dla mnie niż mówić z kim o nich. Doświadczyłem żywo tego uczucia, że jeszcze w roku 1830, kiedy pan Wiktor de Tracy zaczął mówić ze mną o *Czerwonym i czarnym* (powieść w dwóch tomach).

## ROZDZIAŁ XI

### *Amar i Merlino*

To byli dwaj przedstawiciele ludu, którzy pewnego pięknego dnia przybyli do Grenoble i w jakiś czas potem ogłosili listę stu pięćdziesięciu dwóch notorycznie podejrzanych (o to, że nie kochają Republiki, to znaczy rządu patriotycznego), a trzystu pięćdziesięciu po prostu podejrzanych. „Notoryczni” mieli być aresztowani; owi „po prostu” mieli być jedynie pod nadzorem.

Widziałem to wszystko z dołu, jak dziecko; może szperając w dzienniku departamentu (jeżeli istniał taki w owej epoce) albo w archiwum znalazłoby się coś odmiennego, co się tyczy epoki, ale co do wrażeń moich i mojej rodziny, to jest pewne. Jak bądź się rzeczy miały, ojciec mój był notorycznie podejrzany, a dziadek po prostu podejrzany.

Ogłoszenie tych dwóch list było uderzeniem piorunu dla mojej rodziny. Pospieszam dodać, że ojca zwolniono aż 6 termidora (aha! jest data: uwolniony 6 termidora, na trzy dni przed śmiercią Robespierre'a) i trzymano na liście przez dwadzieścia dwa miesiące.

To wielkie wydarzenie sięgałoby tedy... roku... Wreszcie odnajduję w mojej pamięci, że ojciec był dwadzieścia dwa miesiące na liście, a spędził w więzieniu tylko trzydzieści dwa albo czterdzieści dwa dni.

Ciotka Serafia okazała w tej potrzebie wiele odwagi i energii. Udawała się do „członków Departamentu”, to znaczy Zarządu Departamentalnego, obchodziła przedstawicieli ludu i uzyskiwała zawsze zwłokę dwu lub trzytygodniową, niekiedy pięćdziesięciodniową.

Obecność swego nazwiska na fatalnej liście ojciec przypisuje dawnej swojej rywalizacji z Amarem, który też był adwokatem, o ile mi się zdaje.

W parę miesięcy po tym prześladowaniu, o którym bez ustanku mówiono w rodzinie, wymknęła mi się naiwność, która potwierdziła opinię o *ohydzie* mego charakteru. Wyrażano w grzecznej formie zgrozę, jaką budziło nazwisko Amara. „Ależ — rzekłem do ojca — Amar umieścił cię na liście jako notorycznie *podejrzanego*, że nie kochasz Republiki, a mnie się wydaje *pewne*, że ty jej nie kochasz”.

Na to cała rodzina poczerwieniła z gniewu; omal nie wysłano mnie już do więzienia do mego pokoju. Przy wieczerzy, na którą niebawem mnie wezwano, nikt nie odzywał się do mnie. Zastanawiałem się głęboko. Nic prawdziwszego nad to, co powiedziałem; ojciec szczylił się tym, że nienawidzi „nowego porządku rzeczy” (formuła modna wówczas wśród arystokratów); jakież tedy mają prawo się gniewać?

Tą formą rozumowania: „jakie prawo?” posługiwałem się od czasu pierwszych aktów samowoli, które nastąpiły po śmierci mojej matki, zatruwając mój charakter i czyniąc mnie tym, czym jestem.

Czytelnik zauważy z pewnością, że ta forma prowadziła szybko do najwyższego oburzenia.

Ojciec mój, Cherubin Beyle, zamieszkał w pokoju zwanym pokojem mego wuja. (Mój sympatyczny wujaszek, Roman Gagnon, ożenił się w Échelless, w Sabaudii i kiedy przybywał do Grenoble co dwa lub trzy miesiące, aby odwiedzić dawne przyjaciółki, mieszkał w tym pokoju, wspaniale umeblowanym czerwonym adamaszkiem — przepych Grenoble z roku 1793).

Zważcie tu umiarkowanie charakterów w Delfinacie. Ojciec mój nazywał ukrywaniem się to, że przebywał ulicę i przychodził nocować u dziadka, gdzie wiedziano, że

jada obiad i wieczerzę od paru lat. Terror był tedy w Grenobli bardzo łagodny i, dodam śmiało, bardzo rozsądny. Mimo dwudziestu lat postępu terror z roku 1815 (czyli reakcja stronnictwa mego ojca) wydaje mi się bardziej okrutny. Ale bezgraniczny wstręt, jaki obudził we mnie rok 1815, sprawił, że zapomniałem faktów; bezstronny historyk będzie może innego zdania. Błagam czytelnika (jeśli go kiedy znajdę), aby pamiętał, że ja mam pretensje do prawdomówności tylko w tym, co tyczy *moich uczuć*; co do faktów, nigdy nie miałem do nich wiele pamięci. To była, nawiasem mówiąc, przyczyna, że słynny Jerzy Cuvier zawsze mnie bił w dysputach, jakie raczył czasami toczyć ze mną w swoim salonie, w soboty, między 1827 a 1830.

Aby uniknąć strasznego prześladowania, ojciec mój zamieszkał w pokoju mego wuja. Było to w zimie, bo mawiał do mnie: „To istna lodownia”.

Spąłem obok jego łóżka w ładnym łóżeczku mającym kształt klatki na ptaki, z którego niepodobna było wypaść. Ale to nie trwało długo. Niebawem widzę się w krzywym pokoiku obok sypialni dziadka.

Zdaje mi się teraz, że to dopiero w epoce Amara i Merlino zamieszkałem w krzywym pokoju. Było mi tam bardzo niemiło z przyczyny zapachu kuchni pana Reyboz albo Reybaud, korzennika, Prowansalczyka, którego akcent śmieszył mnie. Słyszałem często, jak pomstował na swoją córkę, potwornie brzydką; inaczej nie omieszkałbym zrobić z niej damy moich myśli. Było to moje szaleństwo i trwało ono długo, ale zawsze przestrzegałem zupełnej dyskrecji, którą odnalazłem w cechach temperamentu melancholicznego wedle Cabanisa.

Bardzo byłem zdziwiony, widując ojca bardziej z bliska w pokoju wuja, że nie czyta już Bourdaloue, Massillona ani Biblii Sacy’ego w dwudziestu dwu tomach. Śmierć Ludwika XVI wtrąciła go, jak wielu innych, w *Historię Karola I Hume’a*; ponieważ nie umiał po angielsku, czytał przekład — jedyny wówczas — niejakiego pana Belot albo prezydenta Belot. Niebawem ojciec, zmienny i wyłączny w swoich gustach, utonął cały w polityce. Jako dziecko widziałem jedynie śmieszność tej zmiany, dziś widzę jej przyczyny. Może ta wyłączość, z jaką ojciec szedł za swymi namiętnościami (albo gustami), czyniła zeń człowieka wyrastającego nieco ponad przeciętność.

Oto pochłoniął go całkowicie Hume i Smollett: chce mnie nakłonić do tych książek, tak jak dwa lata wprzód chciał mi zaszcześcić uwielbienie dla Bourdaloue. Może czytelnik osądzi, jak przyjąłem tę propozycję serdecznego przyjaciela znenawidzonej Serafi.

Nienawiść tej zgorzkniałej dewotki zdwoiła się, odkąd mnie ujrzała w domu swego ojca w charakterze faworyta. Mieliliśmy z sobą straszliwe sceny, gdyż stawiałem jej czoło; rezonowałem i to doprowadzało ją do wściekłości.

Panie Romagnier i Colomb, które bardzo kochałem, moje krewniaczki, wówczas kobiety trzydziestosześcio- albo czterdziestoletnie — druga z nich to matka Romana Colomb, mego najlepszego przyjaciela (w liście z... grudnia 1835, który otrzymałem wczoraj, zrobił mi scenę o przedmowę do de Brosse’sa<sup>47</sup>, ale mniejsza z tym) — przychodziły na partyjkę do ciotki Elżbiety. Panie te były zdziwione scenami, jakie miałem z Serafią; scenami, które dochodziły często aż do przerwania bostona; ale zdaje mi się, że w duchu były po mojej stronie przeciw tej wariatce.

Kiedy się zastanawiam nad tymi scenami od ich epoki (1793, zdaje mi się), tłumaczyłbym je sobie tak: Serafia, dość ładna dziewczyna, romansowała z moim ojcem i nienawidziła we mnie, istotę, która stanowiła moralną lub legalną przeszkodę do ich małżeństwa. Pozostaje zbadać, czy w roku 1793 władza duchowna pozwoliłaby na małżeństwo między szwagrem a szwagierką. Sądzę, że tak, ile że Serafia, wraz z panią Vignon, swoją serdeczną przyjaciółką, należała do najwyższego sanhedrynu miejscowej dewocji.

W czasie tych gwałtownych scen, które się powtarzały raz albo dwa razy na tydzień, dziadek nie mówił nic (uprzedziłem już, że miał charakter w typie Fontenelle’a), ale w gruncie zgadywałem, że był po mojej stronie. Rozsądnie biorąc, co mogło istnieć wspólnego między panną dwudziestosześcio- lub trzydziestoletnią a dziesięcio- lub dwunastoletnim dzieciakiem?

<sup>47</sup> Colomb (...) w liście (...) zrobił mi scenę o przedmowę do de Brosse’sa — list ten dotyczył przedmowy Stedhala do II wydania *Listów pisanych z Włochów w 1739 i 1740* Ch. De Brosse’sa, której R. Colomb, wydawca książki, nie wykorzystał. Pod tytułem *La comédie est impossible en France en 1836* przedmowa ta ukazała się w „Revue de Paris” z I IV 1836. [przypis redakcyjny]

Służba (to znaczy Marion, Lambert zrazu, a potem człowiek, który nastąpił po nim) trzymała moją stronę. Siostra moja Paulina, ładna dziewczynka o trzy lub cztery lata młodsza ode mnie, była po mojej stronie. Druga siostra, Zenajda (dziś Aleksandrowa Mallein), trzymała stronę Serafii; podejrzewaliśmy ją wraz z Pauliną, że nas szpieguje.

Zrobiłem karykaturę rysowaną kawałkiem ołowiu na ścianie korytarza wiodącego z jadalni do pokojów w dawnym domu mego dziadka. Pod rzekomym portretem Zenajdy, na dwie stopy wysokim, napisałem: „Karolina Zenajda B. — donosicielka”.

Drobiazg ten był przyczyną straszliwej sceny, której widzę jeszcze szczegóły. Serafia była wściekła, przerwano partię. Zdaje mi się, że Serafia poróżniła się z panią Romagnier i Colomb. Była już ósma. Obie panie, słusznie obrażone wybrykami tej wariatki, widząc, że ani jej ojciec (Henryk Gagnon), ani ciotka (moja cioteczna babka Elżbieta) nie mogą albo nie śmieją nakazać jej milczenia, postanowiły odejść. To rozpętało tym większą burzę. Padło jakieś surowe słowo z ust dziadka czy ciotki Elżbiety; Serafia chciała się rzucić na mnie; zasłoniłem się wyplatany kzesłem i uciekłem do kuchni, gdzie byłem pewny, że Marion, która mnie uwielbiała, a nie cierpiała Serafii, obroni mnie.

Obok bardzo wyraźnych obrazów widzę luki w tym wspomnieniu: jest ono niby fresk, z którego wielkie kawały odpadły. Widzę Serafię wycofującą się z kuchni i siebie obserwującego ten odwrót nieprzyjaciela. Scena toczyła się w pokoju ciotki Elżbiety.

Lubiłem bardzo kuchnię, będącą we władzy moich przyjaciół, Lamberta i Marion, oraz służącej ojca, którzy wszyscy mieli tę wielką zaletę, że nie byli mymi zwierzchnikami; tam jedynie znajdowałem słodką równość i wolność. Skorzystałem z tej sceny, aby się nie pokazać aż do kolacji. Zdaje mi się, że płakałem z wściekłości z powodu straszliwych obelg (bezbożnik, zbrodniarz etc.), jakimi Serafia mnie obrzuciła, ale bardzo wstydzilem się moich łez.

Zastanawiam się od godziny, aby sprawdzić, czy ta scena jest zupełnie prawdziwa, rzeczywista, równie jak dwadzieścia innych, które, wywołane z cienia, ukazują się po trosze po latach niepamięci; ale tak, to jest zupełnie rzeczywiste, mimo że nigdy w innej rodzinie nie widziałem nic podobnego. Prawda, że niewiele znałem domów mieszczańskich, oddalał mnie od nich wstręt, a lęk, jaki budziłem moim stanowiskiem albo moją inteligencją (przepraszam za tę przechwałkę), nie pozwalał może, aby tego rodzaju sceny odbywały się w mej obecności. Ostatecznie nie mogę wątpić o rzeczywistości sceny z karykaturą Zenajdy i wielu innych. Tryumfowałem zwłaszcza, kiedy ojciec był w Claix; jeden wróg mniej i jedyny istotnie potężny.

„Niegodziwe dziecko, zjadłbym cię!” — krzyknął jednego dnia ojciec, idąc na mnie wściekły; ale nigdy mnie nie uderzył, może dwa albo trzy razy najwyżej. Te słowa: „niegodziwe dziecko” etc. powiedział mi jednego dnia, kiedy wybiłem Paulinę, która płakała i napełniała dom wrzaskiem.

W oczach mego ojca miałem charakter nieznośny; była to prawda utrwalona przez Serafię i to na zasadzie *faktów*: zamach na panią Chenevaz, ukąszenie w czoło pani Pison-Dugalland, odezwanie się o Amarze. Niebawem przyszedł słynny list anonimowy podpisany „Gardon”. Ale trzeba komentarza, aby zrozumieć tę straszliwą zbrodnię. W istocie, była to brzydka psota, wstydzilem się jej przez kilka lat, kiedy myślałem jeszcze o moim dzieciństwie przed miłością do Melanii, miłością, która skończyła się w roku 1805, gdy miałem dwadzieścia dwa lata. Dziś, kiedy praca nad spisywaniem mego życia ukazuje mi je wielkimi strzępami, widzę bardzo dobrze tę historię z księdzem Gardon.

## ROZDZIAŁ XII

### *Bilecik pana Gardon*

Utworzono Bataliony Nadziei czy też Armię Nadziei (rzecz szczególna, nie pamiętam nawet z pewnością nazwy rzeczy, która tak mną wstrząsnęła w dzieciństwie). Pałem się do tego, aby należeć do tych batalionów, na które patrzałem, jak defilują. Widzę dziś, że to była znakomita instytucja, jedyna, która by mogła wypłenić jezuityzm we Francji. Zamiast bawić się w kapliczki, wyobrażnia dzieci myśli o wojnie i oswaja się z niebezpieczeństwem. Zresztą kiedy ojczyzna powoła ich w dwudziestym roku, znają ćwiczenia i zamiast drzeć przed *nieznany*, przypominają sobie zabawy dzieciństwa.

Terror był tak mało terrorem w Grenoble, że arystokraci nie posyłali tam swoich dzieci.

Niejaki ksiądz Gardon, który rzucił habit w diabły, dowodził Armią Nadziei. Popeniłem fałszerstwo: wziąłem podłużny kawałek papieru w kształcie weksla (widzę go jeszcze) i zmieniając pismo wezwałem obywatela Gagnon, aby posłał swego wnuka, Henryka Beyle, do Św. Andrzeja, iżby go wcielono do Batalionu Nadziei. Pismo kończyło się słowami: „Pozdrowienie i braterstwo. Gardon.”

Sama myśl o tym, żeby iść do Św. Andrzeja, była dla mnie najwyższym szczęściem. Rodzina moja dała dowód naiwności, złapała się na ten dziecinny list, który musiał na sto sposobów gwałcić prawdopodobieństwo. Musieli się uciec do rady małego garbuska nazwiskiem Tourte, prawdziwego *toad-eater*, pasożyta, który wcisnął się do domu w ten ohydny sposób. Ale czy to kto zrozumie w roku 1880?

Pan Tourte, okropnie garbaty urzędniczyna w Zarządzie Departamentu, wśliznął się do domu jako popychadło, nie obrażając się o nic, schlebiając wszystkim. Rzuciłem mój papier między dwoje drzwi tworzących rodzaj przedpokoiku przy kręconych schodach.

Rodzina moja, wielce zaalarmowana, wezwała na radę małego Tourte, który w charakterze urzędowego gryziopórka mógł znać podpis pana Gardon. Zażądał próbki mego pisma, porównał z tamtym z bystrością wytrawnego skryby i tak odkryto moją dziecinną sztuczkę dla wydobycia się z klatki. Podczas gdy radzono nad moim losem, zamknięto mnie w gabinecie przyrodniczym dziadka, tworzącym przedsionek do wspaniałej terasy. Tam bawiłem się podrzucaniem kuli, którą ulepiłem z gliniastej ziemi. Miałem uczucie młodego dezertera, który ma być rozstrzelany. To, że popeniłem *fałszerstwo*, żenowało mnie trochę.

W gabinecie tym znajdowała się wspaniała mapa Delfinatu, na cztery stopy szeroka, przybita do ściany. Moja gliniana kula, spadając z bardzo wysokiego sufitu, dotknęła szacownej mapy, przedmiotu czci dziadka: ponieważ była bardzo wilgotna, wypisała na niej długą czerwoną smugę.

„Och, teraz już wpadłem — pomyślałem. — To grubo gorsza sprawa, rozgniewałem mego jedyne go obrońcę”. Równocześnie byłem bardzo strapiiony, że zrobiłem przykrość dziadkowi.

W tej chwili wezwano mnie przed moich sędziów z Serafią na czele; obok niej wstętny garbus Tourte. Postanawiałem sobie odpowiadać po rzymsku, to znaczy, że pragnąłem służyć ojczyźnie, że to jest zarówno mój obowiązek, jak moja przyjemność etc. Ale poczucie mego błędu wobec ukochanego dziadka (plama na mapie), który w moich oczach zbladł ze strachu z powodu bileciku podpisanego „Gardon”, roztkliwiła mnie; stąd zdaje mi się, że miernie się spisałem. Miałem zawsze tę wadę, że daję się rozczulić jak głupiec najmniejszym słowem uległości ze strony ludzi, na których byłem najbardziej rozgniewany, *et tentatum contemni*<sup>48</sup>. Daremnie później wypisywałem wszędzie tę refleksję Tytusa Liwiusza; nigdy nie byłem pewien, że wytrwam w gniewie.

Postradałem nieszczęśliwie skutek mojej słabości serca (nie charakteru) wspaniałą pozycję. Miałem zamiar zagrozić, że sam pójdę oznajmić księdzu Gardon moje postanowienie służenia ojczyźnie. Oznajmiłem to, ale głosem słabym i nieśmiałym. Pomysł mój przstraszył ich, ale poznano, że brak mi energii. Nawet i dziadek mnie potępił; wyrok brzmiał, że przez trzy dni nie będę jadł obiadu przy stole. Ledwie usłyszał wyrok, rozczulenie moje pierzchno, znów stałem się bohaterem.

— Wolę raczej — oświadczyłem — jeść sam niż z tyranami, którzy mnie łają bez przerwy.

Mały Tourte wszedł w swoją rolę:

— Ależ, panie Henrysiu, zdaje mi się...

— Pan powinienes się wstydzić i milczeć — przerwałem mu. — Czy pan należysz do rodziny, abyś mówił do mnie w ten sposób? etc.

— Ależ, paniczu — rzekł poczerwieniawszy cały za okularami, w które nos jego był uzbrojony — jako przyjaciel rodziny...

— Nie zniosę wymówek od człowieka takiego jak pan...

Ta aluzja do ogromnego garbu przecięła jego wymowę.

<sup>48</sup>*et tentatum contemni* (łac.) — i zamiaru poniechałem. [przypis redakcyjny]

Wychodząc z pokoju dziadka, gdzie rozegrała się ta scena, i idąc odrobić lekcję łacińską sam w wielkim salonie, byłem w posępnym humorze. Czulem mglisto, że jestem słabą istotą; im bardziej się zastanawiałem, tym bardziej gardziłem sobą.

Byłem synem „notorycznie podejrzanego”, ratującego się od więzienia za pomocą ciągłych wybiegów; ofiarowałem się księdzu Gardon, że chcę służyć ojczyźnie: cóż mogła odpowiedzieć moja rodzina, ze swymi mszami na osiemdziesiąt osób co niedzielę?

Toteż już nazajutrz zaczęto się umizgać do mnie. Ale ta sprawa, której Serafia nie omieszkła mi wypomnieć od pierwszej sceny, jaką mi wyprawiała, wzniosła się niby mur między rodzina a mną. Powiadam to z przykrością, zacząłem mniej kochać dziadka, ujrzałem jego wadę: boi się córki, boi się Serafi! Jedyna ciotka Elżbieta została mi wierna. Toteż przywiązanie moje dla niej wzrosło jeszcze.

Zwalczała ona, przypominam sobie, moją nienawiść do ojca; połażała mnie ostro, gdy raz mówiąc o nim, nazwałem go „ten człowiek”.

Na to uczynię dwie uwagi<sup>49</sup>:

1° Ta nienawiść ojca do mnie i moja do ojca była rzeczą w mojej głowie tak załatwioną, że pamięć moja nie raczyła zachować wspomnienia roli, jaką musiał odegrać w straszliwej sprawie bileciku księdza Gardon.

2° Ciotka moja Elżbieta miała duszę hiszpańską. Charakter jej był kwintesencją honoru. Przekazała mi w całej pełni to usposobienie, stąd szereg śmieszności, w jakie popadałem przez delikatność i wielkość duszy. Głupstwo to zanikło po trosze we mnie dopiero w roku 1810 w Paryżu, kiedy się zakochałem w pani Petit. Ale dziś jeszcze przezacny Fiori (skazany na śmierć w Neapolu w roku 1800) powiada mi: „Za wysoko rozpinasz sieci” (Tucydides).

Ciotka Elżbieta mawiała zwykle, kiedy coś nadzwyczajnie podziwiała: „To jest piękne jak Cyd”.

Czuła — ale nie wyrażając jej nigdy — dość zdecydowaną wzdargę dla „fontenellizmu” swego brata (Henryka Gagnon, mego dziadka). Ubóstwiała moją matkę, ale nie rozczulała się, mówiąc o niej, jak dziadek. Zdaje mi się, że nigdy nie widziałem, aby ciotka Elżbieta płakała. Raczej przebaczyłaby mi wszystko niż to, że nazwałem ojca „ten człowiek”.

— Ale jak ty chcesz, abym ja go kochał? — mówiłem. — Z wyjątkiem tego, że mnie cesał, kiedy miałem strupy, co on kiedy zrobił dla mnie?

— Jest tak dobry, że cię prowadzi na spacer.

— Wolę raczej siedzieć w domu, nienawidzę spacerów do Granges.

(W stronę kościoła Św. Józefa i na południowy wschód od kościoła objętego teraz linią fortyfikacji miejskich, buduje generał Haxo; w roku 1794 okolice kościoła Św. Józefa były zajęte pod uprawę konopi i pełne dołów z wodą, gdzie je moczono; widać tam było lepki żabi skrzek, który sprawiał na mnie ohydne wrażenie: „ohydne” to jest właściwe słowo, dreszcz mnie przebiega, gdy to wspominam).

Raz w rozmowie o mojej matce zdarzyło się ciotce powiedzieć, że ona nie kochała mego ojca. To była dla mnie rzecz olbrzymiej doniosłości. Byłem jeszcze w głębi duszy zazdrosny o ojca.

Opowiedziałem to Marion, która mnie przepelniła radością, opowiadając, że w epoce zameścia mojej matki, około 1780, matka rzekła jednego dnia do ojca, który jej nadska-kiwał: „Zostaw mnie, brzydalu!”

Nie oceniałem wówczas szpetoty i nieprawdopodobieństwa takiego odezwania, widziałem tylko treść, która mnie uszczęśliwiła. Tyrani są często niezręczni; to jest może rzecz, która mnie najbardziej śmieszyła w życiu.

Mieliśmy kuzyna Santerre, człowieka zbyt dwornego, zbyt wesołego i tym samym dość niesympatycznego dziadkowi, który był o wiele ostrożniejszy i może niezupełnie wolny od zawiści wobec tego biednego Santerre, obecnie wiekowego i dość podupadłego. Dziadek twierdził, że gardzi nim jedynie z powodu jego dawniejszych złych obyczajów. Ten biedny Santerre był bardzo wysoki, pocętkowany ospą; oczy miał okrążone czerwono i dość słabe, nosił okulary i kapelusz z wielkim rondem.

<sup>49</sup>uczynię dwie uwagi — *Na marginesie*: Wiem, że to wszystko jest za długie, ale bawi mnie przywoływanie tych dawnych czasów, jakkolwiek nieszczęśliwych; proszę pana Levasseur, żeby mocno skracał, jeżeli będzie to drukował. H. Beyle. [przypis autorski]

Co dwa dni (zdaje mi się), kiedy kurier przybywał z Paryża, przynosił ojcu kilka dzienników przeznaczonych dla innych osób, które czytaliśmy przed tymi osobami.

Pan Santerre przybywał rano około jedenastej; dawano mu na śniadanie pół szklanki wina i chleb. Nienawiść dziadka posunęła się kilka razy aż do przypomnienia w mojej obecności bajki o koniku polnym i mrówce, co oznaczało, że biedny Santerre, przychodzi zwabiony naparstkiem wina i okruczem chleba.

Małość tej aluzji oburzyła ciotkę Elżbietę, a mnie jeszcze więcej. Ale szczytem głupoty tyranów było to, że dziadek kładł okulary i czytał głośno rodzinie wszystkie dzienniki. Nie traciłem ani sylaby i w duszy robiłem komentarze wprost przeciwne tym, które słyszałem.

Serafia była wściekłą bigotką; ojciec, często nieobecny przy tej lekturze, zaciekle arystokratą; dziadek arystokratą, ale o wiele umiarkowańszym; nienawidził jakobinów zwłaszcza jako ludzi źle ubranych i złego tonu.

„Co za nazwisko: Pichegru!” — powiadał. To był jego główny zarzut wobec tego słynnego zdrajcy, który wówczas podbijał Holandię<sup>50</sup>. Ciotka Elżbieta miała wstręt jedynie do wyroków śmierci.

Tytuły tych dzienników, które piłem uszami, brzmiały: „Dziennik Ludzi Wolnych”; „Perlet”; widzę jeszcze tytuł, którego ostatnie słowo tworzył zakrętas udający podpis tego Perleta:

„Debaty”; „Dziennik Obrońców Ojczyzny”. Później, zdaje mi się, dziennik ten, który szedł kurierem nadzwyczajnym, doganiał zwykłą pocztę, która ruszała dwadzieścia cztery godziny przed nim.

Przypuszczenie, że pan Santerre nie przychodził co dzień, buduję na ilości dzienników, które były do czytania. Ale może zamiast kilku numerów jednego dziennika była po prostu wielka ilość dzienników.

Czasami, kiedy dziadek był zakatarzony, mnie polecano czytanie. Cóż za niezręczność tyranów! To tak jak *the Papes*<sup>51</sup> zakładający bibliotekę zamiast spalić wszystkie książki jak Omar (którego piękny czyn bywa podawany w wątpliwość).

W czasie tych lektur, które trwały, zdaje mi się, jeszcze rok po śmierci Robespierre'a i które zajmowały dobre dwie godziny każdego ranka, nie przypominam sobie, abym bodaj jeden raz był zdania, które wygłaszała moja rodzina. Przez ostrożność strzegłem się mówić, a jeśli czasem się odezwałem, wówczas zamiast odeprzeć to, co mówiłem, nakazywano mi milczenie. Widzę teraz, że ta lektura była lekarstwem na przerażającą nudę, w jakiej pogrążyła się moja rodzina od trzech lat, zrywając po śmierci mojej matki zupełnie ze światem.

Mały Tourte brał mego zacnego dziadka za powiernika swoich amorów z jedną z najszybszych krewnych, którą gardziliśmy jako biedną i zakałą naszego szlachectwa. On był żółty, wstrętny, chorowity. Zaczął uczyć pisać siostrę moją Paulinę i zdaje mi się, że to bydlę zakochało się w niej. Sprowadził do domu księdza Tourte, swego brata, który miał twarz zniszczoną „zimnymi humorami”. Dziadek powiedział raz, że traci apetyt, kiedy ma u siebie tego księdza na obiedzie; to uczucie rozwinęło się we mnie bez miary.

Pan Durand zawsze przychodził do nas raz czy dwa razy dziennie; zdaje mi się, że dwa razy, a to dlaczego. Doszedłem do owej epoki niewiarogodnego głupstwa, gdy każe się uczniowi składać wiersze łacińskie (aby spróbować, czy ma talent poetycki); od tego czasu datuję mój wstręt do wierszy. Nawet u Rasyna<sup>52</sup>, który mi się zdaje wielce wymowny, znajduję sporo „waty”.

Aby rozwinąć we mnie talent poetycki, pan Durand przyniósł gruby tom in 12°, którego czarna oprawa była straszliwie tłusta i brudna.

Brud byłby mi kazał znienawidzić Ariosta pana de Tressan, którego ubóstwałem; osądzicie tedy uczucie, jakie budził we mnie czarny tom pana Durand, który sam był dość

<sup>50</sup>wobec tego słynnego zdrajcy, który wówczas podbijał Holandię — Gen. Pichegru po zdobyciu w 1795 r. Holandii zdradził rewolucję i potajemnie działał na rzecz przywrócenia monarchii, za co został zesłany do Gujany. [przypis autorski]

<sup>51</sup>*the Papes* — papież. [przypis redakcyjny]

<sup>52</sup>*Rasyn* — właśc. Racine. [przypis edytorski]



licho odziany. Tom ten zawierał poemat jakiegoś jezuity o musze, która utonęła w rynce mleka. Cały dowcip polegał na przeciwstawieniu białości mleka i czarność muchy; słodyczy, której szukała w mleku a goryczy śmierci.

Dyktowano mi te wiersze usuwając epitety, na przykład:

*Musca* (epit.) *duxerit annos* (epit.) *multos* (synonim).

Otwierałem *Gradus ad Parnassum*; badałem wszystkie epitety istniejące dla muchy: *volucris*, *acris*, *nigra*, i wybierałem, do miary moich heksametrów i pentametrów, na przykład *nigra* dla *musca*, *felices* dla *annos*.

Brud książki i płaskość pomysłu budziły we mnie taki wstręt, że regularnie co dzień, około drugiej, dziadek robił za mnie wiersze, niby to pomagając mi.

Pan Durand wracał około siódmej wieczór i kazał mi podziwiać różnicę między moimi wierszami a wierszami ojca jezuity.

Trzeba koniecznie *współzawodnictwa*, aby przelknąć takie brednie. Dziadek opowiadał mi o swoich praktykach z kolegium, a ja wzdychałem do kolegium: tam przynajmniej byłbym mógł przestawać z dziećmi w moim wieku.

Niebawem dostąpiłem tego szczęścia: stworzono Szkołę Centralną, dziadek należał do komitetu organizatorów, zamianował profesorem pana Durand.

## ROZDZIAŁ XIII

*Pierwsza podróż do Échelles.*

Trzeba mi pomówić o moim wuju, o tym sympatycznym człowieku, który wnosił radość w rodzinę, kiedy z Échelles (Sabaudia), gdzie był żonaty, przybywał do Grenoble.

Spisując moje życie w roku 1835, czynię w nim wiele odkryć; te odkrycia są dwojakiego rodzaju:

1° Są to wielkie kawały fresków na murze, które, od dawna zapomniane, ukazują się nagle; ale obok tych dobrze zachowanych kawałków są, jak to powiedziałem nieraz, wielkie przestrzenie, gdzie widać jedynie cegły. Tynk, na którym fresk był namalowany, odpadł i fresk przepadł na zawsze. Przy zachowanych kawałkach fresku nie ma daty; trzeba mi wychodzić obecnie, w roku 1835, na łowy na daty. Szczęściem niewiele znaczy anachronizm, pomyłka o rok lub dwa. Począwszy od mego przybycia do Paryża w 1799 życie moje splecione jest z wydarzeniami z gazety; tym samym wszystkie daty są pewne.

2° W roku 1835 odkrywam fizjonomię i motywy wydarzeń. Wuj mój (Roman Gagnon) przyjeżdżał w roku 1795 lub 1796 do Grenoble prawdopodobnie jedynie po to, aby odwiedzić swoje dawne kochanki, aby wypocząć po Échelles, gdzie królował, ile że Échelles to jest mała dziura zamieszkała wówczas jedynie przez chamów z bogactwem kontrabandą i uprawą roli, których jedyną przyjemnością było polowanie. *Wykwint* życia, kobiety ładne, wesołe, płoche i dobrze ubrane, wszystko to wuj mój znalazł jedynie w Grenoble.

Pojechałem raz do Échelles; był to dla mnie niby pobyt w niebie, wszystko zdało mi się czarujące. Huk Guiers, strumienia, który przepływał o sto kroków pod oknami wuja, stał się dla mnie świętym odgłosem, z miejsca przenosił mnie do nieba.

Tu brakuje mi już słów: będę musiał opracować i przepisać te kawałki, tak jak to będę musiał zrobić później z moim pobylem w Mediolanie; gdzie znaleźć słowa, aby odmalować doskonałe szczęście, kosztowane z nieprzerwaną rozkoszą przez duszę wrażliwą aż do unicestwienia, aż do szaleństwa?

Nie wiem, czy nie poniecham tej pracy. Nie mógłbym, sądzę, odmalować tego szczęścia, uroczego, czystego, świeżego, boskiego, inaczej jak samym wyliczeniem przykrości i nudy, których było pełnym przeciwieństwem. A to musi być bardzo smutny sposób malowania szczęścia.

Siedmiogodzinna jazda w lekkim kabriolecie przez Voreppe, Placette i Saint-Laurent-du-Pont zawiodła mnie do Guiers, rzeki, która dzieliła wówczas Francję od Sabaudii. Zatem wówczas Sabaudia nie była zdobyta przez generała Montesquiou, którego kitkę widzę jeszcze; zajęto ją około 1792, zdaje mi się. Mój boski pobyt w Échelles datuje tedy z roku 1790 albo 1791. Miałem siedem czy osiem lat.

Było to szczęście nagłe, zupełne, doskonałe, spowodowane w jednej chwili zmianą dekoracji. Urozmaicona siedmiogodzinna podróż sprawiła, że znikli z mych oczu na zawsze Serafia, ojciec, lekcje, nauczyciel łaciny, smutny dom dziadka w Grenobli i jeszcze o ileż smutniejszy dom ojca przy ulicy des Vieux-Jésuites.

Serafia, jezuityzm, wszystko, co było tak straszne i potężne w Grenobli, znikło w Échel-les. Ciotka moja, Kamila Poncet, żona wujaszka Gagnon, słuszna i piękna osoba, była uosobieniem dobroci i wesołości. Rok albo dwa przed tą podróżą opodal mostu w Claix widziałem przez chwilę jej białe ciało na dwa palce nad kolanem, kiedy wysiadała z naszej bryczki. Kiedy myślałem o niej, była dla mnie przedmiotem najwyższych pożądań. Żyje jeszcze, nie widziałem jej od trzydziestu albo trzydziestu trzech lat, była zawsze idealnie dobra. Kiedy była młoda, była bardzo uczuciowa. Podobna jest bardzo do tych uroczych kobiet z Chambéry (gdzie bywała często, mieszka o pięć mil), tak dobrze odmalowanych przez J. J. Russa (*Wyznania*); miała siostrę, osobę cudownie delikatnej piękności, o najczystszej cerze, z którą, zdaje mi się, wujaszek romansował trochę. Nie przysięgłbym, czy nie zaszczycał również swoimi względami Franusi, pokojówki „do wszystkiego”, najlepszej i najweselszej dziewczyny pod słońcem, mimo że nieładnej.

Wszystko w tej podróży było urokiem i szczęściem, o którym mógłbym napisać dwadzieścia stronicy wykrzykników.

Trudność i głęboki żal, że źle odmaluję i zepsuję w ten sposób to niebiańskie wspomnienie, w którym *przedmiot o tyle przerasta opowiadającego*, sprawia, że odczuwam przykrość zamiast przyjemności pisania. Może wcale nie opiszę w dalszym ciągu przejścia przez Górę Św. Bernarda z rezerwową armią (16 do 18 maja 1800) i pobytu w Mediolanie w Casa Castelbarco albo w Casa Bovara.

Ostatecznie, aby nie pominąć zupełnie podróży do Échel-les, zapiszę parę wspomnień, które muszą dać pojęcie bardzo nieściśle o zdarzeniach, z którymi się wiąże. Miałem osiem lat, kiedy mi się objawiła ta wizja nieba.

Przychodzi mi na myśl, że może całe nieszczęście mego straszliwego życia w Grenobli od 1790 do 1799 było szczęściem, skoro spowodowało szczęście — najwyższe, nieporównane — pobytu w Échel-les i pobytu w Mediolanie za czasów Marengo.

Przybywszy do Échel-les czułem się przyjacielem całego świata, wszyscy uśmiechali się do mnie, uważali mnie za niezwykle dziecko. Dziadek mój, człowiek obyty w świecie, powiedział mi: „Jesteś brzydki, ale nigdy nikt nie będzie ci pamiętał twojej brzydoty”.

Dowiedziałem się dziesięć lat temu, że jedna z kobiet, która mnie najlepiej lub bodaj najdłużej kochała, Wiktoryna B[igillon], mówiła o mnie w ten sam sposób po dwudziestopięcioletniej rozłące.

W Échel-les znalazłem serdeczną przyjaciółkę we Franusi, jak ją nazywano. Miałem cześć dla piękności cioci Kamili, nie śmiałem prawie do niej mówić, pożerałem ją oczyma. Zaprowadzono mnie do panów Bonne albo de Bonne, bo mieli wielkie pretensje do szlachectwa, nie wiem nawet, czy się nie podawali za krewnych państwa Lesdiguières.

Odnalazłem w kilka lat potem najwierniejszy portret tych zacnych ludzi w *Wyznaniach* Russa, w rozdziale o Chambéry.

Starszy Bonne gospodarował w Berlandet, o dziesięć minut od Échel-les; wydał tam wspaniałą podwieczorek z mlekiem i ciastkami, jeździłem na osle prowadzonym przez młodego Grubillon. Był to najlepszy człowiek pod słońcem. Brat jego, pan Błażej, rejent, był skończonym ciemniwą. Dworowano sobie cały dzień z pana Błażeja, który śmiał się wraz z innymi. Krewniak ich, Bonne-Savardin, kupiec z Marsylii, był bardzo elegancyjki; ale chluba rodziny, fircyk, na którego wszyscy patrzyli z szacunkiem, był w służbie królewskiej w Turynie, widziałem go tylko przelotnie.

Przypominam go sobie jedynie z portretu, który pani Kamila Gagnon ma teraz w swoim pokoju w Grenobli (pokój nieboszczyka dziadka: portret strojny czerwonym krzyżem, z którego cała rodzina jest dumna, wisi między kominkiem a alkierzem).

Była w Échel-les duża i piękna dziewczyna, zbiegła z Lyonu. (Zatem Terror zaczął się w Lyonie, to mogłoby mi dostarczyć ścisłej daty. Ta rozkoszna podróż przypadła przed zdobyciem Sabaudii przez generała Montesquiou, jak powiadano wówczas, po ucieczce rojalistów z Lyonu).

Panna Cochet była pod opieką matki, ale w towarzystwie swego amanta, przystojnego młodzieńca, pana M., bruneta z miną dość smętną. Zdaje mi się, że dopiero co przybyli z Lyonu. Później panna Cochet wyszła za przystojnego dudka, mego krewniaka (pan Doyat z la Terrasse), i miała syna w Szkole Politechnicznej. Zdaje się, że była po trosze kochanką mego ojca. Była duża, dobra, dość ładna i wówczas, kiedy ją znałem w Échelles, bardzo wesoła. Była uroczą na podwieczorku w Berlandet. Ale panna Poncet, siostra Kamili (dziś wdowa po panu Blanchet), miała urodę wytworniejszą; mówiła bardzo mało.

Matka ciotki Kamili i panny Poncet, pani Poncet, siostra panów Bonne i pani Giruod, teściowa mego wuja, była to najlepsza kobieta pod słońcem. Dom jej, gdzie mieszkałem, to była generalna kwatera wesołości.

Ten rozkoszny dom miał galerię drewnianą i ogród od strony rzeki Guiers. Przez ogród szła ukośnie tama na Guiers.

Na drugim podwieczorku w Berlandet zbuntowałem się z zazdrości: panienka, w której się kochałem, robiła słodkie oczy do mego rywala mającego dwadzieścia lub dwadzieścia pięć lat. Ale kto był przedmiotem mojej miłości? Może to sobie przypomnę, jak wiele rzeczy przypomina mi się wśród pisania. Miejsce tej sceny widzę tak wyraźnie, jak gdybym je opuścił przed tygodniem, ale bez żadnej fizjonomii.

Damy rozsiadły się na trawiastym stoku (osiem do dziesięciu stóp). Rozlegały się śmiechy, ratafię Teisseire'a (z Grenobli) piło się z braku szklanek w wieczku szylkretowej tabakierki.

Pamiętam, że po tym wybuchu zazdrości ciskałem kamienie w stronę dam. Wielki Corbeau, oficer na urlopie, wziął mnie i posadził na jabłoni czy na morwie, między dwiema gałęziami, z których bałem się zejść. Zeskoczyłem, uderzyłem się i uciekłem.

Zwichnąłem sobie trochę nogę i uciekałem, kulejąc; kochany Corbeau gonił za mną i zaniósł mnie na ramionach aż do Échelles.

Grał on po trosze rolę *patito*<sup>53</sup>; powiadał mi, że kochał się w pannie Kamili Poncet, mojej ciotce, która przełożyła nadeń świetnego Romana Gagnon, młodego adwokata z Grenobli, wracającego z emigracji z Turynu.

Spotkałem na chwilę w czasie tej podróży pannę Terezinę Maistre, siostrę hrabiego de Maistre, zwanego Bance. (Kiedy widziałem autora *Podróży dokoła mego pokoju* w Rzymie, gdzieś w roku 1832, był to już tylko cień dawnego Bance'a, „reak”, bardzo uprzejmy, wzięty za łeb przez żonę Rosjanekę i zajmujący się jeszcze malarstwem. Talent i wesołość znikły, została tylko dobroć).

Co mam powiedzieć o podróży do grotty? Słyszę jeszcze krople spadające cicho z wielkich skał na drogę. Zrobiliśmy parę kroków w głąb grotty z paniami: panna Poncet złąkla się, panna Cochet okazała więcej odwagi. Wróciliśmy przez most Jean-Lioud (Bóg wie, jak się on naprawdę nazywa).

Co mam rzec o polowaniu w lesie Berland na lewym brzegu Guiers, w pobliżu mostu Jean-Lioud? Raz po raz ślizgałem się pod olbrzymimi bukami. Pan M., amant panny Cochet, polował z panami... (zapomniałem nazwisk i twarzy). Wuj dał memu ojcu ogromnego czarnego psa zwanego Berland. Po roku lub dwóch ta pamiątka tak rozkosznego dla mnie miejsca zdechła na jakąś chorobę, widzę go jeszcze.

W lasach Berland pomieściłbym sceny Ariosta.

Lasy Berland i urwiska na kształt stromego brzegu morskiego, które ograniczają je od gościńca prowadzącego do Saint-Laurent du-Pont, stały się dla mnie czymś świętym i drogim. Tam pomieściłem wszystkie czary Ismeny z *Jerozolimy wyzwolonej*. Za powrotem do Grenobli dziadek pozwolił mi czytać *Jerozolimę*, w przekładzie Mirabaud, mimo wszelkich uwag i protestów Serafi.

Ojciec mój, najmniej wytworny, największy wyga, krętacz, słowem, najbardziej „del-finacki” z ludzi, nie mógł nie być zazdrosny o urok, wesołość, fizyczny i moralny wykwiut mego wuja.

Obwinił go, że „haftuje” (kłamie); pragnąc być tak miły jak wujaszek w czasie tej podróży do Échelles, chciałem „haftować”, aby być do niego podobny.

<sup>53</sup>*patito* — nieszczęśliwie zakochany. [przypis redakcyjny]

Wymyśliłem nie wiem już jaką historię na temat moich lekcji. Jakiś tom ukryty przeze mnie pod łóżkiem, iżby nauczyciel łaciny (czy to był Joubert, czy Durand?) nie naznaczył mi (paznokciem) lekcji do wyuczenia w Échelles.

Wuj odkrył bez trudu kłamstwo ośmio- lub dziewięcioletniego dzieciaka, nie miałem tej przytomności umysłu, aby powiedzieć: „Chciałem być taki przyjemny jak wujaszek!”. Ponieważ go kochałem, rozczuliłem się i nauczka sprawiła na mnie głębokie wrażenie.

Upominając mnie tak rozsądnie i sprawiedliwie, wszystko byłoby można zrobić ze mną. Drzę na tę myśl: gdyby Serafia była tak miła i dowcipna jak jej brat, byłaby ze mnie zrobiła jezuitę.

(Jestem dziś cały *przeziąknięty wzgardą*. Co za nikczemność, co za podłość wśród generałów Cesarstwa! Oto prawdziwa wada geniusza w rodzaju Napoleona: wynieść do najwyższych godności człowieka, dlatego że jest dzielny i umie poprowadzić do ataku. Co za otchłań podłości i tchórzostwa moralnego ci parowie, którzy świeżo skazali podoficera Thomas na dożywotnie więzienie pod słońcem Pondichéry za przewinę zasługującą ledwie na pół roku więzienia! I ci biedni młodzi ludzie wycierpieli już dwadzieścia miesięcy (18 grudnia 1835)!

Z chwilą gdy dostanę *Historię rewolucji* Thiersa, muszę sobie wypisać na marginesie tomu o roku 1793 nazwiska wszystkich generałów-parów, którzy skazali Thomasa, aby nimi odpowiednio gardzić, czytając piękne czyny, które ich wsławiły około 1793. Większość tych nikczemników ma dziś po sześćdziesiąt pięć albo siedemdziesiąt lat. Mój przyjaciel Feliks Faure jest plugawym nikczemnikiem bez pięknych uczynków. A pan d'Houdetot! A Dijon! Powiedziałbym jak Julian: „Kania! Kania! Kania!”).

Daruj mi ten przydługi nawias, czytelniku z roku 1880. Wszystko, o czym mówię, będzie zapomniane w tej epoce. Szlachetne oburzenie, którym drga moje serce i które broni mi napisać więcej, wyda się śmieszne. Jeżeli w roku 1880 będzie Francja miała znośny rząd, wszystkie wstrząśnienia, zwroty, niepokoje, przez jakie przejdzie, aby to osiągnąć, będą zapomniane. Historia wypisze przy imieniu [Ludwika Filipa] tylko jedno słowo: „*Największy hultaj spośród K[ings]*”.

Pan de Corbeau, zostawszy moim przyjacielem od czasu, jak mnie przyniósł na grzbiecie w Berlandet do Échelles, brał mnie na łowienie pstrągów w Guiers. Łowił je pomiędzy wąwozem Chailles, w miejscu, gdzie kończył się urwiskiem, a mostem w Échelles, czasem bliżej mostu Jean-Lioud. Miał wędkę piętnaście albo dwadzieścia stóp długa. Kiedy raz, było to koło wąwozu, podniósł ją żywo, nitka przeleciała ponad drzewo i pstrąg wążący trzy ćwierci funta (te są najlepsze) ukazał się nam na dwadzieścia stóp nad ziemią na szczycie drzewa ogolconego z liści. Co za radość dla mnie!

## ROZDZIAŁ XIV

### *Śmierć biednego Lamberta*

Zamieszczam tutaj, aby go nie zgubić, rysunek, którym ozdobiłem dzisiaj list pisany do mego przyjaciela R. Colomba. Tego roztropnego i poważnego człowieka ukąsił giez Metromanii, co go skłoniło do czynienia mi wyrzutów, ponieważ napisałem przedmowę do nowego wydania pana de Brosses; otóż on również napisał przedmowę.

Ta karta ma być odpowiedzią Colombowi, który powiada, że ja będę nim gardził.

Dodaję: jeśli istnieje drugi świat, pójdę tam złożyć hołd Monteskiuszowi, który może mi powie: „Mój dobry przyjacielu, nie miałeś cienia talentu na tamtym świecie”. To mnie zmartwi, ale nie zdziwi; oko nie widzi samo siebie.

Ale od mojego listu do Colomba osiwieją wszyscy ludzie bogaci; kiedy doszli do dobrobytu, zaczynają nienawidzić ludzi, których czyta publiczność. Urzędnicy w Sprawach Zagranicznych radzi byliby podstawić mi w jakiś sposób nogę w mojej karierze. Ta choroba jest jeszcze jadowitsza, kiedy człowiek bogaty, doszedłszy pięćdziesiątki, ulega manii autorstwa. To tak jak generałowie Cesarstwa, którzy widząc około 1820, że Restauracja ich nie chce, jęli kochać *namiętnie* (to znaczy w braku czegoś lepszego) muzykę.

Wróćmy do roku 1794 albo 1795. Zastrzegam się znowu, że nie zamierzam malować rzeczy samych w sobie, ale jedynie moje wrażenia. W jaki sposób mógłbym nie widzieć prawdy tego prostego spostrzeżenia: nie przypominam sobie fizjonomii moich krewnych, na przykład drogiego dziadka, którego oglądałem tak często i z całym przywiązaniem, do jakiego ambitne dziecko jest zdolne.

Ponieważ wedle barbarzyńskiego systemu przyjętego przez ojca i przez Serafię nie miałem przyjaciela ani kolegi w moim wieku, moja *towarzyskość* (skłonność do swobodnego mówienia o wszystkim) podzieliła się na dwie gałęzie.

Dziadek był moim kolegą poważnym i czcigodnym.

Przyjacielem, któremu mówiłem wszystko, był chłopak bardzo inteligentny nazwiskiem Lambert, służący mego dziadka. Moje zwierzenia często nudziły Lamberta; kiedy go zanadto męczyłem, dawał mi klapsa, bacząc, by nie był za mocny na moje lata. Kochałem go tym bardziej. Główne jego zajęcie, którego bardzo nie lubił, to było chodzić po brzoskwinie do Saint-Vincent (koło Fontanil), folwarczku mego dziadka. Blisko tego dworku, za którym przepadałem, były szpalery wystawione na słońce, gdzie rodziły się wspaniałe brzoskwinie i winogrona. Wszystko to przybywało do Grenoble w dwóch koszykach umieszczonych na końcach płaskiego kija; kij ten kiwał się na ramionach Lamberta, który musiał tak zrobić cztery mile dzielące Saint-Vincent od Grenoble.

Lambert miał ambicję, nie był rad ze swego losu; aby go poprawić, zamierzył hodować jedwabniki za przykładem ciotki Serafi, która szkodziła sobie na piersi hodując jedwabniki w Saint-Vincent. (Przez ten czas oddychałem: dom w Grenoble prowadzony przez dziadka i przez złą ciotkę Elżbietę, stawał się przyjemny. Odważałem się czasami wyjść bez nieodzownego towarzystwa Lamberta).

Ten najlepszy przyjaciel, jakiego miałem, kupił morwę (koło Saint-Joseph) i hodował swoje jedwabniki w izdebce którejś kochanki.

Zbierając liście tej morwy spadł; przyniesiono go na drabinie. Dziadek pielęgnował go jak syna. Ale było wstrząśnienie mózgu, źrenice nie oddziaływały już na światło, umarł po trzech dniach. W malignie, która go nie opuściła do końca, wydawał okropne krzyki, które mi przesywały serce.

Poznałem boleść po raz pierwszy w życiu. Myślałem o śmierci.

Rozdarcie spowodowane śmiercią mojej matki było szaleństwem, w które wchodziło, jak sądzę, wiele miłości. Ból z powodu śmierci Lamberta był to ból taki, jaki odczuwałem przez całą resztę życia: ból świadomy, suchy, bez łez, bez pociechy. Byłem zrozpaczony i bliski omdlenia (za co połażała mnie ostro Serafia), gdym wchodził po dziesięć razy do pokoju mego przyjaciela, oglądał jego piękną twarz: był umierający, konał. Nie zapomnę nigdy jego pięknych, czarnych brwi oraz tego wyrazu siły i zdrowia, który w agonii jeszcze się potęgował. Patrzałem, jak mu krew puszczano; po każdym puszczeniu krwi widziałem, jak czyniono próbę, świecić mu w oczy (wrażenie, które przypominało mi się w wieczór po bitwie pod Landshut, zdaje mi się, w 1809 r.).

Widziałem raz we Włoszech twarz świętego Jana patrzącego na krzyżowanie swego przyjaciela i swego Boga i nagle przejęło mnie wspomnienie tego, czego doświadczyłem dwadzieścia pięć lat wprzód przy śmierci „biednego Lamberta” — epitet, który dawano mu w mojej rodzinie po śmierci. Mógłbym wypełnić jeszcze kilka stron *wyraźnymi* wspomnieniami, jakie zachowałem z tej wielkiej boleści. Zabito trumnę, wyniesiono go...

*Sunt lacrimae rerum.*<sup>54</sup>

Tę samą stronę mego serca wzruszają niektóre partie akompaniamentu Mozarta w *Don Juanie*.

Pokój biednego Lamberta był przy głównych schodach, obok szafy z likworami.

W tydzień po jego śmierci Serafia wpadła bardzo słusznie w gniew, ponieważ jej podano zupełną fajansową wyszczerbioną talerzykę, który widzę jeszcze (czterdzieści lat po fakcie), który służył do zebrania krwi Lamberta, kiedy mu ją puszczano. Wybuchnąłem nagle płaczem, dławiliśmy się od szloch. Nie mogłem wcale płakać po śmierci matki. Zacząłem móc płakać dopiero w więcej niż rok później, sam, w nocy, w łóżeczku. Serafia

<sup>54</sup>*Sunt lacrimae rerum* — Rzeczom także zdarza się płakać (dosł.: są łzy rzeczy); Wergiliusz, *Eneida* (ks. I, w. 462). [przypis redakcyjny]

widząc, że płacząc po Lambercie, zrobiła mi scenę. Odszedłem do kuchni, powtarzając półgłosem, jakby przez zębostkę: „Haniebne! haniebne!”.

Moje najśladzkie chwile spędzone z przyjacielem były wtedy, kiedy zajęty był piłowaniem drzewa w drewni odgradzonej od dziedzińca sztachetkami z furtką.

Po jego śmierci stanąłem na balkonie drugiego piętra; widziałem doskonale gałki na sztachetach, wydały mi się znakomite do robienia bąków. W jakim wieku mogłem być wówczas? Ta myśl o bąku świadczy, że już byłem w wieku niejakiego rozeznania. Myślę jedno: mógłbym kazać wyszukać metrykę zgonu biednego Lamberta; ale czy „Lambert” to było imię chrzestne, czy nazwisko? Zdaje mi się, że jego brat, który miał małą kawia- renkę, dość podejrzaną, przy ulicy Bonne, blisko koszar, też nazywał się Lambert. Ale co za różnica, wielki Boże! Uważałem wówczas, że nie ma nic równie *pospolitego* jak ten brat, do którego Lambert prowadził mnie czasem. Bo trzeba wyznać, mimo moich przekonań wówczas doskonale i szczerze republikańskich, rodzice moi najzupełniej przelali we mnie swoją arystokratyczną wyłączność. Ta wada została mi; ona to przeszkodziła mi dziesięć dni temu uszczknąć miłą awanturkę. Nienawidzę motłochu (to znaczy stosunków z nim), a równocześnie, pod mianem *ludu*, pragnę gorąco jego szczęścia i sądzę, że nie można mu go zapewnić inaczej, jak tylko pytając się go o zdanie w ważnych kwestiach, to znaczy powołując go do wybierania sobie posłów.

Moi przyjaciele, lub raczej rzekomi przyjaciele, opierają się na tym, aby powątpie- wać o szczerości mego liberalizmu. Brzydzą się tym, co brudne, a lud jest zawsze brudny w moich oczach. Jest tylko jeden wyjątek: Rzym; ale tam brud kryje się pod okrucień- stwem. (Na przykład jedyne w swoim rodzaju niechlujstwo księdza Crobras, Sardynczy- ka; ale mam bezgraniczny szacunek dla jego energii. Jego pięcioletni proces z przelożony- mi. *Ubi missa, ibi mensa*<sup>55</sup>. Mało jest ludzi tego kalibru. Książęta Caetani znają doskonale historię księdza Crobras, z Sartène, zdaje mi się, na Sardynii).

Miny, które stroiłem stojąc na tym balkonie, są niewiarygodne. Doprawdy, żyła mogła mi pęknąć. Omal się nie uszkodziłem, starając się je odtworzyć w czterdzieści lat później. Kto pamięta dziś o Lambercie prócz serca jego przyjaciela!

Pójdę dalej: kto pamięta Aleksandrę, zmarłą w styczniu 1815, dwadzieścia lat temu?

Kto pamięta Metylde, zmarłą w 1825?

Czyż one nie są moje, skoro ja je kocham bardziej niż wszystko w świecie, skoro myślę o nich gorąco dziesięć razy w ciągu tygodnia, często po dwie godziny z rzędu?

## ROZDZIAŁ XV

Matka moja miała rzadki talent do rysunku, powiadano często w rodzinie. „Ach, czegoż ona nie umiała robić!” — dodawano z głębokim westchnieniem. Po czym — długie i smutne milczenie. Faktem jest, że przed rewolucją, która wszystko zmieniła w tym zaścianku, uczono rysunku w Grenobli tak samo pocieszenie jak łaciny. Rysować znaczyło robić sangwiną kreski dokładnie równoległe i naśladowujące rycinę; niewiele zważano na kontur.

Znajdowałem często wielkie głowy sangwiną rysowane przez matkę.

Dziadek mój powołał się na ten przykład, na ten wszechpotężny *precedens*; wbrew Serafii miałem się uczyć rysunku u pana Le Roy. To był wielki punkt wygrany; ponieważ pan Le Roy mieszkał w domu Teisseire’ów, przed wielkim portalem Jakobinów, z czasem pozwolono mi chodzić do niego, a zwłaszcza wracać samemu.

To była dla mnie olbrzymia rzecz. Moi tyrani — tak ich nazywałem, kiedy widziałem biegające inne dzieci — zezwalali, abym przebywał sam drogę z P do R<sup>56</sup>. Zrozumiałem, że idąc bardzo szybko (bo liczono minuty, a okno Serafii wychodziło właśnie na plac Grenette) mogę obejść plac targowy, na który prowadził portal L. Byłem narażony na odkrycie jedynie na odcinku R-L. Zegar Św. Andrzeja, który regulował czas w mieście, dzwonił kwadrans; miałem wyjść o wpół do czwartej albo o czwartej (nie przypominam sobie dokładnie) od pana Le Roy i w pięć minut potem być w domu. Pan Le Roy albo raczej pani Le Roy, szelmeczka trzydziestopięcioletnia, bardzo ponętna i ze ślicznymi oczami, miała specjalnie poleczone — pod grozą, jak sądzę, utraty dobrze płacącego ucznia

<sup>55</sup>*Ubi missa, ibi mensa* — [tu przen.] Kto Kościołowi służy, z Kościoła żyje. [przypis redakcyjny]

<sup>56</sup>*drogę z P do R* — w tym miejscu tekst odnosi się do szkicu zamieszczonego w źródle. [przypis edytorski]

— nie wypuszczać mnie aż o kwadrans na czwartą. Czasami, wchodząc do tego domu, zatrzymywałem się całe kwadransy, patrząc przez okno ze schodów, w punkcie F, jedynie dla tej przyjemności, aby się czuć wolny. W tych rzadkich chwilach, zamiast zajmować się obliczaniem postępowania moich tyranów, wyobrażenia moja cieszyła się wszystkim.

Niebawem najważniejszą sprawą stało się dla mnie zgadnąć, czy Serafia będzie w domu o wpół do czwartej, w chwili mego powrotu. Moja poczciwa przyjaciółka Marion (Maria Thomasset z Vinay), molierowska służąca, która nienawdziła Serafii, pomagała mi w tym znacznie. Jednego dnia, kiedy Marion powiedziała mi, że Serafia wychodzi po kawie, koło trzeciej, do swojej przyjaciółki, pani Vignon, dewotki, odważyłem się iść do miejskiego ogrodu pełnego małych urwisów. W tym celu przebyłem plac Grenette poza budą z kasztanami i pompą i wśliznąłem się w bramę parku.

Spostrzeżono mnie, jakiś przyjaciel albo protegowany Serafii zdradził mnie: wielka scena wieczór u dziadków. Skłamałem oczywiście na pytanie Serafii: „Czy byłeś w parku?”

Na to dziadek pojął mnie łagodnie i grzecznie, ale stanowczo, za kłamstwo. Czulem żywo to, czego nie umiałem wyrazić. Czyż kłamstwo nie jest jedyną ucieczką niewolników? Stary służący w typie La Rancune, następca biednego Lamberta, wierny wykonawca rozkazów rodziny, mówiący o sobie z goryczą: „Jestem oprawcą nocników”, miał polecenie odprowadzać mnie do pana Le Roy. Byłem wolny w dnie, w które on chodził do Saint-Vincent po owoce.

Ten przebłysk wolności rozwścieczył mnie. „Co oni mi zrobią, ostatecznie? — mówiłem sobie. — Któryż chłopiec w moim wieku nie chodzi sam?”

Kilka razy zaszedłem do parku; skoro się spostrzeżono, łajano mnie, nie odpowiadałem nic. Zagrożono mi skasowaniem rysunku, ale ja ponawiałem swoje wyprawy. Zasmakowawszy w odrobinie wolności, zdziwiałem. Ojciec zaczynał grzęznąć w swojej pasji do rolnictwa i udawał się często do Claix. Zdawało mi się, że w jego nieobecności zaczynam być postrachem dla Serafii. Ciotka Elżbieta, przez swą hiszpańską dumę, nie mając legalnej władzy, zachowywała neutralność; dziadek, ceniąc przede wszystkim swą wygodę, z natury nienawdził krzyków; Marion i siostra moja, Paulina, były wyraźnie za mną. Serafia uchodziła za wariatkę w oczach wielu ludzi, na przykład w oczach naszych kuzynek, pani Colomb i pani Romagnier, przemilych kobiet. (Mogłem je ocenić, skoro doszedłem do lat rozsądku i poznałem nieco życie). W tym czasie jedno słowo pani Colomb przywołało mnie do opamiętania, co każe mi przypuszczać, że łagodnością wszystko dałoby się zrobić ze mną, prawdopodobnie płaskiego mieszczucha kutego na cztery nogi. Zacząłem się opierać Serafii, miałem straszliwe ataki gniewu. „Nie pójdziesz już do pana Le Roy” — mówiła.

Zdaje mi się, kiedy się nad tym zastanawiam, że zwycięstwo było po stronie Serafii i tym samym przerwa w lekcjach rysunku.

Terror w Grenobli był tak łagodny, że ojciec mój od czasu do czasu wracał do swego domu przy ulicy des Vieux-Jésuites. Tam widzę pana Le Roy dającego mi lekcje przy wielkim czarnym biurku w gabinecie ojca i mówiącego do mnie pod koniec lekcji: „Panie Henryku, niech pan powie swemu *drogiemu* ojcu, że nie mogę nadal przychodzić za 35 (albo 45?) franków miesięcznie”.

Chodziło o asygnaty, które „leciały na łeb” (wyrażenie miejscowe). Ale pod jaką datą pomieścić ten bardzo wyraźny obraz, który mi się nagle przypomniał? Może było to o wiele później, w epoce kiedy malowałem gwaszem.

Rysunki pana Le Roy były dla mnie rzeczą najmniej ważną. Mistrz ten kazał mi robić oczy z profilu i *en face* i uszy sangwiną wedle innych rycin udających ołówki.

Pan Le Roy był to *Paryżanin*, bardzo grzeczny, suchy i słaby, postarzały wskutek najstraszliwszej rozpusty (takie jest moje wrażenie, ale jak zdołałbym usprawiedliwić słowo „najstraszliwsza?”); poza tym grzeczny, cywilizowany na sposób paryski, co na mnie robiło wrażenie nadzwyczajnej grzeczności, ile że przywykłem do zimnych, markotnych, dalekich od cywilizacji min, które stanowią zwyczajną fizjonomię szczywanym mieszkańców Delfinatu. (Patrz charakter starego Sorel w *Czerwonym*, ale gdzie, u licha, będzie *Czerwone* w 1880? Powędruje do Hadesu!)

Pewnego wieczora o zmierzchu (było zimno) odważyłem się wymknąć, niby to idąc po ciotkę Elżbietę do pani Colomb; ośmieliłem się wejść do Klubu Jakobinów, który

odbywał swoje posiedzenia w kościele Św. Andrzeja. Byłem przepelniony bohaterami historii rzymskiej; widziałem się w przyszłości Kamilem lub Cyncynatem, albo oboma naraz. „Bóg wie, na jaką karę się narażam — powiadałem sobie — jeśli jakiś *szpieg Serafi* (tak myślałem wówczas) spostrzeże mnie tutaj”.

Ujrzałem prezesa, jakieś źle ubrane kobiety, żądano głosu i mówiono dosyć bezładnie. Dziadek zazwyczaj drwił sobie, *na wesoło*, z ich sposobu mówienia. Zdało mi się od pierwszej chwili, że dziadek miał słuszność; wrażenie było niezbyt korzystne; ci ludzie, których byłbym chciał kochać, wydali mi się straszliwie pospolici. Ten ciasny i wysoki kościół był bardzo lichy oświetlony; widziałem tam wiele kobiet najniższej klasy. Słowem, byłem wówczas taki jak dziś: Kocham lud, nienawidzę ciemnych, ale byłoby dla mnie nieustanną męką żyć wśród ludu.

Pożyczę na chwilę języka Cabanisa. Mam skórę o wiele zbyt delikatną, skórę kobiecą (później robiły mi się zawsze pęcherze, kiedy trzymałem szablę przez godzinę), kaleczę sobie palce, które mam bardzo ładne, od lada drobnostki; słowem, powłoka mego ciała jest kobieca. Stąd może bezgraniczny wstręt do wszystkiego, co *brudne* albo *wilgotne*, albo *czarniawe*. Wiele z owych rzeczy widziałem u tych jakobinów.

Kiedym w godzinę potem wszedł do pani Colomb, ciotka moja o charakterze hispańskim popatrzała na mnie bardzo serio. Wyszliśmy; kiedyś byli sami na ulicy, rzekła:

— Jeśli się będziesz tak wymyślał, ojciec spostrzeże się...

— Nigdy, jeśli Serafia mnie nie zadenuncjuje..

— Pozwól mi mówić... A ja nie mam ochoty rozmawiać z ojcem na twój temat. Już cię nie wezmę nigdy do pani Colomb.

Te słowa powiedziane z wielką prostotą poruszyły mnie; uderzyła mnie szpetota jakobinów; nazajutrz i następnych dni chodziłem zadumany, bożyszczę moje zachwiało się. Gdyby dziadek był odgadł mój stan duszy (a byłbym mu wszystko powiedział, gdyby mnie spytał w chwili, gdyśmy polewali kwiaty na terasie), byłby mógł na zawsze ośmieszyć jakobinów i sprowadzić mnie na łono „arystokracji” (tak nazwanej wówczas, dziś noszącej miano legitymistów lub konserwatystów). Zamiast idealizować jakobinów wyobraźnia moja zaczęłaby sobie uprzytamniać, bodaj przesadnie, brud ich sali u Św. Andrzeja.

Zostawione samo sobie niechlujstwo to zatarło się niebawem pod wpływem jakiegoś opowiadania o wygranej bitwie, przy którym jęczała moja rodzina.

W tej epoce wyobraźnia moja zaczynała przyswajać sobie sztukę, drogę zmysłów, powiedziałaby kaznodzieja. W pracowni pana Le Roy znajdował się wielki i piękny krajobraz: stroma góra na bardzo bliskim planie, strojna w piękne drzewa; u stóp tej góry strumień płytki, ale szeroki, przezroczysty, płynął od lewej do prawej u stóp ostatnich drzew. Trzy kobiety prawie nagie (albo bez „prawie”) kąpały się wesoło. Był to prawie jedyny jasny punkt na tym płótnie mającym półczwartej na półtrzeciej stopy.

Krajobraz ten, o czarującej zieloności, zastawszy wyobraźnię przygotowaną przez *Felicję*<sup>57</sup> stał się dla mnie ideałem szczęścia. Było to pomieszanie tkliwych uczuć i słodkiej rozkoszy. Kąpać się w ten sposób z tak uroczyimi kobietami!

Przezroczysta woda stanowiła luby kontrast z cuchnącymi strumieniami w Granges, pełnymi żab i pokrytymi zieloną pleśnią. Zieloną roślinę, która rośnie na tych brudnych strumieniach, brałem za zgniliznę. Gdyby dziadek był mi powiedział: „To roślina; nawet pleśń, która psuje chleb, jest rośliną”, wstręt mój byłby w jednej chwili ustał. Przemogłem go całkowicie aż wówczas, kiedy pan Adrian de Jussieu podczas naszej podróży do Neapolu w 1832 (ten człowiek tak naturalny, tak rozsądny, tak godny kochania) opowiadał mi obszernie o tych roślinkach, zawsze trochę podejrzanych o zgniliznę w moich oczach, mimo że wiedziałem mglisto, że to są rośliny.

Mam tylko jeden sposób trzymania na wodzy mojej wyobraźni, aby mi nie płała sztuk, to jest iść prosto do celu. Przekonałem się o tym, idąc na dwie armaty (o czym jest mowa w świadectwie generała Michaud).

Później (chcę rzec około 1805) w Marsylii miałem rozkoszną przyjemność, oglądając moją kochankę, wspaniale zbudowaną, kąpiącą się w rzece Huveaune, uwieńczoną wielkimi drzewami (w wiejskiej posiadłości pani Rey).

<sup>57</sup>*Felicja albo Moje hulanki (1776)* — powieść A. R. Andrea de Nerciat. [przypis redakcyjny]



Przypomniałem sobie żywo ów krajobraz, który przez kilka lat był dla mnie *ideałem* zmysłowego szczęścia. Byłbym mógł wykrzyknąć jak nie wiem już jaki dudek z którejś z powieści z roku 1832: „Oto mój ideał!”.

Wszystko to (łatwo zrozumieć) jest zupełnie niezależne od wartości obrazu, który był prawdopodobnie talerzem szpinaku, bez żadnej perspektywy.

Później *Nieważny traktat* (opera Gaveaux) stał się dla mnie początkiem namiętności, która zatrzymała się na *Matrimonio segreto* poznanym w Ivree (koniec maja 1800) i na *Don Juanie*.

## ROZDZIAŁ XVI

Pracowałem przy małym stoliku pod oknem wielkiego włoskiego salonu, tłumaczyłem z przyjemnością Wergilego czy *Metamorfozy* Owidiusza, kiedy złowrogi pomruk ogromnego tłumu zebranego na placu Grenette powiadomił mnie, że zgilotynowano dwóch księży.

To była jedyna krew, jaką Terror roku 93 rozlał w Grenobli.

Oto moja wielka wina: czytelnik mój z roku 1880, daleki od zawziętości stronnictw, zniechęcał mnie, kiedy mu wyznam, że ta śmierć, która ścięła zgrozą mego dziadka, która doprowadziła do furii Serafię, która pogłębiła wyniosłość i hiszpańskie milczenie ciotki Elżbiety, zrobiła mi *pleasure*<sup>58</sup>. Napisałem to wielkie słowo.

Więcej jeszcze, jeszcze gorzej: jeszcze w 1835 *I am the man of 1794*<sup>59</sup>

(Oto jeszcze sposób zahaczenia prawdziwej daty. Regestr Sądu Karnego, obecnie Trybunału Apelacyjnego, przy placu Św. Andrzeja musi zawierać datę śmierci księży Revenas i Guillabert).

Spowiednik mój, ksiądz Dumollard z Bourg-d'Oisans (jednooki, niezły człowiek na pozór, od 1815 wściekły jezuita), pokazał mi z gestami, które mi się wydały śmieszne, modlitwy czy wiersze łacińskie pisane przez księży Revenas i Guillabert, dla których chciał koniecznie wmówić mi szacunek niby dla generałów brygady.

Odpowiedziałem hardo:

— Dziadzio powiadał mi, że przed dwudziestu laty powieszono na tym samym miejscu dwóch pastorów protestanckich.

— Och, to zupełnie co innego!

— Sąd skazał tamtych za ich religię; Sąd Karny skazał tych za to, że zdradzili ojczyznę. Jeżeli nie takie były słowa, taki był w każdym razie sens.

Ale nie wiedziałem jeszcze, że dysputować z tyranami jest niebezpieczne, musieli czytać w moich oczach brak sympatii dla dwóch zdrajców ojczyzny. (Nie było w roku 1795 i nie ma w moich oczach w roku 1835 żadnej zbrodni, którą by można *porównać* z tą, nawet w przybliżeniu).

Zrobiono mi straszliwą scenę, ojciec wpadł na mnie w taki gniew, jakiego nigdy nie pamiętam. Serafia tryumfowała. Ciotka Elżbieta nagadała mi na osobności moralów. Ale zdaje mi się, Boże odpuść, przekonałem ją, że to jest prawo odwetu.

Shczęściem dla mnie, dziadek nie przyłączył się do moich wrogów; prywatnie był zdania, że śmierć dwóch pastorów protestanckich była równą niegodziwością.

— Właśnie że nie, za tyrana Ludwika XV ojczyzna nie była w niebezpieczeństwie.

Nie powiedziałem „tyrana”, ale fizjonomia moja musiała to wyrażać.

Gdyby dziadek, który już był przeciw mnie w sprawie księdza Gardon, znalazł się tak samo w tej sprawie, to byłby koniec, przestałbym go kochać. Nasze rozmowy o literaturze, Horacy, pan de Voltaire, XV rozdział *Belizariusza*<sup>60</sup>, piękne ustępy z *Telemaka* i *Setos*, które ukształtowały mój umysł, byłyby się skończyły i byłbym o wiele nieszczęśliwszy przez cały czas, jaki upłynął od śmierci dwóch nieszczęsnych ks[ięży] aż do mojej wyłącznej pasji do matematyki: wiosna albo lato 1797.

Wszystkie zimowe popołudnia spędzało się z nogami wyciągniętymi do słońca w pokoju ciotki Elżbiety, który wychodził na Grenette. Nad kościołem Św. Ludwika (lub aby

<sup>58</sup>*pleasure* (ang.) — przyjemność. [przypis redakcyjny]

<sup>59</sup>*I am the man of* (ang.) — jestem człowiekiem z [roku]. [przypis redakcyjny]

<sup>60</sup>XV rozdział „*Belizariusza*” (...) „*Setos*” — filozoficzno-polityczna powieść Marmontela *Belizariusz* (1767) cieszyła się wówczas dużym rozgłosem, zwłaszcza poruszający zagadnienie tolerancji rozdział XV; *Setos* (1731): powieść filozoficzna księdza Terrasson. [przypis redakcyjny]

rzec lepiej: obok) widać było górę Villard-de-Lans w kształcie trapezu. Tam biegła moja wyobraźnia, wiedzona przez Ariosta pana de Tressan, widziała, marzyła jedynie łąkę pośród wielkich gór.

Dziadek miał zwyczaj mówić, pijąc wyborną kawę około drugiej po południu, z nogami do słońca: „Od 15 lutego w tym klimacie; dobrze jest na słońcu”.

Lubił bardzo kwestie geologiczne i byłby stronnikiem lub przeciwnikiem teorii pana Élie de Beaumont, które mnie zachwycają. Dziadek mówił do mnie z *przejęciem* — to najważniejsze — o ideach geologicznych niejakiego pana Guettard, którego znał, o ile mi się zdaje.

Zauważyłem z siostrą moją Pauliną, która trzymała ze mną, że rozmowa w najpiękniejszym momencie dnia, przy kawie, polegała zawsze na jęczeniu. Jęczano nad wszystkim.

Nie mogę dać tu rzeczywistości faktów, mogę dać tylko ich *cień*.

Spędziliśmy letnie wieczory, od siódmej do wpół do dziesiątej (o dziewiątej rozlegał się dzwon Św. Andrzeja; piękny ton tego dzwonu przejmował mnie żywym wzruszeniem). Ojciec mój, mało wrażliwy na piękno gwiazd (z dziadkiem rozmawiałem wciąż o konstelacjach), powiadał, że boi się zakatarzyć, i szedł rozmawiać z Serafią w przyległym pokoju.

Terasa ta, utworzona przez szerokość muru zwanego Saracemem, wysokiego na piętnaście do osiemnastu stóp, miała wspaniały widok na góry Sassenage, gdzie słońce zachodziło w zimie, na skały Voreppe (letni zachód słońca) i na północno-zachodnie stoki tej góry, na której znajduje się Bastylia (a której wygląd tak się zmienił dzisiaj wskutek prac generała Haxo); masyw jej górował nad najwyższymi domami i nad wieżą Rabot, która była, zdaje mi się, najstarszym wejściem do miasta, zanim wykuto bramę Portede-France.

Trucizna

Dziadek mój robił wiele wkładów w tę terasę. Stolarz Poncet zamieszkał przez rok w gabinecie przyrodniczym, gdzie zrobił szafy z białego drzewa; następnie porobił skrzynie osiemnaście cali szerokie i dwie stopy wysokie, z kasztana, napełnione dobrą ziemią, z winem i kwiatami. Dwa szczepy wyrastały z ogrodu pana Périer-Lagrange, poczciwego głuptasa, naszego sąsiada.

Dziadek kazał tam porobić odrzwia z listwami z kasztana. Tę ważną pracę powierzono stolarzowi zwanemu Poncet, poczciwemu trzydziestoletniemu pijaczynie, dość wesołemu. Został moim przyjacielem, z nim wreszcie zażywałem słodkiej równości.

Dziadek podlewał kwiaty co wieczór, czasem dwa razy. Serafia nigdy nie przychodziła na tę terasę; była to chwila wytchnienia. Pomagałem zawsze dziadkowi w podlewaniu kwiatów; on mi mówił o Linneuszu i o Pliniuszu, nie z obowiązku, ale z przyjemności.

Oto wielka i niezmierna wdzięczność, jaką winien jestem temu człowiekowi. Na domiar szczęścia drwił on sobie obficie z pedantów (dzisiejszych Lerminier, Salvandych etc.), miał umysł w rodzaju pana Letronne, który świeżo zdetronizował Memnona<sup>61</sup> (*ni mniej, ni więcej tylko statwę Memnona*). Dziadek mówił iż tym samym zainteresowaniem o Egipcie: pokazał mi mumię kupioną jego staraniem dla biblioteki publicznej; tam przezacny ojciec Ducros (pierwszy niepospolity człowiek, z którym rozmawiałem w życiu) rozwijał dla mnie nadzwyczajną uprzejmość. Dziadek, ku wielkiemu niezadowoleniu Serafi popartemu milczeniem mego ojca, dał mi czytać *Setos*, ciężki romans księdza Terrasson, wówczas boski dla mnie. Romans jest jak smyczek; skrzypce, *które wydają ton*, to dusza czytelnika. Moja dusza była wówczas szalona, opowiem dłaczego.

Podczas gdy dziadek czytał, siedząc w fotelu naprzeciw małego biustu Woltera, patrzałem na półki z książkami, przeglądałem tomy Pliniusza in 4<sup>o</sup>, tłumaczenie z tekstem obok. Tam szukałem zwłaszcza historii naturalnej *kobiety*.

Wyborny zapach (ambra i piżmo, które mnie przyprawiają o chorobę od szesnastu lat; może to ten sam zapach ambry i piżma?) pociągnął mnie ku stosowi książek nieoprawnych, porzuconych na kupę. Były to liche romanse, które wuj zostawił w Greno-

<sup>61</sup> *Letronne, który świeżo zdetronizował Memnona* — archeolog francuski J. A. Letronne opublikował w 1833 r. pracę o kolosach Memnona (*La statue vocale de Memnon*); Stendhal posłużył się tu cytatem z *Chorego z urojenia* (akt II, sc. 5). [przypis redakcyjny]

bli, wyjeżdżając na stałe do Échelles (Saubaudia, w pobliżu Pont-de-Beauvoisin). Odkrycie to miało stanowczy wpływ na mój charakter. Przejrzałem kilka z tych książek, były to najnędniejsze romansidła z 1780, ale dla mnie to był ekstrakt rozkoszy.

Dziadek zakazał mi ich dotykać, ale śledziłem chwilę, gdy był najbardziej zatopiony w nowych książkach, których nie wiem skąd miał zawsze wielką obfitość, i ściągnąłem jakiś tom z romansów wuja. Dziadek zauważył z pewnością moje grabieże, bo widzę się siedzącego w gabinecie przyrodniczym i czyhającego na chwilę, gdy dziadka wezwie jakiś chory. Wtedy dziadek jęczał, że go odrywają od jego drogich książek, i szedł przyjąć chorego w swoim pokoju albo w przedpokoju do wielkiego salonu. Trach! wpadałem do gabinetu i ściągałem tom.

Nie umiałbym opisać namiętności, z jaką czytałem te książki. Po miesiącu lub dwóch znalazłem *Felicję albo Moje hulanki*. Oszalałem po prostu, posiadanie rzeczywistej kochanki, wówczas cel wszystkich moich pragnień, nie byłoby mnie pograżyło w takiej otchłani rozkoszy.

Z tą chwilą powołanie moje rozstrzygnęło się: żyć w Paryżu, pisząc komedie jak Molière.

To była moja niezłomna myśl, którą ukrywałem głęboko, gdyż tyrania Serafii zaszczerpiła mi obłudę niewolnika.

Nigdy nie umiałem mówić o tym, com ubóstwiał, zdałoby mi się to bluźnierstwem.

Czuję to równie żywo w roku 1835, jak czułem w 1794.

Te książki wuja nosiły pieczętkę pana Falcon, który prowadził wówczas jedyną czytelną literacką; był to gorący patriota, przedmiot głębokiej pogardy dziadka, a silnej nienawiści Serafii i mego ojca.

To zyskało mu moją sympatię; ze wszystkich mieszkańców Grenobli jego może najbardziej szanowałem. Była w tym dawnym lokaju pani de Brizon (czy innej damy z ulicy Nowej, u której usługiwał on memu dziadkowi do stołu), była w tym lokaju dusza dwadzieścia razy szlachetniejsza niż dusza mego dziadka lub wuja, nie mówiąc już o ojcu i o jezuitce Serafii. Może jedyną ciotkę Elżbietę można by z nim porównać. Biedny, zarabiający mało i gardzący pieniędzmi, Falcon wywieszał trójkolorową chorągiew przed sklepem za każdym zwycięstwem i każdym świętem Republiki.

Ubóstwiał tę Republikę za Napoleona jak za Burbonów, umarł w osiemdziesiątym drugim roku życia, około 1820, wciąż biedny, ale uczciwy do ostatnich granic.

Przechodząc zerkałem na sklep Falcona. On sam nosił wielki, staromodny tupet, starannie upudrowany, i wdziawał piękny, czerwony frak ze stalowymi guzami w dni szczęśliwe dla jego drogiej Republiki. Był to najpiękniejszy okaz delfinackiego charakteru. Sklep jego znajdował się w pobliżu placu Św. Andrzeja, przypominam sobie jego przeprowadzkę. Falcon miał zająć sklep w dawnym Pałacu Delfina, gdzie był Parlament, a potem Apelacja. Przechodziłem często tamtędy, aby go widzieć. Miał córkę bardzo brzydką, stała przedmiot żarcików ciotki Serafii, która obwiniała ją, że romansuje z patriotami zachodzącymi na dzienniki do czytelnicy jej ojca.

Później Falcon przeniósł się na pobliską ulicę, wówczas odważyłem się zachodzić czytać u niego. Nie wiem, czy w epoce, gdy kradłem książki wuja, miałem odwagę zaabonować się u niego; ale zdaje mi się, że w jakiś sposób miałem jego książki.

Na bieg moich marzeń wpłynęły potężnie *Życie i przygody pani de\*\*\**, romans bardzo wzruszający, może bardzo śmieszny, bo bohaterka dostała się w ręce dzikich. Pożyczyłem, zdaje mi się, ten romans przyjacielowi memu Romanowi Colomb, który dotychczas go zachował w pamięci.

Niebawem sprokurowałem sobie *Nową Heloizę*; zdaje mi się, że wziąłem ją z najwyższej półki biblioteki ojca w Claix.

Przeczytałem ją, leżąc na łóżku w moim pokoiku w Grenobli, zamknąwszy się starannie na klucz; tonąłem w upojeniu szczęścia i rozkoszy trudnym do opisanie. Dziś dzieło to wydaje mi się pedantyczne i nawet w 1819, w uniesieniach najszańszej miłości, nie mogłem zeń przeczytać dwudziestu stronic z rzędu.

Odtąd kraść książki stało się moim najważniejszym zajęciem. Miałem kącik obok biurka mego ojca, przy ulicy des Vieux-Jésuites, gdzie ukrywałem książki, które mi się podobały: egzemplarz Danta z dziwnymi drzeworytami, przekłady z Lukiana przez Per-

rota d'Ablancourt („piękne a niewierne”, jak mówi przysłowie); *Korespondencja milorda All-eye z milordem All-ear* margrabiego d'Argens, wreszcie *Pamiętniki człowieka dobrze urodzonego*<sup>62</sup>.

Znalazłem sposób, aby otwierać gabinet ojca, opustoszały od czasu nieszczęsnej tyranii Amara i Merlino, i odbyłem dokładny przegląd wszystkich książek. Była tam wspaniała kolekcja elzewirów, ale na nieszczęście nie miałem pojęcia o łacinie, mimo że umiałem na pamięć *Selectae e Profanis*. Znalazłem parę tomów *Encyklopedii* (in 12°) na półce nad niskimi drzwiami prowadzącymi do salonu i próbowałem przeczytać kilka artykułów. Ale czym było to wszystko w porównaniu z *Felicją* albo *Nową Heloizą*?

Zaufanie literackie, jakie pokładałem w dziadku, było nadzwyczajne, ufałem, że mnie nie zdradzi przed Serafią i ojcem. Nie przyznając się, że czytałem *Nową Heloizę*, odważyłem się mówić o niej z zachwytem. Nawrócenie dziadka na jezuityzm nie musiało być dawne; zamiast mnie wypytywać surowo opowiedział mi, że baron des Adrets (jedyne przyjaciel, u którego bywał na obiedzie dwa lub trzy razy na miesiąc od śmierci mojej matki) w epoce, gdy ukazała się *Nowa Heloiza* (czy to nie w 1770?), zapóźnił się w domu do obiadu; pani des Adrets kazała go poprosić drugi raz, wreszcie ten człowiek tak zimny przyszedł cały we łzach. „Co tobie, mój drogi?” — spytała pani des Adrets zaniepokojona. „Och, Julia umarła!” I prawie nic nie jadł.

Pożerałem ogłoszenia o książkach na sprzedaż, które przychodziły z dziennikami. Rozdżina moja prenumerowała wówczas, zdaje mi się, jakiś dziennik na spółkę z kimś.

Wyobraziłem sobie, że Florian to musi być wspaniała książka, zapewne z tytułów: *Gonzalwa z Kordowy*, *Estella* etc.

Włożyłem talara (3 franki) do listu i napisałem do księgarza w Paryżu, aby mi przysłał jakąś książkę Floriana. To było śmiało; co by powiedziała Serafia po nadejściu paczki?

Ale nie nadeszła nigdy; dopiero za Ludwika, którego dziadek dał mi na Nowy Rok, kupiłem Floriana. I z dzieł tego wielkiego człowieka wykroiłem moją pierwszą komedię.

## ROZDZIAŁ XVII

Serafia miała serdeczną przyjaciółkę, panią Vignon, pierwszą świętoszkę w mieście. Pani Vignon mieszkała na trzecim piętrze przy placu Św. Andrzeja i była, zdaje mi się, żoną prokuratora, ale szanowano ją jak matkę K[ościola], rozdającą posady ks[iężom] i zawsze mającą u siebie kilku przejezdnych ks[ięży] na składzie. Bardziej wzruszało mnie to, że miała piętnastoletnią córkę, dosyć podobną do białego królika z wielkich i czerwonych oczu. Próbowałem na próżno zakochać się w niej w czasie tygodniowej czy dwutygodniowej wyprawy, jaką odbyliśmy do Claix. Tam ojciec mój nie krył się wcale i zawsze mieszkał w swoim domu, najpiękniejszym w kantonie.

W podróży tej brały udział Serafia, pani i panna Vignon, siostra moja Paulina i może niejaki pan Blanc z Seyssins, pocieszna osobistość, która podziwiała wielce gołe nogi Serafii. Wychodziła boso, bez pończoch, rankiem do sadu.

Byłem w owym czasie tak podniecony, że nogi mojej najokrutniejszej nieprzyjaciółki robiły na mnie wrażenie. Chętnie byłbym się zakochał w Serafii. Wyobrazałem sobie cudowną rozkosz w tym, aby ścisnąć w ramionach tego zażartego wroga.

Mimo swej roli panny na wydaniu kazała sobie otworzyć wielkie, stale zamknięte drzwi, które z jej pokoju wychodziły na schody, i po okropnej scenie, w której widzę jeszcze jej twarz, kazała sobie zrobić klucz. Widocznie dziadek odmawiał jej tego klucza.

Wprowadzała tymi drzwiami swoje przyjaciółki, między innymi tę panią Vignon, Tartufa w spódnicy, która znała specjalne modlitwy do każdego świętego i którą mój dziadek byłby znienawidził, gdyby jego wygodny charakter pozwalał:

1° czuć wstręt do czegoś;

2° objawić go.

Kiedy dziadek mówił o pani Vignon, używał swego wielkiego przekleństwa: „Czart pluł ci w zadek!”

Ojciec krył się wciąż w Grenoble, to znaczy mieszkał u dziadka i nie wychodził w dzień. Roznamietnienie polityczne trwało nie więcej niż półtora roku. Widzę się, jak idę z jego

<sup>62</sup>*Pamiętniki człowieka dobrze urodzonego* — powieść księdza Prévost d'Exiles. *Korespondencja milorda All-eye z milordem All-ear* (1777–78) jest pióra M. F. Pidansat de Malrobert. [przypis redakcyjny]

zlecenia do pana Allier, księgarza na placu Św. Andrzeja, z 50 frankami w asygnatach, aby kupić *Chemię* Fourcroy, która zbudziła w ojcu pasję do rolnictwa. Rozumiem źródło tej pasji: mógł chodzić na przechadzkę tylko do Claix.

Ale czy przyczyną tego wszystkiego nie była miłostka z Serafią, jeśli w istocie była miłostką? Nie mogę dojrzec istotnie fizjonomii rzeczy, mam tylko moją pamięć dziecka. Widzę obrazy, pamiętam ich oddziaływanie na mnie, ale co się tyczy przyczyn i fizjonomii — pustka. To wciąż tak jak freski w Campo Santo w Pizie, gdzie widać wyraźnie na przykład ramię, a kawałek obok, który wyobrażał głowę, odpadł. Widzę szereg obrazów *bardzo wyraźnych*, ale jedynie z fizjonomią, jaką miały dla mnie. Co więcej, widzę tę fizjonomię jedynie przez pamięć wrażenia, jakie na mnie wywarła.

Ojciec mój poznał niebawem przeżycie godne serca tyrana. Miałem oswojoną srokę, która przebywała najczęściej pod krzesłami w jadalni. Straciła nogę w bitwie i chodziła podskakując. Broniła się od kotów, od psów, wszyscy się nią opiekowali, co było bardzo uprzejme dla mnie, bo pokrywała podłogę białymi plamami niezbyt apetycznymi. Żywilem tę srokę w sposób nie bardzo schludny: karakonami utopionymi w pomyjach w kuchni.

Surowo oddzielony od wszelkiej istoty w moim wieku, żyjąc jedynie ze starszymi, znajdowałem urok w tym dzieciństwie<sup>63</sup>.

Naraz sroka znikła, a nikt nie chciał mi powiedzieć jak; ktoś przez nieuwagę zgniótł ją, otwierając drzwi. Sądziłem, że ojciec zabił ją przez złośliwość; dowiedział się o tym, podejrzenie to sprawiło mu przykrość, jednego dnia wspomniał mi o tym w słowach bardzo okrężnych i oględnych.

Byłem wzniosły: zacerwieniłem się po białka, ale nie otworzyłem ust. Zaczął nalegać: wciąż milczenie, ale oczy, które miałem w tym wieku bardzo wymowne, musiały mówić.

Oto jestem pomszczony, tyranie, za słodką i ojcowską minę, z jaką zmusiłeś mnie tyle razy, abym szedł na ten wstrętny spacer do Granges przez pola skropione gnojówką.

Przez miesiąc przeszedłem dumny z tej zemsty; podoba mi się to w dziecku.

Namiętność ojca do folwarku w Claix i do rolnictwa przechodziła wszystko. Kazał robić wielkie melioracje, ulepszenia, na przykład skopać grunt, zryć na półtrzeciej stopy głęboko i znieść w jeden kąt wszystkie kamienie większe od jajka. Jan Vial, nasz stary ogrodnik, Charrière, Mayousse, stary\*\*\*, były żołnierze, wykonywali te prace za umówioną cenę, na przykład 20 talarów (60 franków) za skopanie kawałka ziemi między dwoma szeregami wysokich krzaków czy też klonów, służącymi za oparcie winorośli.

Ojciec zajął pod uprawę całe Barres, potem Jomate, usuwając wino płożące się. W drodze zamiany dostał od szpitala (któremu, zdaje się, zapisał ją w testamencie pan Gutin, kupiec sukienny) winnicę Molard (między sadem a naszym Molard), wyrwał wino, skopał ziemię, pogrzebał w niej wzgórek kamieni mający od siedmiu do dziesięciu stóp i w końcu ją uprawił.

Ojciec opowiadał mi szeroko o swoich projektach, stał się typowym hreczkosiejem-południowcem.

Jest to rodzaj szaleństwa, który się często spotyka na południe od Lyonu i Tours; ta mania polega na kupowaniu gruntów, które dają jeden albo dwa od sta, wycofywaniu w tym celu kapitałów ulokowanych na pięć lub sześć, a czasami na pożyczaniu na pięć procent, aby się „zaokrąglić” (specjalne wyrażenie), kupując grunty przynoszące dwa procent. Minister spraw wewnętrznych, który rozumiałby swoje zadania, podjąłby kampanię przeciw tej manii, która niweczy dobrobyt i cały przydział szczęścia zależący od pieniędzy w dwudziestu departamentach na południe od Tours i Lyonu.

Ojciec mój był oślakany przykładem tej manii, która czerpie swe źródło w skąpstwie, w pysze i w manii szlachectwa.

## ROZDZIAŁ XVIII

### *Pierwsza komunია.*

Mania ta, która zrujnowała radykalnie mego ojca i zredukowała moją schedę do trzeciej części posagu mojej matki, sprawiła mi wiele dobrego około roku 1794.

<sup>63</sup>*dzieciństwo* — tu: rzecz dziecinna; właściwa dzieciom, a nie dojrzałym ludziom. [przypis edytorski]

Ale nim pójdę dalej, muszę załatwić się z historią mojej pierwszej komunii, przypadającej, o ile mi się zdaje, przed 21 lipca 1794.

Co mnie pociesza, kiedy myślę, że jest impertynencją z mojej strony używać tyłu „ja” i „mnie”, to przypuszczenie, że wielu bardzo zwyczajnych ludzi naszego XIX wieku robi to samo. Tak więc około roku 1880 będziemy zarzuceni pamiętnikami i moje „ja” i „mnie” nie będą niczym osobliwym. Piszą pamiętniki panowie de Talleyrand, Molé, także pan Delécluze.

Ksiądz, któremu polecono tę ważną operację przygotowania mnie do pierwszej komunii, do której ojciec mój, wielki dewot podówczas, przywiązywał wielką wagę, był to, trzeba przyznać, nieskończenie mniejszy łajdak od księdza Raillane. Jezuityzm księdza Raillane przerażał nawet mego ojca; w ten sam sposób pan Cousin napędził tu strachu jezuitę.

Ów dobry ksiądz, tak poczytywa na pozór, nazywał się Dumollard. Był to prosty chłopiec urodzony w okolicach Matheysine albo la Mure, opodal Bourg-d'Oisans. Później został wielkim jezuitą i dostał uroczę probostwo w La Tronche, o dziesięć minut od Grenoble (to jest coś takiego jak podprefektura Sceaux dla podprefekta zaprzedanego ministrom albo żonatego z jakąś ich nieprawą córeczką).

W owym czasie ksiądz Dumollard był tak dobroduszny, że mogłem mu pożyczyć małe włoskie wydanie Ariosta w czterech tomach in 18°. Ale może mu je pożyczyłem dopiero w 1803.

Fizjonomia księdza Dumollard nie była odpychająca poza tym, że jedno oko miał stale zamknięte; był jednooki, trzeba to wyznać, ale rysy miał regularne, wyrażające nie tylko dobroduszość, ale, co o wiele zabawniejsze, pogodną i doskonałą szczerą. W istocie, nie był w owym czasie [ajdakiem] albo raczej po zastanowieniu się sędzę, że moja przenikliwość dwunastoletniego malca, wyostrowiona zupełną samotnością, omyliła się zupełnie; później bowiem był to jeden z najwytrawniejszych jezuitów naszego miasta. Samo jego wyborne probostwo, tuż pod ręką dewotek naszego miasta, *świadczy za nim*, a przeciw mojej dwunastoletniej naiwności.

Prezes de Barral, człowiek idealnie pobłażliwy i dobrze wychowany, powiedział mi w roku 1816, zdaje mi się, kiedyśmy się przechadzali po jego wspaniałym ogrodzie w La Tronche, przylegającym do probostwa:

— Ten Dumollard to jeden z najbardziej szczerwanych d[rabów] w całej kompanii.

— A ksiądz Raillane?

— Och, Raillane przeszedł ich wszystkich. W jaki sposób pański ojciec mógł wybrać takiego człowieka?

— Na honor, nie wiem; byłem ofiarą, a nie współnikiem.

Od paru lat ksiądz Dumollard często odprawiał mszę u nas, we włoskim salonie dziadka. Terror, który nigdy w Delfinacie nie był terrorem, nie spostrzegł się nigdy, że osiemdziesiąt czy sto dewotek wychodziło od mego dziadka co niedzielę w południe. Zapomniałem powiedzieć, że gdy byłem całkiem mały, kazano mi służyć do mszy, i że wywiązywałem się z tego aż nadto dobrze. Miałem minkę bardzo skromną i bardzo poważną. Całe życie obrzędy religijne bardzo mnie wzruszały. Długo służywałem do mszy temu d[rabowi] Raillane, który odprawiał ją w kościele Propagacji na końcu ulicy Św. Jakuba, po lewej; był to klasztor, odprawialiśmy mszę w bocznej kaplicy.

Byliśmy takie dzieci, Reytiers i ja, że ku naszej wielkiej zgrozie Reytiers, z pewnością przez nieśmiałość, posiusiał się podczas mszy, do której ja służyłem, na drewniany klęcznik. Nieborak starał się wytrzeć tę wilgoć, ku wielkiemu swemu wstydu, trąc kolanem o deskę klęcznika. To była cała historia! Zachodziliśmy często do zakonnicy; jedna z nich, wysoka i dobrze zbudowana, podobała mi się bardzo; spostrzeżono to z pewnością (pod tym względem bowiem byłem zawsze bardzo niezręczny) i nie ujrzałem jej już. Zauważyłem, że ksieni klasztoru miała mnóstwo czarnych punktów na końcu nosa; to mi się wydawało okropne.

Rząd popełnił straszliwe głupstwo, prześladując księży. Zdrowy rozum Grenoble i jej nieufność do Paryża ocaliły nas od zaostrenia tego głupstwa.

Księża jęczeli na prześladowanie, ale sześćdziesiąt dewotek przychodziło o jedenastej rano wysłuchać mszy w salonie mego dziadka. Policja nie mogła nawet udawać, że nie wie o tym. Kiedy wychodzono od nas ze mszy, tłok był na ulicy Wielkiej.

## ROZDZIAŁ XIX

Ojca mego skreślono z listy podejrzanych (co przez dwadzieścia jeden miesięcy było jedynym celem naszych ambicji) 21 lipca 1794, przy pomocy pięknych oczu mojej ładnej kuzynki Józefiny Martin.

Bawił wówczas dłużej w Claix (to znaczy w Furonières). Moja niezależność zrodziła się, jak wolność miast włoskich w VIII wieku, ze słabości moich tyranów.

W czasie nieobecności ojca udawałem, że idę pracować na ulicę des Vieux-Jésuites w naszym salonie, gdzie od czterech lat nie powstała niczyja noga.

Myśl ta, zrodzona jak wszystkie wynalazki z potrzeb chwili, miała ogromne korzyści. Po pierwsze, szedłem sam na ulicę des Vieux-Jésuites, o dwieście kroków od domu dziadka, po wtóre, byłem tam zabezpieczony od wtargnięcia Serafii, która u dziadka, w momentach gdy była wścieklesza niż zwykle, wpadała przeglądać moje książki i plądrować w papierach.

Czując się spokojny w cichym salonie, gdzie znajdował się piękny mebel wyhaftowany przez matkę, zaczynałem pracować z przyjemnością. Napisałem komedię, zdaje mi się, *Pan Piklar*<sup>64</sup>.

Z pisaniem czekałem zawsze na moment natchnienia.

Poprawiłem się z tej manii aż późno. Gdybym ją był przepędził wcześniej, byłbym skończył komedię *Letellier*<sup>65</sup>, którą zawiozłem pod Moskwę, i co więcej przywiozłem z powrotem (i która znajduje się w moich papierach w Paryżu). Głupstwo to bardzo upośledziło ilość moich prac. Jeszcze w roku 1806 czekałem na natchnienie, aby pisać. Przez całe moje życie nigdy nie mówiłem o rzeczy, którą byłem przejęty, najmniejszy zarzut zraniłby mi serce. Stąd nigdy nie mówiłem o literaturze. Przyjaciel mój — wówczas bardzo bliski — Adolf de Mareste (urodzony w Grenoble około roku 1782) napisał do mnie do Mediolanu, aby mi wyrazić zdanie o *Życiu Haydna, Mozarta i Metastazja*. Nie domyślał się wcale, że ja byłem *the author*.

Gdyby był mówił około 1795 o moim projekcie pisania, ktoś rozsądny byłby mi powiedział: „Pisz pan co dzień przez dwie godziny, z natchnieniem czy bez”. Ta rada pozwoliłaby mi spożytkować dziesięć lat mego życia, głupio zmarnowane na czekanie „natchnienia”.

Wyobraźnia moja używała się na przewidywanie złego, jakie mi czynili moi tyran, i na przeklinanie ich; z chwilą gdy byłem wolny, w salonie matki, miałem swobodę palenia się do czegoś. Namiętnością moją były medale odlewane w gipsie. Przedtem miałem małą namiętność: pasję do sękatych kijów, wycinanych, zdaje mi się, z głogu; polowanie.

Ojciec i Serafia zdławili obie te pasje. Pierwsza znikła pod wpływem żarcików wuja; pasja do polowania, pobudzona rozkosznymi marzeniami zrodzonymi z krajobrazu pana Le Roy oraz gry wyobraźni przy lekturze Ariosta, stała się moim szaleństwem, kazała mi uwielbić *Dom wiejski* Buffona, kazała mi pisać o zwierzętach, wreszcie zginęła jedynie z przesytu. W Brunszwiku w roku 1808 byłem jednym z dyrektorów polowania, gdzie zabijało się po pięćdziesiąt albo sześćdziesiąt zajęcy przy pomocy nagonki. Miałem wstręt do zabicia sarny; ten wstręt spotęgował się. Nic nie wydaje mi się dziś lichszą zabawą niż zmieniać uroczego ptaka w cztery uncje mięsa.

Gdyby ojciec pozwolił mi chodzić na polowanie, byłbym zwinniejszy, co byłoby mi posłużyło na wojnie. Byłem zwinny tylko siłą *siły*.

Będę jeszcze mówił o polowaniu, wróćmy do medali<sup>66</sup>.

Polowanie

<sup>64</sup>Napisałem komedię, zdaje mi się, „*Pan Piklar*” — ta wprawka dramatyczna młodego Stendhala powstała w roku 1795 lub 1796 i nosi tytuł *Selmours ou l'homme qui les veut tous contenter*. [przypis redakcyjny]

<sup>65</sup>...byłbym skończył komedię „*Letellier*” — której pomysł zrodził się w 1803 r. i do której Stendhal powracał aż do roku 1830, nigdy jej jednak nie dokończył. [przypis redakcyjny]

<sup>66</sup>Rozdział XIX (...) wróćmy do medali — *Na odurocie*: 26 grudnia. Uzupełnić: Charakter *of my father*, Cherubina Beyle. Nie był skąpy, ale ulegał namiętnościom. Dla zaspokojenia namiętności, która nim zawiądnęła, nie cofał się przed niczym: na przykład, żeby skopać kawałek winnicy, nie wysyłał mi do Paryża moich 150 franków na miesiąc, bez których nie mogłem żyć. Kochał się w rolnictwie i w Claix, przez rok lub dwa był opa-

## ROZDZIAŁ XX

Po kilku latach najgłębszego i upadającego nieszczęścia oddychałem tylko wtedy, kiedy się ujrzałem sam, zamknięty na klucz w salonie przy ulicy des Vieux-Jésuites, dotąd tak mi znienawidzonym. Przez tych kilka lat serce moje wzbierało bezsilną nienawiścią. Gdyby nie mój pęd do rozkoszy, wychowanie to, o którym ci, co mi je narzucali, nie mieli pojęcia, byłoby mnie uczyniło *czarnym zbrodniarzem* lub też miłym i przylepnym lajdakiem, prawdziwym jezuitą; za to byłbym dziś z pewnością bardzo bogaty. Lektura *Nowej Heloizy* i skrupuły młodego Saint-Preux zrobiły ze mnie na wskroś uczciwego człowieka; po tej lekturze, której towarzyszyły łzy i wybuchy entuzjazmu cnoty, mogłem jeszcze robić lajdactwa, ale byłbym czuł, że jestem lajdakiem. Tak więc książka czytana w wielkim sekrecie i wbrew rodzinie zrobiła mnie uczciwym człowiekiem.

Historia rzymska mdłego Rollina, mimo jego płaskich refleksji wypełniła mi głowę faktami solidnej cnoty (opartej na *użyteczności*, a nie na *czczym honorze* monarchii; Saint-Simon jest pięknym przykładem na wywód Monteskiusza o *honorze* jako podstawie monarchii, a to nie lada rzecz spostrzec to w roku 1734, w epoce *Listów perskich*, w stanie dzieciństwa, w jakim w tej epoce była jeszcze inteligencja Francuzów).

Po faktach zaczerpniętych z Rollina, a potwierdzonych i objaśnionych przez ciągłe rozmowy z kochanym dziadkiem oraz teorie Saint-Preux, nic nie da się porównać z głęboką odrazą i wzdargą, jaką miałem dla przykazań *of God and the Church*<sup>67</sup> objaśnianych przez ks[ięży], którzy co dzień w moich oczach martwili się *zwycięstwami ojczyzny* i pragnęli, aby wojska francuskie poniosły klęskę.

Rozmowy kochanego dziadka, któremu zawdzięczam wszystko, jego cześć dla dobroczyńców ludzkości, tak sprzeczna z pojęciem chrystianizmu, nie pozwoliła mi z pewnością dać się złapać, niby mucha w pajęczynę, w mój kult dla ceremonii. Widzę dziś, że to była pierwsza forma: 1° mojej miłości do muzyki, 2° malarstwa i 3° sztuki Vigano<sup>68</sup>. Przypuszczam, że dziadek nawrócił się świeżo około roku 1793. Może zrobił się dewotem po śmierci mojej matki (1790); może potrzeba oparcia o kler w jego zawodzie lekarskim nałożyła mu lekki pokost obłudy wraz z peruką o potrójnym rzędzie pukli. Przypuszczałbym raczej to ostatnie, widziałem bowiem, że był od dawna przyjacielem księdza Sadin, proboszcza Św. Ludwika (jego parafia), kanonika Rey i panny Rey, jego siostry, do której chodziliśmy często (ciotka Elżbieta miała tam swoją partyjkę) na małą uliczkę za Św. Andrzejem; nawet miłego, zanadto miłego, księdza Hélie, proboszcza od Św. Hugona, który mnie ochrzcił i który mi to przypominał później w kawiarni „Régence” w Paryżu, gdzie jadałem śniadania koło 1803 w czasie mojej prawdziwej edukacji przy ulicy d’Angivilliers.

Trzeba zauważyć, że w 1790 ks[ięża] nie wyciągali konsekwencji z teorii i dalecy byli od nietolerancji i niedorzeczności, jakimi świecą w roku 1835. Znosili doskonale, że dziadek pracował w obliczu swego biuściku Woltera i że rozmowa jego, wyjąwszy jeden temat, była tym, czym byłaby w salonie Woltera. Trzy dni, jakie spędził w owym salonie, cytował chętnie przy każdej sposobności jako najpiękniejsze dni w swoim życiu. Nie odmawiał sobie bynajmniej satyrycznej albo skandalicznej anegdotki o ks[iężach]; w czasie zaś swojej długiej kariery bystry ten i chłodny umysł zebrał ich setkami. Nigdy nie przesadzał, nigdy nie kłamał, co mi pozwala, jak sądzę, twierdzić dzisiaj, że co się tyczy inteligencji, nie był on kołtunem; ale znowuz umiał powziąć wiekuiłą nienawiść dla bardzo błahej przewiny i nie sądzę, abym mógł obmyć jego duszę z zarzutu kołtunstwa.

Odnajduję typ kołtuna nawet w Rzymie, w panu 120<sup>69</sup> i jego rodzinie, zwłaszcza w panu Bois i w Simonettim, wzbogaconym szwagrze.

---

nowany namiętnością budowania (dom na ulicy Bonne, którego plan nie wiedzieć po co sporządziłem wspólnie z Mante’em). Pożywał na 8% albo 10%, aby wykończyć dom, który miał mu kiedyś dawać 6%. Znudzony tym domem pograżył się w namiętności administrowania na rzecz Burbonów do tak nieprawdopodobnego stopnia, że przez siedemnaście miesięcy nie był ani razu w Claix, odległym od miasta o dwie mile. Zrujnował się, jak sądzę, w latach 1814–1819, tuż przed śmiercią. Niesłychanie lubił kobiety, ale był nieśmiały jak dwunastoletni chłopczyk; pani Abrahamowa Mallein, z domu Pascal, zdrowo sobie z niego na ten temat żartowała. [przypis autorski]

<sup>67</sup>*of God and the Church* (ang.) — Boga i Kościoła. [przypis redakcyjny]

<sup>68</sup>*sztuki Vigano* — tańca. [przypis redakcyjny]

<sup>69</sup>*Odnajduję typ kołtuna (...) w panu 120* — w adwokacie Ciabatta, mieszkającym pod numerem 120 przy ulicy Vignaccia; Stendhal nazywa go także Battacia. [przypis redakcyjny]



Dziadek miał cześć i miłość dla wielkich ludzi, co bardzo raziło dzisiejszego proboszcza Św. Ludwika oraz wielkiego wikariusza, dzisiejszego biskupa Grenobli, który w swoim charakterze *księcia* Grenobli pokłada punkt honoru w tym, aby nie oddać wizyty prefektowi (opowiadał mi to z satysfakcją pan Rubichon, Civitavecchia, styczeń 1835).

Ojciec Ducros, ów kordelier, którego mam za genialnego człowieka, stracił zdrowie, wypychając ptaki truciznami. Cierpiał bardzo na wewnętrzności, a wuj mój zdradził mi swymi żarcikami, że on cierpi na priapizm. Niewielem zrozumiał z tej choroby, która mi się zdawała zupełnie naturalna. Ojciec Ducros bardzo lubił mego dziadka, u którego się leczył i któremu zawdzięczał po części swoje miejsce bibliotekarza; ale nie mógł się powstrzymać, aby nie pogardzać nieco słabością jego charakteru: nie mógł znosić wybryków Serafii, które dochodziły często do przerywania rozmowy, mącenia towarzystwa i wystraszenia gości.

Charaktery à la Fontenelle bardzo są czułe na ten odcień milczącej wzgardy; dziadek zwalczał tedy często mój entuzjazm dla ojca Ducros. Czasami, kiedy ojciec Ducros przyszedł do domu z czymś zajmującym do opowiedzenia, wyprawiano mnie do kuchni; nie byłem tym zgoła urażony, tylko zmartwiony, że nie dowiem się ciekawej rzeczy. Filozof ten czuły był na mój entuzjazm i na sympatię, którą mu okazywałem, a która sprawiała, że kiedy on był, nie opuszczałem nigdy pokoju.

Obdarzał swoich przyjaciół i przyjaciółki złożoną ramą rozmiarów trzy stopy na dwie i pół, w której pomieszczał za szkłem sześć lub osiem tuzinów gipsowych medali średnicy osiemnastu linii. Byli to wszyscy cesarze rzymscy wraz z cesarzowymi; inna rama przedstawiała wielkich ludzi Francji, od Klemensa Marot do Woltera, Diderota i d'Alemberta. Co by dziś powiedział ksiądz Rey na taki widok?

Te medale były okolone bardzo zgrabnie małymi kartonikami złożonymi na brzegach, woluty zaś, wykonane z tego samego materiału, wypełniały przestrzeń między medalami. Ozdoby tego rodzaju były wówczas bardzo rzadkie i mogę wyznać, że kontrast białego matowego koloru medali i lekkie, delikatne, dobrze narysowane cienie, które znaczyły rysy osobistości, wraz ze złożonym brzegiem kartonów i ich złocistym kolorem robiły wrażenie bardzo wykwintne.

Mieszkańcy Vienne, Romans, La Tour-du-Pin, Voiron etc., którzy zachodzili na obiad do dziadka, nie mogli się dość napodziwiać tych ramek. Co do mnie, stojąc na krześle, nieustannie wgłębiałem się w rysy tych znamienitych ludzi, których życie byłbym chciał naśladować i czytać ich dzieła.

Ojciec Ducros wypisał u góry ramy kartonikami złożonymi na brzegach: „Znamienici ludzie Francji” albo: „Cesarze i cesarzowe”.

W Voiron na przykład, u mego kuzyna Allard du Plantier (potomek historyka i antykwariusza Allard), podziwiano te ramy jako starożytne medale, nie wiem nawet, czy sam kuzyn, który nie był w tym bardzo bity, nie brał ich za starożytne medale. (Był to syn unicestwiony przez rozumnego ojca jak następcą tronu przez Ludwika XIV).

Jednego dnia ojciec Ducros rzekł do mnie: „Czy chcesz, abym cię nauczył robić medale?”. Miałem uczucie, że mi się niebo otwarło.

Udałem się do jego apartamentu, doprawdy rozkosznego dla człowieka, który lubi myśleć; chciałbym mieć podobny, aby w nim dożyć moich dni.

Cztery małe pokoiki na dziesięć stóp wysokie, z oknami na południe i na zachód, z bardzo ładnym widokiem na Saint-Joseph, na wzgórze Eybens, na most w Claix i na odległy horyzont ku Gap.

Pokoje te pełne były płaskorzeźb i medali odlanych ze starożytnych albo ze znośnych rzeczy nowych.

Medale były przeważnie z czerwonej siarki (poczerwienionej mieszaniną cynobru), co wygląda pięknie i poważnie; słowem, nie było w tym mieszkaniu ani stopy kwadratowej, która by nie budziła jakiejś myśli. Były też i obrazy. „Nie jestem dość bogaty — powiedział ojciec Ducros — aby kupować takie, które by mi się podobały”. Główny obraz przedstawiał śnieg, był wcale niezły.

Dziadek zaprowadził mnie kilka razy do tego uroczego mieszkanka. Z chwilą gdy byłem sam z dziadkiem poza domem, poza sferą działania mego ojca i Serafii, byłem cudownie wesoły. Szedłem bardzo wolno, bo kochany dziadek miał reumatyzmy; przy-

puszczam, że to była podagra (bo ja, jego prawdziwy wnuk podobny do niego fizycznie, miałem atak podagry w maju 1835 w Civitavecchia).

Ojciec Ducros, który był zamożny, bo zapisał wszystko, co miał, panu Navizet z Saint-Laurent, eks-zamszownikowi, miał bardzo dobrego służącego, dużego i pulchnego poczwiwa, który był woźnym bibliotecznym, oraz wyborną służącą. Z porady ciotki Elżbiety dawałem napiwki wszystkim.

Byłem naiwny do ostatnich granic dzięki cudowi tego ohydneho samotnego wychowania oraz całej rodziny mustrującej biednego dzieciaka. Systemu tego trzymano się pilnie, ponieważ żałoba rodziny kazała jej znajdować w nim upodobanie.

Ta nieświadomość najprostszych rzeczy sprawiła, że popełniłem mnóstwo niezręczności u starego pana Daru od listopada 1799 do maja 1800.

Wróćmy do medali. Ojciec Ducros wystarał się, nie wiem jak, o znaczną ilość medali gipsowych. Nasycił je oliwą i na tę oliwę lał siarkę pomieszaną z łupkiem dobrze wysuszonym i sproszkowanym.

Kiedy ta forma była zupełnie zimna, dawał nieco oliwy i otaczał ją naoliwionym papierem wysokim na trzy linie: forma była na dnie.

W tę formę lał płynny gips świeżo sporządzony i zaraz potem gips mniej delikatny i gęstszy, tak aby medal gipsowy miał cztery linie wysokości. Tego nigdy nie umiałem dobrze wykonać. Nie miesiłem mego gipsu dość szybko lub raczej dawałem mu parować. Na próżno stary\*\*\*, służący, przynosił mi gips w proszku. Znajdowałem galaretę z gipsu w kilka godzin po wleaniu go w formę z siarki.

Ale to, co było najtrudniejsze, formy, robiłem natychmiast i bardzo dobrze, tylko trochę grube. Nie oszczędzałem materiału.

Pomieszcilem moją pracownię medalierską w gotowalni mojej biednej matki; wchodziłem do tego pokoju, gdzie nikt nie wchodził od kilku lat, z uczuciem religijnym, starałem się nie patrzeć na łóżko. Nie byłbym się nigdy roześmiał w tym pokoju, wybitym lyońską tapetą dobrze naśladowującą czerwony adamaszek.

Mimo że nigdy nie doprowadziłem do tego, aby zrobić ramę z medalami jak ojciec Ducros, przygotowywałem się bez ustanku do tej chwały, sporządzając mnóstwo form z siarki.

Kupiłem wielką szafę, zawierającą dwanaście czy piętnaście szuflad wysokich na trzy cale, gdzie gromadziłem moje bogactwa.

Zostawiłem to wszystko w Grenobli w 1799. Od 1796 nie dbałem już o to; zrobiono z pewnością zapalki z tych szacownych form z siarki koloru łupku.

Przestudiowałem słownik medali w *Encyklopedii metodycznej*.

Zdolny nauczyciel, który by umiał wyzyskać tę pasję, byłby ze mną przeszedł całą historię starożytną; trzeba było mi dać czytać Swetoniusza, potem Dionizego z Halikarnasu, w miarę jak moja młoda głowa zdolna była przyjmować poważne idee.

Ale smak panujący wówczas w Grenobli kazał czytywać i cytować epistoły takiego pana de Bonnard, coś w rodzaju „stołowego” Dorata (tak jak się mówi: stołowe mâcon<sup>70</sup>). Dziadek mój wymawiał ze czcią tytuł *O wielkości Rzymian* Monteskiusza, ale nic z tego nie rozumiałem; rzecz nietrudna do uwierzenia, skoro nie znałem wypadków, na których Monteskiusz zbudował swoje wspaniałe rozważania.

Trzeba było bodaj dać mi czytać Liwiusza. Zamiast tego kazano mi czytać i podziwiać hymny Santeuila: *Ecce sede tonantes...* Można sobie wyobrazić, jak przyjmowałem tę religię moich tyranów.

Księża, którzy bywali na obiedzie u dziadka, starali się odplacić tę gościnność, karmiąc mnie Biblią Royaumonta, którego obleśny i słodkawy ton budził we mnie najgłębszy wstręt. Wołałem sto razy Nowy Testament po łacinie, którego nauczyłem się całkowicie na pamięć na jakimś tanim egzemplarzu in 18<sup>o</sup>. Rodzina moja, jak dziś kr[ólowie], chciała, aby r[eligia] trzymała mnie w uległości, a ja oddychałem jeno buntem.

Patrzyłem na defilującą legię Allobrogów<sup>71</sup>, którą dowodził pan Caffé, zmarły u Inwalidów w osiemdziesiątym piątym roku życia, w listopadzie lub grudniu 1835. Moją wielką myślą była armia; czy nie dobrze bym uczynił, zaciągając się?

<sup>70</sup>stołowe mâcon — wino z okolic Mâcon (dep. Saone-et-Loire). [przypis redakcyjny]

<sup>71</sup>Allobrogowie — plemię celtyckie zamieszkujące w czasach Cezara dzisiejszy Delfinat i Sabaudię. [przypis redakcyjny]

Wychodziłem często sam, szedłem do parku, ale inne dzieci wydawały mi się zbyt poufale; z daleka płońałem chęcią bawienia się z nimi, z bliska zdawały mi się ordynarne.

Zaczynałem nawet, zdaje mi się, chodzić do teatru, który opuszczałem w najbardziej zajmującym momencie (w lecie o dziewiątej), kiedy słyszałem bijącą godzinę.

Wszystko, co było tyranią, budziło we mnie bunt, nie lubiłem władzy. Odrabiałem moje zadania (ćwiczenia, tłumaczenia, wiersze o musze utopionej w mleku) na małym orzechowym stoliczku w przedpokoju do wielkiego włoskiego salonu; wyjąwszy niedzielę (z powodu naszej mszy) drzwi od głównych schodów były zawsze zamknięte. Wpadło mi do głowy wypisać na tym stoliku nazwiska wszystkich, którzy dopuścili się zamachu na panujących, na przykład: Poltrot — książe de Guise w... 15[63]. Dziadek, pomagając mi składać wiersze lub raczej składając je sam, ujrzał tę listę; ten człowiek tak spokojny, wrogi wszelkiemu gwałtowi, zgnębił się tym; wywnioskował niemal, iż Serafia miała słuszność, że ja mam potworny charakter. Może natchnieniem mojej listy stał się czyn Karoliny Corday — 11 albo 12 lipca 1793 — przedmiot mego najwyższego entuzjazmu. Byłem w tym czasie wielkim entuzjastą Katona z Utyki; słodkawe i chrześcijańskie refleksje „zacnego Rollina”, jak go nazywał mój dziadek, zdawały mi się czymś bardzo cielejącym.

A w tym samym czasie byłem takim dzieckiem, że znalazłszy w *Historii starożytnej* Rollina, zdaje mi się, osobę, która się nazywała Arystokrates, byłem tym oczarowany i udzieliłem mego entuzjazmu siostrze mojej Paulinie, która była liberalna i trzymała moją stronę przeciw Zenajdzie Karolinie, zaprzędanej stronnictwu Serafii i uważanej przez nas za szpiega.

Przedtem czy potem miałem żywe zamiłowanie do optyki, co mnie skłoniło do przeczytania *Optyki* Smitha w bibliotece publicznej. Sporządziłem sobie okulary, przy pomocy których mogłem widzieć sąsiada, udając, że patrzę przed siebie. Przy odrobinie zręczności znowuż można było za pomocą tego środka pchnąć mnie do studiów optycznych i dać mi przelknąć sporą porcję matematyki. Od tego do astronomii był tylko krok.

## ROZDZIAŁ XXI

Kiedy prosiłem ojca o jakieś należące mi się pieniądze, na przykład dlatego, że mi je przyrzekł, mruzczał, gniewał się i zamiast przyrzeczonych 6 franków dawał mi 3 franki. To mnie oburzało. Jak to! Nie dotrzymać obietnicy?

Hiszpańskie sentymenty zaszczipione mi przez ciotkę Elżbietę unosiły mnie w chmury, myślałem tylko o honorze, o heroizmie. Nie miałem najmniejszego sprytu, najmniejszego talentu do kręactwa, ani cienia słodkiej obłudy (jezuityzmu).

Brak ten oparł się doświadczeniu, rozumowaniu, niesmakowi, że tyle razy przez moją „hiszpańskość” dałem się złapać w pułapkę.

I dziś jeszcze brak mi tej zręczności: codziennie przez moją „hiszpańskość” daję się oszukać o jednego lub dwa paole przy kupnie najdrobniejszej rzeczy. Wyrzut, o jaki mnie to przyprawia w godzinę później, jest powodem, że nawykłem mało kupować. Odmawiam sobie przez rok drobnostki, która kosztowałaby 12 franków, przez tę pewność, że mnie oszukają, co mnie zirytuje, a ta irytacja przeważa przyjemność posiadania owej drobnostki.

Piszę to stojąco, na małym biurczku à la Tronchin, zrobionym przez stolarza, który nigdy nie widział niczego podobnego; od roku odmawiałem go sobie z obawy, że mnie oszukają. Wreszcie użyłem tego sposobu, że nie rozmawiałem ze stolarzem, wracając z kawiarni o jedenastej rano, wówczas bowiem czuję się bardziej podniecony (ściśle tak jak w roku 1803, kiedy pijałem kawę z rumem przy ulicy Saint-Honoré, róg Grenelle albo d'Orléans), ale w momentach znużenia; dzięki temu moje biurko à la Tronchin kosztowało mnie tylko półpięta<sup>72</sup> talara (a może  $4,5 \times 5,45 = 24,52$ ).

Ten mój charakter sprawiał, że moje konferencje pieniężne — rzecz tak drażliwa między pięćdziesięcioletnim ojcem a piętnastoletnim synem — kończyły się zazwyczaj z mojej strony atakiem głębokiej wzdryki i skoncentrowanego oburzenia.

<sup>72</sup>półpięta (daw.) — cztery i pół. [przypis edytorski]

Czasami, nie przez wyrachowanie, ale przypadkowo, mówiłem z zapalem do ojca o rzeczy, którą chciałem kupić; bezwiednie gorączkowałem go (udzielałem mu nieco mojej gorączki) i wówczas bez trudu, nawet z przyjemnością dawał mi wszystko, czego potrzebowałem. Raz w dzień jarmarku na placu Grenette, w epoce, gdy ojciec się ukrywał, zwierzyłem mu się z pragnienia posiadania owych wielkich ruchomych liter wybitych w blasze mosiężnej wielkości kart do gry; dał mi kilka asygnat po 15 su, za powrotem okazało się, że wszystko wydałem.

— Wydajesz wciąż wszystkie pieniądze, które ci dają.

Ponieważ dał mi te asygnaty z całym wdziękiem, do jakiego ten tak pozbawiony wdzięku człowiek był zdolny, wymówka zdała mi się słuszna. Gdyby moi wychowawcy umieli mną powodować, byłiby ze mnie zrobili dudka, jakich tylu widuję na prowincji. Oburzenie, jakie odczuwałem w dzieciństwie (i to w najwyższym stopniu) dzięki mojej „hiszpańskości”, dało mi na przekór im charakter, który posiadam. Ale jaki jest ten charakter? Trudno by mi było odpowiedzieć. Może ujrzę prawdę w sześćdziesiątym piątym roku życia, jeśli go doczekam.<sup>73</sup>

Żebrak, który zwróci się do mnie w *stylu tragicznym* jak w Rzymie, albo w *stylu komicznym* jak we Francji, oburza mnie: 1° nie cierpię, aby zakłócano moje dumania; 2° nie wierzę ani słowa w to, co mówi.

Wczoraj, kiedy przechodził ulicą, kobieta z ludu, czterdziestoletnia, ale dość przystojna, mówiła do człowieka, który szedł obok niej: „*Bisogna campar*” (trzeba przecieżyć). Te słowa, wolne od komedii, wzruszyły mnie do łez. Nie daję nigdy nic biednym, którzy mnie proszą; sądzę, że to nie przez skąpstwo. Kiedy gruby strażnik sanitarny (11 grudnia) w Civitavecchia wspomniał mi o biednym Portugalczyku w szpitalu, który prosi tylko o sześć chlebów dziennie, dałem mu natychmiast 6 czy 8 paolów. Kiedy się wzdragał z przyjęciem, bojąc się narazić swemu szefowi (gruboskórny chłop z Fiuminata nazwiskiem Romanelli), pomyślałem, że godniejsze konsula będzie dać mu całego talara, i tak też uczyniłem; tak więc 6 paolów ze szczerej ludzkości, a 4 z przyczyny haftowanego fraka.

A propos rozmowy finansowej ojca z synem: margrabia Torrigiani z Florencji (za młodu gruby gracz i mocno posądzany o to, że wygrywa w sposób niezupełnie dozwolony), widząc, że jego trzech synowie przegrywają czasami po 10 czy 15 ludwików, chcąc im oszczędzić przykrości proszenia go o pieniądze, wręczył 3000 franków staremu, wiernemu odźwiernemu z rozkazem dawania pieniędzy synom, kiedy przegrają, i zgłoszenia się doń po nowy zapas, kiedy te 3000 franków się wyczerpią.

To jest samo w sobie bardzo przyzwoicie, zresztą to postępowanie wzruszyło synów, którzy się pohamowali. Ten margrabia, oficer Legii Honorowej, jest ojcem pani Pazzi, której piękne oczy natchnęły mnie takim podziwem w roku 1817. Anegdota o karciarstwie jej ojca byłaby mi zrobiła straszliwą przykrość w roku 1817 z przyczyny przekłętej „hiszpańskości” mego charakteru, na którą skarżyłem się dopiero co. Ta „hiszpańskość” nie pozwala mi mieć *talentu komediowego*:

1° odwracam moje spojrzenia i pamięć od wszystkiego, co niskie;

2° sympatyzuję, jak w dziesiątym roku życia, kiedy czytałem Ariosta, ze wszystkim, co jest opowieścią o miłości, o lasach (lasy i ich majestatyczna cisza), o szlachetności.

Najpospolitsza opowieść hiszpańska, jeśli oddycha szlachetnością, sprowadza mi łzy do oczu, podczas gdy odwracam oczy od Molierowskiego Chryzala, a jeszcze bardziej od złośliwości *Zadiga*, *Kandyda*, *Biednego diabła* i pozostałych dzieł Woltera, z których naprawdę lubię tylko:

*Vous êtes, lui dit-il, l'existence et l'essence*

<sup>73</sup> *charakter, który posiadam (...)* — *Na marginesie*: Uzupełnić. W sprawie mojego charakteru. Ktoś może mi powiedzieć: „Czy pan jest księciem albo Emilem, żeby jakiś Jan Jakub Rousseau miał sobie zadać trud zgłębiania pańskiego charakteru i kierowania nim?”. Odpowiem na to: „Cała rodzina brała udział w moim wychowaniu. Raz popełniwszy tę wielką nieostrożność, że po śmierci mojej matki zupełnie przestali się tym zajmować, teraz widzieli we mnie jedyną rozrywkę dla siebie i napelniali mnie całą tą nudą, od której ich uwalniałem. Nigdy nie rozmawiać z dziećmi w moim wieku!”. Pisanie: myśli mi pędzą galopem; jeżeli ich prędko nie notuję, uciekają. Co robić, żeby pisać prędko? W taki to sposób, panie Colomb, uczyć się źle pisać. Omar, *thirtyest december* 1835, wracając z San Gregorio i Foro Boario. [przypis autorski]

Barral (hrabia Paweł de Barral, urodzony w Grenoble około 1785) zaszczepił mi, kiedy byłem bardzo młody, swój gust do tych wierszy, których nauczył go jego ojciec, prezes Parlamentu.

Ta „hiszpańskość” przekazana mi przez ciotkę Elżbietę sprawia, iż nawet w moim wieku uchodzę za dziecko bez doświadczenia, za wariata „coraz bardziej niezdolnego do wszelkiej poważniejszej sprawy”, jak powiedział mój kuzyn Colomb, szczerzy mieszczuch.

Rozmowa prawdziwego mieszczucha „o ludziach i o życiu”, będąca jedynie zbiorem tych szpetnych szczegółów, wtrąca mnie w głęboki splin, kiedy dla jakichś względów zmuszony jestem słuchać jej nieco dłużej.

Oto tajemnica mego wstrętu do Grenoble około roku 1816, którego wówczas nie umiałem wytłumaczyć.

Nie mogę sobie wytłumaczyć jeszcze dziś, w pięćdziesiątym drugim roku, melancholii, w jaką mnie wtrąca niedziela. Do tego stopnia, że mogę być wesół i zadowolony — zrobiwszy dwieście kroków na ulicy spostrzegam, że sklepy są zamknięte: „A, to niedziela” — powiadam sobie.

Natychmiast cały szczęśliwy nastrój pryska.

Czy to jest zawiść wzbudzona zadowolonymi minami robotników i wystrojonych mieszczuchów?

Daremnie sobie powiadam: „Ależ ja tracę w ten sposób pięćdziesiąt dwie niedziele na rok i może dziesięć świąt”; to jest silniejsze ode mnie, mogę znaleźć lekarstwo jedynie w zawziętej pracy.

Wada ta — mój wstręt do Chryzala — przedłużyła mi może młodość. Byłoby to więc szczęśliwe nieszczęście, jak to, że miałem mało kobiet (kobiet jak Bianca Milesi, którą spudłowałem w Paryżu pewnego ranka, około roku 1829, jedynie dlatego że nie spostrzegłem się na jej „psychologicznym momencie” — miała tego dnia czarną aksamitną suknię, było to na ulicy du Helder albo Mont-Blanc).

Ponieważ prawie nie miałem kobiet tego typu (prawdziwych mieszczanek), nie jestem ani trochę zblazowany w pięćdziesiątym roku. Chcę rzec: zblazowany moralnie, bo fizycznie oczywiście zużyłem się porządnie, do tego stopnia, że mogę obejść się wybornie dwa albo trzy tygodnie bez kobiet; taki post dolega mi jedynie w pierwszym tygodniu.

Większość moich pozornych szaleństw, zwłaszcza to głupstwo, że nie umiem chwycić za włosy sposobności („która jest łysa”, jak powiada don Jafet z Armenii<sup>75</sup>), wszystkie moje frycowe przy sprawunkach etc., etc. pochodzą z „hiszpańskości” udzielonej mi przez ciotkę Elżbietę (dla której miałem zawsze najgłębszy szacunek, szacunek tak głęboki, że nie pozwalał na rozwinięcie się czułości dla niej) i także, zdaje mi się, z lektury Ariosta, którego czytałem tak młodo i z taką rozkoszą. (Dziś bohaterowie Ariosta przedstawiają mi się jako masztalerze, których jedyną wartością jest ich siła, o co się kłócę z pięknoduchami, którzy wolą Ariosta od Tassa (w ich liczbie pan Bontadossi, don Filippo Ca[etani]), gdy w moich oczach Tasso, kiedy szczęśliwie zapomni naśladować Wergilego lub Homera, jest najbardziej wzruszającym z poetów.)

W niespełną godzinę napisałem tych dwanaście stronic, zatrzymując się od czasu do czasu i siłąc się nie pisać rzeczy mglistych, które byłbym zmuszony wykreślić.

Jakim cudem mogłem pisać bardzo *fizycznie*, drogi Colomb? — Mój przyjaciel Colomb, który czyni mi ten zarzut w swoim wczorajszym liście, a także w poprzednich, poszedłby na męki za swoje słowo i za mnie. (Urodził się w Lyonie około 1785, ojciec jego, bardzo zacy eks-kupiec, osiadł w Grenoble około 1788. Roman Colomb ma 20 000 czy 25 000 franków dochodu i trzy córki przy ulicy Godot-de-Mauroy w Paryżu).

## ROZDZIAŁ XXII

### *Oblężenie Lyonu, lato 1793*

<sup>74</sup>*Vous êtes (...) substance* (fr.) — „Tyś jest, powiedział mu, istnieniem i bytem najprostszym, istotą o swoistej właściwości, zrobioną z czystej substancji”. Cytowany z pamięci fragment satyry Woltera *Les systemes*. [przypis redakcyjny]

<sup>75</sup>*jak powiada don Jafet z Armenii* — w komedii Scarrona pod takimż tytułem. [przypis redakcyjny]

Słynne oblężenie Lyonu, którego obrońcą, pana de Précya, poznałem później w Brunz-wiku w latach 1806–1809 (był to pierwszy dla mnie — po panu de Tressan w moim wczesnym dzieciństwie — wzór człowieka miłych manier), oblężenie Lyonu poruszyło całe Południe<sup>76</sup>; byłem za Kellermannem i za republikanami, rodzina moja za oblężonymi i za Précym (o którym mówiła „Précya”, bez „pan”).

Kuzyn Santerre, poczmistrz, którego krewniak czy bratanek bił się w Lyonie, zachodził do nas dwa razy dziennie; ponieważ było to w lecie, piliśmy ranną kawę z mlekiem w gabinecie przyrodniczym na terasie.

Tam to może doznałem najżywszych uniesień miłości ojczyzny i nienawiści do „arystokratów” (legitymistów z 1835) i do księży, jej wrogów.

Pan Santerre, urzędnik poczty listowej, przynosił nam stale sześć czy siedem dzienników ściąganych abonentom, którzy dostawali je dopiero w dwie godziny później wskutek naszej ciekawości. Dostawał swój naparstek wina i chleb i słuchał dzienników. Często miał nowiny z Lyonu.

Zachodziłem wieczorem sam na terasę, aby starać się posłyszeć armaty lyońskie. Widzę w *Tabeli chronologicznej*, jedynej książce, którą mam w Rzymie, że Lyon wzięto 9 października 1793. Zatem w lecie 1793, w dziesiątym roku, chodziłem słuchać armat lyońskich; nie słyszałem ich nigdy. Patrzałem z zazdrością na górę Méaudre (wymawiaj: Mio-udre), z której było słycać. Nasz zacny kuzyn Romagnier (kuzyn, bo ożenił się z panną Blanchet, krewną żony mego dziadka) był z Méaudre, dokąd udawał się co dwa miesiące odwiedzić swego ojca. Za powrotem przyprawiał mnie o bicie serca, powiadając: „Słyszemy bardzo dobrze armaty lyońskie, zwłaszcza wieczór, o zachodzie słońca, kiedy jest wiatr północno-zachodni”.

Patrzałem z najżywszym pragnieniem w tę stronę, ale to było pragnienie, którego nie wolno było zdradzić.

Należało może pomicieć ten szczegół o wiele wcześniej, ale powtarzam, że co się tyczy mego dzieciństwa, zachowałem jedynie bardzo wyraźne obrazy, bez *daty* i bez *fizjonomii*.

Spisuję je po trosze, tak jak mi przychodzą.

Nie mam żadnej książki i nie chcę czytać żadnej książki; zaledwie pomagam sobie głupią *Chronologią*, która nosi nazwisko owego sprytnego i suchego człowieka, pana Love-Veimars. Tak samo zrobię z bitwą pod Marengo (1800), z kampanią z 1809, z kampanią moskiewską i z roku 1813, gdzie byłem intendentem w Żaganiu (Śląsk, nad Bobrem); nie zamierzam bynajmniej pisać historii, ale po prostu notować moje wspomnienia, aby zrozumieć, co za człowiekiem byłem: głupim czy inteligentnym, tchórzem czy odważnym etc., etc. To jest odpowiedź na wielkie słowo: *Gnohti seauton*<sup>77</sup>.

W czasie tego lata 1793 oblężenie Tulonu przejmowało mnie wielce; rozumie się samo przez się, że rodzina moja pochwałała zdrajców, którzy oddali miasto. Jednakże ciotka Elżbieta ze swoją kastylską dumą rzekła mi<sup>78</sup>...

Widziałem odmarsz generała Carteaux czy Cartaud, który odbył paradę na placu Grenette. Widzę jeszcze jego nazwisko na furgonach deflujących wolno i z wielkim hałasem przez ulicę Montorge, w drodze do Tulonu.

Czekało mnie wielkie wydarzenie, które mnie bardzo obeszło w danej chwili; ale było za późno, wszelkie węzły przyjaźni między ojcem a mną pękły, a wstręt mój do mieszczańskiej pospolitości i do Grenoble był już niewyciężony.

Ciotka Serafia była od dawna chora. Wreszcie zaczęto mówić o niebezpieczeństwie; poczciwa Marion (Maria Thomasset), moja przyjaciółka, wyrzekła to wielkie słowo. Niebezpieczeństwo stało się groźne; zaczęli napływać księża.

<sup>76</sup>oblężenie Lyonu poruszyło całe Południe — Lyon był jednym z najsilniejszych ośrodków rebelii żyrondy-stowskiej i rojalistycznej przeciw dyktaturze jakobińskiej. Oblegany przez wojska Konwencji, stawiał opór przez 2 miesiące (8 VIII–9 X 1793). Jeszcze dłużej (do grudnia) bronił się Tulon, który wezwał na pomoc Anglików. [przypis redakcyjny]

<sup>77</sup>*Gnohti seauton* (gr.) — Znaj siebie samego. [przypis redakcyjny]

<sup>78</sup>...ze swoją kastylską dumą rzekła mi... — zdanie to nie zostało dokończzone. [przypis redakcyjny]

Pewnego zimowego wieczora, zdaje mi się około siódmej wieczór, byłem w kuchni, naprzeciwko szafy Marion. Ktoś wszedł i rzekł: „Skończyła”. Padłem na kolana, aby podziękować Bogu za to wielkie wyswobodzenie.

Jeżeli paryżanie są tacy sami głupcy w 1880 jak w 1835, ten sposób przyjmowania śmierci siostry mojej matki zyska mi opinię barbarzyńcy, okrutnika, dzikusa.

Co bądź ktoś pomyśli, to jest prawda. Po pierwszym tygodniu mszy żałobnych i modłów wszyscy w domu uczuli wielką ulgę. Zdaje mi się, ojciec nawet był bardzo rad, że jest oswobodzony od tej diabelskiej kochanki (o ile była jego kochanką) lub od tej diabelskiej przyjaciółki.

Jednym z jej ostatnich postępów było, co następuje. Pewnego wieczora, kiedy czytałem przy komodzie ciotki Elżbiety *Henriadę* czy *Belizariusza*, których dziadek mi pożyczył, wykrzyknęła: „Jak można dawać podobne książki temu dziecku! Kto mu dał tę książkę?”

Mój kochany dziadek, na moją usilną prośbę, był tak dobry, że mimo zimna poszedł ze mną do swego gabinetu przylegającego do terasy, na drugim końcu domu, aby mi dać tę książkę, na którą miałem ochotę tego wieczora.

Cała rodzina siedziała rzędem przy ogniu. Na ten zuchwały okrzyk swojej córki dziadek odpowiedział tylko, wzruszając ramionami: „Ona jest chora”.

Nie znam zupełnie daty tej śmierci; będę ją mógł znaleźć w urzędowych rejestrach Grenobli.

Zdaje mi się, że wkrótce potem udałem się do Szkoły Centralnej, rzecz, której Serafia nie byłaby nigdy ścierpiała. Sądzę, że to było koło 1797 i że byłem w Szkole Centralnej tylko trzy lata.

## ROZDZIAŁ XXIII

### *Szkola centralna*

W wiele lat potem, około 1817, dowiedziałem się od pana de Tracy, że to on w znacznej części był autorem znakomitej ustawy o Szkołach Centralnych.

Dziadek mój był bardzo godnym przewodniczącym komitetu mającego przedstawiać Zarządowi Departamentu nazwiska profesorów i zorganizować szkołę. Dziadek mój ubóstwiał naukę i oświatę; od czterdziestu lat był na czele wszystkiego, co uczyniono w duchu oświatowym i liberalnym w Grenobli.

Serafia połażała go ostro za to, że przyjął te funkcje członka komitetu organizacyjnego; ale założyciel biblioteki publicznej winien był swemu stanowisku to, aby być głową Szkoły Centralnej.

Mój nauczyciel Durand, który dawał mi w domu lekcje, był profesorem łaciny: jak nie chodzić na jego wykłady do Szkoły Centralnej? Gdyby Serafia żyła, byłaby znalazła jakąś rację, ale w obecnym stanie rzeczy ojciec ograniczył się do paru głębokich i poważnych słów o niebezpieczeństwie złych znajomości. Nie posiadałem się z radości; uroczyste otwarcie szkoły odbyło się w salach bibliotecznych, gdzie dziadek wygłosił przemówienie.

Profesorami byli: pan Durand — do łaciny; Gattel — gramatyka ogólna i nawet, zdaje mi się, logika; Dubois-Fontanelle, autor tragedii *Erycja albo Westalka* i redaktor przez dwadzieścia dwa lat „Gazety Dwu Mostów” — literatura; Troussel, młody lekarz, protegowany i, można powiedzieć, uczeń mojego dziadka — chemia; Jay, wielki pyskacz, wysoki bez mała na sześć stóp, bez cienia talentu, ale umiejący budzić zapal w dzieciach — rysunek; niebawem miał trzystu uczniów; Chalvet (Piotr Wincenty), młody i goły libertyn, prawdziwy autor bez żadnego talentu — historia; zarazem miał odbierać wpisowe, które przejadał częściowo z trzema siostrami, wielkimi ladacnicami, które go obdarzyły syf...em, z czego umarł niedługo potem; wreszcie Dupuy, kołtun najbardziej emfatyczny i najbardziej ojcowski, jakiego kiedykolwiek widziałem, profesor matematyki — bez cienia talentu. Był to zaledwie geometra i zrobiono go profesorem w mieście, które miało Grosa! Ale dziadek nie miał pojęcia o matematyce i nie cierpiał jej, zresztą emfaza „ojca” Dupuy (jak go nazywaliśmy; on nam mówił: „Moje dzieci”) w sam raz nadawała się, aby mu zdobyć powszechny szacunek Grenobli. Ten człowiek tak jałowy powtarzał wszakże wielkie słowo: „Moje dziecko, studium *Logikę* Condillaca, to podstawa wszystkiego”.

Nie można by lepiej rzec dzisiaj, zastępując wszakże nazwisko Condillac nazwiskiem Tracy.

Najlepsze jest to, że jak przypuszczam, pan Dupuy nie rozumiał ani jednego słowa z tej *Logiki* Condillaca, którą nam doradzał; był to bardzo szczupły tomik w formacie in 12°. Ale uprzedzam wypadki, to moja wada; odczytując to, trzeba będzie może wykreślić wszystkie zdania, które obrażają chronologię.

Jedyny człowiek zupełnie na miejscu to był ksiądz Gattel, księżyk zalotny, schludny, zawsze w towarzystwie kobiet, prawdziwy labuś z XVII wieku; ale był bardzo poważny na swojej lekcji i znał, jak sądzę, wszystko, co wówczas wiedziano o głównych właściwościach odruchów, a także o związkach i analogiach, jakich trzymały się ludy, tworząc swoje języki.

Ksiądz Gattel sporządził bardzo dobry słownik, w którym ośmielił się zaznaczyć wymowę i którym się zawsze posługiwałem. Wreszcie był to człowiek, który umiał pracować co dzień pięć do sześciu godzin, co jest rzadkie na prowincji, gdzie ludzie umieją się tylko wałkonić cały dzień.

Dudki paryskie śmieją się z tych wzorów zdrowej i naturalnej wymowy. Jest to tchórzostwo i nieuctwo. Boją się, że się ośmieszą, znacząc wymowę miasta Anvers, słowa: *cours, vers*. Nie wiedzą, że w Grenoble na przykład mówi się: *cour-ce, ver-ce, Anver-se, Calai-se*. Jeżeli się tak mówi w Grenoble, mieście inteligentnym i stykającym się jeszcze z okolicami Północy, które w sprawach języka zwyciężyły Południe, cóż będzie w Tuluzie, w Bazas, Pézenas, Digne? W tych miejscowościach powinno się afiszami ogłaszać wymowę francuską na bramach kościołów.

Minister spraw wewnętrznych, który chciałby pełnić swoje obowiązki, zamiast intrzygować na dworze i w Izbach jak pan Guizot, powinien by zażądać kredytu dwóch milionów rocznie, aby podciągnąć do poziomu oświaty innych Francuzów ludność zamieszkującą fatalny trójkąt między Bordeaux, Bayonne i Valence. Wierzą tam ludzie w czary, nie umieją czytać i mówić po francusku. Mogą wydać przypadkowo człowieka niepospolitego, jak Lannes, Soult, ale taki generał\*\*\* odznacza się niewiarygodną ciemnotą. Sądzę, że z przyczyny klimatu i miłości, i energii, jaką rodzi w człowieku, trójkąt ten powinien by wydać najtęższych ludzi we Francji. Korsyka nasuwa mi tę myśl.

Przy swoich 180 000 mieszkańców wyspa ta dała rewolucji ośmiu lub dziesięciu tęgich ludzi, a departament Północy ze swymi 900 000 mieszkańców — ledwie jednego. A to jeszcze nie znam nazwiska tego jednego. Rozumie się samo przez się, że księża są wszechpotężni w tym nieszczęsnym trójkącie. Cywilizacja istnieje między Lille a Rennes, a ustaje w okolicach Orleanu i Tours. Na południowym wschodzie Grenoble tworzy jej błyszczącą granicę.

Zamianować profesorów Szkoły Centralnej — panów: Gattel, Dubois-Fontapelle, Troussel, Villars (wieśniak z Wysokich Alp), Jay, Durand, Dupuy, Chalvet, oto jak można ich z grubsza uszeregować według stopnia ich przydatności dla dzieci, trzej pierwsi mają tu niewątpliwe zasługi — to była rzecz niekosztowna i łatwa do wykonania, ale trzeba było uskuteczyć wielkie reperacje w budynkach. Mimo wojny wszystkiego dokonywano w tych czasach pełnych energii. Dziadek wciąż żądał funduszy od Zarządu Departamentu.

Kursa rozpoczęły się na wiosnę, zdaje mi się, w salach tymczasowych.

Sala pana Durand miała rozkoszny widok: wreszcie po miesiącu widok ten przemówił do mnie. Było to w piękny letni dzień, łagodny wietrzyk poruszał trawę na stokach przy bramie Bonne, pod naszymi oknami, o sześćdziesiąt lub osiemdziesiąt stóp pod nami.

Rodzina chwaliła mi wciąż, aż do wymiotów, piękność pól, zieloności, kwiatów etc., jaskrów etc.

Te płaskie frazesy obudziły we mnie wstręt do kwiatów i grządek, który trwa jeszcze.

Szczęściem wspaniała widok, który odkryłem *sam* z okna klasy sąsiadującej z salą łaciny, gdzie chodziłem marzyć samotnie, przemógł głęboki wstręt spowodowany frazesami ojca oraz ks[ięży], jego przyjaciół.

Z podobnej racji w wiele lat później obfite i pretensjonalne periody panów Cha-teaubriand i Salvandy sprawiły, że napisałem *Czerwone i czarne* stylem zbyt siekanym. Wielkie głupstwo, bo za dwadzieścia lat któż będzie pamiętał o obłudnych bajdurzeniach tych panów? A ja kupuję bilet na loterię, której wielki los wyraża się w tym: być czytany w roku 1935.



Ten sam stan duszy kazał mi zamykać oczy na krajobrazy uwielbiane przez ciotkę Serafię. Byłem w roku 1794 taki, jak lud mediolański jest w 1835: znienawidzone władze niemieckie chcą mi zaszczyć miłość do Schillera, którego piękna dusza, tak różna od płaskiego Goethego, byłaby bardzo przykro dotknięta, widząc takich apostołów jego sławy.

Było dla mnie czymś bardzo niezwykłym znaleźć się — z wiosną roku [17]94 czy 95, w wieku jedenastu czy dwunastu lat — w szkole, gdzie miałem dziesięciu czy dwunastu kolegów.

Rzeczywistość wydała mi się o wiele niżej szalonych obrazów mej wyobraźni. Koledzy ci nie byli dość weseli, dość szaleni, a mieli maniery bardzo plugawe.

Zdaje mi się, że pan Durand, nadęty zaszczytem profesury w Szkole Centralnej, ale zawsze poczciwina, zasadził mnie do tłumaczenia Salustiusza *De Bello Jugurtino*. Wolność wydała pierwsze swoje owoce; skoro mnie opuścił gniew, odzyskałem zdrowy rozsądek i bardzo zasmakowałem w Salustiuszu.

Całe kolegium było pełne robotników, liczne sale na naszym trzecim piętrze były otwarte; chodziłem tam dumać samotnie.

Wszystko mnie dziwiło w tej tak upragnionej wolności, którą osiągnąłem wreszcie. Uroki, jakie w niej znajdowałem, nie były te, o których marzyłem: nie znalazłem owych towarzyszy tak wesołych, tak miłych, tak szlachetnych; zamiast nich znalazłem po prostu bardzo samolubnych urwisów.

To rozczarowanie spotykało mnie prawie przez całe życie. Jedynie upojenia ambicji były od nich wolne, kiedy w 1811 zostałem audytorem, a w dwa tygodnie później inspektorem ruchomości. Byłem przez trzy miesiące pijany z radości, że już nie jestem komisarzem wojennym, narażonym na zawiść i dokuczliwość tych tak gruboskórnych bohaterów, którzy byli wyrobnikami Cesarza pod Jeną i pod Wagram. Potomność nie dowie się nigdy o chamstwie i głupocie tych ludzi poza polem bitwy, nawet na polu bitwy co za ostrożność! To byli ludzie tacy jak admirał Nelson, bohater Neapolu (patrz Colletta i to, co mi opowiedział pan di Fiori), jak Nelson myślący wciąż o tym, ile każda rana przyniesie im dotacji i orderów. Co za plugawe bydlęta w porównaniu do wspaniałej cnoty takiego generała Michaud lub pułkownika Mathis! Nie, potomność nie dowie się nigdy, co to za płascy jezuici byli ci bohaterowie z biuletynów Napoleona i jak się śmiałem, dostając w Wiedniu, w Dreźnie, w Berlinie, w Moskwie „Monitora”, którego prawie nikt nie dostawał w armii, aby nie można było kpić z kłamliwych komunikatów. Biuletyny to były maszyny wojenne, roboty polowe, a nie dokumenty historyczne.

Szczęściem dla biednej prawdy bezmierna nikczemność tych bohaterów — parów Francji i sędziów w roku 1835 — uświadomi potomność co do ich heroizmu w roku 1809. Robię wyjątek tylko dla milego Lasalle'a i dla Exelmansa, który później... Ale wówczas nie składał wizyty marszałkowi Bourmont, ministrowi wojny. Moncey też nie byłby dopuścił się pewnych nikczemności, ale Suchet... Zapomniałem wielkiego Gouvion-Saint-Cyr, zanim wiek uczynił go na wpół idiotą, a ten idiotyzm sięga roku 1814. Po tej epoce został jedynie talent do pisania. A w stanie cywilnym pod Napoleonem co za płaska kanalia taki de Barante obiegający pana Daru w Saint-Cloud, w listopadzie, od siódmej rano; taki hrabia d'Argout, nikczemny pochlebca generała Sebastiani!

Ale, mój Boże, gdzie ja jestem? W klasie łaciny, w gmachu kolegium.

## ROZDZIAŁ XXIV

Nie bardzo mi się wiodło z kolegami; widzę dzisiaj, że byłem wówczas bardzo śmieszną mieszaniną pychy i potrzeby bawienia się. Ich drapieżnemu egoizmowi przeciwstawiłem moje pojęcia hiszpańskiej wzniosłości. Byłem zrozpaczony, kiedy bawiąc się zostawiali mnie na uboczu; na domiar niedoli nie znałem tych gier, wnosilem w nie szlachetność duszy, delikatność, które musiały się im wydać absolutnym szaleństwem. Spryt i sprawność egoizmu — egoizmu, jak sądzę, bez granic — to są jedyne rzeczy, które imponują dzieciom.

Na domiar moich niepowodzeń byłem nieśmiały wobec profesora: słowo wymówki powściągliwej i wyrzeczonej przypadkiem przez tego tępego pedanta z trafnym akcentem sprawiało, że łzy napływały mi do oczu. Te łzy były nikczemnością w oczach braci Gau-

Dziecko, Zabawa

tier, panów Saint-Ferréol (o ile mi się zdaje), Roberta (dziś dyrektora włoskiego teatru w Paryżu), a zwłaszcza Odru. Ten Odru to był chłop bardzo silny i jeszcze bardziej brutalny, który był o stopę wyższy od nas wszystkich i którego nazywaliśmy Goliatem; miał wdzięk niedźwiadka, ale dawał nam tęgie kuksy, kiedy jego gruba inteligencja spostrzegła wreszcie, że my sobie drwimy z niego.

Miał ojca, bogatego wieśniaka, w Lumbin czy innej wiosce „w dolinie” (tak się tu mówi o przepięknej dolinie Izery pomiędzy Grenoblą a Montmélian, a właściwie ciągnie się ona aż do skały w Moirans).

Dziadek skorzystał ze zniknięcia Serafii, aby mnie posłać na kurs matematyki, chemii i rysunków.

Pan Dupuy, ten mieszczuch tak emfaticzny i tak ucieszny, był co do stanowiska obywatelskiego rodzajem nieudanego rywala doktora Gagnon. Płaszczyl się przed szlachtą, ale tę przewagę nad doktorem Gagnon wyrównywał zupełny brak wdzięku i poglądów literackich, które wówczas były chlebem powszednim rozmowy. Pan Dupuy, zazdrosny, że dziadek jest członkiem komitetu i jego zwierzchnikiem, nie uwzględnił rekomendacji tego szczęśliwego rywala co do mej osoby; miejsce moje w sali matematyki zdobyłem jedynie własną zasługą, po trzech latach, przez które tę zasługę ustawicznie podawano w wątpliwość. Pan Dupuy, który mówił bez ustanku (nigdy za wiele) o Condillacu i o jego *Logice*, nie miał ani cienia logiki w głowie. Mówił ozdobnie i z wdziękiem, miał imponującą postawę i bardzo dworne maniery.

Miał bardzo piękną myśl w roku 1794, mianowicie podzielić stu uczniów zapelniających salę parterową na pierwszej lekcji matematyki na brygady po sześciu lub siedmiu, z których każda miała swego naczelnika.

Moim naczelnikiem był „duży”, to znaczy młody człowiek o stopę wyższy od nas, który już przekroczył wiek dojrzewania. Pluł ponad nas, przykładając zręcznie palec do ust. W pułku taki nazywa się „morowiec”. Skarżyliśmy się na tego „morowca” (nazywał się, o ile pomnę, Raimonet) przed panem Dupuy, który okazał się wzniosły, usuwając go. Pan Dupuy przywykł dawać lekcje młodym oficerom artylerii z Valence i bardzo był wrażliwy w kwestiach honoru (pchnięcie szpada).

Przechodziliśmy nędzny podręcznik Bezouta, ale pan Dupuy był na tyle inteligentny, że nam wspomniał o książce Clairauta o nowym wydaniu tej książki, jakie sporządził Biot (ten pracowity szarlatan).

Clairaut miał wszelkie dane na to, aby otwierać głowę, gdy Bezout zatykał ją na zawsze. Każde twierdzenie w podręczniku Bezouta robiło wrażenie wielkiego sekretu pochodzącego od sąsiadki.

W sali rysunku uważałem, że pan Jay i pan Couturier (ze złamanym nosem), jego pomocnik, wyrządzali mi straszną niesprawiedliwość. Ale pan Jay w braku wszelkich innych danych miał emfazę, która zamiast nas rozśmieszać rozplomieniła nas. Pan Jay miał wielki sukces, bardzo doniosły dla Szkoły Centralnej, spotwarzanej przez ks[ięży]. Miał dwustu czy trzystu uczniów.

Wszystko to siedziało w ławkach po siedmiu lub ośmiu i wciąż trzeba było robić nowe ławki. I co za modele! Liche akty rysowane przez pana Paiou i przez samego pana Jay, nogi, ręce, wszystko byle jak, ciężkie, grube, brzydkie. To był istny rysunek młodego Moreau albo tego pana Cochin, który tak pociesznie mówi o Michale Aniele i o Dominikinie w swoich trzech tomikach o Włoszech.

Wielkie głowy rysowane były sangwiną lub udawały ołówek. Trzeba przyznać, że zupełna nieznajomość rysunku mniej biła tam w oczy niż w aktach (nagich postaciach). Zaletą tych głów, które miały po osiemnaście cali wysokości, było to, że kreski były bardzo równoległe; co się tyczy naśladowania natury, nie było o tym mowy.

Niejaki Moulezin, głupi i niemożliwie nadęty, dziś bogaty i ważny obywatel Grenoble i z pewnością jeden z najzawziętszych wrogów zdrowego rozsądku, unieśmiertelnił się niebawem doskonałą równoległością swoich kresek sangwiną. Rysował akty i był uczniem pana Villonne (z Lyonu); mnie, uczniowi pana Le Roy, któremu choroba i dobry smak paryski nie pozwoliły zostać takim szarlatanem jak pan Villonne w Lyonie, rysownik wzorów na materie, dawano jedynie wielkie głowy, co mnie bardzo upokarzało, ale miało tę wielką korzyść, że było lekcją skromności.

Potrzebowałem jej bardzo, jeżeli mam mówić szczerze. Rodzina moja, której byłem dziełem, szczyła się mymi talentami w mojej obecności; stąd uważałem się za najwybitniejszego młodzieńca w Grenobli.

Niższość moja w zabawach z kolegami z łaciny zaczęła mi otwierać oczy. Ławka z wielkimi głowami, gdzie mnie posadzono tuż obok dwóch synów szewca o pociesznych gębach (co za los dla wnuka pana Gagnon!), zrodziła we mnie postanowienie, że padnę albo muszę się wybić.

Oto historia mego talentu do rysunku. Rodzina moja, zawsze roztropna, orzekła po roku albo półtora roku lekcji u tego tak grzecznego człowieka, pana Le Roy, że ja rysuję bardzo dobrze.

Faktem jest, że ja nawet się nie domyślałem, że rysunek ma naśladować naturę. Rysowałem czarnym i twardym ołówkiem jakąś głowę z płaskorzeźby. (Przekonałem się w Rzymie w Braccio Nuovo, że to była głowa Musy, lekarza Augusta). Rysunek mój był czysty, zimny, bez żadnej wartości, jak rysunek młodego uczniaka.

Rodzina moja, która przy wszystkich frazesach o pięknie wsi i pięknych krajobrazach nie miała najmniejszego poczucia sztuki i nie posiadała ani jednego znośnego sztychu w domu, uznała, że jestem bardzo tęgi w rysunku. Pan Le Roy żył jeszcze i malował pejzaże gwaszem (gęsty kolor) mniej licho niż resztę.

Uzyskałem tyle, że pozwolono mi rzucić ołówek i zacząć malować gwaszem.

Pan Le Roy zrobił widok mostu Vence, między Bouisserate a Saint-Robert. Przechodziłem ten most dość często, udając się do Saint-Vincent: uważałem, że ten rysunek, zwłaszcza góra, są bardzo podobne, doznałem olśnienia. Zatem przede wszystkim i nade wszystko trzeba, aby rysunek podobny był do natury!

Nie było już mowy o doskonale równoległych kreskach. Po tym pięknym odkryciu robiłem szybkie postępy.

Biedny pan Le Roy niebawem umarł, żalowałem go. Mimo to byłem wówczas jeszcze niewolnikiem, a wszyscy młodzi ludzie chodzili do pana Villonne, rysownika wzorów na materię, wypędzonego z Wyzwolonej Gminy przez wojnę i gilotynę. Wyzwolona Gmina to było nowe miano dawane Lyonowi od czasu jego zdobycia.

Zwierzyłem ojcu (ale przypadkiem, bez specjalnej myśli) moją pasję do gwaszów i kupiłem od pani Le Roy, za trzykrotną ich wartość, wiele gwaszów jej męża.

Bardzo pragnąłem dwóch tomów *Powiastek* La Fontaine'a z rycinami bardzo delikatnie wykonanymi, ale bardzo niedwuznacznymi.

„To ohyda — rzekła pani Le Roy ze swymi ładnymi, obłudnymi oczami subretki — ale to są arcydzieła”.

Przekonałem się, że nie zdołam przemycić kupna *Powiastek* La Fontaine'a w kupnie gwaszów. Otworzono Szkołę Centralną, nie myślałem już o gwaszach, ale odkrycie zostało mi: trzeba naśladować naturę; i to sprawiło może, że moje wielkie głowy, skopiowane z tych lichych rysunków, nie były tak okropne, jak mogły być. Przypominam sobie Oburzonego Żołnierza w *Wypędzeniu Heliodora* Rafaela; nie mogę spojrzeć na oryginał w Watykanie, aby sobie nie przypomnieć mojej kopii; technika ołówka, zupełnie dowolna, nawet fałszywa, widniała zwłaszcza w smoku sterczącym na kasku.

Kiedy który z nas zrobił coś znośnie, pan Jay siadał na miejscu ucznia, poprawiał trochę głowę i rezonował z emfazą, ale ostatecznie rezonował; wreszcie podpisywał głowę z tyłu, rodzaj *ne varietur*, aby ją można było z końcem roku przedstawić do konkursu. Rozpalał nas, ale nie miał najłżejszego poczucia *piękna*. Zrobił w życiu tylko jeden niegodziwy obraz, *Wolność* skopiowaną z własnej żony, krótką, przysadkowatą, bez linii. Aby ją uczynić łżejszą, zawałił pierwszy plan grobowcem, za którym *Wolność* była schowana po kolana.

Przyszedł koniec roku, egzaminy w obecności komitetu i, zdaje mi się, jednego członka Departamentu.

Zdobyłem jedynie nędzną promocję, i to jeszcze, jak sędzę, dano mi ją, aby zrobić przyjemność panu Gagnon, głowie komitetu, i panu Dausse, drugiemu członkowi komitetu, przyjacielowi pana Gagnon.

Dziadek czuł się upokorzony, powiedział mi to z doskonałą grzecznością i miarą. Jego wymówka tak prosta zrobiła na mnie silne wrażenie. Dodał, śmiejąc się: „Umiałeś nam tylko pokazać swój tłusty zadek”.

Tę mało interesującą pozycję zauważono przy tablicy w sali matematycznej.

Była to tablica mająca sześć stóp na cztery, wsparta na wysokości pięciu stóp na silnej ramie; wchodziło się po trzech stopniach.

Pan Dupuy kazał nam udowodnić twierdzenie, na przykład kwadrat przeciwprostokątnej, lub też to zagadnienie: coś kosztuje 7 funtów 4 su 3 denary łokieć; robotnik zrobił dwa łokcie, pięć stóp, trzy cale. Ile mu się należy?

W ciągu roku pan Dupuy zawsze wołał do tablicy panów de Monval, którzy byli szlachcicami, pana de Pina, szlachcica i wsteczніка, panów Anglès, de Renneville, szlachcica; mnie nigdy albo jeden raz.

Młodszy Monval, zakazana gęba, ale dobry matematyk (określenie szkolne), zginął zamordowany przez rozbójników w Kalabrii około 1806, zdaje mi się. Starszy, mimo dobrych stosunków z Pawłem Ludwikiem Courier, stał się wstrętnym starym „reakiem”. Został pułkownikiem, zrujnował w szpetny sposób pewną wielką damę z Neapolu; w Grenoble chciał siedzieć na dwóch stołkach w 1830, odkryto go ku powszechnej wzdardzie. Umarł z tej dobrze zasłużonej wzdardy, bardzo chwalony przez dewotów (patrz „Gazeta” z 1832 albo 1833). Był to piękny mężczyzna, łajdak bez czci i wiary.

Pan de Pina, mer Grenoble od 1825 do 1830. „Reak” zdolny do wszystkiego i zapominający o uczciwości przez wzgląd na swoich dziewięcioro czy dziesięcioro dzieci, zebrał 60 000 czy 70 000 franków renty. Ponury fanatyk i, jak sądzę, łajdak zdolny do wszystkiego, prawdziwy jezuita.

Anglès, później prefekt policji, niestrudzony pracownik lubiący porządek, ale w polityce łajdak do wszystkiego; bądź co bądź, wedle mnie, nieskończenie mniejszy łajdak niż dwaj poprzedni, którzy w gatunku „łajdak” zajmują w moim pojęciu pierwsze miejsce.

Piękna hrabina Anglès była przyjaciółką hrabiny Daru, w której salonie ją poznałem. Ładny hrabia de Meffrey (z Grenoble, jak Anglès) był jej kochankiem. Biedna kobieta nudziła się, jak przypuszczam, bardzo, mimo dygnitarstw męża.

Ten mąż, syn sławnego skąpca i sam skąpy, to było najbardziej ponure bydlę, umysł najbardziej jałowy, najbardziej antymatematyczny. Zresztą paskudny tchórz, opowiem później historię o jego policzku. Około roku 1826 czy 1827 stracił prefekturę policji, zbudował sobie piękny zamek w górach blisko Roanne i wnet umarł tam bardzo nagle, jeszcze młodo. Było to skończone bydlę, miał wszystkie przywary charakteru delfinackiego, podły, chytry, małostkowy, wyzyskujący każdy drobiazg.

De Renneville, kuzyn Monvalów, był piękny i zwierzęco głupi. Ojciec jego był to najbrudniejszy i najpyszniejszy człowiek w całej Grenoble. Nie słyszałem o nim od czasu szkoły.

De Sinarde, dobry uczeń, doprowadzony do torby żebraczej przez emigrację, protegowany i wspierany przez panią de Valserre, był moim przyjacielem.

Wróćmy do owej tablicy, przy której głowa wydającego lekcję była na dobrych osiem stóp nad ziemią. Ja, wywoływany raz na miesiąc, bynajmniej niewspomagany przez pana Dupuy, który rozmawiał z Monvałem lub z panem Pina, gdy ja przeprowadzałem dowód, bełkotałem wystraszony. Kiedy z kolei wyszedłem do tablicy przed sędziami, strach mój spotęgował się, zaplątałem się, patrząc na jury, a zwłaszcza na strasznego pana Dausse, siedzącego po prawej stronie koło tablicy. Zdobyłem się na tę przytomność umysłu, aby na nikogo nie patrzeć, aby myśleć już tylko o moim rachunku, i wywiązałem się z niego poprawnie, ale zmęczony moich egzaminatorów. Co za różnica z tym, co miało być w roku 1799! Mogę powiedzieć, że to własną zasługą wybiłem się w matematyce i w rysunku.

Byłem gruby i nieduży, miałem surdut jasnoszary. Stąd ta wymówka: „Czemu nie dostałeś nagrody?” — pytał dziadek. „Nie miałem czasu”.

Kursy trwały w tym pierwszym roku, zdaje mi się, tylko cztery czy pięć miesięcy.

Chodziłem do Claix, oszalały na punkcie polowania; ale uganiając po polach na przেকór ojcu, zastanawiałem się głęboko nad tymi słowami: „Czemu nie dostałeś nagrody?”.

Nie mogę sobie przypomnieć, czy chodziłem cztery, czy tylko trzy lata do Szkoły Centralnej. Jestem pewien daty wyjścia, egzamin z końcem 1799, oczekiwaliśmy Rosjan w Grenobli.

Arystokraci i moja rodzina, jak sądzę, powiadali:

*O Rus, quando ego te aspiciam*<sup>79</sup>

Co do mnie, drżałem o egzamin, który miał mnie wydobyć z Grenobli! Jeżeli wrócę tam kiedy, archiwa Urzędu Departamentalnego w Prefekturze pouczą mnie, czy Szkołę Centralną otwarto w 1796, czy aż w 1797 roku.

Liczyło się wówczas lata wedle Republiki: był to rok V albo VI. Dopiero znacznie później, kiedy Cesarz głupio tak zarządził, nauczyłem się znać rok 1796, 1797. Widziałem wówczas rzeczy z bliska.

Cesarz zaczął wówczas wznosić tron Burbonów, a wspomagala go w tym bezgraniczna nikkczemność pana de Laplace. Rzecz osobliwa, poeci mają odwagę, a tak zwani uczeni są służalcy i tchórze. Jakże służalczy i nikkczemny wobec władzy był Cuvier! Budził wstręt nawet w roztropnym Sutton Sharpe. W Radzie Stanu baron Cuvier był zawsze po stronie najnikkczemniejszych.

W czasie stworzenia Orderu Zjednoczenia byłem w samym sercu dworu; przyszedł dosłownie *plakać*, aby dostać ten order. Przytoczę w swoim czasie odpowiedź Cesarza. Wybili się przez nikkczemność: Bacon, Laplace, Cuvier. Lagrange był mniej nikkczemny, zdaje mi się.

Pewni chwały swoich pism, panowie ci mają wiarę, że uczony przesłoni polityka; w sprawach pieniężnych, jak i w kwestii odznaczeń są uylitarystami. Sławny Legendre, pierwszorzędnny geometra, kiedy dostał krzyż Legii, przypiął go do fraka, popatrzył w lustro i podskoczył z radości. Mieszkanie było niskie, uderzył się głową o sufit i upadł półmartwy. Byłaby to godna śmierć dla tego następcy Archimedes!

Ileż nikkczemności spełniono w Akademii Nauk od 1815 do 1830 i później, aby wyzebrać krzyże! To nie do wiary, mam szczegóły tego od panów de Jussieu, Edwardsa, Milne-Edwardsa przez salon barona Gérard. Zapomniałem tyle świństw.

Mąż stanu mniej jest nikkczemny, kiedy mówi otwarcie: „Zrobię wszystko, co trzeba, aby się wywindować”.

## ROZDZIAŁ XXV

Dusza moja, oswobodzona od tyranii, zaczynała nabierać prężności. Pomału przestało mnie oblegać to tak wyczerpujące uczucie — bezsilna nienawiść.

Pocziwa ciotka Elżbieta była moją opatrnością. Bywała prawie co wieczór na partyjce u pani Colomb albo pani Romagnier. Te zacne siostry były kołtunkami tylko w pewnych maniach i nawykach. Miały piękne dusze, rzecz tak rzadka na prowincji, i były tkliwie przywiązane do ciotki Elżbiety.

Jeszcze nie dość mówię dobrego o tych zacnych kuzynkach, to były dusze wielkie, szlachetne, dały tego osobliwe dowody w ważnych okolicznościach swego życia.

Ojciec mój, coraz bardziej pogrążony w swojej pasji do gospodarstwa i do Claix, spędzał tam trzy albo cztery dni tygodniowo. Dom dziadka, gdzie jadał obiad i wieczerzę od śmierci żony, pociągał go już znacznie mniej. Mówił szczerze tylko z Serafią. Hiszpański charakter ciotki Elżbiety nakazywał mu uszanowanie; rozmawiali z sobą bardzo niewiele. Przyjemny delfinacki sprycik oraz przykra nieśmiałość ojca nie bardzo się godziły ze szlachetną szczerością oraz prostotą ciotki. Panna Gagnon nie lubiła mego ojca, który znowuż nie był zdolny podtrzymać rozmowę z dziadkiem; był pełen szacunku i grzeczny, dziadek był bardzo grzeczny, to i wszystko. Ojciec nie poświęcał tedy nic, spędzając kilka dni w tygodniu w Claix. Mówił do mnie parę razy, kiedy mnie zmusił, abym mu towarzyszył do Claix, że smutno jest w jego wieku nie mieć swego domu.

Kiedy wracałem, aby wieczerzać z ciotką Elżbietą, dziadkiem i dwiema siostrami, nie potrzebowałem tedy obawiać się zbyt surowego śledztwa. Zazwyczaj mówiłem, śmiejąc się, że byłem po ciotkę u pani Romagnier i pani Colomb; często w istocie odprowadzałem ją

<sup>79</sup> „*O Rus, quando ego te aspiciam*” — „Kiedyż cię, wsi, zobaczę”. Cytat z Horacego (Satyry, II,6); tu użyty na zasadzie gry słów: *rus* (wieś) wymawia się po francusku tak jak *Russe* (Rosjanin). [przypis redakcyjny]

do tych pań, aż do bramy, po czym zbiegałem pędem, aby wałęsać się pół godziny w parku, który wieczorem w lecie, przy świetle księżycy, pod wspaniałymi kasztanami wysokimi na osiemdziesiąt stóp, służył za miejsce schadzki wszystkiemu, co było młodego i żywego w mieście.

Stopniowo ośmieliłem się, chodziłem częściej do teatru, zawsze na stojący parter.

Czułem jakąś tkliwość w sercu, patrząc na młodą aktorkę nazwiskiem panna Kubly. Niebawem zakochałem się w niej bez pamięci; nigdy z nią nie rozmawiałem.

Była to młoda kobieta, szczupła, dość wysoka, z orlim nosem, ładna, smukła, dobrze zbudowana. Miała jeszcze szczupłą linię młodej dziewczyny, ale twarz poważną i często melancholiczną.

Wszystko było nowe dla mnie w osobliwym szaleństwie, które nagle opanowało wszystkie moje myśli. Wszystkie inne zainteresowania zgasły dla mnie. Za ledwie rozpoznałem uczucie, którego obraz oczarował mnie w *Nowej Heloizie*, tym mniej była to rozkosz *Felicji*. Stałem się nagle obojętny i sprawiedliwy dla wszystkiego, co mnie otaczało; w tej epoce zgasła moja nienawiść do nieboszczki ciotki Serafi.

Panna Kubly grała w komedii role pierwszych amantek, śpiewała także w operach komicznych.

Łatwo zrozumieć, że prawdziwa komedia nie była mi dostępna. Dziadek oszalał mi zawsze wielkim słowem: „znajomość serca ludzkiego”. Ale co ja mogłem wiedzieć o tym „sercu ludzkim”? Parę spostrzeżeń za ledwie, pochwytych z książek, szczególnie z *Don Kiszota*, jedynej prawie książki, która nie budziła we mnie nieufności; wszystkie inne były z porady moich tyranów, bo dziadek (świeżo nawrócony, jak sądzę) nie pozwalał sobie na żarty z książek, które wtykali mi ojciec i Serafia.

Trzeba mi było tedy teatru romantycznego, to znaczy dramatu niezbyt ponurego, przedstawiającego niedole miłosne, a nie pieniądze (ponury i smutny dramat opierający się na braku pieniędzy zawsze mnie mierzył jako zbyt mieszczański i zbyt prawdziwy; „Moja d... to także natura” — powiedział Prévillle pewnemu autorowi).

Panna Kubly święciła tryumfy w *Klaudynie* Floriana.

Młoda Sabaudka, która miała małe dziecko w Montenvers z młodym wykwinnym podróżnym, przebiera się za mężczyznę i wraz ze swoim bębniem pełni rzemiosło czyściciela ulic w Turynie. Odnajduje swego kochanka, którego wciąż kocha, i zostaje jego służącym; ale kochanek ma się żenić.

Aktor, który grał kochanka, nazwiskiem Poussi, zdaje mi się, przypomniało mi się nagle to nazwisko po tylu latach — mówił zupełnie naturalnie: „Klaudiuszu! Klaudiuszu!”, łając swego służącego, kiedy ten mówił źle o jego przyszłej. Ten głos, akcent słyszę jeszcze w duszy, widzę aktora.

Przez wiele miesięcy utwór ten, często żądany przez publiczność, sprawiał mi najwyższą przyjemność, powiedziałbym najwyższą, jakiej zaznałem w dziele sztuki, gdyby od dawna przyjemnością moją nie była najbardziej oddana i szalona, najtkliwsza admiracja.

Nie śmiałem wymówić nazwiska panny Kubly; jeśli ją ktoś nazwał w mojej obecności, czułem osobliwe ściskanie serca, zdawało mi się, że padnę. Była niby burza w mojej krwi.

Jeżeli ktoś powiedział „Kubly” zamiast „panna Kubly”, czułem nienawiść i oburzenie, które za ledwie mogłem powstrzymać.

Śpiewała swoim małym głosikiem w *Nieważnym traktacie*, operze Gaveaux (słaba głowa, umarł niepoczytalny w kilka lat potem).

Tam zaczęła się moja miłość muzyki, która była może moją najsilniejszą i najkosztowniejszą namiętnością; trwa jeszcze w pięćdziesiątym drugim roku, żywsza niż kiedykolwiek. Nie wiem, ile mil zrobiłbym pieszo lub na ile dni więzienia naraziłbym się, aby usłyszeć *Don Juana* lub *Matrimonio segreto*, i nie wiem, dla jakiej innej rzeczy zrobiłbym ten wysiłek. Ale na moje nieszczęście nienawidzę muzyki *miernej*. (W moich oczach jest ona karykaturą dobrej, na przykład *Furioso* Donizettiego, wczoraj wieczorem, Rzym, „Valle”. Włosi, bardzo różni w tym ode mnie, nie mogą ścierpieć muzyki, skoro ma więcej niż pięć albo sześć lat. Któryś z nich mówił raz przy mnie u pani 120: „Czy muzyka, która ma więcej niż rok, może być ładna?”).

Co za nawias, wielki Boże! Przepisując, będę musiał wykreślić lub przenieść w inne miejsce połowę tego rękopisu.

Nauczyłem się na pamięć — i z jakim upojeniem! — tej ciągnącej się i przerywanej niteczki octu, którą nazywają *Nieważnym traktatem*.

Niezły aktor, który grał wesoło rolę służącego (widzę dziś, że grał ze szczerą beztroską biedaka, który ma w domu jedynie same smutki i który oddaje się ze szczęściem swej roli), dał mi pierwsze pojęcie *komizmu*, zwłaszcza w chwili gdy prowadzi kontredansa kończącego się: „Małgosia nas słyszała...”.

Krajobraz kształtu i rozmiarów blankietu wekslowego, gdzie było wiele gumiguty wzmocnionej bistro, zwłaszcza na pierwszym planie po lewej, który kupiłem u pana Le Roy i który kopiowałem wówczas z rozkoszą, wydawał mi się absolutnie tym samym, co gra tego komika, który mnie rozśmieszał szczerze, ilekroć panna Kubly nie było na scenie; kiedy się zwracał do niej, byłem roztkliwiony, zachwycony. Stąd może pochodzi, że jeszcze dziś obraz albo utwór muzyczny często dają mi to samo wrażenie. Ileż razy znalazłem tę *tożsamość* w muzeum Brera w Mediolanie (1814–1821)!

To jest tak prawdziwe i tak mocne, że trudno mi to wyrazić; zresztą niełatwo by mi kto uwierzył.

Ścisły związek — rzecz można, małżeństwo — tych dwóch sztuk skojarzył się na zawsze, kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat, przez kilka miesięcy najżywszego szczęścia, rozkoszy najsilniejszej, jakiej kiedykolwiek doznałem, dochodzącej niemal bólu.

Obecnie widzę (ale widzę z Rzymu, w pięćdziesięciu dwu latach), że miałem pociąg do muzyki przed tym *Nieważnym traktatem*, tak podskakującym, tak nikłym, tak francuskim, ale który umiem jeszcze na pamięć. Oto moje wspomnienia: 1° dźwięk dzwonów Św. Andrzeja, zwłaszcza gdy dzwoniło w nie na wybory, w roku, gdy mój krewniak Abraham Mallein (ojciec mego szwagra Aleksandra) był prezydentem albo po prostu wyborcą; 2° zgrzyt pompy na placu Grenette, kiedy służące wieczór pompowały wielkim żelaznym prętem; 3° wreszcie, ale najmniej ze wszystkiego — dźwięk fletu, na którym grał jakiś młody sklepikarz na czwartym piętrze, na placu Grenette.

Już te rzeczy dały mi przyjemności, które bez mojej wiedzy były przyjemnością muzyczną.

Panna Kubly grała też w *Wiejskiej próbie* Grétry'ego, o wiele mniej lichej niż *Nieważny traktat*. Tragiczna sytuacja przejęła mnie dreszczem w *Raulu, panu de Créqui*; słowem, wszystkie liche operetki z roku 1794 stały się dla mnie czymś wzniosłym dzięki obecności panny Kubly; nic nie mogło być płaskie ani pospolite, skoro ona się zjawiała.

Jednego dnia zdobyłem się na olbrzymią odwagę, aby spytać kogoś, gdzie mieszka panna Kubly. To był prawdopodobnie najodważniejszy czyn mego życia.

„Ulica de Clercs” — brzmiała odpowiedź.

O wiele wcześniej odważyłem się spytać, czy ona ma kochanka. Zapytany odpowiedział mi jakimś grubym przysłowiem, nie wiedział nic o jej życiu.

Wąłęsałem się po ulicy des Clercs w dniu przyływu odwagi; serce mi biło, byłbym może zemdłał, gdybym ją spotkał; oddychałem z ulgą, kiedy, doszedłszy do końca ulicy, byłem pewny, że jej nie spotkam.

Jednego ranka wszakże, kiedy się przechadzałem sam w alei kasztanowej w parku miejskim, myśląc o niej, jak zawsze, ujrzałem ją na drugim końcu ogrodu koło muru Intendentury, szła ku terasie. Słabo mi się zrobiło, wreszcie *uciekłem*, jakby mnie diabeł gonił, wzdłuż kraty ogrodzenia, po linii F; panna Kubly była dopiero w K, zdaje mi się, i na szczęście nie spostrzegła mnie. Zważcie, że ona mnie absolutnie nie знаła. Oto jeden z najwybitniejszych rysów mego charakteru, taki byłem zawsze (nawet przedwczoraj). Szczęście widzenia jej z bliska, na pięć czy sześć kroków, było za wielkie, paliło mnie, uciekałem przed tym sparzeniem, przykrością zupełnie realną.

Dziwactwo to nasuwa mi myśl, że co się tyczy miłości, należę do natur melancholicznych, wedle Cabanisa.

W istocie, miłość była zawsze dla mnie najważniejszą sprawą lub raczej jedyną. Nigdy nie bałem się niczego więcej niż ujrzeć, że kobieta, którą kocham, wymienia poufne spojrzenie z moim rywalem. Nie mam prawie urazy do tego rywala: on robi swoje (myślę sobie); ale ból mój jest straszliwy, przesywający, do tego stopnia, że muszę przysiąść na kamiennej ławce pod domem. Podziwiam wszystko w moim zwycięskim rywalu (major

Gibory i pani Martin, *palazzo* Aguisola, Mediolan). Żadna inna przykrość nie działa na mnie ani w tysiącznej części w ten sposób.

Przy Cesarzu byłem baczny, gorliwy, niemyślący zgoła o moim krawacie, bardzo odmiennie od innych. (Przykład: pewien wieczór, godzina siódma, w Łużycach, kampania 1813, nazajutrz po śmierci księcia de Frioul).

Nie jestem ani nieśmiały, ani melancholijny, gdy piszę i narażam się na ryzyko wygwizdania; czuję się pełen odwagi i dumy, kiedy piszę zdanie, którym wzgardziłby jeden z tych dwóch olbrzymów (z roku 1835): Chateaubriand albo Villemain.

Bez wątpienia w roku 1880 znajdzie się jakiś szarlatan zręczny, wyrachowany, modny, jak ci panowie dzisiaj. Ale jeżeli ktoś to przeczyta, będzie mnie uważał za zawistnika, to mi jest bardzo przykre; ta nędzna mieszczańska przywara jest, jak sądzę, zupełnie obca mojej naturze.

W istocie jestem śmiertelnie zazdrosny jedynie o ludzi nadszkakujących kobiecie, którą kocham; co więcej, jestem zazdrosny nawet o tych, którzy jej nadszkakiwali dziesięć lat przede mną. Na przykład pierwszy kochanek Babet (w Wiedniu, w 1809): „Przyjmowałaś go w swojej sypialni!” — „Wszystko było dla nas sypialnią, byliśmy sami w zamku, on miał klucze”.

Czuję jeszcze ból, jaki mi sprawiły te słowa, a to było wszakże w 1809, dwadzieścia siedem lat temu; widzę uroczą naiwność młodej Babet; patrzyła mi w oczy.

Znajduję, to pewna, wiele przyjemności w tym, co piszę od godziny, w tym wysiłku, aby *bardzo ściśle* odmalować moje wrażenia z czasów panny Kubly; ale kto, u licha, będzie miał odwagę przeczytać tę olbrzymią kupę „ja” i „mnie”? To mi się wydaje *cuchnące* mnie samemu. To jest wada tego rodzaju pisanin; przy tym nie umiem poprawić mdłego smaku żadnym sosem szarlatanizmu. Czy ośmielę się dodać: jak *Wyznania* Russa? Nie, mimo całej niedorzeczności zarzutu będą mnie znowu uważali za zawistnego lub też silącego się narzucić porównanie, przerażające swym absurdem, z arcydziełem tego wielkiego pisarza.

Oświadczam uroczyście jeszcze raz i raz na zawsze, że mam głęboką wzdargę dla panów Pariset, de Salvandy, Saint-Marc Girardin i innych pyskaczy, płatnych pedantów i jezuitów z „Debatów”, ale dlatego nie uważam siebie za bliższego wielkich pisarzy. Nie przypisuję sobie innej zasługi prócz tego, że maluję naturę *podobną*, tę naturę, która objawia mi się tak jasno w pewnych chwilach. Po wtóre, jestem pewien mojej najlepszej wiary, mego uwielbienia dla prawdy; po trzecie, przyjemności, jaką znajduję w pisaniu, przyjemności, która dochodziła do szaleństwa w 1817 w Mediolanie, u pana Peronti, corsia del Giardino.

## ROZDZIAŁ XXVI

Ale wróćmy do panny Kubly. Jakże byłem daleki w owych czasach od zawiści i od obawy, że będę *pomówiony o zawiść*, i od myślenia w jakimkolwiek sposobie o innych! Życie zaczynało się dla mnie.

Była tylko jedna istota na świecie — panna Kubly; tylko jeden wypadek — czy miała grać tego wieczora, czy nazajutrz?

Co za rozczarowanie, kiedy nie grała i kiedy dawano jakąś tragedię!

Co za uniesienie radości czystej, tkliwej, tryumfalnej, kiedy czytałem jej nazwisko na afiszu! Widzę jeszcze ten afisz, jego kształt, papier, druk.

Szedłem czytać kolejno to drogie imię w trzech czy czterech miejscach, w których wywieszono afisze: przy Bramie Jakobinów, u wejścia do parku, na rogu domu dziadka. Czytałem nie tylko jej nazwisko; robiłem sobie tę przyjemność, aby odczytać cały afisz. Zużyte nieco czcionki lichego drukarza, który sporządzał ten afisz, stały mi się drogie i święte; przez długie lata kochałem je bardziej od najpiękniejszych.

Nawet przypominam sobie to: kiedy przybyłem do Paryża w listopadzie 1799, piękność czcionek raziła mnie; to nie były te, którymi drukowano nazwisko Kubly.

Wyjechała, nie umiem określić epoki. Przez długi czas nie byłem zdolny iść do teatru. Uzyskałem lekcje muzyki, nie bez trudu; dewocja mego ojca miała uprzedzenie do sztuki tak świeckiej, a dziadek nie miał najmniejszego zamiłowania do muzyki.

Wziąłem nauczyciela skrzypiec nazwiskiem Mention, człowieka najpocieszniejszego w świecie, wcielenie dawnej wesołości francuskiej pomieszanej z brawurą i miłością. Był



bardzo biedny, ale miał serce artysty; jednego dnia, kiedy grałem gorzej niż zazwyczaj, zamknął nuty, mówiąc: „Nie uczę więcej”.

Udałem się do nauczyciela klarnetu nazwiskiem Hoffmann (ulica Bonne), pocziwego Niemca; grałem trochę mniej źle. Opuściłem tego nauczyciela nie wiem jak, aby przejść do pana Holleville, ulica Św. Ludwika, naprzeciw pani Barthélemy, naszej szewcowej. Skrzypek wcale znośny, był głuchy, ale rozróżniał najmniejszą fałszywą nutę. Spotykałem się tam z panem Feliksem Faure (dziś par Francji, prezydent Sądu, jeden z sędziów z sierpnia 1835). Nie wiem, jak opuściłem pana Holleville.

Wreszcie zacząłem chodzić na lekcje śpiewu, bez wiedzy rodziny, o szóstej rano, na plac Św. Ludwika, do bardzo dobrego śpiewaka.

Ale to było na nic; pierwszy miałem wstręt do tonów, jakie wydawałem. Kupowałem arie włoskie, jedną, między innymi, w której czytałem: „*Amore — czy coś takiego — nel cemento*<sup>80</sup>”; rozumiałem: w cemencie. Ubóstwiałem te włoskie arie, z których nic nie rozumiałem. Za późno zacząłem. Jeżeli mogło mnie coś zrazić do muzyki, to te okropne tony, jakie trzeba wydawać, aby ją osiąść. Jedynie klawikord pozwoliłby ominąć tę trudność, ale urodziłem się w rodzinie rdzennie nieharmonicznej.

Kiedy później pisałem o muzyce, przyjaciele moi czynili mi zasadniczy zarzut z tej nieznamości. Ale muszę powiedzieć bez żadnej zarzuciłości, że równocześnie czułem w wykonywanym utworze odcienie, których oni nie spostrzegali. Tak samo z odcieniami fizjonomii w kopiach tego samego obrazu. Widzę te rzeczy jasno *jak przez kryształ*. Mój Boże, wezmą mnie za głupca!

Kiedy wróciłem do życia po kilku miesiącach nieobecności panny Kubly, byłem innym człowiekiem.

Nie nienawidziłem już Serafi, zapomniałem o niej; co się tyczy ojca, pragnąłem tylko jednego: nie być z nim. Spostrzegłem z wyrzutem, że nie mam dla niego *kropki* czułości ani przywiązania.

„Jestem tedy potworem” — powiadałem sobie. I przez długie lata nie znalazłem odpowiedzi na ten zarzut. W mojej rodzinie mówiono bez ustanku i *aż do wymiotów* o czułości. Ci zacni ludzie nazywali czułością bezustanne udręki, jakimi mnie zaszczycali od pięciu czy sześciu lat. Zaczynałem spostrzegać, że oni się nudzą śmiertelnie i że, zbyt próżni, aby nawiązać ze światem, z którym niebacznie zerwali w epoce okrutnej straty, we mnie szukają ucieczki od nudów.

Ale nic nie mogło mnie już wzruszyć po tym, com świeżo przeżył. Studiowałem pilnie łacinę i rysunki, dostałem pierwszą nagrodę (nie wiem, z którego z tych przedmiotów), potem drugą. Tłumaczyłem z przyjemnością *Życie Agrykoli* Tacyta; to było prawie pierwszy raz, że łacina mi sprawiła przyjemność. Przyjemność tę mąciły gorzko kuksy, które mi dawał wielki Odru, ordynarny i ciemny chłop z Lumbin, który uczył się z nami i który nie miał o niczym pojęcia. Biłem się do upadłego z Giroudem, który miał czerwone ubranie. Byłem jeszcze dzieckiem na dobre pół mojej egzystencji.

A przecież burza moralna, której byłem pastwą przez szereg miesięcy, sprawiła, żem dojrzał, zaczynałem sobie mówić poważnie: „Trzeba coś postanowić i wydobyć się z tego śmietnika”.

Miałem tylko jeden sposób: matematyka. Ale uczono mnie jej tak głupio, że nie robiłem żadnych postępów; prawda, że moi koledzy robili ich jeszcze mniej, jeśli możliwe. Ten dryblas Dupuy tłumaczył nam twierdzenie jak zbiór przepisów na robienie octu.

Jednakże Bezout był moją jedyną ucieczką do wydostania się z Grenoble. Ale Bezout był taki tępy! Była to głowa taka jak Dupuy, nasz emfaticzny profesor.

Dziadek mój znał jakiegoś tępasa nazwiskiem Chabert, który „udzielał matematyki w pokoju”. To miejscowe wyrażenie doskonale nadaje się do tego człowieka. Uzyskałem z dość wielkim trudem to, aby chodzić do tego pokoju pana Chabert; bano się obrazić pana Dupuy, zresztą trzeba było płacić 12 franków na miesiąc, zdaje mi się.

Odpowiedziałem, że większość uczniów kursu matematyki w Szkole Centralnej chodzi do pana Chabert i że jeżeli ja nie będę chodził, będę ostatnim w klasie. Chodziłem tedy do pana Chabert. Chabert był to mieszczuch dość dobrze ubrany, ale który miał zawsze minę wyniedzieloną i zawsze jakby się bał zniszczyć swój surdut, kamizelkę i kaszmirowe

<sup>80</sup>*Amore nel cemento* (wl.) — Miłość w niebezpieczeństwie. [przypis redakcyjny]

zielonkawę spodenki; głębę miał mieszczańską, ale dosyć przystojną. Mieszkał przy ulicy Nowej, koło ulicy Św. Jakuba, prawie naprzeciwko Bourbona, handlarza żelaza, którego nazwisko zapamiętałem, bo w mojej kołtuńskiej rodzinie wymawiano je z oznakami najwyższej czci i najgłębszego oddania. Można by myśleć, że istnienie Francji było z nim związane!

Ale odnalazłem u pana Chabert ten brak życzliwości, który mnie gnębił w Szkole Centralnej i sprawił, że mnie nigdy nie wołano do tablicy. W małym pokoiku, wśród siedmiu czy ośmiu uczniów skupionych dokoła ceratowej tablicy, nie było nic niesmaczniejszego niż napierać się do tablicy, to znaczy tłumaczyć piąty czy szósty raz zadanie, które już czterech czy pięciu uczniów przerobiło. A jednak musiałem to czasem robić u pana Chabert, inaczej nigdy bym się nie dorwał do *dowodu*. Pan Chabert uważał mnie za *minus habens* i został przy tej fatalnej opinii. Nic zabawniejszego niż słyszeć go później, jak rozmawiał o moich matematycznych sukcesach.

Ale w początkach to był dziwny brak dbałości — lub, aby rzec lepiej, rozsądku — ze strony moich krewnych — że się nie pytali o moje postępy i o to, ile razy na tydzień wołają mnie do tablicy; nie schodzili do tych szczegółów. Pan Chabert, który żywił wielki szacunek dla pana Dupuy, wołał do tablicy jedynie tych, którzy dostawali się do niej w Szkole Centralnej. Taki na przykład de Renneville, którego pan Dupuy wzywał do tablicy jako szlachcica i jako kuzyna Monvalów, był to głuptas prawie niemy, z wybaluszonymi oczami; kipiałem z oburzenia, kiedy widziałem, że Dupuy i Chabert wołają go ode mnie.

Usprawiedliwiam pana Chabert, musiał być ze mnie smarkacz bezgranicznie zarożumiały i arogancki. Dziadek i cała rodzina okrzyknęli mnie cudem świata: czyż od pięciu lat nie otaczali mnie wszelkimi staraniami?

Pan Chabert był w gruncie mniej ciemny niż pan Dupuy. Znalazłem u niego Eulera i jego zadania z liczbą jaj, które wieśniaczka przyniosła na targ, kiedy niegodziwiec ukradł jej piątą część, potem ona zostawiła połowę reszty etc., etc.

To mi otworzyło oczy, zrozumiałem, co to jest posługiwać się instrumentem zwanym algebrą. Niech mnie licho porwie, jeśli ktoś mi coś o tym wspomniał; bez ustanku pan Dupuy wygłaszał emfaticzne frazesy w tym przedmiocie, ale nigdy tego prostego słowa, że to jest *podział pracy*, który robi cudy jak wszystkie podziały pracy i pozwala inteligencji skupić wszystkie siły w jednym kierunku, na jedną właściwość.

Co za różnica byłaby, gdyby nam pan Dupuy powiedział: „Ten ser jest miękki albo twardy; biały albo niebieski; stary albo młody; jest mój, jest twój; jest lekki, jest ciężki. Z tyłu właściwości rozważmy wyłącznie ciężar. Jakikolwiek będzie ten ciężar, nazwijmy go A. A teraz, nie myśląc już zgoła o serze, zastosujmy do wszystko, co wiemy o ilościach.

Tej rzeczy tak prostej nikt nam nie powiedział na tej zapadłej prowincji; od tego czasu Szkoła Politechniczna i idee Lagrange’a przeniknęły na prowincję.

Arcydziełem edukacji owego czasu był mały hultaj odziany zielono, grzeczny, obleśny, miły, który nie miał ani trzech stóp wzrostu i uczył się na pamięć *twierdzeń*, których dowodzone, ale nie troszcząc się zupełnie o ich zrozumienie. Ten faworyt zarówno pana Chabert, jak pana Dupuy nazywał się, jeśli się nie mylę, Paweł Emil Teysseyre. Egzaminator Szkoły Politechnicznej, ten głupiec Ludwik Monge, brat wielkiego geometry, który napisał owo sławne głupstwo (na początku *Statyki*), nie spostrzegł, że całą zasługą Pawła Emila była zdumiewająca pamięć.

Przeszedł do Politechniki; jego niezrównana obluda, jego pamięć i jego ładna dziewczęca buzia nie miały tego sukcesu co w Grenoble; wyszedł wprawdzie oficerem, ale niebawem spłynęła nań łaska i został księdzem. Na nieszczęście umarł na piersi; byłbym śledził z przyjemnością jego karierę. Opuściłem Grenoble z bezgranicznym pragnieniem, aby mu kiedyś móc wsunąć potężną porcję kuksów.

Zdaje mi się, że dałem mu już małą zaliczkę u pana Chabert, gdzie słusznie górował nade mną dzięki swej niezawodnej pamięci.

Co do niego, nie gniewał się nigdy o nic i znosił z najzimniejszą krwią epitety „mały hipokryta”, które spadały nań ze wszystkich stron i które zdwoiły się w dniu, kiedyśmy go ujrzeni uwieńczonego różami i odgrywającego rolę anioła na jakiejś procesji.

To był prawie jedyny charakter, który zauważyłem w Szkole Centralnej. Tworzył on piękny kontrast z ponurym Benoît, którego spotkałem na kursie literatury pana Dubois-Fontanelle; cała jego szczytna wiedza polegała na miłości sokratycznej, której udzielił mu doktor Clapier, wariat.

Jest może dziesięć lat, jak nie myślałem o panu Chabert; pomału przypominam sobie, że był on w istocie o wiele mniej ograniczony od pana Dupuy, mimo że mówił jeszcze bardziej rozwlekle i że wygląd miał jeszcze bardziej kołtuński.

Cenił on Clairauta; była to olbrzymia zdobycz, że nas zapoznał z tym genialnym człowiekiem i wyprowadził po trosze z płaskiego Bezouta. Miał Bossuta, księdza Marie i od czasu do czasu dał nam przerabiać jakieś zadanie z tych autorów. Miał nawet w rękopisie jakieś drobiazgi Lagrange'a, z tych, które były dobre na naszą skromną miarę.

Zdaje mi się, że zadania rozwiązywaliśmy piórem w zeszytach i na ceratowej tablicy.

Moja nielaska rozciągała się na wszystko; może była skutkiem jakiejś niezręczności mojej rodziny, która zapomniała posłać na Boże Narodzenie indyka panu Chabert lub jego siostrze; bo miał siostry, i to bardzo ładne — gdyby nie moja nieśmiałość, byłbym się chętnie do nich umizgał. Miały wiele szacunku dla wnuka pana Gagnon, przychodziły zresztą do nas na mszę w niedzielę.

Chodziliśmy zdejmować plany z pomocą grafometra i stolika mierniczego; jednego dnia zdjęliśmy plan pola przy drodze des Boiteuses. Chabert kazał wszystkim innym wyciągnąć linie na stoliku; wreszcie przyszedłem i ja, ale ostatni czy przedostatni, po mnie już tylko jakieś dziecko. Byłem upokorzony i wściekły, zanadto przyciskałem pióro. „Ależ ja ci kazałem wykreślić linię — rzekł pan Chabert swoim śpiewającym akcentem — a ty wyciągasz sztabę”.

Miał słuszną. Zdaje mi się, że ten wybitny brak łask u panów Dupuy i Chabert oraz wyraźna obojętność pana Jay na kursie rysunku nie dały mi wyrósć na głupca. Miałem do tego cudowne warunki; rodzina moja, której ponura dewocja wciąż występowała przeciw publicznemu wychowaniu, wmówiła w siebie bez trudu, że w ciągu pięciu lat starań — niestety zbyt pilnych — stworzyła arcydzieło, a tym arcydziełem byłem ja.

Jednego dnia powiadałem sobie (ale w istocie to było przed Szkołą Centralną): „Czy ja nie jestem może synem wielkiego monarchy, a wszystko, co słyszę o Rewolucji, i to trochę, co z niej widzę, czy to nie jest bajka służąca do mego wychowania, jak w *Emilu*?”

Bo mój dziadek, człowiek miły w rozmowie, mimo swoich pobożnych postanowień wspominał przy mnie o *Emilu*, mówił o *Wyznaniu wiary wikarego sabaudzkiego* etc., etc. Ukradłem tę książkę w Claix, ale nic z niej nie rozumiałem, nawet niedorzeczności z pierwszej strony, i po kwadransie porzuciłem ją. Trzeba oddać sprawiedliwość smakowi mego ojca, był on entuzjastą Russa i mówił o nim czasem, za co — jako za nieostrożność wobec dziecka — często bywał łajany przez ciotkę Serafię.

## ROZDZIAŁ XXVII

Miałem i mam jeszcze gusty najbardziej arystokratyczne; zrobiłbym wszystko dla szczęścia ludu, ale wolałbym, jak sądzę, spędzić co miesiąc dwa tygodnie w więzieniu niż żyć ze sklepikarzami.

W tej epoce zbliżyłem się, nie wiem jak, z Franciszkiem Bigillion (który później się zabił, jak sądzę, wskutek utrapień z żoną).

Był to człowiek prosty, naturalny, szczery, który nigdy nie silił się dać do zrozumienia jakąś ambitną odpowiedzią, że zna świat, kobiety etc. A to była w kolegium nasza największa ambicja i nasza główna próżnostka. Każdy z tych smarkaczy chciał wmówić w drugiego, że miał kobiety i że zna świat; nic podobnego u poczciwego Bigilliona. Odbywaliśmy razem długie spacerunki, zwłaszcza w stronę wieży Rabot i Bastylji. Wspaniały widok, jakiego zażywa się stamtąd, zwłaszcza ku Eybens, za którym widać najwyższe Alpy, podnosił naszą duszę. Rabot to jest stara wieża, a Bastylia to domek, położone na różnej wysokości na górze obejmującej miasto, bardzo śmieszne w 1795, ale przyzwoite podobno w 1836.

W czasie tych przechadzek dzieliliśmy się z całą szczerością wrażeniami, jakie w nas budził ten las straszliwy, posępny i rozkoszny, w który mieliśmy się zapuścić. Każdy się domyśli, że chodzi o społeczeństwo i o świat.

Bigillion miał wielkie przewagi nade mną:

1° Był wolny od dziecka, jako syn ojca, który go nie zanadto kochał i który umiał bawić się inaczej niż robiąc sobie lalkę ze swego syna.

2° Ojciec ten, bardzo zamożny rolnik, mieszkał w Saint-Ismier, wiosce odległej od Grenoble o jedną stację pocztową na wschód, bardzo ładnie położonej w dolinie Izery. Ten dobry wieśniak, amator wina, dobrej kuchni i wiejskich piękności, wynajął w Grenoble małe mieszkanie dla dwóch synów, którzy się tam kształcili. Starszy zwał się Bigillion, wedle zwyczaju naszej prowincji, a młodszy Rémy, kpiarz, dziwak, typ prawdziwie delinacki, ale szlachetny, poza tym nieco zazdrosny, nawet wówczas, o przyjaźń, jaka mnie łączyła z jego bratem.

Przyjaźń ta, oparta na zupełnej szczerości, stała się faktem po upływie dwóch tygodni. Miał on wuja, uczonego mnicha — i zdaje mi się, bardzo mało mnicha — dobrego ojca Morlon, może benedyktyna, który w moim dzieciństwie zgodził się przez przyjaźń dla dziadka wypowiadać mnie raz czy dwa razy. Bardzo byłem zdumiony jego słodyczą i uprzejmością, jakże różną od surowego pedantyzmu zgryźliwych chamów, którym ojciec wydawał mnie najczęściej, takich jak ksiądz Rambault.

Ten dobry ojciec Morlon miał wielki wpływ na moją inteligencję; miał Szekspira w przekładzie pana Letourneur; bratanek jego pożyczał dla mnie kolejno wszystkie tomy tego dzieła, obszernego jak dla dziecka, osiemnaście czy dwadzieścia tomów.

Zdawało mi się, że odżywam, czytając go. Po pierwsze, miał tę zaletę, że nie był chwalony i zalecany przez moją rodzinę jak Racine. Wystarczało, aby chwalili jakąś *przyjemność*, abym nabrał do niej wstrętu.

Iżby nic nie brakło urokowi Szekspira, zdaje mi się nawet, że ojciec źle się o nim wyrażał.

Byłem nieufny wobec rodziny we wszystkim; ale co się tyczy sztuk pięknych, pochwały jej wystarczały, aby mi wszczepić śmiertelną odrazę do najpiękniejszych rzeczy. Serce moje, o wiele bardziej rozwinięte niż umysł, czuło żywo, że oni je chwalą tak, jak *Kings* zachwalają dziś religię, to znaczy z ubocznym celem. Czułem mętnie, ale bardzo żywo i z ogniem, którego już nie mam, że wszelki cel moralny, to znaczy interes, zabija w artyście wszelkie dzieło sztuki. Czytałem ustawicznie Szekspira od 1796 do 1799. Racine, bez ustanku chwalony przez moją rodzinę, robił na mnie wrażenie płaskiego hipokryty. Dziadek opowiedział mi anegdotę, jak umarł z tego, że Ludwik XIV na niego nie popatrzył. Zresztą wiersze nudziły mnie jako coś, co przedłuża zdanie i pozbawia je jasności. Nienawidziłem „bieguna” w miejsce „konia”. Nazywałem to hipokryzją.

W jaki sposób, żyjąc samotnie na łonie rodziny wysławiającej się bardzo dobrze, byłbym mógł odczuwać język mniej lub bardziej szlachetny? Skąd byłbym wziął język niewytworny?

Corneille mniej mi się nie podobał. Autorzy, którzy podobali mi się wówczas do szaleństwa, to byli Cervantes, *Don Kiszot*, Ariost, obaj w tłumaczeniu. Bezpośrednio potem szedł Rousseau, który miał tę podwójną wadę, że chwalił ks[ięży] i że jego chwalił mój ojciec. Czytałem z rozkoszą *Powiatki* La Fontaine'a i *Felicję*. Ale to nie były *przyjemności literackie*. To są te książki, które czyta się tylko jedną ręką, jak powiadała pani pani de\*\*\*.

Kiedy w 1824, w chwili gdy miałem się zakochać w Klementynie, sililem się nie dać się pochłonąć kontemplacji jej wdzięków, (przypominam sobie wielką walkę pewnego wieczora na koncercie pani Dubignon, gdzie siedziałem obok słynnego generała Foy; Klementyna, reakcjonistka, nie bywała w tym domu), kiedy, powiadam, pisałem moją książkę *Racine i Szekspir*, obwiniano mnie, że gram komedię i że zapieram się pierwszych wrażeń dzieciństwa. Czytelnik widzi, jak dalece prawdą było to, czego się nie ważyłem powiedzieć (jako rzeczy nie do uwierzenia), że moją pierwszą miłością był Szekspir, między innymi *Hamlet* i *Romeo i Julia*.

Bigillionowie mieszkali przy ulicy Chenoise (nie jestem pewny nazwy), przy tej ulicy, która wychodzi na placyk pomiędzy kościołem Marii Panny a rzeczką z wznoszącym się na niej klasztorem Augustynów. Był tam słynny antykwarz, którego odwiedzałem często. Wyżej był klasztor, gdzie mój ojciec spędził w więzieniu kilka dni z panem Colomb, ojcem Romana Colomb, najstarszego z moich przajaciół (w 1836).

W tym mieszkaniu, położonym na trzecim piętrze, mieszkała z Bigillionami ich siostra, panna Wiktoryna Bigillion, bardzo prosta, bardzo ładna, ale bynajmniej nie grecką

Ksiądz, Spowiedź

Religia, Władza, Piękno

pięknością; przeciwnie, była to fizjonomia najzupełniej allobrocka. Zdaje mi się, że dziś nazywa się to rasą gaelicką. (Patrz dr Edwards, a zwłaszcza Adrian de Jussieu, który przekonał mnie o słuszności tej klasyfikacji).

Panna Wiktoryna była inteligentna i dużo myślała; była uosobieniem świeżości. Twarz jej była w zupełnej harmonii z okienkami mieszkania, które zajmowała z braćmi, ciemnego, mimo że od południa i na trzecim piętrze; ale bo naprzeciwko stał ogromny dom. Ta doskonała harmonia uderzała mnie lub raczej czułem ją, ale nie rozumiałem.

Często byłem obecny przy wieczerzy tego rodzeństwa. Służąca z ich stron, prosta jak oni, przyrządzała posiłek; jedli razowy chleb, co mi się zdawało niepojęte, mnie, który jadałem tylko chleb biały.

Tam miałem w stosunku do nich wszystkie przewagi; w ich oczach należałem do wyższej sfery: wnuk pana Gagnon, członka komitetu Szkoły Centralnej, był *szlachcicem*, a oni mieszczenie, prawie chłopi. Nie znaczy to, aby oni czuli jakiś żal albo głupi podziw; woleli na przykład chleb razowy od białego, zależało tylko od nich dać pytlować mąkę, aby mieć chleb biały.

Zyliśmy tam w zupełnej niewinności, dokoła tego orzechowego stołu przykrytego obrusem z grubego płótna. Bigillion starszy miał czternaście albo piętnaście lat, Rémy dwanaście, Wiktoryna trzynaście, ja trzynaście, służąca siedemnaście.

Tworzyliśmy towarzystwo bardzo młode, jak widzicie; przy tym nikogo ze starszych krewnych, który by nas krępował. Kiedy stary Bigillion przybywał do miasta na dzień lub dwa, nie śmieliśmy pragnąć jego nieobecności, ale krępował nas.

Może mieliśmy wszyscy o rok więcej, ale to już najwyżej; moje bowiem ostatnie dwa lata, 1799 i 1798, w zupełności pochłonęła matematyka i Paryż jako cel; było to więc w 1797 lub raczej w 1796; otóż w 1796 miałem trzynaście lat.

Zyliśmy wówczas jak młode króliki igrające w lesie i szczypiące macierzankę. Panna Wiktoryna była gospożą; częstowała mnie suszonymi winogronami na winnym liściu, które lubilem prawie tak samo jak jej uroczą towarzyszkę. Czasami prosiłem ją o drugie grono; często odmawiała mi, mówiąc: „Mamy już tylko osiem, a trzeba dobić do końca tygodnia”.

Co tydzień, raz albo dwa razy, przybywały zapasy z Saint-Ismier. Taki jest zwyczaj w Grenoble. Pasja każdego mieszcucha to jego folwarczek; woli sałatę, która pochodzi z jego posiadłości, na przykład z Montbonnot, Saint-Ismier, Corenc, Voreppe, Saint-Vincent albo z Claix, Échirolles, Eybens, Domène etc., i która go kosztuje 4 su, od tej samej sałaty kupionej za 2 su na targu. Ten mieszcuch miał 10 000 franków ulokowanych na 5% u Pierierów (ojciec i stryj Kazimierza, ministra w 1832), lokuje je w ziemi, która mu daje 2% albo 2½, i jest zachwycony. Przypuszczam, że za resztę starczy mu próżność, przyjemność powiedzenia z ważną miną: „Muszę jechać do Montbonnot” albo: „Wracam z Montbonnot”.

Nie kochałem się w Wiktorynie, serce moje było jeszcze całe obolałe wyjazdem panny Kubly, a przyjaźń moja z Bigillionem była tak serdeczna, że zdaje mi się, iż, w zwięzły sposób, z obawy śmieszności, ośmieliłem się zwierzyć mu moje szaleństwo.

Nie spłoszyło go to, był to chłopiec najlepszy i najprostszy w świecie, a cenne te przymioty szły u niego w parze z najdelikatniejszą inteligencją, ze zdrowym rozsądkiem cechującym tę rodzinę, a wzmocnionym jeszcze u niego przez rozmowy z Rémym, jego bratem i serdecznym przyjacielem, chłopcem mało wrażliwym, ale nieubłaganiem rozsądnym. Rémy spędzał czasem całe popołudnie, nie otwierając ust.

Na tym trzecim pięterku spływały najszcześniejsze chwile mego życia. Rychło potem Bigillionowie opuścili ten dom, aby zamieszkać w Montée du Pont de Bois; a może, przeciwnie, z Pont de Bois przenieśli się na ulicę Chenoise, zdaje mi się, w każdym razie na tę ulicę, na którą wychodzi ulica Pont-Saint-Jaime. Pamiętam doskonale trzy okna, całe z małych szybek, i ich położenie w stosunku do ulicy Pont-Saint-Jaime. W chwili kiedy to piszę (w Rzymie w styczniu 1836), moja pamięć robi niezwykle odkrycia. Zapomniałem przecież w trzech czwartych wszystko, o czym od dwudziestu lat nie myślę nawet kilka razy na rok.

Byłem bardzo nieśmiały z Wiktoryną, pączki jej piersi przejmowały mnie zachwytem; ale zwierzałem się jej ze wszystkiego, na przykład z prześladowań Serafi, z których

zaledwie się wyzwoliłem. Przypominam sobie, że mi nie chciała wierzyć, co mi sprawiło śmiertelną przykrość. Dawała mi do zrozumienia, że ja mam zły charakter.

## ROZDZIAŁ XXVIII

Surowy Rémy bardzo złym okiem patrzyłby na to, gdybym się umizgał do jego siostry; Bigillion dał mi to do zrozumienia i to był jedyny punkt, co do którego nie byliśmy z sobą zupełnie szczerzy. Często o zmierzchu po przechadzce, kiedy miałem ochotę zajść do Wiktoryny, żegnali mnie spiesznie, co mi było bardzo przykre. Potrzebowałem przyjaźni i szczerego wygadania się; serce miałem obolałe od tylu dokuczliwości, których — słusznie czy nie, ale wierzyłem w to święcie — byłem przedmiotem.

Przyznaję wszelako, że gdy chodziło o taką prostą rozmowę, wolałem o wiele rozmawiać z Wiktoryną niż z jej braćmi. Widzę dziś moje ówczesne uczucie: zdawało mi się czymś nie do wiary widzieć z tak bliska to straszliwe zwierzę, kobietę, w dodatku ze wspaniałymi włosami, z ręką cudownie utoczoną, mimo że nieco chudą, wreszcie z cudownymi piersiami, często nieco odkrytymi z powodu straszliwego gorąca. Faktem jest, że siedząc przy stole orzechowym, o dwie stopy od panny Bigillion, oddzielony od niej kaniem stołu, rozmawiałem z braćmi jedynie dlatego, aby się opanować. Ale przez to nie miałem najmniejszej ochoty kochać się; byłem *scottato* (sparzony), jak mówią Włosi, doświadczyłem świeżo, że miłość to rzecz poważna i straszna. Nie mówiłem sobie tego, ale czułem dobrze, że w sumie miłość moja do panny Kubly dała mi prawdopodobnie więcej przykrości niż przyjemności.

W czasie tego uczucia dla Wiktoryny, tak niewinnego w słowach, a nawet w myślach, zapomniałem nienawidzić, a zwłaszcza wierzyć, że mnie nienawidzą.

Zdaje mi się, że po jakimś czasie braterska zazdrość Rémy'ego uspokoiła się; albo też udał się na kilka miesięcy do Saint-Ismier. Spozstrzegł może, że w istocie nie kocham jej, albo miał jakieś swoje sprawy; byliśmy wszyscy politykami w trzynastym lub czternastym roku. Ale w tym wieku jest się już bardzo szcwanym w Delfinacie; nie mamy bez troski paryskiego urwisa, wcześniej owładają nami namiętności. Namiętności do drobiazgow, ale faktem jest, że pożądamy namiętnie.

Słowem, od zmierzchu (dziewiąta godzina na wieży Św. Andrzeja) spędzałem dobrych pięć razy w tygodniu wieczór u Bigillionów.

Nie wspominając zgoła o przyjaźni, jaka nas łączyła, byłem na tyle nieostrożny, że raz przy wieczery w domu wymieniałem tę rodzinę. Nieopatrzność ta poniosła dotkliwą karę. Spozstrzegłem, jak pogardliwym gestem załatwiono się z rodziną i z ojcem Wiktoryny.

„Czy on ma córkę? To musi być jakaś chłopianka”.

Nie przypominam sobie dokładnie pogardliwego określenia i chłodno-wzgardliwej miny, jaka mu towarzyszyła. Pamiętam jedynie palący żal, jaki mi sprawiło to lekceważenie.

Musiała to być ściśle ta sama wzgardliwa i drwiąca mina, jaką przybierał baron des Adrets, mówiąc o mojej matce lub ciotce.

Rodzina moja, mimo zajęć adwokata i lekarza, uważała siebie za coś znajdującego się na krawędzi szlachectwa; pretensje ojca wznosiły się nawet do podupadłego szlachcica. Cała wzgarda, jaką okazano w czasie tej wieczery, opierała się na półwieśniaczym stanie pana Bigilliona, ojca moich przyjaciół, i na tym, że jego młodszy brat, człowiek bardzo sprytny, był dyrektorem okręgowego więzienia przy placu Św. Andrzeja.

Ta rodzina przyjmowała św. Brunona w Grande-Chartreuse w roku... Był to dowiedziony fakt: to było coś grubo więcej niż rodzina Beyle, sędzia wiejski w Sassenage pod średniowiecznymi panami. Ale poczciwy stary Bigillion, żyjący wygodnie u siebie na wsi, nie bywał na obiadach u pana de Marcieu ani u pani de Sassenage i pierwszy kłaniał się memu dziadkowi, skoro go tylko spozstrzegł; co więcej, mówił o panu Gagnon z najwyższym szacunkiem.

Ten wyskok pychy stanowił rozrywkę dla rodziny, która z nawyku umierała z nudów; co do mnie, przy tej wieczery straciłem apetyt, słysząc, w jaki sposób traktują moich przyjaciół. Spytano mnie, co mi jest. Odpowiedziałem, że jadłem bardzo późno podwieczorek. Kłamstwo jest jedyną ucieczką słabych. Umierałem z wściekłości na samego siebie: jak to! byłem na tyle głupi, aby mówić w domu o tym, co mnie zajmuje!

Wzgarda ta wstrząsnęła mną bardzo; widzę teraz czemu, chodziło o Wiktorynę. Zatem to nie z tym straszliwym zwierzęciem, tak groźnym, ale tak namiętnie ubóstwianym, kobietą przyzwoitą i piękną, miałem szczęście spędzać wieczory na rozmowie niemal poufnej?

Po kilku dniach okrutnej męki Wiktoryna zwyciężyła; uznałem, że jest miłsza i światowsza niż moja rodzina, *skurczona* (tak to nazywałem), dzika, niewydająca nigdy przyjęć, niebywająca w żadnym salonie, gdzie by było bodaj dziesięć osób, gdy panna Bigillion bywała często u pana Faure w Saint-Ismier i u rodziców nieboszczki matki w Chapareillan na obiadach po dwadzieścia pięć osób. Była nawet lepiej urodzona z racji przyjęcia św. Brunona w 1080 roku.

W wiele lat później przejrzałem mechanizm tego, co się działo wówczas w moim sercu, i w braku lepszego słowa nazwałem to *krystalizacją* (termin, który tak uraził tego wielkiego literata, ministra spraw wewnętrznych w 1833, hrabiego d'Argout, zabawna scena opowiedziana przez Klarę Gazul).

To rozgrzeszenie ze wzgardy trwało jakich pięć czy sześć dni, przez które nie myślałem o niczym innym. Ta zniewaga tak chwalebnie przewyciężona wprowadziła *nowy fakt* między panną Kubly a moim obecnym stanem. Mimo że naiwność moja nie domyślała się tego, był to ważny punkt: między zgryzotą a nas trzeba nam wprowadzać nowe fakty, choćby złamanie ręki.

Kupiłem sobie dobre wydanie książki Bezouta i kazałem oprawić ją starannie (może jeszcze istnieje w Grenobli u pana Aleksandra Mallein, dyrektora podatków); wyrysowałem na niej wieniec z liści, a w środku wielkie „V”. Codziennie patrzyłem na ten dokument.

Po śmierci Serafi byłbym mógł przez potrzebę kochania pojednać się z rodziną; ten odruch pychy rozdzielił nas na zawsze; byłbym przebaczył pomówienie Bigillionów o zbrodnię, ale wzgarda! I to właśnie dziadek wyraził ją z największym wdziękiem, a tym samym z najpewniejszym skutkiem!

Strzegłem się pilnie mówić w domu o innych przyjaciółach, jakich miałem w owej epoce: Gall, La Bayette...

Gall był synem wdowy, która kochała go wyłącznie i szanowała, przez uczciwość, jako dziedzica majątku; ojciec musiał być jakimś starym oficerem. Widok ten, tak osobliwy dla mnie, przykuwał mnie i rozczulał. „Ach, gdyby moja biedna matka żyła — powiadałem sobie. — Gdybym bodaj miał krewnych w rodzaju pani Gall, jakżeby ich kochał!” Pani Gall szanowała mnie wielce jako wnuka pana Gagnon, dobroczyńcy ubogich, których leczył darmo, a nawet dawał im często parę funtów mięsa na rosół. Ojca mego nie znała.

Gall był chudy, bladej, ospowaty, zresztą z natury bardzo zimny, umiarkowany, bardzo ostrożny. Czuł, że jest absolutnym panem małego mająteczku i że nie powinien go stracić. Był prosty, uczciwy, zgola nie kłamca ani błagier. Zdaje mi się, że opuścił Grenoble i Szkołę Centralną przede mną, aby się udać do Tulonu i wstąpić do marynarki.

Do marynarki również gotował się sympatyczny La Bayette, bratanek albo krewniak admirała (to znaczy kontradmirała czy wiceadmirała) Morard de Galles.

Był równie miły i szlachetny, jak Gall był godny szacunku. Przypominam sobie jeszcze uroczę popołudnia, jakieśmy spędzali w oknie jego pokoiku. Mieszkał na trzecim piętrze w domu wychodzącym na Nowy Rynek. Tam dzieliłem jego podwieczorek: jabłka i chleb razowy. Łaknąłem wszelkiej rozmowy szczerzej i bez obłudy. Z tymi dwoma zaletami, wspólnymi wszystkim moim przyjaciółom, La Bayette łączył wielką dystynkcję uczuć i wzięcia<sup>81</sup> oraz tkliwość duszy niezdolną do głębokiego uczucia, jak u Bigilliona, ale wykwintniejszą w wyrazie.

Zdaje mi się, że dawał mi dobre rady w epoce mojej miłości do panny Kubly, o której ważyłem się z nim mówić, tak był szczerzy i dobry. Skupiliśmy razem całe nasze szczupłe znawstwo kobiet lub raczej całą naszą szczupłą wiedzę czerpaną w przeczytanych powieściach. Musiało to być zabawne, gdyby ktoś słyszał.

<sup>81</sup>wzięcie — sposób zachowania. [przypis edytorski]

Rychło po śmierci ciotki Serafii przeczytałem z zachwytem *Sekretne pamiętniki Duclosa*, które czytał mój dziadek.

Zdaje mi się, że to na kursie matematyki poznałem Galla i La Bayette; tam z pewnością zapalałem przyjaźnią do Ludwika de Barral (obecnie najdawniejszego i najlepszego z moich przyjaciół; jest to człowiek, który najbardziej mnie kocha, nie ma też, zdaje mi się, poświęcenia, którego bym dla niego nie uczynił).

Był wówczas bardzo drobny, chudy, nikły; mówiono, że przechodzi miarę w brzydkim nałogu, który mieliśmy wszyscy; faktem jest, że wyglądał na to. Ale wygląd jego podnosił wspaniały mundur oficera inżynierii (nazywano to „przydzielony do inżynierii”); był to dobry sposób przywiązania do rewolucji bogatych rodzin lub przynajmniej złagodzenia ich nienawiści.

Anglès (później hrabia Anglès, prefekt policji, wzbogacony przez Burbonów) był także przydzielony do inżynierii, tak samo jak inny osobnik, pośledni pod każdym względem, o rudych włosach, nazwiskiem Giroud, różny od innego Giroud w czerwonym ubraniu, z którym bijałem się często. Żartowałem sobie mocno z Girouda, przystrojonego w złote epolety i o wiele większego ode mnie: był to mężczyzna osiemnastoletni, gdy ja byłem dopiero wyrostkiem trzynasto- lub czternastoletnim. Ta różnica trzech czy czterech lat jest w szkole ogromna, mniej więcej taka jak między szlachcicem a plebejuszem w Piemontcie.

Co mnie podbiło w Barralu za pierwszym razem, kiedy mówiliśmy z sobą (jego opiekunem był wtedy, zdaje mi się, Piotr Wincenty Chalvet, profesor historii, poważnie chory na sekretną chorobę), co mnie podbiło w Barralu, to 1° piękność jego uniformu, którego błękit wydał mi się czarujący; 2° jego sposób mówienia tych wierszy Woltera, które przypominam sobie jeszcze:

*Vous êtes, lui dit-il, l'existence et l'essence  
Simple...*

Jego matka, na wskroś wielka dama, „z domu Grolée”, jak mówił z szacunkiem dziadek, była ostatnią z osób, które zachowały dawny strój swego stanu. Widzę ją jeszcze koło posągu Herkulesa w parku, w białej atlasowej w kwiaty sukni z robionymi, jak u mojej babki (Joanny Dupéron, wdowy B.), z ogromnym pudrowanym kokiem i może małym pieskiem na ręku. Małe uliczniki szły za nią w oddaleniu z podziwem; co do mnie, prowadził mnie (albo niósł) wierny Lambert; mogłem mieć trzy albo cztery lata w czasie tej wizji. Ta wielka dama miała obyczaje swego stanu; margrabia de Barral, jej mąż, był prezes czy nawet pierwszy prezes Parlamentu, nie chciał emigrować, dlatego rodzina moja gardziła nim, tak jakby otrzymał dwadzieścia policzków.

Roztropny pan Destutt de Tracy miał ten sam pomysł w Paryżu i musiał wziąć posadę, jak pan de Barral, który przed rewolucją nazywał się de Montferrat, to znaczy margrabia de Montferrat; pan de Tracy zmuszony był żyć z płacy urzędniczej w Ministerium Oświaty, zdaje mi się; pan de Barral ocalił 20 000 albo 25 000 franków renty, z czego w 1793 oddał połowę albo dwie trzecie nie ojczyźnie, ale strachowi przed gilotyną. Może zatrzymała go we Francji miłość do pani Brémond, którą później zaślubił. Spotkałem młodego Brémond w wojsku, gdzie był majorem, zdaje mi się, potem podinspektorem rewii, a zawsze hulaką.

Nie mogę powiedzieć, żeby jego ojczym, prezes de Barral (bo Napoleon, tworząc trybunały cesarskie zrobił go prezesem), był orłem, ale dla mnie był on tak zupełnym przeciwieństwem mojego ojca, tak dalece nie znośił pedantyzmu i bał się urazić miłość własną syna, że kiedy szli na spacer w stronę dawnego koryta Drac,

ojciec mówił:..... Dzień dobry,

syn odpowiadał:..... Dwa robry,

ojciec:..... Kaczka,

syn:..... Spluwaczka,

i cała przechadzka była w ten sposób wypełniona szukaniem rymów, przy czym każdy z nich starał się wprawić przeciwnika w zakłopotanie.

Ten ojciec uczył syna *Satyry* Woltera (jedynej rzeczy doskonałej, wedle mnie, którą stworzył ten wielki reformator).

Wówczas to dopiero poznałem prawdziwy *dobry ton* i od razu mnie oczarował.



Porównywałem bez ustanku tego ojca bawiącego się w rymy, pełnego delikatnych względów dla miłości własnej swoich dzieci, z ponurym pedantyzmem mojego ojca. Miałem najgłębszy szacunek dla wiedzy dziadka, kochałem go szczerze, nie posuwałem się do refleksji: „czy nie można by połączyć bezgranicznej wiedzy mego dziadka z miłą i wesołą uprzejmością pana de Barral?”.

Ale moje serce, aby tak rzec, *przeczuwało* tę myśl, która z czasem miała się stać dla mnie zasadniczą.

Widziałem już dobry ton, ale na wpół zniekształcony, przesłonięty dewocją, na pobożnych wieczorynkach, gdzie pani de Valserre skupiała na parterze pałacu des Adrets pana du Bouchage (zrujnowany par Francji), pana de Saint-Vallier (wielki Saint-Vallier), Scypiona, jego brata, pana de Pina (eks-mera Grenobli, wielkiego jezuitę, 80 000 franków renty i siedemnaścioro dzieci), panów de Sinard, de Saint-Ferréol, mnie, pannę Bonne de Saint-Vallier (której białe i śliczne wenecjańskie ramiona wznuszały mnie tak bardzo).

Ksiądz Chélan, pan Barthélemy d'Orbane to były też modele. Ojciec Ducros miał coś genialnego. (Słowo „genialny” było dla mnie wówczas tym, czym słowo „Bóg” dla bigotów).

## ROZDZIAŁ XXIX

Nie widziałem wówczas pana Barral w tak pięknym świetle; był on znieawidzony przez moją rodzinę za to, że nie emigrował.

Z konieczności stając się hipokrytą (wada, z której się zbyt dobrze poprawilem i której brak tyle mi zaszkodził, w Rzymie na przykład), cytowałem mojej rodzinie nazwiska La Bayette i de Barral, moich nowych przyjaciół.

„La Bayette! Dobra rodzina — rzekł dziadek — ojciec jego był kapitanem okrętu, wuj, pan de\*\*\*, prezesem sądu. Co do Montferrata, to licha figura”.

Trzeba przyznać, że pewnego dnia o drugiej rano urzędnicy municypalni, i pan de Barral z nimi, przybyli, aby uwięzić pana d'Antour, dawnego rajcę sądu, trzydziestoletniego bałwana, który mieszkał na pierwszym piętrze i którego stałym zajęciem było przechadzać się w swoim wielkim salonie i ogryzać sobie paznokcie. Nieborak tracił wzrok i, co więcej, był notorycznie podejrzany, jak mój ojciec. Był dewotem aż do fanatyzmu, ale poza tym nie był zły człowiek. Uważano za rzecz niegodną ze strony pana de Barral, że przyszedł aresztować jednego z rajców, niegdyś jego kolegów, kiedy był prezesem sądu.

Trzeba przyznać, że to była ucieszna figura, mieszczanin francuski koło roku 1794, kiedy zacząłem go rozumieć: skarżący się gorzko na pychę szlachty, a w gruncie ceniący człowieka jedynie i wyłącznie z racji jego urodzenia. Cnota, dobroć, szlachetność nie znały nic; nawet im człowiek był wybitniejszy, tym bardziej wyrzucali mu brak urodzenia, i to jakiego urodzenia!

Około roku 1803, kiedy mój wuj, Roman Gagnon, przybył do Paryża i mieszkał u mnie przy ulicy de Ménars, nie wprowadziłem go do pani de Neuilly. Była po temu dobra przyczyna — ta dama nie istniała. Urażona tym zaniedbaniem, poczciwa ciotka Elżbieta rzekła: „Musi w tym być coś nadzwyczajnego, inaczej byłby Henryk zaprowadził swego wuja do tej pani; człowiek przecie lubi pokazać, że *nie wypadł sroce spod ogona*”.

To ja, jeżeli łaska, nie wypadłem sroce spod ogona.

A kiedy nasz kuzyn Clet, okropnie brzydki, z gębą aptekarza i, co więcej, istotny aptekarz (aptekarz wojskowy), miał się żenić we Włoszech, ciotka Elżbieta odpowiadała na zarzut jego brzydoty:

— Trzeba przyznać, że to istna maskara — mówił ktoś.

— Przypuśćmy, ale urodzenie! Kuzyn pierwszego lekarza w Grenobli, czy to nic?

Charakter tej przezacnej panny był uderzającym przykładem zasady „*noblesse oblige*”. Nie znam nic tak szlachetnego, wielkodusznego, trudnego, co by było powyżej niej i jej bezinteresowności. Jej to po części zawdzięczam, że umiem przyzwoicie mówić; gdy mi się wymknęło jakieś gminne słowo, powiadała: „Och, Henryku!”. I twarz jej wyrażała zimną wzgardę, której wspomnienie prześladowało mnie długo.

Znałem rodziny, gdzie mówiono równie dobrze, ale żadnej, gdzie by mówiono lepiej niż u nas. To nie znaczy, aby nie robiono ośmiu czy dziesięciu lokalnych błędów.

Ale kiedy użyłem słowa nie dość ścisłego albo pretensjonalnego, natychmiast spadał na mnie żarcik, i to — o ile chodziło o dziadka — z tym większą radością, iż był to prawie jedyny rodzaj żartów, na jakie pozwalała nieborakowi cierpka dewocja ciotki Serafii. Aby uniknąć drwiącego spojrzenia tego dowcipnego człowieka, trzeba było używać zwrotów najprostszych i słów najściślejszych, nie osuwając się wszakże w pospolitość.

Widywałem w bogatych domach w Paryżu dzieci używające zawsze zwrotów najbardziej siłujących się na szlachetny styl, a rodzice pochwalali tę emfazę. Młodzi paryżanie chętnie mówili „rumak” zamiast „kon”; stąd ich podziw dla panów de Salvandy, Chateaubriandów etc.

U czternastoletniego chłopca z Delfinatu można było w owej epoce spotkać głębię i prawdę uczuć, jakiej nigdy nie znalazłem u młodego paryżanina. W zamian za to wymawialiśmy: *cour-se*, *ver-se*, *Anver-se*, albo: pan *Passe-kin*, zamiast: *Pasquin*.

Dopiero przybywszy do Paryża w 1799 spostrzegłem, że istnieje inna wymowa. Później brałem lekcje u słynnego *La Rive* i *Dugazon*, aby wypłoszyć resztki *śpiewności* moich stron. Zostało mi zaledwie parę słów (zaczyn ksiądz *Gattel* dobrze więc zrobił, że zaznaczył wymowę w swoim doskonałym słowniku, chociaż niedawno jakiś pismak paryski zganiał tę metodę) oraz zdecydowany i namiętny akcent Południa, który zdradzając *siłę uczucia*, energię, z jaką się kocha lub nienawidzi, jest tym samym dziki i *bliski śmieszności* w Paryżu.

Tym językiem rozmawiałem z moimi przyjaciółmi, *Bigillionem*, *La Bayette'em*, *Galem*, *Barralem*. Ten *Barral* przybywał co rana, zdaje mi się, z *La Tronche*, aby spędzić dzień u *Piotra Wincentego Chalvet*, profesora historii mieszkającego w kolegium. Była tam ładna aleja lipowa; była bardzo wąska, ale lipy były stare i liściaste, mimo że strzyżone. Widok był rozkoszny; przechadzałem się tam z *Barralem*. Pan *Chalvet*, zajęty swymi dziwkami, swoim syf... i książkami, które układał, poza tym najbardziej niedbały z ludzi, pozwalał mu się łatwo wymykać.

Zdaje mi się, że to tam, w czasie tych przechadzek, poznaliśmy *Michouda*: wygląd wołowaty, ale człowiek najzacniejszy w świecie (który miał tylko tę wadę, że umarł jako zaprzeczony ministeriał i radca apelacji, około 1827). Byłbym skłonny wierzyć, że ten przezacny człowiek sądził, iż uczciwość obowiązuje jedynie w stosunkach prywatnych i że wolno jest zdradzić swoje powinności obywatela, aby wydrzeć rządowi trochę pieniędzy. Czynną olbrzymią różnicę między nim a jego kolegą *Feliksem Faure*: ten urodził się z duszą nikczemną, toteż jest parem Francji i prezesem Trybunału Apelacyjnego w *Grenoble*.

Ale jakie bądź były pobudki pocziwego *Michouda*, aby sprzedać ojczyznę życzeniom generalnego prokuratora, wówczas, około 1795, był to najlepszy chłopak, naturalny, inteligentny, serce na dłoni.

Sądzę, że uczył się czytać z *Barralem* u panny *Chavand*; często mówili o swoich psotach w tej wstępnej klasie. (Już rywalizacje, przyjaźnie, nienawiści świata!) Jak ja im zazdrościłem! Zdaje mi się nawet, że skłamałem raz czy dwa razy, dając do zrozumienia innym kolegom, że i ja uczyłem się czytać u panny *Chavand*.

*Michoud* kochał mnie aż do swojej śmierci i nie trafił na niewdzięcznika; miałem najwyższy szacunek dla jego rozsądku i dobroci. Pewnego razu przyszło między nami do bójki, że zaś był dwa razy cięższy ode mnie, sprzał mnie.

Wyrzucałem sobie mój wybryk nie dla tego, com oberwał, ale dlatego że nie docenił jego nadzwyczajnej dobroci. Byłem złośliwy i puszczałem koncepty, które mi ściągnęły sporo kulaków; ta sama właściwość zyskała mi we Włoszech i w Niemczech w wojsku coś lepszego, a w Paryżu zajadłe krytyki małych dzienniczków.

Kiedy mi przyjdzie jakiś koncept, widzę jego wesołość, a nie złośliwość. Zawsze jestem zdziwiony oddźwiękiem jego złośliwości. Obecnie przez rozsądek nie puszczam już tych słówek. Niedawno don *Filip Caetani* oddał mi sprawiedliwość, że jestem jednym z najmniej złośliwych ludzi, jakich znał, mimo że mam reputację człowieka bardzo dowcipnego, ale bardzo złego i jeszcze bardziej niemoralnego (niemoralnego dlatego, że pisałem o kobietach w *Miłości* i że, choćbym nie chciał, drwię sobie z hipokrytów, korporacji, która w Paryżu — kto by przypuścił? — jest jeszcze czcigodniejsza niż w Rzymie).

Niedawno pani *d'Anvers*, pani *Toldi* z „*Valle*”, kiedym wyszedł od niej, rzekła do księcia *C[ae]tani*: „Ależ to pan *de S[tend]hal*, ten człowiek taki dowcipny, a *taki niemoralny*. Aktorka, która ma bębna z księciem *Leopoldem Syrakuzzańskim*! Pocziwy don *Filippo* bronił mnie bardzo poważnie od zarzutu niemoralności.

Nawet opowiadając, że żółty kabriolet przejeżdżał ulicą, mam nieszczęście śmiertelnie obrazić hipokrytów, a nawet *głupców*.

Ale w gruncie, drogi czytelniku, nie wiem, jaki jestem: dobry, zły, inteligentny, głupi? Wiem za to doskonale, co mi robi przykrość, a co przyjemność, co lubię, a czego nienawidzę.

Salon zbogaconych prowincjałów, którzy puszą się zbytkiem, jest mi na przykład wstrętny. Potem idzie salon margrabiów, wielkich oficerów Legii Honorowej, którzy rozprawiają o moralności.

Zebranie ośmiu lub dziesięciu osób, gdzie wszystkie kobiety mają kochanków, gdzie rozmowa jest wesoła, anegdotyczna i gdzie się pije lekki poncz o wpół do pierwszej w nocy — to miejsce, gdzie się czuję najlepiej; tam, w moim kółku, znacznie wolę przysłuchiwać się niż mówić. Chętnie zapadam w milczenie *szczęścia*, a jeśli mówię, to jedynie aby *opłacić swój bilet wstępu* — termin, który wprowadziłem w modę w świecie paryskim; tak jak *fioritura*<sup>82</sup> (importowana przeze mnie), którą spotykam bez ustanku; rzadziej, trzeba przyznać, spotykam *krystalizację*<sup>83</sup> (patrz *O miłości*). Ale nie zależy mi na tym nic a nic; jeśli kto znajdzie w języku lepsze słowo, silniej skoligacone, aby oddać tę samą myśl, pierwszy gotów jestem przyklasnąć i posługiwać się nim.

## ROZDZIAŁ XXX

Widzę dziś, że wspólnym przymiotem wszystkich moich przyjaciół była naturalność, czyli brak hipokryzji. Pani Vignon i ciotka moja, Serafia, wszczęły mi do tej najważniejszej z cnót warunkujących sukces w dzisiejszym społeczeństwie odrazę, która mi bardzo zaszkodziła i która dochodzi do fizycznego wstrętu. Dłuższe obcowanie z obłudnikiem przyprowadza mnie wręcz o młodości (tak jak przed miesiącem włoszczyzna kawalera Tallenay zmusiła hrabinę Sandre do rozsznurowania gorsetu, co widziałem w... w listopadzie 35).

Nie *naturalnością* błyszczał biedny Grand-Dufay, chłopiec niezmiernie inteligentny; toteż był on zawsze moim przyjacielem jedynie *literackim*, to znaczy, że on był zazdrosny, ja nieufny, a obaj ceniliśmy się bardzo.

Dostał pierwszą nagrodę z gramatyki w tym samym roku, o ile mi się zdaje, w którym ja dostałem pierwszą nagrodę z literatury. Ale kiedy to było? W 1796 czy w 1795? Bardzo bym potrzebował archiwów Prefektury; nazwiska nasze wydrukowano na afiszu i ogłoszono publicznie. Mądre prawo pana de Tracy (przytoczyć poniżej) otaczało egzaminy wielką pompą. Czyż nie chodziło tu o nadzieję ojczyzny? Była to nauka dla członka Zarządu Departamentu, moralnego produktu despotyzmu pani Du Barry, zarówno jak dla ucznia.

Co było począć w roku 1796 ze wszystkimi ludźmi, którzy mieli więcej niż dwadzieścia lat? Ocalić ojczyznę od złego, które gotowi byli jej wyrządzić, i czekać, jak się dało, ich *death*<sup>84</sup>.

To jest równie prawdziwe, jak smutne. Co za ulga dla nawy państwowej w 1836, gdyby wszystko, co ma więcej niż pięćdziesiąt lat, przeszło nagle *ad patres*. Z wyjątkiem oczywiście „króla, mojej żony i mnie”.

W jednej z licznych iluminacji, jakie odbywały się co miesiąc między rokiem 1789 a 1791, jakiś mieszczuch wywiesił ten transparent:

NIECH ŻYJE  
KRÓL,  
MOJA ŻONA I JA!

Grand-Dulay, najstarszy z czterech czy pięciu braci, był to chłopiec chuderlawy i szczupły, z wielką głową, twarz pocętkowana ospą, a mimo to bardzo czerwona, oczy błyszczące, ale fałszywe, z niepokojącą żywością dzika. Był bardzo wyrachowany, nigdy najmniejszej

<sup>82</sup>*fioritura* — koloratura. [przypis redakcyjny]

<sup>83</sup>*krystalizacja* — *Przypisek*: Rodzaj obłędu dopatrujący się wszystkich możliwych doskonałości i ukazujący w idealnym świetle wszystko u osoby, która działa na macicę. „Jest biedny — ach, o ile bardziej za to go Kocham! jest bogaty — ach, o ile bardziej za to go Kocham!”. [przypis autorski]

<sup>84</sup>*death* — śmierci. [przypis redakcyjny]

nieostrożności w mowie, zawsze pełen pochwał, ale w słowach doskonale umiarkowanych. Można by rzec, członek Instytutu. Poza tym inteligencja żywa i cudownie chwytana, ale od najmłodszego wieku pożerana ambicją. Był najstarszym synem i ukochanym dzieckiem matki o potulnym charakterze, i nie bez przyczyny: rodzina była biedna.

Co za cudowny Plougoulm (to znaczy prezes Sądu Najwyższego, zaprzędany władzy i umiejący pozorować najbezpieczniejsze niesprawiedliwości) byłby z tego Dufaya!

Ale nie pożył długo; kiedy umarł w Paryżu koło 1803, trzeba mi będzie obwinić się o jedno z najgorszych uczuć w moim życiu, jedno z tych, dla których najbardziej wahałem się, czy mam ciągnąć te pamiętniki. Zapomniałem o tym od 1803 czy 1804, epoki owej śmierci. Osobliwe jest, ile rzeczy przypominam sobie od czasu, jak piszę te „wyznania”. Przychodzą mi nagle i zdaje mi się, że sędzę je bezstronnie. W każdym momencie życia widzę owo *lepiej*, którego nie zrobiłem. Ale kto, u licha, będzie miał cierpliwość czytać to wszystko?

Moi przyjaciele, ilekroć wyjdę na ulicę w nowym i dobrze skrojonym ubraniu, daliby talara, aby ktoś wylał na mnie szklankę brudnej wody. Myśl lichy wyrażona, ale rzecz prawdziwa (wyłączam, rozumie się, kochanego hrabiego de Barral, to charakter à la La Fontaine).

Gdzie znajdzie się czytelnik, który po czterech czy pięciu tomach „ja” i „mnie” nie zapragnie, aby na mnie wylano nie szklankę brudnej wody, ale butelkę atramentu? A jednak, mój czytelniku, wszystko złe mieści się tylko w tych siedmiu głoskach: B, R, U, L, A, R, D, które tworzą moje nazwisko i zaprzętają moją miłość własną. Przypuśćmy, że napisałbym: Bernard, a już ta książka byłaby, jak *Wikary z Wakefield*<sup>85</sup> (mój rywal w naiwności), tylko powieścią pisaną w pierwszej osobie.

Trzeba będzie co najmniej, aby osoba, której zapisałem to pośmiertne dzieło, dała skrócić wszystkie szczegóły jakiemuś pokątnemu redaktorowi, jakiemuś Amadeuszowi Pichot albo Courchamps owej epoki. Ktoś powiedział, że nigdy się nie idzie tak daleko w *opera d'inchiostro*<sup>86</sup>, jak kiedy się nie wie, dokąd się idzie; gdyby tak było zawsze, niniejsze pamiętniki, które malują „serce człowieka”, jak powiadają panowie Wiktor Hugo, d'Arlincourt, Soulié, Raymond etc., etc., powinny być piękną rzeczą. „Ja” i „mnie” trapiły mnie wczoraj wieczór (14 stycznia 1836), w czasie gdy słuchałem *Mojżesza* Rossiniego. Dobra muzyka każe mi myśleć z większą jasnością i nasileniem o tym, co mnie zaprzęta. Ale trzeba na to, aby czas sądu minął; od tak dawna osądziłem już *Mojżesza* (w 1823), że zapomniałem formuły wyroku i nie myślę już o niej; jestem już tylko „niewolnikiem pierścienia”, jak powiadają *Noce arabskie*.

Wspomnienia mnożą się pod moim piórem. Spostrzegam oto, że zapomniałem jednego z moich najbliższych przyjaciół, Ludwika Crozet, obecnie naczelnego inżyniera w Grenoble, bardzo zacnego, ale zagrzebanego jak „baron pochowany naprzeciwko swej żony”<sup>87</sup> i utopionego przez nią w ciasnym egoizmie drobnego i zawistnego mieszczaństwa w górskiej mieścinie naszych stron (La Mure, Corps albo Bourg-d'Oisans).

Ludwik Crozet stworzony był na to, aby być w Paryżu jednym z najświetniejszych ludzi; w salonie byłby pobili Koreffa, Pariseta, Lagarde'a i mnie także, jeśli wolno mi się wymienić. Byłby z piórem w ręku czymś w rodzaju Duclosa, autora *Zarysu obyczajów* (ale ta książka będzie może martwa w 1880), człowieka, który zdaniem d'Alemberta „był najświetniejszym umysłem epoki”.

Było to, zdaje mi się, „na łacinie” (jak mówiliśmy) u pana Durand, kiedy zbliżyłem się z Crozetem, wówczas najbrzydziej i najniezgrabniej chłopakiem w całej szkole; musiał się urodzić około 1784.

Twarz miał okrągłą i bladą, silnie ospowatą, małe niebieskie oczki bardzo żywe, ale z powiekami wyszczerbionymi przez tę okrutną chorobę. Dopelniała tego mina pedantyczna i zgryźliwa; chodził niezręcznie, jakby na krzywych nogach. Całe życie był na

<sup>85</sup> *Wikary z Wakefield* — powieść Olivera Goldsmitha (1766). [przypis redakcyjny]

<sup>86</sup> *opera d'inchiostro* (wł.) — dosłownie: praca atramentem. [przypis redakcyjny]

<sup>87</sup> *baron pochowany naprzeciwko swej żony* — aluzja do dwuwiersza z komedii L. De Boissy *Złudne pozory*, gdzie jest mowa o człowieku, który jakby zmarł za życia w niedobranym małżeństwie: *Ci-git, sans avoir rendu l'ame, / Le baron entree vis-a-vis de sa femme*. („Tu spoczywa, nie oddawszy ducha, baron pochowany naprzeciwko swej żony”). [przypis redakcyjny]

antypodach elegancji, a na nieszczęście silił się na elegancję; przy tym wszystkim dowcip wręcz niebiański, jak mówi La Fontaine.

Rzadko dostępny uczuciu, ale wówczas kochający namiętnie ojczyznę, zdolny, jak sądzę, w potrzebie do bohaterstwa. Byłby z niego bohater jakiegoś zgromadzenia ustawodawczego, drugi Hampden, a to jest największa zaleta w moich oczach. (Patrz *Życie Hampdena* pióra Lorda Kinga albo Dacre'a, jego prawnuka).

Słowem, był to spośród moich krajanów ten, w którym widziałem najwięcej inteligencji i bystrości; miał przy tym zuchwałstwo związane z nieśmiałością, potrzebne, aby błyszczeć w salonie paryskim. Podobnie jak generał Foy, ożywał się, w miarę jak mówił.

Był mi bardzo użyteczny dzięki tej ostatniej cnocie, *bystrości*, której z natury brakło mi zupełnie i której, zdaje mi się, zdołał mi wszczepić trochę. Powiadam „trochę”, bo zawsze muszę się do tego przymuszać. A jeśli coś odkryję, skłonny jestem przeceniać moje odkrycie i widzieć tylko ten szczegół.

Tłumaczę tę wadę mego umysłu nazywając ją *skutkiem koniecznym* i *sine qua non* nadmiernej wrażliwości.

Kiedy jakaś myśl owładnie mną zbyt żywo na ulicy, *padam*. Przykład: ulica de Richelieu, w pobliżu ulicy des Filles-Saint-Thomas, jedyny upadek w ciągu pięciu czy sześciu lat, spowodowany, około 1826, tym problemem: czy pan de Belleyme powinien w interesie swej ambicji kandydować na posła, czy nie? Był to czas, gdy pan de Belleyme, prefekt policji (jeden popularny urzędnik starszej linii Burbonów), ubiegał się niemądrze o mandat.

Kiedy myśl jakaś przyjdzie mi na ulicy, zawsze grozi mi to, że mogę wleźć na przechodnia, upaść lub dostać się pod koła. Na ulicy d'Amboise, pewnego dnia w Paryżu (jeden przykład ze stu), patrzałem na dr Edwardsa, nie poznając go. To znaczy, były dwie czynności; jedna mówiła wyraźnie: „Oto dr Edwards”; ale druga, zajęta swymi myślami, nie dodawała: „Trzeba się z nim przywitać, zagadać do niego”. Doktor był bardzo zdziwiony, ale nie obrażony, nie wziął tego za komedię geniuszu (jakby to uczynili panowie Prunelle, były mer Lyonu, najbrzydszy człowiek we Francji, Juliusz Cezar Boissat, największy zarozumialec, Feliks Faure i wielu innych moich przyjaciół i znajomych).

Miałem szczęście często spotykać Ludwika Crozet: w Paryżu w 1800, w Paryżu między 1803 a 1806, w Plancy od 1810 do 1814, gdzie go odwiedzałem i gdzie oddałem mu na stajnię moje konie w czasie nie pamiętam już jakiej misji od Cesarza. Wreszcie spaliśmy w jednym pokoju (Hotel Hamburgski, ulica Uniwersytecka) w wieczór wzięcia Paryża w 1814. Ze zmartwienia dostał w nocy niestrawności; ja, który traciłem wszystko, bardziej patrzałem na rzecz jako na widowisko. Byłem zresztą wściekły o głupią korespondencję księcia Bassano ze mną, kiedy byłem w siódmej dywizji wraz z tym starcem *rimbambito*<sup>88</sup>, hrabią de Saint-Vallier.

Byłem też wściekły, przynajmniej to na hańbę mojej inteligencji, o postąpienie Cesarza z deputacją ciała prawodawczego, w której się znajdował ten czuły i wymowny głupiec nazwiskiem Lainé (z Bordeaux), później wicehrabia i par Francji, zmarły w 1835, zarówno jak ten człowiek *bez serca*, absolutnie wyzuty z wszelkiej zdolności czucia, nazwiskiem Roederer.

Z Crozetem, aby nie tracić czasu na gadatliwe zachwyty nad La Fontaine'em, Corneille'em albo Szekspirem, pisaliśmy to, co nazywaliśmy *Charaktery* (chciałbym dziś zobaczyć który).

Było to sześć czy osiem stron in folio, zdających sprawę (pod przybranym nazwiskiem) z charakteru kogoś z naszych wspólnych znajomych przed jury złożonym z Helwecjusza, Tracy'ego i Makiawela lub też Helwecjusza, Monteskiusza i Szekspira. Takie były nasze ówczesne admiracje.

Czytaliśmy razem Adama Smitha i J. B. Saya, ale porzuciliśmy tę naukę, znajdując w niej punkty ciemne, a nawet sprzeczne. Byliśmy pierwsi w matematyce, a po trzech latach Szkoły Politechnicznej Crozet był tak mocny w chemii, że mu ofiarowano miejsce analogiczne do posady pana Thénard (dziś para Francji, ale w ówczesnym naszym pojęciu

<sup>88</sup>*rimbambito* (wł.) — dziecięciny. [przypis redakcyjny]

człowieka bez talentu; uwielbialiśmy tylko Lagrange'a i Monge'a; sam Laplace był dla nas raczej człowiekiem-światłem, zdolnym coś wytłumaczyć, ale nie wymyślić). Czytaliśmy z Crozetem Montaigne'a, nie wiem ile razy Szekspira w przekładzie Letourneura (mimo że umieliśmy doskonale po angielsku).

Pracowaliśmy nieraz razem po pięć i sześć godzin, opiewszy się kawy w Hotelu Hamburgskim przy ulicy Uniwersyteckiej, z widokiem na Muzeum Pamiątek Francuskich, uroczej budowli zniweczonej przez tych tępych B[urbonów].

Może przechwalam się, dając sobie miano wybornego matematyka. Nigdy nie umiałem rachunku różniczkowego i całkowego, ale w swoim czasie dumałem z rozkoszą nad sztuką ujęcia i zrównania tego, co śmiałbym nazwać metafizyką matematyki. Zdobyłem pierwszą nagrodę (i to bez żadnej protekcji, przeciwnie, moja pycha usposabiała na moją niekorzyść) przed ośmioma młodymi ludźmi, których w miesiąc później, z końcem 1799, wszystkich przyjęto do Szkoły Politechnicznej.

Odbyłem z Crozetem sześćset lub osiemset posiedzeń nad książką, po pięć lub sześć godzin każde. Pracę tę, poważną, ze zmarszczonymi brwiami, nazywaliśmy obkuwaniem — wyrażenie przyjęte w Szkole Politechnicznej. Te godziny były moją prawdziwą edukacją literacką; z rozkoszą wychodziliśmy na odkrycie prawdy, ku wielkiemu zgorzeniu Jana Ludwika Basset (dziś barona de Richebourg, audytora, eks-podprefekta, eks-kochanka bogatej księżnej Montmorency, pyszałka bez mózgu, ale bez jadu). Osobnik ten, mający półpiętej stopy<sup>89</sup> wzrostu i zrozpaczony, że nazywa się Basset, mieszkał z Crozetem w Hotelu Hamburgskim. Nie wiem o innej jego zasłudze prócz tego, że dostał pchnięcie bagnetem w piersi, czy może tylko w wyłogi fraka, jednego dnia, kiedyśmy z parteru wzięli szturmem scenę Komedii Francuskiej na cześć panny Duchesnois (ale, dobry Boże, gdzie ja włązę?), aktorki wyborowej w kilku rolach, zmarłej w 1835.

Nie darowywaliśmy sobie nic z Crozetem, kiedyśmy pracowali razem; zawsze baliśmy się, że damy się uwieść próżności, nie znajdując żadnego z przyjaciół zdolnego rozprawiać z nami na ten temat.

Ci przyjaciele to byli: obaj Bassetowie, Ludwik de Barral (mój bliski przyjaciel, był także bliskim przyjacielem Ludwika Crozet) i Plana (profesor w Turynie, członek wszystkich akademii tego kraju i posiadający wszystkie odznaczenia). Moi przyjaciele Crozet i Plana byli w matematyce o rok spóźnieni w stosunku do mnie: uczyli się arytmetyki, kiedy ja byłem już przy trygonometrii i algebrze.

## ROZDZIAŁ XXXI

Dziadek mój nie lubił pana Dubois-Fontanelle; dziadek był wcieleniem próżności wykwińskiej i nieubłaganej, człowiekiem z wielkiego świata w stosunku do mnóstwa osób, o których wyrażał się grzecznie, ale których nie lubił.

Sądzę, że obawiał się lekceważenia ze strony biednego Dubois, autora tragedii, która miała zaszczyt wyprawić księgarza na galery. Chodziło o *Erycję, czyli Westalkę*. Była to wyraźnie *Erycja, czyli Zakonnica* lub też *Melania* tego intryganta Laharpe, którego zimny talent skradł, jak sądzę, ten temat biednemu Dubois-Fontanelle, zawsze tak biednemu, że pisał drobnymi pismem, aby mniej zużywać papieru.

Biedny Dubois przybył młodo do Paryża z *miłością piękną*. Ciągła bieda zmusiła go do szukania *pożytku*; nie mógł się nigdy wspiąć do rzędu szczęśliwiarzy pierwszej klasy, takich jak Laharpe, Marmontel etc. Potrzeba zmusiła go do kłeczenia artykułów politycznych w „Journal des Deux-Ponts”, co gorsza ożenił się z wielką i grubą Niemką, eks-kochanką króla bawarskiego Maksymiliana Józefa, wówczas księcia Maksa i pułkownika francuskiego.

Starsza jego córka, córka króla, wyszła za niejakiego pana Renauldon, nadętą figurę, w sam raz na dobrego mera w wielkim mieście na prowincji. W istocie był dobrym merem Grenobli od 1800 do 1814, zdaje mi się; co więcej, najbezwstydniej ustrojonym w rogi przez mego kuzyna Pellat, króla durniów, którego to okryło hańbą i zmusiło do opuszczenia tych stron z posadą w Zarządzie Podatków Pośrednich, z łaski dobroczynnego Français (z Nantes), potężnego finansisty za Cesarza, tego, który dał posadę Parny'emu. Znałem go dobrze jako literata pod nazwiskiem pana Jérôme, około 1826. Wszyscy ci utalentowani

<sup>89</sup>półpiętej (daw.) — tj. cztery i pół; półpiętej stopy: ok. 135 cm. [przypis edytorski]

ludzie zawiedzeni w ambicjach chwytają się literatury w braku czegoś lepszego. Przez swój talent do intryg i przez przyjaciół politycznych osiągają półsukcesy, a w rzeczywistości ośmieszają się, jak na przykład pan Roederer, pan Français (z Nantes), a nawet hrabia Daru, kiedy na zasadzie swego poematu o astronomii (wydanego po jego śmierci) został nadzwyczajnym członkiem Akademii Nauk. Ci trzej ludzie, bardzo inteligentni, bystrzy i z pewnością wybijający się jako radcy stanu i prefekci, nigdy nie widzieli tej małej figury geometrycznej, którą ja, skromny audytor, wynalazłem przed miesiącem.

Gdyby, przybywszy do Paryża, biedny Dubois, który się przezwał Fontanelle, dostał pensyjkę 100 ludwików pod warunkiem, że będzie pisał (jak Beethoven około 1805 w Wiedniu), byłby uprawiał *piękno*, to znaczy naśladował nie naturę, ale Woltera.

Zamiast tego musiał tłumaczyć *Metamorfozy* Owidiusza i, co gorsza, książki angielskie. Ten zacny człowiek obudził we mnie myśl uczenia się po angielsku i pożyczył mi pierwszego tomu Gibbona; przy tej okazji usłyszałem, że wymawia: „*Te istory of te fall*”. Nauczył się po angielsku bez nauczyciela, z przyczyny biedy, ze słownika.

Ja nauczyłem się po angielsku aż w wiele lat później, kiedy *wymyśliłem* to, aby się nauczyć na pamięć pierwszych czterech stron *Wikarego z Wakefield*. Było to, zdaje mi się, koło 1805. Ktoś wpadł na ten sam pomysł w Szkocji, zdaje mi się, a ja dowiedziałem się o tym dopiero w 1812, kiedy się dorwał paru numerów „*Edinburgh Reviews*” w Niemczech.

Pan Dubois-Fontanelle był prawie unieruchomiony przez podagrę, palce jego nie miały już kształtu, był grzeczny, uprzejmy, usłużny, zresztą charakter jego złamało ciągle niepowodzenie.

Skoro armie rewolucji zdobyły „*Journal des Deux-Ponts*”, pan Dubois nie stał się dlatego *arystokratą*, ale, rzecz osobliwa, został zawsze *obywatelem francuskim*. To się wyda proste około 1880, ale było istnym cudem w 1796.

Patrzcie na mego ojca, który Rewolucji zawdzięczał to, że mógł zająć wybitne stanowisko przez swoje talenty, który został pierwszym wicemerem w Grenobli, kawalerem Legii Honorowej, a mimo to nienawidził tej Rewolucji, która go wyciągnęła z błota.

Biedny i szanowny pan Fontanelle, opuszczony przez swój dziennik, przybył do Grenobli ze swą grubą Niemką, która mimo swego pierwotnego rzemiosła miała chamskie maniery i mało pieniędzy. Był uszczęśliwiony, że został profesorem, że dostał mieszkanie; zajął apartament w południowo-zachodnim skrzydle kolegium, zanim było ukończone.

Miał on piękne wydanie Woltera in 8°, z Kehl; jedyna książka, której ten zacny człowiek nie pożyczał. Książki jego zawierały notki jego pisma, szczęściem prawie niemożliwe do odczytania bez lupy. Pożyczył mi *Emila* i był bardzo niespokojny, bo przy tej wariackiej deklamacji Russa: „Śmierć Sokratesa to śmierć człowieka, śmierć Chrystusa to śmierć Boga”, wlepił świstek papieru, bardzo rozsądny i bardzo mało wymowny, który kończył się przeciwną maksymą.

Ta karteczka zaszkodziłaby mu bardzo, nawet w oczach mego dziadka. Co by było, gdyby mój ojciec ją zobaczył? W owej epoce ojciec mój nie kupił *Słownika* Bayle’a na licytacji naszego kuzyna Drier (hulaki), aby nie narażać mojej religii; powiedział mi to.

Pan Fontanelle był zanadto złamany nieszczęściami i charakterem swojej diabelskiej żony, aby być entuzjastą; nie miał najmniejszej iskierki nieboszczyka księdza Ducros; toteż nie miał żadnego wpływu na mój charakter.

Zdaje mi się, że przechodziłem jego kurs z tym małym jezuitą Pawłem Emilem Teysseyre, grubym Marquis (pocziwym i nadętym bogatym chłopcem z Rives czy Moirans), z Benoit, dobrym chłopcem, który zawsze uważał się za Platona, dlatego że lekarz Clapier nauczył go miłości.

To nie budziło w nas zgrozy, ponieważ budziłoby zgrozę w naszych rodzicach, ale dziwiło nas. Widzę dziś, że celem naszych ambicji było zwycięstwo nad tym straszliwym zwierzęciem, uroczą kobietą, sprawdzianem wartości mężczyzn — nie zaś przyjemność. Znajdowaliśmy przyjemność wszędzie. Ponury Benoit nie zyskał żadnego wyznawcy.

Gruby Marquis, trochę mój krewniak, opuścił nas szybko, ponieważ nie rozumiał nic z tego, co wykładano na kursie. Wydaje mi się, że mieliśmy też wśród nas jednego Peneta i jednego czy dwóch Gautierów, miernoty bez znaczenia.

Na tym kursie, jak na innych, był egzamin w środku roku. Odniosłem na nim wybitną przewagę nad małym jezuitą Pawłem Emilem, który uczył się wszystkiego na pamięć i który z tej przyczyny budził we mnie lęk, bo ja nie mam *cienia pamięci*.

Oto jedna z wielkich wad mojej mózgowicy: przeżywam bez ustanku to, co mnie interesuje; wskutek oglądania tego w rozmaitych *pozycjach duszy* spostrzegam wciąż coś nowego i *zmieniam plan widzenia*.

Rozciągam rury lunety we wszystkich kierunkach lub też wsuwam je, wedle obrazu użytego przez pana de Tracy (patrz *Logika*).

Ten mały łajdak Paweł Emil o przymilnym i fałszywym głosie był moim postrachem podczas tego egzaminu. Na szczęście pan Teste-Lebeau z Wiednia, członek Zarządu Departamentu, postawił mi dodatkowe pytania. Byłem zmuszony do samodzielnej odpowiedzi i dzięki temu odniosłem zwycięstwo nad Pawłem Emilem, którego jedyną mocną stroną było to, że umiał na pamięć wszystkie notatki z kursu.

W moim wypracowaniu pisemnym było nawet coś w rodzaju własnego poglądu na J. J. Rousseau i należne mu pochwały.

Wszystko, czego się uczyłem na lekcjach pana Dubois-Fontanelle, było w moich oczach niejako wiedzą zewnętrzną lub *falszywą*.

Wierzyłem w swój *geniusz* — skąd ja, u licha, wziąłem ten koncept? — geniusz do rzemiosła Moliera i Russa.

Pogardzałem szczerze i bezwzględnie talentem Woltera: wydawał mi się *dziecinny*. Ceniłem szczerze Piotra Corneille, Ariosta, Szekspira, Cervantesa i — w słowach — Moliera. Trudność była z pogodzeniem ich.

Moje pojęcia o pięknie literatury są w gruncie te same co w roku 1796, ale co pół roku udoskonalają się, jeśli kto woli, zmieniają się po trosze.

To jest *jedyna praca całego mego życia*.

Wszystko inne było tylko *zarobkiem*, zarobkiem połączonym z odrobiną próżności, aby zarobić na chleb nie gorzej od innych; wyłączam intendenturę w Brunszwiku po wyjeździe Marcjała. Był w tym *powab nowości*, no i nagana wyrażona przez pana Daru intendentowi Magdeburga, panu Chaalons, zdaje mi się.

Mój piękny ideał literacki raczej ma na celu sycić się dziełami drugich i cenić je, przetrawiać ich zalety niż pisać samemu.

Koło 1794 czekałem głupio na przypyływ *geniuszu*, mniej więcej tak jak na głos Boga mówiący z gorejącego krzaka do Mojżesza. Gamoństwo to sprawiło, że straciłem dużo czasu, ale może przeszkodziło mi zadowolić się miernością, jak robi tylu wartościowych pisarzy (na przykład p. Loeve-Veimars).

Kiedy zaczynam pisać, nie myślę już o moim ideale literackim; oblegają mnie myśli, które muszę zanotować. Przypuszczam, że pana Villemain oblegają formy zdań, a tak zwanych poetów — Delille, Racine — formy wierszy.

Corneille'a oblegały formy repliki:

Dobrze, bierz swoją cząstkę i zostaw mi moją<sup>90</sup>...

mówi Emilia do Cynny.

Ponieważ tedy moje pojęcie doskonałości zmieniało się co pół roku, niepodobna mi zanotować, czym było koło roku 1795 albo 1796, kiedy pisałem dramat, którego tytułu zapomniałem. Główna osoba nazywała się może Picklar i była może wzięta z Floriana.

Jedyna rzecz, którą widzę jasno, to że od czterdziestu sześciu lat moim ideałem jest żyć w Paryżu, na czwartym piętterku, pisząc dramat lub książkę.

Stek upodzeń i intryg koniecznych, aby uzyskać wystawienie dramatu, nie pozwolił mi mimo ochoty pisać dla teatru. Nie dalej jak tydzień temu miałem z tego powodu okropne wyrzuty. Naszkicowałem więcej niż dwadzieścia sztuk; zawsze za dużo szczegółów, i za głębokich, za mało zrozumiałych dla publiczności, głupiej jak pan Ternaux, którą rewolucja z 1789 zaludniła parter i łożę.

<sup>90</sup>Dobrze, bierz swoją cząstkę i zostaw mi moją — Cynna, akt V, sc. 2. [przypis redakcyjny]



Kiedy swoim nieśmiertelnym pamfletem *Co to jest trzeci stan? Jesteśmy na kolanach, powstańmy* książd Sieyès zadał pierwszy cios arystokracji politycznej, stworzył, sam nie wiedząc o tym, arystokrację literacką. (Upamiętniłem to sobie w listopadzie 1835, kiedy pisałem przedmowę do de Brosses'a, która tak oburzyła Colomba).

## ROZDZIAŁ XXXII

Miałem tedy niejako piękno literackie w głowie w roku 1796 albo 1797, kiedy przechodziłem kurs pana Dubois-Fontanelle; to piękno było bardzo inne niż jego. Najwybitniejszym rysem tej różnicy było moje ubóstwienie tragicznej i prostej prawdy Szekspira, przeciwieństwo *emfatycznego dzieciństwa* Woltera.

Przypominam sobie między innymi, że pan Dubois recytował nam z entuzjazmem pewne wiersze Woltera albo własne, gdzie było: „w ranie... obracając nóż”. To słowo „nóż” raziło mnie głęboko, bo źle stosowało moje prawo, moją miłość prostoty. Widzę dziś przyczynę: odczuwałem żywo przez całe moje życie, ale przyczyny ogarniam aż znacznie później.

Wczoraj dopiero, 18 stycznia 1836, w święto katedry Św. Piotra, wychodząc od Św. Piotra o czwartej i obracając się, aby spojrzeć na katedrę, *po raz pierwszy w życiu* popatrzałem na nią tak, jak się patrzy na inny budynek, ujrzałem żelazny balkon kopuły. Powiedziałem sobie: „Widzę to, co jest, po raz pierwszy; dotąd patrzałem na to tak, jak się patrzy na ukochaną kobietę. Wszystko mi się w niej podobało (mówię o kopule), w jakik sposob mógłbym w niej odkryć wady?”

Oto jak inną drogą, z innej strony wracam do spostrzeżenia tej wady, którą zanotowałem wyżej w tym moim szczerym opowiadaniu: *niedostatek bystrości*.

Mój Boże, jak ja się gubię! Miałem tedy swoją teorię, wówczas kiedy słuchałem kursu pana Dubois, wszystkiego, co on mi mówił, uczyłem się jedynie jako *użytecznego fałszu*. Zwłaszcza kiedy krytykował Szekspira, rumieniłem się w duszy.

Ale uczyłem się tej teorii literackiej *tym lepiej* przez to, że nie byłem nią zachwycony.

Jednym z moich nieszczęść jest to, że nie podobam się ludziom, którymi się entuzjastuję (na przykład pani Pasta, śpiewaczka, i pan de Tracy); widocznie kochałem ich na swój sposób, a nie na ich sposób.

Tak samo chybiam często w wykładzie teorii, którą *ubóstwiam*: przeczą mi, lży napływają mi do oczu, nie mogę mówić. Gdybym miał odwagę, powiedziałbym: „Och, ranicie mi serce!”. Przypominam sobie dwa takie wypadki, które dotknęły mnie boleśnie:

Pochwała Correggia à propos Prud'hona w rozmowie z Mareste'em w Palais-Royal i z panami Duvergier de Hauranne, z miłym Dittmerem i tym niecnym Cavé w drodze na piknik.

Drugi przykład to rozmowa o Mozarcie z panami Ampère'em i Adrianem de Jussieu w drodze powrotnej z Neapolu około roku 1832 (w miesiąc po trzęsieniu ziemi, które zniszczyło Foligno).

Mówiąc po literacku, kurs pana Dubois (wydany później w czterech tomach przez jego wnuka, K. Renauldon) był pożyteczny, bo mi dał całkowity rzut oka na niwę literacką i nie pozwolił mojej wyobraźni przeceniać jej nieznaną okolic, jak Sofokles, Osjan etc.

Ten kurs był bardzo pożyteczny dla mojej próżności, utwierdzając innych w opinii, która mnie mieściła wśród siedmiu czy ośmiu inteligentnych chłopców w szkole. Zdaje mi się jednak, że Grand-Dufay miał lepszą lokatę; nazwisk pozostałych luminarzy nie pamiętam.

Złoty wiek pana Fontanelle, czas, o którym mówił z rozczuleniem, to było jego przybycie do Paryża około 1750. Wszystko rozbrzmiewało wówczas nazwiskiem Woltera i dziełami, które przysyłał bez ustanku z Ferney. (Czy on już był w Ferney?)

Wszystko to nie robiło wrażenia na mnie, który nienawidziłem *dziecinności* Woltera w historii oraz jego *niskiej zazdrości* wobec Corneille'a; zdaje mi się, że od tej epoki zauważyłem świętoszkowaty ton *Komentarza* Woltera w pięknym wydaniu Corneille'a ze sztychami, które zajmowało jedną z najwyższych półek szklanej szafy mego ojca w Claix, szafy, od której kradłem klucz i gdzie odkryłem, zdaje mi się, parę lat przedtem *Nową*

*Heloizę*, a z pewnością później *Grandisona*<sup>91</sup> Czytałem go, zalewając się łzami czułości, w izdebce na drugim piętrze w Claix, gdzie czułem się bezpieczny.

Pan Jay, ten wielki gębacz, zero w malarstwie, miał wybitny talent budzenia silnej emulacji w naszych sercach, a to jest, jak dziś mniemam, najważniejszy talent profesora. Jakże inaczej myślałem około 1796! Miałem kult geniuszu i talentu.

Fantasta robiący wszystko *rzutami*, jak czyni zazwyczaj człowiek genialny, nie byłby miał czterystu albo trzystu pięćdziesięciu uczniów jak pan Jay.

Słowem, ulica Nowa była zapchana, kiedy wychodziliśmy z jego kursu, co potęgowało ważne i nadęte miny profesora.

Byłem zachwycony, niby najtrudniejszym i najpiękniejszym odznaczeniem, kiedy w połowie jakiegoś roku, zdaje mi się, pan Jay powiedział do mnie swoim majestatycznym i ojcowskim tonem: „No, panie Beyle, niech pan weźmie swój karton i niech pan usiądzie tutaj”.

To słowo „pan”, tak często używane w Paryżu, było zupełnie niezwykle w Grenoble, kiedy się mówiło do dzieciaka; kiedy było do mnie zwrócone, dziwiło mnie zawsze.

Nie wiem, czy wyróżnienie to zawdzięczałem jakiemu słówku mego dziadka, czy też memu talentowi robienia kresek doskonale równoległych w klasie aktów, dokąd od niedawna mnie dopuszczono. Faktem jest, że zdziwiło ono i mnie, i innych.

Dopuszczony między dwunastu czy piętnastu wybranych, zdumiałem pana Jay moimi rysunkami czarną i białą kredką wedle głowy Niobe i Demostenesa (tak nazwanych przez nas); wydawał się zgorzchniony tym, że objawiam tyleż talentu co drudzy. Najlepsze wyniki na kursie rysunku miał niejaki Ennemond Hélié (później notariusz przy trybunale Apelacji), człowiek nadzwyczaj zimny; mówiono, że był w armii. Jego prace naśladowały styl Filipa de Champagne, ale to był już mężczyzna, a nie dziecko jak my wszyscy i niesłusznie pozwalano mu współzawodniczyć z nami.

Niebawem uzyskałem nagrodę. Uzyskaliśmy ją we dwóch czy trzech; ciągniono<sup>92</sup> losy, dostałem *Rozprawę o poezji i malarstwie* księdza Dubos, którą przeczytałem z najwyższą przyjemnością. Książka ta odpowiadała uczuciom mego serca, uczuciom nieznanym mnie samemu.

Moulezin, ideał nieśmiałego prowincjała, wyzuty z wszelkiej myśli i bardzo staranny, celował w kładzeniu kresek doskonale równoległych dobrze zatemperowaną sangwiną. Człowiek z talentem na miejscu pana Jay byłby nam powiedział, pokazując Moulezina: „Oto, panowie, jak nie trzeba robić”. Zamiast tego Moulzin był rywalem Ennemonda Hélié.

Sprytny Dufay robił rysunki bardzo oryginalne, powiadał pan Jay; odznaczył się zwłaszcza, kiedy pan Jay wpadł na wyborną myśl, aby kazać nam wszystkim kolejno pozować do studium głowy. Mieliśmy także grubego Hélié zwanego „zwierzakiem” i dwóch Monval — fawor ich w matematyce towarzyszył im na kursie rysunku. Pracowaliśmy z niewiarogodnym zapalem, rywalizując z sobą, dwie albo trzy godziny każdego popołudnia.

Jednego dnia, kiedy były dwa modele, wielki Odru, łacinnik, zasłaniał mi; dałem mu z całej siły w papę. W chwilę potem, gdy usiadłem na moim miejscu, on wyciągnął spode mnie z tyłu krzesło, tak że nakryłem się nogami. Był to cały mężczyzna i o stopę wyższy ode mnie, ale bardzo mnie nienawidził. Narysowałem na schodach „do łaciny”, wspólnie z Gautierem i Crozetem, zdaje mi się, karykaturę naturalnej wielkości, pod którą podpisałem: „Odruas Kambin”. Czerwienił się, kiedy go nazywano Odruas, a mówił *kambin* zamiast *quand bien*.

W jednej chwili postanowiono, że musimy się bić na pistolety. Zeszliśmy na dziedzińiec; Jay chciał się w to wdać, drapnęliśmy; Jay wrócił do innej sali. Wyszliśmy, ale cała szkoła poszła za nami. Było może ze dwustu chłopców.

Prosiłem Didaya, który znalazł się tam, aby był moim świadkiem; byłem bardzo pomieszany, ale pełen zapału. Nie wiem, jak się stało, że skierowaliśmy się ku bramie Graille, wielce skłopotani naszym orszakiem. Trzeba było wystarać się o pistolety, to nie było łatwe. Zdobyłem w końcu pistolet osiem cali długi. Odru szedł o dwadzieścia kroków

<sup>91</sup>odkryłem (...) *Grandisona* — *Dzieje imć pana Karola Grandisona* (1745), powieść epistolarna Samuela Richardsona. [przypis redakcyjny]

<sup>92</sup>ciągniono — dziś: ciągnięto. [przypis edytorski]

za mną, zasypywał mnie obelgami. Nie dano się nam zbliżyć, byłby mnie zabił jednym uderzeniem pięści.

Nie odpowiadałem na jego zniewagi, ale trząsałem się z gniewu. Nie powiadam, że byłbym wolny od strachu, gdyby pojedynek odbył się jak zwyczajnie: cztery czy sześć osób jedzie spokojnie razem o szóstej rano, w dorożce, o dobrą milę za miasto.

Straż przy bramie Graille omal nie chwyciła za broń.

Ta procesja urwisów, śmieszna i bardzo dla nas kłopotliwa, krzyczała coraz głośniej: „Będą się bili?! Nie będą się bili?!”, z chwilą gdyśmy się zatrzymali, aby coś zrobić. Bardzo się bałem, aby Odru, wyższy o stopę od swoich i moich świadków, nie wygrzmocił mnie. Przypominam sobie tylko Maurycygo Diday jako mojego świadka (później płaski „ultra”, mer Domène, piszący do dzienników listy „ultra” *złą ortografią*). Odru był wściekły.

Wreszcie po półtorej godzinie prześladowania, kiedy noc się zbliżała, urwisy zostały nam trochę spokoju między bramą Bonne a bramą Trés-Cloîtres. Zsunęliśmy się do głębokiej na dziesięć stóp fosy, którą Ludwik Royer otoczył miasto, czy też może zatrzymaliśmy się na jej brzegu.

Nabito pistolety i odmierzone przerażającą ilość kroków, może dwadzieścia; powiedziałem sobie: „Oto chwila, w której trzeba mieć odwagę”. Nie wiem, jak Odru strzelił pierwszy, wpatrywałem się uporczywie w małą skalnę w kształcie trapezu, która się znajdowała ponad nim, tę samą, którą widać było z okna ciotki Elżbiety obok dachu kościoła Św. Ludwika.

Nie wiem, jakim cudem pistolet nie wystrzelił. Prawdopodobnie świadkowie nie nabili. Zdaje mi się, że ja nawet nie przyszedłem do celowania. Oznajmiono pojednanie, ale bez podania rąk, tym bardziej bez uścisku. Odru, wściekły, byłby mnie sprął.

Na ulicy Trés-Cloîtres, idąc z moim świadkiem Diday, rzekłem:

— Żeby się nie bać, wówczas gdy Odru mierzył do mnie, patrzałem na skalnę nad Seyssins.

— Nie powinieneś nigdy tego mówić, takie słowo nigdy nie powinno wyjść z twoich ust — rzekł, przerywając mi ostro.

Byłem bardzo zdziwiony i po namyśle bardzo zgorzony tą połajanką.

Ale nazajutrz zaczęły mnie oblegać straszliwe wyrzuty, że pozwoliłem załagodzić tę sprawę. To urażało wszystkie moje hiszpańskie marzenia, jak śmieć podziwiać Cyda, nie dopełniwszy pojedynku? Jak myśleć o bohaterach Ariosta? jak podziwiać i krytykować wielkie postacie z historii rzymskiej, których bohaterskie czyny odczytywałem często w słodkawym Rollinie?

Pisząc to, mam uczucie, że dotykam ręką blizny po zagojonej ranie.

Nie pomyślałem ani dwóch razy o tym pojedynku od mego innego pojedynku z panem Raindre (majorem czy pułkownikiem lekkiej artylerii) w Wiedniu w 1809, o Babet.

Widzę, że to była wielka zgryzota całej mojej pierwszej młodości, a istotną racją mojej zaciętości, prawie zuchwalstwa, w pojedynku w Mediolanie, gdzie Cardon był świadkiem.

W sprawie z Odru byłem zdumiony, zmieszany, dawałem z sobą wszystko robić, zaprzętałem mnie lęk, aby nie być spranym przez olbrzymiego Odru, tak że zostawało mi niewiele czasu na strach przed pojedynkiem. Przez dwie godziny, które trwała procesja dwustu smarkaczy, powiadałem sobie: „Kiedy odmierzą kroki, wówczas zacznie się niebezpieczeństwo”. Grozą przejmowało mnie to, że mogą mnie odnieść do domu *na drabinie*, tak jak widziałem, że niesiono biednego Lamberta. Ale nie przyszło mi ani przez chwilę na myśl, że sprawa może być załagodzona.

Gdy nadszedł wielki moment, w czasie gdy Odru celował do mnie i kiedy, zdaje mi się, pistolet jego kilka razy spalił na panewce, studiowałem kontury małej skalni. Czas nie wydawał mi się długi (tak jak się wydawał długi pod Moskwą bardzo dzielnemu i wybornemu oficerowi, Andrea Corner, memu przyjacielowi).

Słowem, nie grałem komedii; byłem zupełnie naturalny, bez fanfaronady, ale bardzo odważny.

Źle zrobiłem, trzeba było bufonować: przy mojej szczerzej rezolucji bicia się zrobiłbym sobie reputację w mieście, gdzie pojedynkowano się wiele, nie jak neapolitańczycy w 1836, u których pojedynki wydają bardzo mało albo nic wcale trupów, ale tak jak dzielni ludzie. Przez kontrast z moją młodością (to musiało być w 1796, zatem miałem trzynaście lat,

a może w 1795) i moim dumnym wzięciem *szlacheckiego dziecka*, gdybym miał ten spryt, aby mówić trochę, byłbym zyskał cudowną reputację.

Pan Châtel, jeden z naszych znajomych i sąsiadów z ulicy Wielkiej, zabił sześciu ludzi. Za moich czasów, to znaczy od 1798 do 1805, dwóch moich znajomych, młody Bernard i Royer „wielkodzioby”, zginęło w pojedynku; Royer o czterdzieści pięć kroków, o zmroku, nad starym korytem Drac, blisko miejsca, gdzie później zbudowano most żelazny.

Ten furfant Bernard (syn drugiego furfanta, potem sędziego przy Trybunale Kasacyjnym, zdaje mi się, i „reaka”), ten furfant Bernard dostał przy młynie w Canel pchnięcie szpadą od miłego pana Meffrey (pan de Meffrey, generalny poborca, mąż uczynnej damy dworu przy księżnej de Berry, a potem szczęśliwy spadkobierca grubego Voureya). Bernard padł trupem, Meffrey uciekł do Lyonu; kłótnia miała charakter niemal „kastowy”, Mareste był, zdaje mi się, świadkiem Meffreya i opowiedział mi tę historię.

Jak bądź się rzeczy miały, zachowałem głęboki żal:

1° Z przyczyny mojej „hiszpańskości”, wady istniejącej jeszcze w roku 1830, którą poznał Fiori i którą nazywa z Tucydylesem: „Rozpinasz sieci zbyt wysoko”.

2° Brak bufonady. W wielkich niebezpieczeństwach jestem naturalny i prosty. To było w dobrym guście pod Smoleńskiem, na oczach księcia de Frioul. Pan Daru, który mnie nie lubił, napisał to samo do swojej żony z Wilna, zdaje mi się, po powrocie spod Moskwy.

Ale w oczach gminu nie odegrałem świetnej roli, po którą byłoby mi wystarczyło sięgnąć ręką.

Im dłużej nad tym myślę, tym bardziej zdaje mi się, że to było w 1795, o wiele wcześniej od mojej pasji do matematyki, przyjaźni z Bigillionem i tkliwości dla panny Wiktoryny.

Ceniłem niezmiernie Maurycego Diday:

1° Ponieważ bardzo go chwalił mój zacny dziadek, który był przyjacielem, może nawet bardzo bliskim, jego matki;

2° widziałem go kilkakrotnie w mundurze artylerii, pojechał do swojego pułku aż za Montmélian;

3° wreszcie i przede wszystkim, miał zaszczyt kochać się w pannie Létourneau, chyba najpiękniejszej dziewczynie w Grenobli, której ojciec, człowiek o usposobieniu ogromnie wesołym, beztróskim i filozoficznym, był bezapelacyjnie potępiony przez mojego ojca i wszystkich krewnych. Bo też pan Létourneau prawie w niczym nie był do nich podobny; zrujnowawszy się, poślubił niejaką pannę Borel, zdaje mi się, ciotkę Wiktoryny Mounier, przez którą w roku 1803 rzuciłem służbę wojskową i uciekłem do Paryża.

Uroda panny Létourneau była z gatunku ciężkawych (jak kobiety Tiariniego albo postaci w *Śmierci Kleopatry* czy *Antoniusza* w Luwrze). Diday ożenił się z nią, ale stracił ją niebawem, po sześciu latach szczęśliwego pożycia; podobno pomieszało mu się od tego w głowie i usunął się na wieś, do Domène.

Po mojej nagrodzie w środku roku, która zgorszyła wszystkich dworaków pana Jay, ale której nikt nie śmiał nazwać niezasłużoną, zmieniła się moja pozycja „na rysunkach”, jak mówiliśmy. Byłbym skoczył w ogień, aby otrzymać nagrodę i z końcem roku; zdaje mi się, że ją dostałem, inaczej odnalazłbym wspomnienie przykrości, że mnie minęła.

Miałem pierwszą nagrodę z literatury z aklamacją; promocję albo drugą nagrodę z matematyki, a to była nie lada rzecz. Pan Dupuy miał wybitną niechęć do mojej manii rozumowania.

Wolał codziennie do tablicy, tykając ich — panów de Monval, bo byli szlachtą, a on sam miał pretensje do szlachectwa; Sinarda, Saint-Ferréola (też szlachtę), poczciwego Aribera, którego popierał, sympatycznego Mante etc., etc., a mnie jak mógł najrzadziej. Kiedy mnie już wolał, nie słuchał mnie, co mnie upokarzało i mieszało bardzo, bo z innych nie spuszczał oka. Mimo to pasja moja do matematyki, która zaczynała być poważna, sprawiała, że kiedy trafilem na jakąś trudność, przedstawiałem mu ją: stałem wówczas przy tablicy (PI), pan Dupuy tkwił w wielkim bładoniebieskim fotelu (D); moje natręctwo zmuszało go do odpowiedzi, wściekły był. Prosił mnie bez ustanku, abym mu przedstawił moje wątpliwości oddzielnie, twierdząc, że przez to klasa traci dużo czasu.

Polecał poczciwemu Sinard, aby rozwiązywał moje wątpliwości. Sinard, o wiele tęższy ode mnie, ale szczerzy, tracił dwie godziny na to, aby przeczytać tym wątpliwościom, potem aby je zrozumieć, w końcu przyznawał, że nie wie, co odpowiedzieć.

Zdaje mi się, że wszyscy owi zacni ludzie, z wyjątkiem Mante'a, robili z matematyki prostą kwestię pamięci. Pan Dupuy był bardzo zaskoczony moją pierwszą nagrodą — i to tak tryumfalną — z literatury. Egzamin mój, który się odbył, jak wszystkie inne, w obecności członków Departamentu, członków jury, wszystkich profesorów i dwustu lub trzystu uczniów, zajął szanowne gremium. Odpowiadałem gładko, a członkowie Zarządu Departamentalnego, zdziwieni, że się nie nudzą, wieszowali mi, po egzaminie zaś rzekli: „Panie Beyle, ma pan nagrodę, ale dla naszej przyjemności niech pan jeszcze odpowie na parę pytań”.

Tryumf ten (poprzedzający, zdaje mi się, egzaminy z matematyki) dał mi stanowisko i pewność siebie, która na przyszły rok zmuszała pana Dupuy, żeby mnie często wołał do tablicy.

Jeżeli będę jeszcze kiedy w Grenobli, muszę kazać poszukać w archiwach Prefektury dat tyjących lat 1794 do 1799 włącznie. Drukowany protokół rozdania nagród dostarczyłby mi daty wszystkich tych drobnych wydarzeń, które po tylu latach wspominam z przyjemnością. Byłem na wstępie do życia, z jakąż płomienną wyobraźnią malowałem sobie przyszłe rozkosze!... Obecnie jestem na schyłku...

Po tym tryumfalnym sierpniu ojciec nie śmiał się już tak stanowczo sprzeciwiać mojej pasji do polowania. Pozwolił mi, choć niechętnie, brać jego fuzję, a nawet drugą, większego kalibru, robioną na zamówienie dla nieboszczyka rejenta Rey, jego szwagra.

Ciotka Rey była to przystojna kobieta, którą odwiedzałem w jej ładnym mieszkaniu w gmachu Trybunału. Ojciec nie chciał, abym się zadawał z Edwardem Rey, jej drugim synem, skończonym łobuzem, za pan brat z najgorszą kanalią. (Dziś pułkownik artylerii Rey, typowy Delfinatczyk, bardziej szczywany niż czterech adwokatów z Grenobli, poza tym arcyrogacz, bardzo niemiły, ale zapewne dobry pułkownik w tej broni mającej tyle szczygółów. Zdaje mi się, że w 1831 użyto go w Algierze. Był kochankiem pani M. P.).

## ROZDZIAŁ XXXIII

Robię wielkie odkrycia co do siebie pisząc te pamiętniki. Trudność jest nie w tym, aby znaleźć i powiedzieć prawdę, ale aby znaleźć kogoś, kto by ją przeczytał. Może przyjemność odkryć i sądów lub ocen, które po nich następują, skłoni mnie do pisania dalej; nadzieja tego, aby być czytany, gaśnie coraz bardziej. Oto już jestem na stronicy 501, a jeszcze tkwię w Grenobli!

Ten obraz przemian jednego serca wypełniłby gruby tom in 8°, zanim bym przybył do Mediolanu. Kto by czytał takie brednie? Jakiegoż talentu malarza trzeba by, aby je dobrze odmalować, a ja mam prawie równy wstręt do opisów Waltera Scotta, jak do emfazy Russa. Trzeba by mi za czytelniczkę jakiej pani Roland, a i ją zniechęciłby może brak opisu uroczych gaików doliny Izery. Ileż by rzeczy do powiedzenia dla kogoś, kto by miał cierpliwość opisywać wiernie! Co za piękne grupy drzew, co za bujna i tęga roślinność na równinie, co za piękne gaje kasztanowe na zboczach, a wyżej co za wspaniałe piękno dają temu wszystkiemu wieczne śniegi Taillefer! Co za wspaniałe bas dla tej ładnej melodii!

Owej jesieni, zdaje mi się, miałem rozkoszną przyjemność zabicia drozda na ścieżce w winnicy powyżej równiny, na wprost krągłego i białego szczytu góry Taillefer. Była to jedna z najżywszych przyjemności mego życia. Biegłem przez winnicę Doyatières, wszedłem na wąską ścieżkę między dwoma gęstymi i wysokimi żywopłotami, która zstępuje stromym zboczem ku równinie, kiedy nagle wielki drozd zerwał się z cichym krzykiem z winnicy wprost na drzewo, wiśnię, zdaje mi się, wysoką i niezbyt liściastą.

Ujrzałem go, strzeliłem, mierząc prawie poziomo, bo jeszcze nie zacząłem schodzić zboczem. Drozd spadł, uderzając o ziemię z głuchym hałasem, który słyszę jeszcze. Zbiegłem ścieżką pijany radością.

Wróciwszy, poszedłem się pochwalić staremu służącemu, zrzędzie, trochę myśliwemu: „Barbier, twój uczeń jest godny ciebie!”.

Człowiek ten byłby o wiele wrażliwszy na dar sztuki srebra, zresztą nie rozumiał ani słowa z tego, co do niego mówiłem.

Polowanie, Ptak,  
Okrucieństwo

Z chwilą gdy jestem wzruszony, popadam w „hiszpańskość”, spadek po ciotce Elżbiecie, która mówiła jeszcze: „Piękny jak Cyd”.

Dumałem głęboko, przebiegając z fuzją w rękę winnice i zarośla w okolicach Furonières. Ponieważ ojciec mój, zawsze troskliwy w tym, aby mi się sprzeciwić, zabraniał polowania, a co najwyżej cierpiał je z trudem przez słabość, rzadko chodziłem na polowanie, a prawie nigdy z prawdziwymi myśliwymi; czasami na lisa w urwiskach Comboire z Józefem Brun, gajowym. Tam zaczajony na lisa łajłem się za moją głęboką zadumą, z której trzeba by się zbudzić, gdyby lis się zjawił. Ukazał się jednego dnia o piętnaście kroków, szedł na mnie truchtem; strzeliłem, ale nie widziałem nic; spudłowałem aż miło. Niebezpieczeństwa urwisk nad Drac były dla mnie tak straszliwe, że silnie myślałem tego dnia o niebezpieczeństwie powrotu; ślizga się człowiek na brzeźkach (jak A i B) z perspektywą Drac huczącego u stóp skały. Chłopi, z którymi chodziłem (Józef Brun i jego syn, Sebastian Charriere etc.), pasali owce na tych bystrych stokach od szóstego roku, boso; w potrzebie zdejmowali trzewiki. Co do mnie, nie było mowy o tym, abym je zdejmował, a szedłem drugi lub najwyżej trzeci raz po tych skałach.

Obleciał mnie zupełny strach w dniu, w którym chybiłem lisa, o wiele większy niż ten, którego doznałem skulony w konopiach, na Śląsku (kampania z roku 1813), widząc jadących na mnie jednego osiemnastu czy dwudziestu kozaków. Wówczas w Comboire patrzyłem na zegarek (złoty), tak jak czynię w ważnych okolicznościach, aby mieć ściśle wspomnienie bodaj godziny, i tak jak czynił pan de Lavalette w chwili swego skazania na śmierć (przez Burbonów)<sup>93</sup>. Była ósma, zbudzono mnie przede dniem, co mi psuje zawsze całe rano. Marzyłem sobie o pięknym widoku, o miłości, prawdopodobnie także o niebezpieczeństwach powrotu, kiedy lis wyszedł na mnie truchtem. Po wielkim ogonie poznałem, że to lis, bo w pierwszej chwili wziąłem go za psa. Pod moim strzałem skoczył w zarośla, o pięć czy sześć stóp pod nami.

Możliwe ścieżki (nawet dla lisa) są bardzo nieliczne w tych urwiskach; kilku strzelców obsadza je, inny wypuszcza psy, lis pędzi i prawdopodobnie wypada na jakiegoś strzelca.

Polowanie, o którym ci strzelcy mówili ciągle, to było polowanie na giemy, w Peuil de Claix, ale zakaz ojca był wyraźny, nigdy i żaden z nich nie odważył się mnie wziąć na nie. To chyba w roku 1795 tak się najadłem strachu w skałach Comboire.

Niebawem zabiłem drugiego drozda, ale mniejszego niż pierwszy, o zmroku, ledwo go rozróżniając, na orzechu w polu pana de La Peyrouse, zdaje mi się, nad „naszą Pelissone” (*id est*: nad naszą winnicą Pelissone).

Trzeciego i ostatniego zabiłem na małym orzechu przy drodze, na północ od naszego sadu. Ten drozd, bardzo mały, był prawie pionowo nade mną i spadł mi prawie na nos. Spadł na mur, a z nim grube krople krwi, które widzę jeszcze.

Ta krew była znakiem zwycięstwa. Dopiero w Brunszwiku w 1808 litość zmierzła mi polowanie; dziś wydaje mi się ono nieludzkim i wstrętnym morderstwem, nie zabiłbym komara bez potrzeby. Ostatnia przepiórka, którą zabiłem w Civitavecchia, nie zbudziła wszakże we mnie litości. Kuropatwy, przepiórki, zające zdają mi się, niby kurczęta, urodzone na to, aby iść na rożen.

Gdyby je zapytać o zdanie, zanim się wyklują w egipskich piecach na końcu Pól Elizejskich, prawdopodobnie nie miałyby nic przeciwko temu.

Przypominam sobie rozkoszne wrażenie pewnego rana, gdy wyszedłem przede dniem z Barbierem w piękny księżyc i ciepły wiatr. Był to czas winobrania, nigdy go nie zapomniałem. Tego dnia wymusiłem na ojcu pozwolenie udania się z Barbierem (totumfacim „dóbr”) na jarmark do Sassenage czy do Balmes. Sassenage jest kolebką mojej rodziny: byli tam sędziami czy urzędnikami, „starsza gałąź” (Ludwik Filip też mówi o starszych odroślach swego rodu) żyła tam jeszcze w 1795, z 15 000 czy 20 000 franków renty, które, gdyby nie pewne prawo z 13 germinała (o ile mi się zdaje), byłyby mnie przypadły w całości. Mój patriotyzm nie zachwiał się od tego; prawda, że w tym wieku, nie wiedząc, co to jest niedostatek i przykra praca na chleb, uważałem pieniądze jedynie za nasycenie kaprysów; otóż ja nie miałem kaprysów, nie bywając nigdy w towarzystwie i nie widując

Polowanie, Krew,  
Okrucieństwo, Zwycięstwo,  
Zwierzęta

<sup>93</sup>Jak czynił pan de Lavalette w chwili swego skazania na śmierć — Antoine Marie de Lavalette, napoleoński minister i radca stanu, skazany na śmierć za udział w Stu Dniach, w przeddzień egzekucji zdołał zbiec z więzienia w przebraniu żony. [przypis redakcyjny]

żadnej kobiety; pieniądze były tedy niczym w moich oczach. Co najwyżej byłbym chciał sobie kupić dubeltówkę.

Byłem wówczas jak wielka rzeka, która ma się rzucić w wodospad, jak Ren powyżej Szafuzy, kiedy płynie jeszcze spokojnie, by niebawem rzucić się w ogromny wodospad. Moim wodospadem była namiętność do matematyki, która, zrazu jako sposób ucieczki z Grenobli — personifikacji mieszczaństwa przyprawiającego o wymioty — a potem przez miłość jej samej, pochłonęła wszystko.

Polowanie, dzięki któremu czytałem z rozczuleniem *Wiejski dom* i robiłem wyciągi z *Historii zwierząt* Buffona (mimo iż jego przykra emfaza raziła mnie już w tym wieku jako kuzynka ks[iężej] i ojcowskiej hipokryzji), polowanie było ostatnim znakiem życia mojej duszy przed matematyką.

Odwiedzałem najczęściej, jak tylko mogłem, pannę Wiktorynę Bigillion, ale zdaje mi się, że dużo przebywała na wsi w tych latach. Spędzałem wiele czasu w Towarzystwie Bigilliona, jej starszego brata, La Bayette'a, Galla, Barrala, Michouda, Colomba, Mante'a, ale moją pasją była matematyka.

Jeszcze jedna opowiadka, a potem już będę cały najeżony iksami i ypsylonami.

Jest to sprzysiężenie przeciw Drzewu Braterstwa.

Nie wiem, czemu spiskowałem. Owo drzewo to był nieszczęśliwy młody dąbek, bardzo smukły, wysoki co najmniej na trzydzieści stóp, który przesadzono, z wielkim jego żalem, na środek placu Grenette, daleko za Drzewem Wolności, które posiadało całą moją tkliwość.

Drzewo Braterstwa, być może rywal tamtego, było zasadzone tuż koło budy z kasztanami, naprzeciwko okien nieboszczyka Le Roy.

Nie wiem, z jakiej okazji przyczepiono do Drzewa Braterstwa białą tabliczkę, na której pan Jay wymalował żółto, ze swoim zwykłym talentem, koronę, berło, kajdany, wszystko to pod napisem, niby rzeczy pokonane.

Napis miał kilka wierszy, nic z niego nie pamiętam, mimo że to przeciw niemu spiskowałem.

Oto dowód zasady: trochę namiętności potęguje inteligencję, wiele namiętności gasi ją. Przeciw czemu spiskowaliśmy? Nie wiem. Przypominam sobie jeszcze mgliście tę zasadę: obowiązkiem naszym jest, ile w naszej mocy, szkodzić temu, czego nienawidzimy. To jest jeszcze bardzo mgliste. Zresztą nie pamiętam ani trochę, czegośmy nienawidzili ani pobudek tej nienawiści, jedynie obraz faktu, to wszystko; ale obraz był wyraźny.

Ja sam wpadłem na tę myśl; trzeba jej było udzielić drugim, którzy zrazu przyjęli ją zimno: „Strażnica jest tak blisko” mówili; ale w końcu byli gotowi, tak samo jak ja. Spiskowcy to byli: Mante, Treillard, Colomb i ja; może jeden albo dwóch więcej.

Czemu nie ja wystrzeliłem z pistoletu? Nie wiem. Zdaje mi się, że strzelił Treillard czy Mante.

Trzeba się było wystarać o ten pistolet, miał osiem cali długości. Naładowaliśmy go aż po wylot. Drzewo Braterstwa mogło mieć trzydzieści sześć albo czterdzieści stóp, tabliczka była na dziesięć albo dwanaście stóp wysoko; zdaje mi się, że była i bariera dokoła drzewa.

Niebezpieczeństwo mogło pochodzić ze strony strażnicy C, żołnierze przechadzali się często na niebrukowanej przestrzeni od P do P'.

Wystarczyłoby kilku przechodniów idących z ulicy Montorge albo Wielkiej, aby nas zatrzymać. Ci z nas, którzy nie strzelali, obserwowali żołnierzy na strażnicy, może to był mój posterunek jako najmniejbezpieczny, ale nic tego nie pamiętam. Inni obserwowali ulicę Montorge i Wielką.

Około ósmej wieczór — była ciemna noc i nie bardzo zimno, było to w jesieni lub na wiosnę — była chwila pustki na rynku, przechadzaliśmy się niedbale i daliśmy sygnał dla Mante'a czy Treillarda.

Wystrzał rozległ się ze straszliwym hukiem, cisza była głęboka, a pistolet naładowany po brzegi. W tej samej chwili żołnierze z posterunku C wpadli na nas. Sądzę, że nie my jedni nienawidziliśmy napisu; podejrzewano, że może ktoś się na niego targnąć.

Żołnierze prawie nas dopadli, schroniliśmy się do bramy G w domu dziadka, ale widziano nas doskonale: wszystko wyległo do okien, wiele osób miało świece.

Brama G, wychodząca na Grenette, komunikowała się ciasnym korytarzem na drugim piętrze z bramą G' od ulicy Wielkiej. Ale wszyscy znali to przejście.

Ratowaliśmy się, uciekając po linii FFF. Kilku uciekło, zdaje mi się, wielką bramą Jakobinów, co budzi we mnie przypuszczenie, że nas było więcej, niż mówiłem. Może był też z nami Prié.

Ja i ktoś drugi (może Colomb) byliśmy przedmiotem najżywszego pościgu. „Wpadli do tego domu!” — słyszeliśmy ten krzyk tuż obok.

Nie dotarliśmy do korytarza na drugim piętrze, zadzwoniliśmy żywo na pierwszym piętrze od placu Grenette do dawnego mieszkania dziadka, wynajętego obecnie paniom Codé, starym modystkom, bardzo pobożnym. Szczęściem otworzyły, zastaliśmy je bardzo przerażone hukiem wystrzału i zajęte czytaniem Biblii.

W dwóch słowach oznajmiliśmy: „Ściągają nas, niech panie powiedzą, żeśmy tu spędzili wieczór”. Usiedliśmy, w tej samej chwili gwałtowny dzwonek; my siedzimy i słuchamy Biblii, sądząc nawet, że jeden z nas wziął książkę.

Wchodzą komisarze. Kto oni byli, nie wiem, widocznie patrzyłem na nich bardzo mało.

— Czy ci obywatele tu spędzili wieczór?

— Tak, panowie, tak, obywatele — odparły, poprawiając się, wystraszone dewotki.

Zdaje mi się, że był tam także ich brat, pan Codé, stary urzędnik pracujący od czterdziestu pięciu lat w szpitalu.

Musieli ci komisarze czy też gorliwi obywatele być bardzo mało przenikliwi lub też dobrze usposobieni dla pana Gagnon, którego szanowało całe miasto, począwszy od barona des Adrets aż do traktiernika Poulet, bo nasze pomieszczenie musiało nam dawać dziwną postać w towarzystwie tych biednych dewotek nieprzytomnych z przestachu. Może ten strach, równie wielki jak nasz, ocalił nas, ile że całe towarzystwo musiało mieć miny jednakowo wystraszone.

Komisarze powtórzyli parę razy pytanie: „Czy obywatele spędzili tu cały wieczór? Czy nikt nie wszedł tu od czasu, jak rozległ się wystrzał?”.

Cud, nad którym zastanawialiśmy się później, to to, że te stare jansenistki zgodziły się kłamać. Sądzę, że zdobyły się na ten grzech przez cześć dla mego dziadka.

Komisarze zapisali nasze nazwiska i wreszcie wynieśli się.

Podziękowania nasze były krótkie. Nastawiliśmy ucha; kiedy już nie było słyhać komisarzy, wyszliśmy, kierując się w stronę korytarza.

Mante i Treillard, którzy, zwinniejsi od nas, weszli przed nami do bramy G, opowiedzieli nam nazajutrz, że kiedy dotarli do bramy G', od ulicy Wielkiej, zastali ją zajęta przez straż. Zaczęli rozmawiać o uroku panienek, z którymi spędzili wieczór, żołnierze nie spytali ich o nic i przepuścili ich.

Opowiadanie ich wywarło na mnie takie wrażenie rzeczywistości, że nie umiałbym powiedzieć, czy to nie ja z Colombem wyszliśmy, rozmawiając o uroku panienek.

Jeszcze bardziej prawdopodobne wydaje się, że weszliśmy do domu, bo pamiętam, że Colomb wyszedł z niego w pół godziny później.

Zabawne były dyskusje, jakie toczył mój ojciec z ciotką Elżbietą co do przypuszczalnych sprawców zamachu. Zdaje mi się, że opowiedziałem wszystko siostrze mojej Paulinie, z którą byłem w przyjaźni.

Nazajutrz w szkole Monval (później nielubiany pułkownik), z którym źle żyłem, rzekł do mnie: „Ty, słuchaj! To wyście wczoraj strzelali do Drzewa Braterstwa, co?”.

Rozkosz była iść sprawdzić stan tabliczki — była podziurawiona.

Berła, korony i inne atrybuty „pokonane” wymalowane były od południa, tzn. od strony Drzewa Wolności. Były koloru jasnożółtego, wykonane na rozpiętym na płótnie papierze albo na zagruntowanym płótnie.

Nigdy nie pomyślałem o tej sprawie od piętnastu czy dwudziestu lat. Wyznaję, że mi się wydaje piękna. Powtarzałem sobie często w owym czasie z entuzjazmem i jeszcze powtarzałem ledwo cztery dni temu wiersz z *Horacjusza*:

Alba cię powołała, nie znam ciebie więcej<sup>94</sup>!

Ten czyn był w pełnej harmonii z tym podziwem.

<sup>94</sup>Alba cię powołała, nie znam ciebie więcej — Corneille, *Horacjusz*, akt II, sc. 3. [przypis redakcyjny]



Szczególne jest, że to nie ja wystrzeliłem z pistoletu, ale nie sądzę, aby to wynikało z brzydkiej ostrożności. Zdaje mi się, ale widzę to niepewnie, jakby przez mgłę, że Treillard, świeżo przybyły ze swojej wioski (Tullins, zdaje mi się), chciał koniecznie strzelić z pistoletu, aby się niejako wkupić do nas.

Kiedy to piszę, obraz Drzewa Braterstwa ukazuje się moim oczom, pamięć moja czyni odkrycia. Jak gdybym widział, że Drzewo Braterstwa było otoczone murem na dwie stopy wysokim, ozdobionym kamieniem ciosowym, z żelazną balustradą na pięć do sześciu stóp.

Jomard był to drab k[lecha], jak później Mingrat, którego zgilotynowano za to, że otrul swego ojczyma, niejakiego Martin z Vienne, o ile mi się zdaje, byłego „członka Departamentu”, jak się mówiło. Widziałem, jak tego łajdaka sądzili, a potem zgilotynowali. Byłem na chodniku, przed apteką pana Plana.

Jomard zapuścił brodę, na ramionach miał czerwony płaszcz jako ojcobójca.

Byłem tak blisko, że po egzekucji widziałem, jak krople krwi zbierały się na ostrzu noża, zanim spadły. Uczulem wstręt, przez nie wiem ile dni nie mogłem jeść mięsa.

## ROZDZIAŁ XXXIV

Zdaje mi się, że się załatwiłem ze wszystkim, o czym chciałem mówić przed zapuszczeniem się w ostatnią opowieść tyżącą się Grenoble: moje rzucenie się w matematykę.

Panna Kubly wyjechała od dawna, zostało mi o niej jedynie tkliwe wspomnienie; Wiktoryna Bigillion przebywała wiele na wsi; jedyną moją rozkoszą był Szekspir i *Pamiętniki Saint-Simona*, wówczas w siedmiu tomach, później kupiłem w dwunastu, drukowane baskerwilem; namiętność, która przetrwała tak jak szpinak w zakresie fizycznym i która jest co najmniej równie mocna w pięćdziesiątym trzecim roku jak w trzynastym.

Kochałem tym bardziej matematykę, im bardziej pogardzałem mymi nauczycielami, panami Dupuy i Chabert. Mimo emfazy, wykwintu i łagodności, w jakie stroił się pan Dupuy, kiedy się zwracał do kogoś, miałem dość przenikliwości, aby odgadnąć, że był o wiele większy nieuk niż pan Chabert. Pan Chabert, który w społeczno-mieszczańskiej hierarchii był o tyle niżej od pana Dupuy, czasami, w niedzielę lub we czwartek rano, brał jaki tom Eulera albo... i zmagął się krzepko z trudnościami. Zawsze miał wszelako minę aptekarza, który zna dobre recepty, ale nic nie dowodziło, w jaki sposób te *recepty* rodzą się jedne z drugich; żadnej *logiki*, żadnej filozofii w tej głowie; nie wiem, jaki zabobon wychowania czy próżności — może religia — kazały dobremu panu Chabert nienawidzić nawet nazwy tych rzeczy.

Z moją dzisiejszą głową niesłusznie dziwiłem się dwie minuty temu, dlaczego nie znalazłem natychmiast lekarstwa. Nie miałem żadnej pomocy; przez próżność dziadek miał niechęć do matematyki, która była jedyną granicą jego uniwersalnej niemal wiedzy. „Pan Gagnon nie zapomniał nigdy nic z tego, co czytał” — powiadano z szacunkiem w Grenoble. Matematyka była jedyną odpowiedzią jego wrogów. Ojciec brzydził się matematyką przez religijność, jak sądzę; przebaczał jej trochę jedynie dlatego, że uczy zdejmować pomiary gruntów. Sporządzałem mu bez przerwy kopie planu jego posiadłości w Claix, w Échirrolles, w Fontagnieu, w Cheylas (dolina w pobliżu...), gdzie właśnie zrobił dobry interes.

Bezoutem gardziłem tyleż co Dupuyem i Chabertem.

Było może kilku tęgich uczniów w Szkole Centralnej, których przyjęto do Szkoły Politechnicznej w 1797 albo 1798, ale ci nie raczyli odpowiadać na moje wątpliwości, może wyłożone nie dość jasno lub raczej wprowadzające ich w kłopot.

Kupiłem albo dostałem jako nagrodę pisma księdza Marie, w jednym tomie in 8°. Pochlonałem ten tomik z pasją, niby romans. Znalazłem tam twierdzenia wyłożone w innej formie, co mi sprawiło wiele przyjemności i wynagrodziło moje trudy, ale poza tym nic nowego.

Nie chcę powiedzieć, aby w istocie nie było nic nowego, może ja nie rozumiałem, nie byłem dość wykształcony, aby to ocenić.

Aby medytować spokojnie, zagospodarowałem się w salonie umeblowanym tuzinem pięknych foteli haftowanych przez moją biedną matkę. Odwiedzało się go raz albo dwa razy do roku dla usunięcia kurzu. Ten pokój nastrajał mnie do zadumy, zachowałem jeszcze w owej epoce obraz miłych kolacyjek wydawanych przez matkę. Goście opuszczali

Śmierć, Wina, Kara, Ojciec,  
Syn, Morderstwo, Krew,  
Jedzenie

ten salon błyszczący od światła, aby z uderzeniem dziesiątej przejść do pięknej jadalni, gdzie podawano ogromną rybę. Był to zbytek mojego ojca; zachował jeszcze ten zmysł w stanie dewocji oraz spekulacji rolniczych, w których ugrzązł.

Na stole w salonie napisałem pierwszy akt (czy też pięć aktów?) mego dramatu, który nazwałem komedią<sup>95</sup>, czekając na przyływ geniuszu mniej więcej tak, jakby anioł miał mi się objawić.

Główną podstawą entuzjazmu mego do matematyki był może mój wstręt do hipokryzji; hipokryzja w moich oczach to była ciotka Serafia, pani Vignon i ich kl[echy].

Wedle mnie hipokryzja była niemożliwa w matematyce; w młodszej prostoduszności myślałem, że tak jest we wszystkich naukach, do których słyszałem, że matematykę się stosuje. Co się ze mną działo, kiedy spostrzegłem, że nikt nie może mi wytłumaczyć, dlaczego minus przez minus daje plus ( $-x = +$ )! (To jedna z zasadniczych podstaw nauki, która zowie się algebrą).

Robiono o wiele gorzej niż to, że mi nie tłumaczono tej trudności (która z pewnością jest do wytłumaczenia, bo prowadzi do twierdzenia), tłumaczono mi ją za pomocą racji najoczywistej niezbyt jasnych dla tych, którzy je podawali.

Pan Chabert przypierany przeze mnie kręcił się, powtarzał swoją *lekcję*, tę właśnie, przeciw której podnosiłem zarzuty, przy czym miał minę, która zdawała się mówić: „ale to jest zwyczaj, wszyscy godzą się na to wytłumaczenie. Euler i Lagrange, którzy z pewnością nie gorsi są od ciebie, przyjęli je. Wiemy, że jesteś bardzo inteligentny (to znaczyło: wiemy, że dostałeś pierwszą nagrodę z *literatury* i że dobrze popisałeś się na egzaminie), widocznie chcesz zwrócić na siebie uwagę”.

Co się tyczy pana Dupuy, ten traktował moje nieśmiałe zarzuty (nieśmiałe z przyczyny jego emfazy) z uśmiechem wyższości graniczącej z niechęcią. Mimo że o wiele słabszy od pana Chabert, był mniejszy kołtun, mniej ograniczony i może zdrowo sądził o swojej wiedzy matematycznej. Gdybym dziś widział tych panów przez tydzień, wiedziałbym od razu, czego się trzymać. Ale wciąż muszę wracać do tego punktu.

Wychowany pod szklanym kloszem przez rodzinę, którą rozpacz zacieśniła jeszcze, bez żadnej styczności z ludźmi, odczuwałem w piętnastym roku żywo, ale byłem o wiele bardziej niż jakiegokolwiek inne dziecko niezdolny sądzić ludzi i odgadywać ich rozmaite gierki. Toteż w gruncie nie mam wielkiego zaufania do wszystkich owych sądów, którymi wypełniłem kilkaset poprzednich stron. Niewątpliwie prawdziwe są w tym tylko *wrażenia*; jedynie, aby dojść do prawdy, trzeba podnieść o tercję moje określenia. Oddają je z chłodem człowieka czterdziestoletniego, którego zmysły stępiło doświadczenie.

Przypominam sobie wyraźnie, że kiedy mówiłem o mojej trudności z „minus przez minus” któremuś z luminarzy klasy, śmiał mi się w nos; wszyscy byli mniej lub więcej jak Paweł Teysseyre, uczyli się na pamięć. Słyszałem ich często przy tablicy, jak mówili z końcem dowodu: „Zatem oczywiste jest” etc.

„Nic nie jest dla was mniej oczywiste” — myślałem. Ale chodziło o rzeczy oczywiste dla mnie i o których mimo najlepszej woli niepodobna było wątpić.

Matematyka zważa tylko mały kącik przedmiotów (ich ilość), ale ma tę zaletę, że mówi jedynie rzeczy pewne, tylko prawdę i prawie całą prawdę.

Wyobrażałem sobie w czternastu latach, w 1797, że wysoka matematyka, ta, której nigdy nie umiałem, obejmuje *wszystkie* lub prawie wszystkie strony przedmiotów, tak że posuwając się naprzód, dojdę do wiadomości rzeczy pewnych, niewątpliwych i że będę mógł sobie dowieść do woli *wszystkich* rzeczy.

Długi czas minął, nim się przekonałem, że mój zarzut co do „minus przez minus daje plus” nie może absolutnie wejść raz w głowę pana Chabert, że pan Dupuy nigdy nie odpowie na to inaczej niż uśmiechniętą wyższością i że prymusy, do których się zwracałem, zawsze sobie będą drwili ze mnie.

<sup>95</sup>meo dramatu, który nazwałem komedią — mowa o młodszej sztuce Stendhala *Selmours*. [przypis redakcyjny]

Doprowadziło mnie to do tego, co sobie powiadam dziś jeszcze: musi widać „minus przez minus daje plus” być prawdą, skoro, najoczywiściej, wciąż stosując tę regułę w rachunku, dochodzi się do wyników *prawdziwych i niewątpliwych*.

Moim wielkim nieszczęściem była ta figura<sup>96</sup>:

Przypuśćmy, że RP jest to linia, która oddziela *dodatnie od ujemnego*; wszystko, co jest powyżej, jest dodatnie, wszystko, co poniżej, jest ujemne; w jaki sposób biorąc prostokąt B tyle razy, ile jest jednostek w prostokącie A, mogę zmusić prostokąt C, aby zmienić stronę?

I trzymając się niezdarne porównania, które straszliwie ciągnący się grenobelski akcent pana Chabert czynił jeszcze niezdarniejszym, przypuściwszy, że własności ujemne to są długi jakiegoś człowieka, w jaki sposób mnożąc 10 000 franków długu przez 500 franków dojdzie on do tego, aby mieć majątek 5 000 000 franków?

Czy panowie Dupuy i Chabert są hipokryci jak ks[ięża], którzy przychodzą odprawiać mszę u dziadka, i czy moja ukochana matematyka jest tylko oszustwem? Nie wiedziałem, jak dojść do prawdy. Ach, jakże chciwie łykałbym słowo o logice lub sztuce *znalezienia prawdy!* Co za moment, aby mi objaśnić *Logikę* pana de Tracy. Może stałbym się innym człowiekiem, miałbym o wiele lepszą głowę.

Doszedłem moimi wątłymi siłami, że pan Dupuy może być blagier, ale że pan Chabert jest to próżny kołtun, niezdolny zrozumieć, aby mogły istnieć zarzuty, których on nie widzi.

Ojciec i dziadek mieli *Encyklopedię* Diderota i d’Alemberta *in folio*; jest to, lub raczej było, dzieło kosztujące 700 do 800 franków. Trzeba było ważnych przyczyn, aby skłonić mieszkańca prowincji do włożenia takiego kapitału w książki, z czego wnoszę dzisiaj, że przed moim urodzeniem ojciec i dziadek musieli zupełnie należeć do stronnictwa filozoficznego.

Ojciec z przykrością patrzył na to, jak przeglądałem *Encyklopedię*. Miałem najzupełniejsze zaufanie do tej książki z przyczyny niechęci, jaką miał do niej ojciec, oraz zdecydowanej nienawiści, jaką budziła w odwiedzających nas ks[iężach]. Wielki wikariusz i kanonik Rey, dryblas wycięty z tektury, wysoki blisko na sześć stóp, krzywił się niechętnie przekręcając nazwisko Diderota i d’Alemberta. Grymas ten budził we mnie głęboką i serdeczną radość, dziś jeszcze przepadam za tym rodzajem przyjemności. Kosztowałem jej czasami w roku 1815, widząc, jak szlachta odmawiała odwagi Mikołajowi Buonaparte (bo takie było wówczas imię tego wielkiego człowieka)<sup>97</sup>, a mimo to od roku 1807 pragnąłem gorąco, aby nie podbił Anglii — gdzież się schronić wówczas? Starąłem się tedy szukać rady w matematycznych artykułach d’Alemberta w *Encyklopedii*; ich zrozumiałem ton, brak kultu dla prawdy zraziły mnie wielce; zresztą niewiele rozumiałem. Z jakim żarem ubóstwiałem prawdę wówczas! Jak szczerze uważałem ją za królową świata, w który miałem wejść! Nie widziałem absolutnie dla niej innych wrogów prócz ks[ięży].

Jeżeli „minus przez minus daje plus” sprawiło mi wiele zgryzot, można ocenić, co za kir oblekł mą duszę, kiedy zacząłem *Statykę* Ludwika Monge, brata znakomitego Monge, który miał przybyć egzaminować nas do Szkoły Politechnicznej.

Na początku geometrii powiedziane jest: „Daje się miano *równoległych* dwóm liniom, które przedłużone w nieskończoność nie spotkają się nigdy”. A na samym początku *Statyki* to straszliwe bydlę Ludwik Monge pisze mniej więcej tak: „Można uważać, że dwie linie równoległe spotkają się, jeśli je przedłużyc w nieskończoność”.

Miałem uczucie, że czytam katechizm, i to bardzo niezręczny. Próżno żądałem wyjaśnień od pana Chabert.

„Moje dziecko — rzekł przybierając ów ojcowski ton, tak bardzo nie do twarzy del-finackiemu lisowi, tę minę à la Edward Mounier (par Francji w 1836) — moje dziecko, dowiesz się później”.

<sup>96</sup>ta figura — tekst oryginalny zawiera w tym miejscu szkic przedstawiający linię poziomą oznaczoną u jednego krańca literą R, zaś u przeciwnego literą P, powyżej linii zaznaczony prostokąt C (największy), zaś poniżej linii prostokąt A (najmniejszy) i prostokąt B (znajdujący się bezpośrednio pod prostokątem C i nieco od niego mniejszy). [przypis edytorski]

<sup>97</sup>bo takie było wówczas imię tego wielkiego człowieka — w „Journal de Paris” z 7 IV 1814 znalazła się wzmianka, że Bonaparte miał jakoby na imię Mikołaj, a nie Napoleon. [przypis redakcyjny]

I potwór, zbliżając się do ceratowej tablicy i kreśląc dwie równoległe bardzo blisko siebie, rzekł: „Widzisz sam, że można powiedzieć, iż w nieskończoności się spotkają”.

Omam wszystkiego nie rzuciłem. Świętoszek, sprytny i dobry jezuita byłby mnie nawrócił w tej chwili, komentując tę maksymę: „widzisz, że wszystko jest błędem, a raczej że nie ma nic fałszywego, nic prawdziwego, wszystko jest konwencją; przyjmij te konwencje, które ci najlepiej utworzą drogę w świecie. Motloch jest patriotyczny i zawsze zapaskudzi tę stronę kwestii; bądź tedy arystokratą jak twoi rodzice, a znajdziemy sposób wysłania cię do Paryża i polecenia wpływowym damom”.

## ROZDZIAŁ XXXV

Gdyby to umiał powiedzieć przekonywająco, zostałbym łajdakiem i miałbym dziś wielki majątek.

Wyobrażałem sobie świat w trzynastym roku wyłącznie wedle *Sekretnych pamiętników* Duclosa i *Pamiętników* Saint-Simona w siedmiu tomach. Najwyższe szczęście to było żyć w Paryżu, pisząc książki, ze 100 ludwikami renty. Marion mówiła mi, że ojciec zostawi znacznie więcej.

Zdaje mi się, że sobie powiadałem: „Prawdziwa czy fałszywa, matematyka *wydobędzie mnie z Grenobli*, z tego bajora, które mnie przyprawia o mdłości”.

Ale to rozumowanie wydaje mi się nad mój wiek. Pracowałem dalej, byłaby to zbyt wielka przykreść przerwać; ale byłem głęboko niespokojny i zasmucony.

Wreszcie przypadek zechciał, abym ujrzał wielkiego człowieka i abym nie został łajdakiem. Tutaj po raz drugi *przedmiot przerasta opowiadającego*. Będę się starał nie być przesadnym.

W moim ubóstwieniu dla matematyki słyszałem od jakiegoś czasu o młodym człowieku, słynnym jakobinie, wielkim i nieustraszonym myśliwym, który zna matematykę o wiele lepiej niż panowie Dupuy i Chabert, ale nie robi z niej rzemiosła. Jedynie, ponieważ jest niebogaty, dawał lekcje tej mętnej głowie, Anglesowi (później hrabia i prefekt policji, wzbogacony przez Ludwika XVIII w epoce pożyczek).

Ale byłem nieśmiały, jak do niego przystąpić? Przy tym te lekcje były straszliwie drogie, 12 su godzina, jak je opłacić? (Ta cena wydaje mi się zbyt śmieszna; to było może 24 albo 40 su).

Wyspowiadałem się z pełnego serca dobrej ciotce Elżbiecie, która wówczas miała może osiemdziesiąt lat, ale jej wyborne serce i jej najlepsza głowa miały, jeśli możebne, nie więcej niż trzydzieści. Wspaniałomyślnie dała mi całą kupę talarów. Ale nie pieniądze musiały wiele kosztować tę duszę pełną najszczerzej i najsubtelniejszej dumy: trzeba mi było brać te lekcje w *sekretnie przed ojcem*, na jakież słuszne wymówki się narażała! Czy Serafia żyła jeszcze? Nie ręczyłbym, że nie. Jednakże byłem wielkim dzieckiem przy śmierci Serafii, bo dowiadując się o jej śmierci w kuchni, naprzeciwko szafy Marion, padłem na kolana, aby podziękować Bogu za to cudowne oswobodzenie.

Wypadek ten, talary dane mi tak szlachetnie przez ciotkę Elżbietę, abym brał w tajemnicy lekcje od tego okropnego jakobina, zapobiegły temu, abym się stał na zawsze łajdakiem. Ujrzeć człowieka na miarę Greków i Rzymian, pragnąć umrzeć raczej niż nie być takim jak on — to było rzeczą jednej chwili, *punto*. („*Non sia che un punto*”<sup>98</sup>, Alfieri).

Nie wiem, w jaki sposób ja, tak nieśmiały, zbliżyłem się z panem Gros. (Fresk opadł w tym miejscu, ale byłbym jedynie płaskim romansopisarzem jak don Rugiero Caetani, gdybym starał się go uzupełnić. Aluzja do fresków Campo Santo w Pizie w ich stanie obecnym).

Bez świadomości, jak się tam dostałem, widzę się w małej izdebce Grosa, którą zajmował przy ulicy Św. Wawrzyńca, w dzielnicy najstarszej i najbiedniejszej w mieście. Była to wąska i długa ulica, wciśnięta między górę a rzekę. Nie wszedłem sam do tej izdebki, ale kto był moim towarzyszem nauk? Czy Cheminade? Na tym punkcie zupełne

<sup>98</sup>*Non sia che un punto* (wł.) — „To tylko jedna chwila”, *Orestes*, akt. I. [przypis redakcyjny]

zapomnienie, cała uwaga duszy skupiła się widać na Grosie. (Ten wielki człowiek umarł od tak dawna, że mogą go pisać bez „pan”).

Był to młody człowiek o włosach ciemnobłond, bardzo żywy, ale bardzo otyły; mógł mieć dwadzieścia pięć lub sześć lat, włosy miał bardzo kręjące się i dość długie, ubrany był w surdut. Powiedział nam:

— Obywatele, od czego zaczniemy? Trzeba by wiedzieć, co już umiecie.

— Umieemy zrównania drugiego stopnia.

Jako rozsądny człowiek, zaczął z nami przerabiać te zrównania, to znaczy tworzenie kwadrata z:  $a+b$ , na przykład, które kazał nam podnieść do drugiej potęgi:  $a^2 + 2 ab + b^2$ , przypuszczenie, że pierwszy człon zrównania był początkiem kwadratu, dopełnieniem kwadratu etc.

Niebo się nam otwarło, przynajmniej mnie. Widziałem nareszcie przyczynę rzeczy; to już nie była recepta aptekarska spadła z nieba na rozwiązywanie zrównań.

Odczuwałem żywą przyjemność podobną tej, jaką daje czytanie pasjonującego roman-su. Trzeba przyznać, że wszystko, co nam Gros mówił o zrównaniach drugiego stopnia, znajdowało się mniej więcej w nikczemnym Bezout, ale tam nasze oko nie raczyło tego widzieć. To było wyłożone tak płasko, że nie sililem się nawet zwrócić na to uwagi.

Na trzeciej czy czwartej lekcji przeszliśmy do zrównań trzeciego stopnia; tutaj już Gros był zupełnie oryginalny. Zdaje mi się, że nas przenosił wręcz na granice wiedzy, oko w oko z trudnościami do zwalczenia lub przed zasłonę, którą trzeba było podnieść. Pokazywał nam na przykład kolejno rozmaite sposoby rozwiązywania zrównań trzeciego stopnia, pierwsze próby Cardana, późniejsze postępy, wreszcie metodę obecną.

Byliśmy bardzo zdziwieni, że nie każe nam dowodzić tego samego twierdzenia jednemu po drugim. Z chwilą gdyśmy rzecz zrozumieli, przechodził do innej.

Nie będąc ani trochę szarlatanem, Gros osiągał skutek tej właściwości, tak pożytecznej u nauczyciela, jak u naczelnego wodza: wypełniał całą moją duszę. Ubóstwiałem go i czciłem tak, że może go do siebie zraziłem. Tak często spotkałem się z tym nieprzyjemnym i zdumiewającym skutkiem, że może przez błąd pamięci przypisuję go memu pierwszemu namiętmemu uwielbieniu. Zraziłem do siebie pana de Tracy i panią Pasta przez to, że ich uwielbiałem zbyt gorąco.

Pewnego dnia, w którym nadeszły jakieś wielkie nowiny, mówiliśmy o polityce przez całą lekcję; z końcem lekcji Gros nie chciał przyjąć od nas pieniędzy. Byłem tak przyzwyczajony do brudasostwa naszych delfinackich profesorów, panów Chabert, Durand etc., że ten bardzo prosty rys zdwoił mój podziw i mój entuzjazm. Zdaje mi się, kiedy sobie przypominam tę scenę, że było nas trzech: Cheminade, jeżeli się nie mylę, Feliks Faure i ja; i zdaje mi się także, że kładliśmy na stoliku każdy po 12 su.

Nie przypominam sobie prawie nic z dwóch ostatnich lat: 1798 i 1799. Namiętność do matematyki tak mnie pochłaniała, że Feliks Faure powiadał mi, iż wówczas nosiłem włosy za długie, tak żał mi było pół godziny, które trzeba było stracić na strzyżenie.

Z końcem roku 1799 moje serce obywatela zrozpaczone było naszymi klęskami we Włoszech, pod Novi i gdzie indziej, klęskami, które sprawiały mojej rodzinie żywą radość, pomieszaną jednak z niepokojem. Dziadek mój, rozsądniejszy, byłby chciał, aby Rosjanie i Austriacy nie doszli do Grenobli. Ale po prawdzie o tych życzeniach mojej rodziny mogę mówić jedynie z domysłu: nadzieja opuszczenia jej niebawem oraz szal mój do matematyki pochłaniały mnie do tego stopnia, że już bardzo mało zwracałem uwagi na odezwania mojej rodziny. Nie powiadałem sobie może wyraźnie, ale czułem to: „Tak jak rzeczy stoją, co mi znaczy ta paplanina!”

Niebawem samolubna obawa przyłączyła się do tych zgryzot obywatela. Bałem się, że z powodu zbliżania się Rosjan może nie być egzaminu w Grenobli.

Bonaparte wylądował we Fréjus. Obwiniam się, że miałem to szczere pragnienie: ten młody Bonaparte, którego sobie wyobrażałem młodzieńcem pięknym jak pułkownik z opery komicznej, powinien się zrobić królem Francji.

To słowo budziło we mnie same wspaniałe i szlachetne pojęcia. Ta płaska omyłka była następstwem mego jeszcze bardziej płaskiego wychowania. Rodzice moi czuli się niby służbą w stosunku do króla. Na samo imię króla i Burbonów lży napływały im do oczu.

Nie wiem, czy miałem to płaskie uczucie już w roku 1797, delektując się opowiadaniem bitew pod Lodi, Arcole<sup>99</sup> etc., etc., które przywodziły do rozpaczy moją rodzinę, długo starającą się w nie nie uwierzyć, czy też miałem je w 1799 na wieść o wylądowaniu we Fréjus. Skłaniam się ku 1797.

W istocie zbliżanie się nieprzyjaciela sprawiło, że pan Ludwik Monge, egzaminator Szkoły Politechnicznej, nie przybył do Grenoble. „Trzeba nam będzie jechać do Paryża” — powiadaliśmy sobie wszyscy. „Ale — myślałem — jak uzyskać taką podróż od moich rodziców?” Jechać do nowoczesnego Babilonu, do miasta zepsucia, w niespełna siedemnastym roku! Byłem bardzo niespokojny, ale nie mam żadnego wyraźnego wspomnienia.

Przyszły egzaminy z kursu matematycznego pana Dupuy i stały się moim tryumfem.

Uzyskałem pierwszą lokatę na ośmiu czy dziewięciu młodych ludzi, przeważnie starszych i silniej protegowanych ode mnie, którzy wszyscy w dwa miesiące później dostali się do Szkoły Politechnicznej.

Byłem wymowny przy tablicy; bo też mówiłem o rzeczy, nad którą myślałem namiętnie co najmniej od piętnastu miesięcy i którą studiowałem od trzech lat (sprawdzić to, od otwarcia kursu pana Dupuy w parterowej sali Szkoły Centralnej). Pan Dausse, człowiek uparty i uczony, widząc, że umiem, stawiał mi pytania najtrudniejsze i najbardziej zdolne mnie zakłopotać. Był to człowiek o straszliwym wejrzeniu, nigdy nie zachęcający. (Był podobny do Domeniconiego, wysmienitego aktora, którego teraz, w styczniu 1836, podziwiam w „Valle”).

Pan Dausse, naczelny inżynier, przyjaciel mego dziadka (który był obecny na moim egzaminie i to z rozkoszą), dodał do pierwszej nagrody tom Eulera (in 4<sup>o</sup>). Może ten dar otrzymałem w 1798 roku, z końcem którego też otrzymałem pierwszą nagrodę z matematyki. (Kurs pana Dupuy składał się z dwóch lat, nawet z trzech).

Natychmiast po egzaminie, wieczorem lub raczej wieczorem dnia, w którym moje nazwisko ogłoszono z taką chwałą na afiszu („Ale z przyczyny, że obywatel Beyle odpowiedział z niepospolitą ścisłością i łatwością...”) Był to ostatni wysilek polityki pana Dupuy: pod pretekstem, że nie chce szkodzić siedmiu czy ośmiu moim kolegom w przyjęciu ich do Szkoły Politechnicznej, uzyskał dla nich wszystkich pierwsze lokaty, ale pan Dausse, człowiek uparty jak lichy, kazał zapisać w protokole i ostatecznie wydrukować to zdanie), widzę się, jak przechodzę przez park miejski, między posągami Herkulesa a kratą ogrodzenia, z Bigillionem i paroma innymi, upojonymi moim tryumfem, wszyscy bowiem uważali go za słusznego i wiedzieli dobrze, że pan Dupuy mnie nie lubi; wieść o lekcjach, które brałem u jakobina Gros, ja, który miałem ten przywilej, że mogłem słuchać jego kursu, nie przyczyniła się do naszego pojednania.

Zatem przechodząc tamtędy, rzekłem do Bigilliona, filozofując, jak to było naszym zwyczajem:

— W takiej chwili przebaczyłyby się wszystkim swoim nieprzyjaciołom.

— Przeciwnie — odparł Bigillion — skoczyłyby się na nich, aby ich zwyciężyć.

Radość upajała mnie nieco, to prawda, i starałem się wysiłkiem rozumowania ukryć ją; jednakże w gruncie ta odpowiedź świadczy o niskości uczuć Bigilliona, bardziej przyziemnego ode mnie, a zarazem o owej hiszpańskiej egzaltacji, której miałem nieszczęście podlegać całe życie.

Widzę okoliczności towarzyszące tej rozmowie: co dopiero odczytaliśmy, Bigillion, moi koledzy i ja, afisz z tym zdaniem o mnie.

Protokół z egzaminów, z podpisami członków Zarządu Departamentalnego, wywieszony był na drzwiach sali w hallu budynku, gdzie odbywały się koncerty.

Po tym tryumfalnym egzaminie udałem się do Claix. Zdrowie moje domagało się wypoczynku. Ale miałem nowy niepokój, nad którym dumałem w małym gaiku w Doyatieres i w zaroślach nad rzeką Drac (nosiłem już strzelbę tylko dla formy): czy ojciec da

<sup>99</sup>w roku 1797 (...) pod Lodi, Arcole — Lapsus: zwycięskie bitwy Bonapartego rozegrały się w maju i listopadzie 1796 r. [przypis redakcyjny]

mi pieniądze na to, abym się zapuścił w nowy Babilon, w to gniazdo zepsucia, w szesnastu latach?

Tutaj znowu nadmiar namiętności, wzruszenia niszczy wszelką pamięć. Zupełnie nie wiem, jak się ułożył mój wyjazd.

Była mowa o drugim egzaminie przed panem Dupuy, byłem zmordowany, wycieńczony pracą, naprawdę bez sił. Powtarzać arytmetykę, geometrię, trygonometrię, algebrę, przekroje stożka, statykę, tak aby móc przebyć nowy egzamin, to była straszna mordęga. Doprawdy już nie mogłem. Ten nowy wysilek, którego się spodziewałem wprawdzie, ale w grudniu, byłby mi obrzydził z kretesem ukochaną matematykę. Szczęściem lenistwo pana Dupuy, zajętego winobraniami w Noyarey, przyszło w pomoc mojemu. Oznajmił mi „tykając” mnie, co było oznaką wielkiej łaski, że wie doskonale, co ja umiem, że nowy egzamin jest niepotrzebny; za czym dał mi z godną i kapłańską miną wspaniałe świadectwo zaświadczające fałsz, mianowicie że mnie poddał nowemu egzaminowi co do mego przyjęcia do Szkoły Politechnicznej i że wywiązałem się zeń znakomicie.

Wuj dał mi dwa czy cztery ludwiki, których nie przyjąłem. Prawdopodobnie od kochanego dziadka i ciotki Elżbiety też dostałem podarki, których nic nie pamiętam.

Wyjazd mój ułożono z niejakim panem Rosset, znajomym ojca, który wracał do Paryża, gdzie mieszkał.

To, co teraz powiem, nie jest piękne. W samej chwili wyjazdu, czekając na wehikuł, ojciec zęgnął się ze mną w parku miejskim, pod oknami domów na wprost ulicy Montorge.

Plakał trochę. Jedyne wrażenie, jakie na mnie sprawiły jego łzy, było to, że mi się wydał bardzo brzydki. Jeżeli czytelnik poweźmie wstręt do mnie, niech raczy sobie przypomnieć setkę przymusowych przechadzek do Granges z ciotką Serafią, przechadzek, do których mnie zmuszano „dla mojej przyjemności”. Owa obłuda złościła mnie najbardziej i zrodziła we mnie wstręt do tej przywary.

Wzruszenie odjęło mi absolutnie wszelką pamięć mojej podróży z panem Rosset z Grenoble do Lyonu, z Lyonu do Nemours.

Było to w pierwszych dniach listopada 1799, bo w Nemours, o dwadzieścia czy dwadzieścia pięć mil od Paryża, dowiedzieliśmy się o wypadkach 18 brumaire’a (czyli 9 listopada 1799), które spełniły się poprzedniego dnia.

Dowiedzieliśmy się o nich wieczorem; niewiele z tego rozumiałem i byłem zachwycony, że młody generał Bonaparte zrobił się królem Francji. Dziadek mówił mi często z entuzjazmem o Filipie Auguście i o Bouvines<sup>100</sup>; wszelki król Francji był w moich oczach Filipem Augustem, Ludwikiem XIV lub rozkoszliwym Ludwikiem XV, o którym czytałem w *Sekretnych pamiętnikach* Duclosa.

Rozkosz zaprzętała wielce moją wyobraźnię. Moją obsesją, w miarę jak zbliżałem się do Paryża, myślą, do której wracałem kilka razy dziennie, a najczęściej o zmierzchu, w godzinie marzeń, było, że ładna kobieta, paryżanka, o ileż piękniejsza od panny Kubly lub poczciwej Wiktoryny, wywróci się w moich oczach z powozem lub też popadnie w wielkie niebezpieczeństwo, z którego ja ją ocale, i że to będzie punkt wyjścia, aby zostać jej kochankiem. Moją racją po temu była racja myśliwego: kochałbym ją z takim zapałem, że powinienem ją znaleźć!

Szaleństwo to, nigdy niewyznane nikomu, trwało może jakie sześć lat. Wyleczyła mnie zeń po trosze oschłość serca dam dworu brunszwickiego, gdzie mój występ przypada na listopad 1806.

## ROZDZIAŁ XXXVI

Pan Rosset wysadził mnie przed hotelem na rogu ulicy de Bourgogne i Św. Dominika; wchodziło się od ulicy Św. Dominika. Chciano mnie umieścić w pobliżu Szkoły Politechnicznej, do której miałem wstąpić.

Byłem bardzo zdziwiony dźwiękiem dzwonów, które wydzwaniały godziny. Okolice Paryża wydały mi się straszliwie brzydkie — nie było gór. Ten wstręt wzrósł szybko w ciągu następnych dni.

<sup>100</sup>o Filipie Auguście i o Bouvines — w bitwie pod Bouvines (1214) Filip II August odniósł świetne zwycięstwo nad cesarzem Ottonem IV i jego sprzymierzeńcami. [przypis redakcyjny]

Opuściłem hotel i przez oszczędność wzięłem pokój przy bulwarze Inwalidów. Trochę zaopiekowali się mną „matematycy”, którzy poprzedniego roku wstąpili do Szkoły. Trzeba ich było odwiedzić.

Trzeba też było odwiedzić mego krewniaka Daru.

Była to ściśle pierwsza wizyta, jaką zrobiłem w życiu.

Pan Daru, człowiek światowy, mający jakieś sześćdziesiąt pięć lat, musiał być bardzo zgorzony moim niezgrabstwem, a to niezgrabstwo musiało być bardzo pozbawione wdzięku.

Przybyłem do Paryża ze stanowczym postanowieniem zostania uwodzicielem, tym, co nazwałbym dziś donżuanem (wedle opery Mozarta).

Pan Daru był długi czas generalnym sekretarzem pana de Saint-Priest, intendenta Langwedocji, która tworzy dzisiaj, zdaje mi się, siedem departamentów. Czytelnik może wiedzieć z historii, że słynny Basville, ponury tyran, był intendentem lub raczej królem Langwedocji od roku 168[5] do 1710, mniej więcej.<sup>101</sup> Była to prowincja mająca stany ziemskie; ta pozostałość po dyskusji publicznej i wolności wymagała zręcznego generalnego sekretarza przy intendencie o tak wielkopańskich manierach jak pan de Saint-Priest, który zajmował to stanowisko w latach 1775–1786.

Pan Daru, rodem z Grenobli, syn mieszczanina z pretensjami do szlachectwa, ale ubogi przez dumę, jak cała moja rodzina, zawdzięczał wszystko sobie; nie kradnąc, zebrał może czterokrotnie lub pięćkrotnie więcej franków. Przeżył rewolucję zręcznie, nie dając się oslepić miłości lub nienawiści, jakie mógł żywić dla przesądów, szlachty i kleru. Był to człowiek bez innej namiętności prócz *pożytku* próżności albo próżności *pożytku*; oglądałem go z nadto z dołu, aby ocenić, które z dwojga. Kupił przy ulicy de Lille nr 505, na rogu ulicy Bellechasse, dom, w którym skromnie zajmował jedynie mały apartament nad bramą wjazdową.

Pierwsze piętro w dziedzińcu wynajmowała pani Rebuffel, żona tego przemysłowca, człowieka z charakterem i gorącą duszą, przeciwieństwo pana Daru. Pan Rebuffel, siostrzeniec pana Daru, dzięki swemu zgodnemu i życzliwemu usposobieniu zachował z wujem dobre stosunki.

Pan Rebuffel przychodził codziennie spędzić kwadrans ze swoją żoną i córką Adelą; poza tym żył przy ulicy Saint-Denis, w swoim domu handlowym, z panną Barbereu, swoją współniczką i kochanką, dziewczyną energiczną, pospolitą, mającą jakieś trzydzieści lub trzydzieści pięć lat, która wyglądała mocno na to, że robi sceny i przyprawia rogi swemu kochankowi i że go dobrze trzyma za łeb.

Zacny pan Rebuffel przyjął mnie szczerze i serdecznie, gdy stary pan Daru przyjął mnie frazesami o przyjaźni i życzliwości dla mego dziadka, frazesami, które mi ścisnęły serce i zamykały usta.

Pan Daru był to duży i dość piękny starzec z wielkim nosem (rzecz dość rzadka w Del-finacie); jedno oko miał trochę kose i minę dość fałszywą. Koło niego staruszka, cała pomarszczona, typowa prowincjalka; to była jego żona. Ożenił się z nią niegdyś dla jej majątku; poza tym nie śmiała ani pary z ust puścić przy nim.

Pani Daru była w gruncie dobra i bardzo grzeczna, z minką pełną godności, w sam raz dla podprefektowej na prowincji. Poza tym nie spotkałem istoty, która by bardziej była pozbawiona świętego ognia. Nic w świecie nie zdołałoby poruszyć tej duszy dla czegoś szlachetnego, wielkiego. Najbardziej samolubny rozsądek, z którego czynią sobie chlubę, zastępuje u tego rodzaju dusz możliwość i miejsce namiętnego lub szlachetnego porywu.

Ta atmosfera ostrożna, rozsądna, ale niezbyt miła urobiła charakter jej starszego syna, hrabiego Daru, ministra-sekretarza stanu, który tak wielki wpływ miał na moje życie, panny Zofii, później pani de Baure, głuchej, oraz pani Le Brun, obecnie margrabiny de [Grave]. Jej drugi syn, Marcjał Daru, nie miał ani rozumu, ani dowcipu, ale miał dobre serce; niezdolny był zrobić nikomu krzywdy.

Pani Cambon, starsza córka państwa Daru, miała może podnioślejszy charakter, ale tę ledwo że poznałem, umarła w kilka miesięcy po moim przybyciu do Paryża.

<sup>101</sup> *Nicolas de Basville* — wstawiał się prześladowaniem hugenotów po odwołaniu edyktu nantejskiego i przeszedł do historii jako „tyran Langwedocji”. [przypis redakcyjny]



Czy potrzeba zaznaczyć, że szkicuję charaktery tych osób, tak jak je oceniłem później? Rys ostateczny, który mi się wydaje prawdziwy, przesłonił mi wszystkie dawniejsze rysy.

Zachowuję jedynie obrazy mego pierwszego wejścia do salonu państwa Daru.

Na przykład widzę bardzo wyraźnie różową cygową sukienkę, którą nosiła miła pięcioletnia dziewczynka, wnuczka pana Daru; bawił się nią tak, jak stary i znudzony Ludwik XIV bawił się księżną de Bourgogne. Ta miła dziewczynka, bez której głucho milczenie panowałoby często w saloniku przy ulicy de Lille, to była panna Pulcheria Le Brun (obecnie margrabina de Brossard, bardzo podobno autokratyczna, gruba jak beczka i panująca nad swoim mężem, generałem Brossard, który znowuż panuje nad departamentem Drôme).

Pan de Brossard jest to dziurawy worek, który uważa się za wielkiego szlachcica, potomka Ludwika Otylego, jak sądzę, bufon, filut, niezbyt przebiegający w środkach re-staurowania swoich finansów zawsze w nieporządku. W sumie — typ biednego szlachcica to brzydki charakter i który łączy się często z wieloma nieszczęściami. (Nazywam *charakterem* człowieka jego zwykły sposób polowania na szczęście; w słowach jaśniejszych, ale mniej dobitnych: *calokształt jego nawyków moralnych*).

Ale gubię się. Byłem bardzo daleki od widzenia rzeczy, nawet fizycznych, równie jasno w grudniu 1799. Byłem cały wzruszeniem i ten nadmiar wzruszenia zostawił mi tylko kilka obrazów, bardzo jasnych, ale bez wytłumaczenia *jak i czemu*.

Widzę dziś bardzo jasno to, co w roku 1799 czułem bardzo mętnie, że za moim przybyciem do Paryża dwa wielkie przedmioty stałych i namiętnych pragnień rozpadły się nagle w nicość. Ubóstwiałem Paryż i matematykę. Paryż bez gór obudził we mnie wstręt tak głęboki, że dochodzący prawie do nostalgii. Matematyka była już dla mnie jedynie czymś niby rusztowanie wczorajszego fajerwerku (widziałem to w Turynie, nazajutrz po św. Janie w 1802 r.).

Dręczyły mnie te zmiany, których, rozumie się, w szesnastym roku nie obejmowałem ani istoty, ani przyczyny.

W rzeczywistości kochałem Paryż jedynie przez głęboki wstręt do Grenoble.

Co się tyczy matematyki, była ona tylko środkiem. Nienawidziłem jej nawet po trosze w listopadzie 1799, bo się jej bałem. Postanowiłem nie przystępować do egzaminu w Paryżu, jak to uczyniło siedmiu czy ośmiu uczniów, którzy dostali — po mnie — pierwszą nagrodę w Szkole Centralnej i których wszystkich przyjęto. Otóż gdyby ojciec był dbał trochę o to, byłby mnie zmusił do tego egzaminu, byłbym wstąpił do Szkoły Politechnicznej i nie mógłbym już *żyć w Paryżu, pisząc komedie*.

Ze wszystkich moich namiętności ta jedna mi została.

Nie pojmuję — i ta myśl przychodzi mi pierwszy raz w trzydzieści siedem lat po wypadkach — kiedy to piszę, nie pojmuję, w jaki sposób ojciec nie zmusił mnie do egzaminu. Prawdopodobnie pokładał zaufanie w namiętności, jaką widział we mnie do matematyki. Ojca zresztą przejmowało jedynie to, co się działo koło niego. Miałem mimo to diabli strach, że będę zmuszony wstąpić do Szkoły, czekałem z najwyższą niecierpliwością rozpoczęcia kursów. W naukach ścisłych niepodobna jest zacząć kurs od trzeciej lekcji.

Przejdźmy do obrazów, jakie mi zostały.

Widzę się, jak łykam leki, sam i opuszczony, w skromnym pokoiku, który wynająłem przy końcu bulwaru Inwalidów, między wylotem (z tej strony bulwaru) ulicy Uniwersyteckiej i Św. Dominika, o dwa kroki od tego pałacu z listy cywilnej Cesarza, gdzie miałem w kilka lat później grać tak odmienną rolę.

Głębokie rozczarowanie Paryżem odbiło się na moim żołądku. Błoto paryskie, brak gór, widok tylu ludzi zajętych, przejeżdżających szybko w pięknych powozach koło mnie, nieznanego nikomu i niemającego nic do roboty, wszystko to przygnębiło mnie.

Lekarz, który by sobie zadał trud, aby zbadać mój stan, z pewnością niezbyt skomplikowany, byłby mi dał emetyku i zaleciłby mi chodzić co trzeci dzień do Wersalu albo do Saint-Germain.

Popadłem w ręce straszliwego szarlatana i jeszcze większego nieuka; był to chirurg wojskowy, bardzo chudy, mieszkający w okolicy Inwalidów, dzielnicy wówczas bardzo nędznej. Specjalnością jego było leczyć rzeżączki uczniów Politechniki. Dał mi jakieś

Szlachcic

Szczęście

czarne mikstury; zażywałem je sam i opuszczony w moim pokoiku, który miał tylko jedno okno na wysokości siedmiu, czy ośmiu stóp, jak w więzieniu. Tam widzę się smutnie siedzącego, z moimi ziólkami na ziemi, obok małego żelaznego piecyka.

Ale największą moją chorobą w owej epoce była myśl, która wracała bez ustanku: „Wielki Boże! Cóż za rozczarowanie! Czegóż mam pragnąć?”.

## ROZDZIAŁ XXXVII

Trzeba przyznać, że upadek był wielki, okropny. A doświadczył go młody człowiek liczący rok siedemnasty, dusza jedna z najmniej rozsądnych i najbardziej namiętnych, jakie kiedykolwiek spotkałem!

Nie miałem zaufania do nikogo.

Słyszałem, jak ks[ięża] Serafi i mego ojca *chlubili się* łatwością, z jaką prowadzili, to znaczy oszukiwali, jakąś osobę lub grupę osób.

R[eligia] wydawała mi się czarną i potężną machiną; miałem jeszcze trochę wiary w p[iekła], ale żadnej w jego k[apłanów]. Obrazy p[iekła], które widziałem w dużej B[iblii] in 8°, oprawnej w zielony pergamin, z obrazkami, oraz w wydaniach Dantego po biednej matce, budziły we mnie grozę; ale co się tyczy k[sięży] pustka. Byłem daleki od widzenia w nich tego, czym są w rzeczywistości — potężnego stowarzyszenia, z którym związki są tak korzystne; świadkiem mój rówieśnik i krajan, młody Genou, który, bez pończoch, podawał mi czasem kawę w kawiarni Genou w Grenobli, na rogu ulicy Wielkiej i ulicy Departamentu, a który od dwudziestu lat jest w Paryżu panem de Genoude.

Miałem za całe oparcie jedynie mój zdrowy rozsądek i wiarę w *Umysł* Helwecjusza. Mówię umyślnie „wiarę”; wychowany pod kloszem pneumatycznym, trawiony ambicją, ledwie wyzwolony przez moje wstąpienie do Szkoły Centralnej, mogłem widzieć w Helwecjuszu jedynie *przepowiednię rzeczy, które mnie spotkają*. Miałem zaufanie do tej mglistej przepowiedni, ponieważ dwie czy trzy małe przepowiednie w oczach mego tak krótkiego doświadczenia spełniły się.

Nie byłem „żyła”, chytry, nieufny, gotów siłą sprytu i nieufności wytargować 12 su jak większość moich kolegów liczących w gospodzie kawalki cukru, z których miała się składać porcja, jak Monwalowie, moi koledzy szkolni, których odnalazłem w Paryżu w Szkole Politechnicznej, gdzie byli od roku. Byłem na ulicach Paryża namiętym marzycielem patrzącym w niebo, wciąż pod grozą przejechania przez kabriolet.

Jednym słowem, „nie byłem zdalny do spraw życiowych” i tym samym nie mogłem być oceniony, jak powiada dziś rano jakiś dziennik z 1836, w stylu dziennikarza, który pragnie żadną albo błahą myśl przystroić oryginalnością stylu.

Widzieć tę prawdę co do siebie — znaczyłoby być zdalnym do życia.

Monwalowie dawali mi rady bardzo roztropne, zmierzające do tego, aby się nie dać okraść o 2 su lub 3 su dziennie; ich troski budziły we mnie wstręt, a ja musiałem się im wydać głupcem, na drodze do domu wariatów. Prawda, że przez dumę mało udzielałem swoich myśli. Zdaje mi się, że to Monwalowie lub inni koledzy przybyli rok wprzód do Szkoły Politechnicznej postarali mi się o pokój i o taniego lekarza.

Czy to był Sinard? Czy on zmarł rok wcześniej w Grenobli, na piersi, czy może to było w rok albo dwa później?

Wśród tych przyjaciół lub raczej dzieci zaradnych i wyklócających się o 3 su z restauratorem, który na nas, biednych golcach, zarabiał co dzień legalnie jakie 8 su, a kradł 3 su, co czyni razem 11 su, wśród tego wszystkiego ja „tonąłem w mimowolnych napadach ekstazy, w nieustannych marzeniach, w niezliczonych pomysłach<sup>102</sup>” (jak z namaszczeniem mówi dziennik).

Miałem swoją listę więzów, które przeciwdziałają namiętnościom, na przykład: „ksiądz” i „miłość”, „ojciec” i „miłość ojczyzny” albo „Brutus”, który mi się wydawał szczytem wzniosłości w literaturze. Wymyśliłem to całkiem sam i od jakich dwudziestu sześciu lat zapomniałem o tym; trzeba by do tego powrócić.

Byłem stale głęboko wzruszony. Co ja mam kochać, jeśli Paryż mi się nie podoba? Odpowiadałem sobie: „Uroczą kobietę wywracającą się z powozem o dziesięć kroków ode

<sup>102</sup>tonąłem (...) pomysłach — Na marginesie: Chatterton pana de Vigny, s. 9. [przypis autorski]

mnie; podniosę ją i będziemy się ubóstwiać, pozna moją duszę i ujrzy, jak bardzo jestem różny od Monvalów”.

Tę odpowiedź, najzupełniej poważnie, dawałem sobie parę razy dziennie; zwłaszcza o zmroku, który często jest dla mnie chwilą tkliwego wzruszenia, jestem skłonny uściskać moją kochankę ze łzami w oczach (kiedy ją mam).

Byłem więc stale wzruszony i nigdy, poza rzadkimi wybuchami gniewu, nie myślałem przeszkadzać naszej gospodyni w okradaniu mnie o 3 su na porcji cukru.

Śmiemże powiedzieć? Ale może to fałsz. *Byłem poetą*. Nie takim, prawda, jak ów cacany ksiądz Delille, którego poznałem w dwa czy trzy lata później przez Cheminade'a (ulica des Francs-Bourgeois w dzielnicy Marais), ale jak Tasso, jak setna część Tassa, z przeproszeniem za mą dumę. Nie miałem tej dumy w 1799, nie umiałem napisać ani wiersza. Będzie dopiero cztery lata, jak sobie powiedziałem, że w 1799 byłem bliski tego, aby być poetą. Brakowało mi tylko odwagi pisania, tylko *komina*, przez który *geniusz* mógłby się wymknąć.

Po *poecie* znów *geniusz*, bagatela!

„Stał się nadmiernie wrażliwy: co innych draźnie zaledwie, jego rani do krwi”. Taki byłem w roku 1799, taki jestem jeszcze w 1836, tylko że nauczyłem się ukrywać to pod maską ironii niedostrzegalnej dla pospólstwa, ale którą Fiori odgadł od razu.

„Jego uczucia i czułości są przytłaczające i nieproporcjonalne, przyplwy nadmiernego entuzjazmu wytrącają go z równowagi; jego sympatie są zbyt prawdziwe, ci, którzy budzą jego współczucie, cierpią mniej niż on”.

To się dosłownie odnosi do mnie. (Z wyjątkiem tego, co mówi o emfazie i napuszości (*self importance*), ten dziennik ma rację).

Co mnie różni od ważnych głupców z gazety, *którzy noszą swoją głowę jak Najświętszy Sakrament*, to że nigdy nie sądziłem, aby społeczeństwo było mi coś winne. Helwecjusz ocalił mnie od tego potwornego głupstwa. *Spółczesność płaci usługi, które widzi*.

Błędem i nieszczęściem Tassa było to, że sobie mówił: „Jak to! Cała Italia, tak bogata, nie zdobędzie się na pensję 200 cekinów dla swego poety!”.

Czytałem to w jednym z jego listów.

Tasso nie widział, z braku Helwecjusza, że setka ludzi, którzy na dziesięć milionów rozumieją *Piękno* niebędące naśladowaniem lub udoskonaleniem *Piękna* już zrozumianego przez tłum, potrzebuje dwudziestu lub trzydziestu lat, aby wytłumaczyć dwudziestu tysiącom dusz najwrażliwszych po ich duszach, że to nowe *Piękno* jest naprawdę piękne.

Istnieje co prawda wyjątek: kiedy wmiesza się tu duch stronnictwa. Pan de Lamartine zrobił może w życiu dwie setki pięknych wierszy. Kiedy partię „ultra” (około 1818) oskarżono o *głupotę*, zraniona jej próżność jęła zachwalać utwory tego szlachcica z siłą wzburzonego jeziora, które zrywa tamę.

Nie uważałem tedy nigdy, aby ludzie byli niesprawiedliwi dla mnie. Potwornie śmieszne wydaje mi się nieszczęście wszystkich naszych rzekomych poetów, którzy się karmią tą myślą i którzy potępiają współczesnych Cervantesa lub Tassa.

Zdaje mi się, że ojciec dawał mi wówczas 100 czy 150 franków miesięcznie. Był to skarb, nie bałem się wcale braku pieniędzy; tym samym nie myślałem o pieniądzu.

Czego mi brakowało, to kochającego serca, to kobiety.

Do dziewcząt publicznych miałem wstręt. Cóż prostszego jak robić tak jak dziś, wziąć ładną dziewczynę za ludwika przy ulicy des Moulins?

Luidorów mi nie brakło. Z pewnością dziadek i ciotka dawali mi ich pod dostatkiem i z pewnością ich nie wydawałem. Ale uśmiech kochającego serca! Ale spojrzenie panny Wiktoryny B[igillion]!

Wszystkie wesole opowiadania ilustrujące zepsucie i chciwość dziewcząt, jakimi karmili mnie matematycy, którzy oddawali mi wówczas przyjacielskie usługi, ścisły mi serce.

Mówili o „kamieniarkach”, ulicznicach po 2 su, na kupie kamieni, o dwieście kroków od bramy naszego mizernego domu.

Bratnie serce — oto czego mi brakło. Pan Sorel zapraszał mnie czasami na obiad, pan Daru z pewnością także; ale ci ludzie zdawali mi się tak dalecy od moich szczytnych ekstaz, byłem przez próżność tak nieśmiały, zwłaszcza z kobietami, że nie mówiłem nic.

„Kobieta? Dziewczyna?” — powiada Cherubin.<sup>103</sup> Poza brakiem urody byłem Cherubinem; miałem czarne włosy w puklach i oczy, których blask budził lęk.

„Oto mężczyzna, którego kocham” albo: „Mój miły jest brzydki, ale nikt nie pamięta mu jego brzydoty, jest taki inteligentny!” Oto co powiadała w owym czasie Wiktoryna Bigillion do Feliksa Faure, który dowiedział się aż w wiele lat później, o kogo chodziło.

Wyrzucał kiedyś obojętność swojej pięknej sąsiadce pannie Wiktorynie Bigillion. Zdaje mi się, że Michel albo Fryderyk Faure, albo sam Feliks miał ochotę umizgać się do Wiktoryny.

(Feliks Faure, par Francji, prezes Trybunału Apelacyjnego w Grenoble, człowiek płaski i zużyty fizycznie.

Fryderyk Faure, szczywany Delfinatczyk bez krzty inteligencji czy szlachectwa duszy, zmarł jako kapitan artylerii w Valence.

Michel, jeszcze sprytniejszy, typ jeszcze bardziej delfinacki, może mniej odważny, kapitan gwardii cesarskiej; poznałem go w Wiedniu w 1809 r. jako dyrektora przytułku w Saint-Robert koło Grenoble (zrobiłem z niego Valenoda w *Czerwonym*). Bigillion, złote serce, człowiek uczciwy i bardzo oszczędny, główny pisarz Trybunału Pierwszej Instancji; popełnił samobójstwo koło roku 1827, przygnębiony nieustannym przyprawianiem mu rogów przez żonę, do której zresztą nie miał urazy).

Nie chcę siebie przedstawiać jako nieszczęśliwego kochanka wówczas, gdy byłem do Paryża w listopadzie 1799, ani nawet w ogóle jako kochanka. Byłem zbyt zajęty światem, tym, co mam robić w tym świecie tak mi nieznanym.

To zagadnienie było moją kochanką; stąd mój pogląd, że nim człowiek zdobędzie stanowisko i ugruntuje się w świecie, miłość jego nie może być oddana i zupełna jak miłość człowieka, który sobie wyobraża, że wie, co to świat.

Mimo to często marzyłem z uniesieniem o górach naszego Delfinatu: panna Wiktoryna spędzała co roku kilka miesięcy w Grande-Chartreuse, gdzie jej przodkowie witali świętego Brunona w 1100 r. Grande-Chartreuse była jedyną górą, jaką wówczas znałem; wydaje mi się, że już z Bigillionem i Rémyem byliśmy tam parę razy.

Zachowałem tkliwe wspomnienie o Wiktorynie, ale nie wątpiłem ani na chwilę, że młoda dziewczyna z Paryża musi ją przewyższać sto razy. Mimo to pierwsze wrażenie Paryża było jak najgorsze.

To głębokie rozczarowanie w połączeniu z fatalnym lekarzem doprowadziły mnie, zdaje mi się, do choroby dość ciężkiej. Nie mogłem jeść.

Czy pan Daru kazał mnie leczyć w tej pierwszej chorobie?

Naraz widzę się w pokoju na trzecim piętrze, z oknem na ulicę du Bac; wchodziło się do tego domu pasażem Sainte-Marie, dziś tak upiększonym i zmienionym. Mój pokój był na poddaszu, na najwyższym piętrze, na końcu okropnych schodów.

Musiałem być bardzo chory, bo pan Daru sprowadził mi sławnego lekarza Portal, którego fizys przeraziła mnie. On patrzył na mnie z rezygnacją, jak na trupa. Dano mi pielęgniarkę, rzecz bardzo nowa dla mnie.

Dowiedziałem się później, że mi groził obrzęk płuc. Miałem, zdaje mi się, malignę i przeleżałem trzy tygodnie czy miesiąc w łóżku.

Feliks Faure zachodził mnie odwiedzać, zdaje mi się. Zdaje mi się, tak, jestem tego pewny, że mi opowiadał, jak w mojej malignie upominałem go (bardzo dobrze robił bronią), aby wrócił do Grenoble i wyzwiał na pojedynek tych, którzy będą się z nas wyśmiewać, dlatego żeśmy nie wstąpili do Szkoły Politechnicznej. Jeśli będę kiedy rozmawiał z tym sędzią więźniów kwietniowych, muszę go wypytać o nasze życie z 1799. Ta dusza zimna, tchórzliwa i samolubna musi mieć ściśle wspomnienia; zresztą musi być o dwa lata starszy ode mnie, urodzony około 1781.

Widzę kilka obrazów z okresu rekonwalescencji.

Moja pielęgniarka podawała mi jedzenie przy kominku, co mi się zdawało *prostackie*.

Przykazano mi surowo, żebym się nie zaziębił; ponieważ śmiertelnie się nudziłem w łóżku, przestrzegałem tych zaleceń. Szczegóły życia codziennego Paryża były mi wstrętne.

<sup>103</sup>Kobieta? (...) powiada Cherubin — w *Weselu Figara* Beaumarchais'go (akt I, sc. 7). [przypis redakcyjny]

Bez żadnego przeskoku, po chorobie, widzę się w pokoju na drugim piętrze w domu pana Daru, przy ulicy de Lille (albo de Bourbon, kiedy są Burboni we Francji) nr 505. Ten pokój wychodził na cztery ogrody, był dość obszerny, trochę w kształcie poddasza.

Ten pokój bardzo mi odpowiadał. Sporządziłem z papieru zeszyt, aby pisać komedie.

W tej epoce, zdaje mi się, odważyłem się iść do pana Cailhava, aby kupić egzemplarz jego *Sztuki komicznej*, której nie mogłem dostać u żadnego księgarza. Odgrzebałem tego starego Gaskończyka w pokoju w Luwrze, zdaje mi się. Powiedział mi, że jego książka jest źle napisana, czemu mężnie zaprzeczyłem. Musiał mnie wziąć za wariata.

Znalazłem tylko jedną myśl w tej wścieklej książce, a i ta nie była Cailhavy, ale Bacona. Ale czy to nic — jedna myśl w książce? Chodzi tam o definicję *śmiechu*.

Moja namiętność do matematyki zostawiła mi obłądną miłość do dobrych *definicji*, bez których wszystko jest mgliste<sup>104</sup>.

## ROZDZIAŁ XXXVIII

Ale skoro raz *Sztuka komiczna* znalazła się na moim stole, rozważyłem poważnie tę wielką kwestię: czy mam zostać kompozytorem oper jak Grétry, czy autorem komedyj?

Zaledwie że znalazłem nuty (pan Mention odpędził mnie jako niegodziwego skrzypiciela), ale powiadałem sobie: „Nuty są tylko sztuką zapisywania myśli, grunt to je mieć”. A sądziłem, że je mam. Co zabawne, to że wierzę w to jeszcze dziś i często martwię się, że nie wyjechałem z Paryża, aby być lokajem Paisiella w Neapolu.

Nie mam żadnego zamiłowania do muzyki czysto instrumentalnej; nawet muzyka Kaplicy Sykstyńskiej i chór w katedrze Św. Piotra nie sprawiały mi żadnej przyjemności (potwierdziłem ten sąd w dniu... stycznia 1836, w dniu katedry Św. Piotra).

Jedynie melodia wokalna wydaje mi się tworem geniuszu. Głupiec darmo by się nadymał nauką, nie zdoła, zdaje mi się, stworzyć pięknego śpiewu, na przykład: *Se amor si gode in pace* (pierwszy akt i może pierwsza scena z *Matrimonio segreto*).

Kiedy genialny człowiek zada sobie ten trud, aby studiować melodię, osiąga piękną instrumentację kwartetu z *Bianca e Faliero* (Rossini) albo duet z *Armidy*, tenże.

W pięknej epoce mojej pasji do muzyki, w Mediolanie, od 1814 do 1821, kiedy rano w dzień nowej opery szedłem nabyć libretto w La Scali, czytając, nie mogłem się powstrzymać od układania całej muzyki, śpiewania aryj i duetów. I — śmiemż wyznać? — czasami, wieczorem, moja melodia wydawała mi się *szlachetniejsza i tkliwsza* niż melodia maestra.

Ponieważ nie miałem i nie mam absolutnie żadnej wiedzy, żadnego sposobu utrwalenia melodii na kawałku papieru, aby ją móc poprawić bez obawy zgubienia pierwotnej kantyleny, było to tak jak pierwsza idea książki, która mi przychodzi do głowy. Jest to razy bardziej zrozumiała po opracowaniu jej.

Ale ostatecznie ten pierwszy rzut to rzecz, której nie znajdzie się nigdy w książkach miernych pisarzy. Ich najsilniejsze zdania wydają mi się jak groty Priama: „*sine ictu*”<sup>105</sup>.

Ułożyłem na przykład, zdaje mi się, uroczą melodię (i słyszałem jej akompaniament) do tych wierszy La Fontaine’a (krytykowanych przez pana Nodier jako nie dość nabożne, co prawda koło 1820, za B[urbonó]w):

Umrzyk smutnie tam się toczy,  
Gdzie na wieczny sen zostanie.  
Proboszcz rażny i ochoczy.  
Spieszdy odbyć to chowanie<sup>106</sup>.

<sup>104</sup>Rozdział XXXVII (...) mgliste — Na marginesie. Praca: 2 lutego 1836, okropny deszcz od południa do trzeciej, napisane 26 stron i przerwane 50 stron *Chattertona*. Diri i Sandre, nie mogłem dokończyć *Chattertona*. Boże, jaki ten Diri głupi! Co za zwierzę! Wszystko bierze do siebie. 3 lutego 1836. Dziś wieczorem *Cyrulik* w „Valle” i komedia Scribe’a z panną Bettini. [przypis autorski]

<sup>105</sup>*sine ictu* — pozbawione siły. [przypis redakcyjny]

<sup>106</sup>*Umrzyk (...) odbyć to chowanie* — fragment bajki La Fontaine’a *Proboszcz i nieboszczyk*, przekład St. Komara. [przypis redakcyjny]

To może jedyna melodia, którą stworzyłem do słów francuskich. Mam wstręt do wymawiania niemego *e: gi-teu, vi-teu*. Zdaje mi się, że Francuzi mają najwybitniejszy antytalent do muzyki, tak jak Włoch ma zdumiewający antytalent do tańca.

Czasami, plotąc umyślnie głupstwa sam ze sobą, aby się rozśmieszyć, aby dostarczyć żartu stronie przeciwnej (którą, często czuję doskonale w sobie), powiadam: w jaki sposób miałbym talent do muzyki à la Cimarosa będąc Francuzem?

Odpowiadam: przez matkę, do której jestem podobny, mam może krew włoską. Ów Gagnoni, który się schronił do Awinionu, zamordowawszy człowieka we Włoszech, ożenił się tam może z córką jakiego Włocha w służbie wicelegata.

Mój dziadek i ciotka Elżbieta mieli typ wybitnie włoski, nos orli etc.

A teraz, kiedy pięć lat ustawicznego pobytu w Rzymie dało mi lepiej wniknąć w znajomość fizycznej budowy Rzymian, widzę, że dziadek miał postawę, głowę, nos ściśle rzymskie.

Co więcej, mój wuj, Roman Gagnon, miał głowę najoczywiściej prawie rzymską, z wyjątkiem cery, którą miał bardzo piękną.

Nigdy nie spotkałem pięknej melodii skomponowanej przez Francuza; najpiękniejsza nie wznoszą się ponad gruby charakter pieśni *popularnej*, to znaczy takiej, która musi się spodobać wszystkim; taką jest:

*Allons, enfants de la patrie...*

kapitana Rougeta de Lisle, pieśń skomponowana w ciągu jednej nocy w Strasburgu.

Ta pieśń wydaje mi się o wiele wyższa od wszystkiego, co spłodziła kiedykolwiek głowa francuska, ale w swoim rodzaju nieodzownie niższa od Mozarta

*Là ci darem la mano,  
Là mi dirai di si...*

Wyznaję, że doskonale piękne wydają mi się jedynie melodie tych dwóch autorów: Cimarosa i Mozarta, i raczej bym się dał powiesić, niżbym zdołał powiedzieć szczerze, którego z nich wolę.

Kiedy mój zły los dał mi poznać dwa nudne salony, zawsze ten, z którego właśnie wychodzę, wydaje mi się uciążliwszy.

Kiedy słyszę Mozarta albo Cimarosę, zawsze ten, którego słyszałem na ostatku, wydaje mi się nieco miłszy od drugiego.

Paisiello wydaje mi się cienkuszem dość przyjemnym, który można nawet pić z przyjemnością, w chwilach gdy wino wydaje się za mocne.

To samo powiem o kilku ariach paru kompozytorów niższych od Paisiella, na przykład: *Senza sposo non mi lasciate, signor governatore* (nie przypominam sobie słów) z *Cantrici villane* Fioravantiego.

Zła strona tego cienkusza, to że po chwili wydaje się mdły. Można tego pić tylko jeden kieliszek.

Prawie wszyscy autorzy, kiedy piszą o rasach ludzi, są zaprzędani [religii]. Bardzo mała liczba ludzi uczciwych miesza fakty dowiedzione z przypuszczeniami. Gdy jakaś nauka się zaczyna, wówczas człowiek nienależący do niej może się odważyć o niej mówić.

Mówię tedy, że próżno żądałoby się od psa myśliwskiego inteligencji pudła lub też od pudła tego, aby poznał, że zając przeszedł tędy przed sześciu godzinami.

Mogą istnieć wyjątki indywidualne, ale ogólna prawda jest, że pudel i pies myśliwski mają każdy swój talent.

Prawdopodobnie tak samo jest z rasami ludzi.

Co jest pewne, zaobserwowane przeze mnie i przez Constantina, to że widzieliśmy całe towarzystwo rzymskie (120, Batacia, widziałem to chyba w 1834), które się zajmuje wyłącznie muzyką i które śpiewa bardzo dobrze finały z *Semiramidy* Rossiniego i w ogóle najtrudniejszą muzykę, jak walcuje cały wieczór przy muzyce do kontredansa, i to granej nie w takt. Rzymianin, a nawet Włoch w ogólności, ma wybitny antytalent do tańca.

Zacząłem umyślnie od końca, aby nie oburzyć Francuzów z roku 1880, kiedy wyczytają tutaj, że nic nie równało się antytalentowi ich przodków z 1830 do sądzenia muzyki wokalne lub wykonywania jej.

Francuzi stali się uczeni w tym rodzaju od 1820, ale zawsze w gruncie barbarzyńcy: za dowód niech starczy powodzenie *Roberta Diabla* Meyerbeera.

Francuz jest mniej nieczuły na muzykę niemiecką, z wyjątkiem Mozarta.

To, co Francuzi smakują w Mozarcie, to nie straszliwą nowość *melodii*, którą Leporello zaprasza posąg komandora na wieczerzę, ale raczej akompaniament. Zresztą wmówiono temu stworzeniu, *próżnemu* przede wszystkim i ponad wszystko, że ten duet lub tercet jest cudowny.

Kawałek skały bogaty żelazem, spostrzeżony na powierzchni, pozwala wnosić, że kopiąc studnie i głębokie korytarze osiągnie się zadowalającą ilość metalu; a może nie znajdzie się nic.

Taki byłem, co się tyczy muzyki, w 1799. Przypadek sprawił, że starałem się notować dźwięki mojej duszy za pomocą drukowanych stronic. Lenistwo i brak sposobności do nauczenia się fizycznej, głupiej strony muzyki (umieć grać na fortepianie, notować swoje pomysły) wiele przyczyniły się do tego postanowienia, które byłoby zgoła inne, gdybym był znalazł wuja albo kochankę lubiących muzykę. Co się tyczy namiętności, zachowała się całkowicie.

Zrobiłbym dziesięć mil po błocie — rzecz, której nie cierpię najbardziej w świecie — aby być na udanym przedstawieniu *Don Juana*. Kiedy ktoś wymawia po włosku imię Don Juan, natychmiast budzi się we mnie tkliwe wspomnienie muzyki.

Mam tylko jedną wątpliwość, ale niezbyt zrozumiałą: czy muzyka podoba mi się jako *znak*, jako wspomnienie szczęśliwej młodości, czy *sama przez się*?

Jestem za tym ostatnim. *Don Juan* oczarował mnie, zanim słyszałem Bonoldiego wykrzykującego (w La Scali w Mediolanie) przez swoje okienko:

*Falle passar avanti,  
Di che ci fanno onor?*

Ale to delikatny temat, wróć do niego, kiedy się zapuszczę w dyskusję o sztuce w czasie mego pobytu w Mediolanie — tak namiętnego i, mogę powiedzieć w sumie, kwiatu mego życia — od 1814 do 1821.

Czy aria *Tra quattro muri* śpiewana przez panią Festa podoba mi się jako znak czy przez swą istotną wartość?

*Per te ogni mese un pajo z Pretendenti delusi* nie czaruje mnie jako znak?

Tak, godzę się na *znak* co do tych dwóch, toteż nie zachwalałem ich nigdy jako arcydzieł. Ale nie wierzę zgoła w *znak* dla *Matrimonio segreto* słyszanego sześćdziesiąt albo sto razy w „Odeonie” z panią Barilli; czy to było w 1803, czy w 1810?

To pewna, żadne *opera d’inchostro*, żaden utwór literacki nie sprawia mi przyjemności równie żywej jak *Don Juan*.

Czternasty arkusz nowego wydania de Brosses’a, czytany świeżo w styczniu 1836, zbliżał się wszakże do tego bardzo.

Wielkim dowodem mojej pasji do muzyki jest to, że *opera komiczna Feydeau irytuje mnie*.

Mając do rozporządzenia lożę mojej kuzynki, pani de Longueville, nie mogłem wytrzymać więcej niż pół przedstawienia. Bywam w tym teatrze raz na dwa albo na trzy lata, zmożony ciekawością, i wychodzę w połowie drugiego aktu, jak ten wicehrabia, który „obrażony wychodził z drugiego aktu<sup>107</sup>”, i potem mam humor popsuty na cały wieczór.

Opera (francuska) irytowała mnie jeszcze bardziej do 1830, a zupełnie mi się nie podobala w 1833 z Nourritem i panią Damoreau.

Rozpisałem się, bo zawsze się jest złym sędzią własnych gustów lub namiętności, zwłaszcza kiedy te gusty są w dobrym tonie. Nie ma młodego fircyka w Faubourg Sain-Germain (jak pan de Blancmesnil na przykład), który by nie twierdził, że szaleje za

<sup>107</sup>wicehrabia, który „obrażony wychodził z drugiego aktu” — Boileau, *List VII*. [przypis redakcyjny]

muzyką. Ja nienawidzę wszystkiego, co jest *romancą francuską*. Słuchając Panserona wpadam w szal, zaczynam nienawidzić tego, co kocham namiętnie.

Dobra muzyka każe mi marzyć z rozkoszą o tym, co wypełnia moje serce w danej chwili. Stąd rozkoszne momenty, jakie przeżyłem w La Scali od 1814 do 1821.

## ROZDZIAŁ XXXIX

To było nic mieszkać u pana Daru, trzeba było tam jadać, co mnie nudziło śmiertelnie.

Kuchnia paryska nie podobała mi się prawie tak samo jak brak gór, prawdopodobnie z tej samej przyczyny. Nie wiedziałem, co to jest brak pieniędzy. Z tych dwóch powodów nic nie było mi równie uprzykrzone, jak te obiady w szczupłym mieszkaniu pana Daru.

Jak wspominałem, znajdowało się ono nad bramą wjazdową.

W tym salonie i w tej jadalni cierpiełem okrutnie, przechodząc kurs owego wychowania przez *obcych*, od którego rodzina mnie tak roztropnie uchroniła.

Styl grzeczny, ceremonialny, dopełniający skrupulatnie wszystkich form — jeszcze dziś mrozi mnie i zamyka mi usta. Niech się jeszcze domiesza do tego ton religijny i deklamacja o wielkich zasadach moralnych — jestem trup.

Można osądzić działanie tej trucizny w styczniu 1800, kiedy padła na organy jeszcze zupełnie świeże, wchłaniające każdą jej kropelkę z niezwykłą wrażliwością.

Przybywałem do salonu o wpół do szóstej; tam drżałem na myśl, że trzeba mi będzie podać rękę panie Zofii albo pani Cambon, albo pani Le Brun, albo wreszcie samej pani Daru, aby ją poprowadzić do stołu.

(Pani Cambon zgłosiła powoli, trawiona jakąś chorobą, która już wtedy barwiła żółto jej cerę. Pani Le Brun jest w 1836 r. margrabiną de [Grave]; podobnie panna Zofia jest dziś panią de Baure. Straciliśmy już dawno starszych państwa Daru. Panna Pulcheria Le Brun jest w 1836 margrabiną de Brossard. Panowie Piotr i Marcjal Daru nie żyją. Piotr zmarł około 1829 r., Marcjal dwa albo trzy lata wcześniej. Pani Le Brun — pani margrabina de Grave (były minister wojny<sup>108</sup>).)

Przy stole nie było ani jednego dania, które by mi sprawiło przyjemność. Kuchnia paryska nie smakowała mi strasznie i jeszcze mi nie smakuje po tylu latach. Ale ta przykrość była niczym w moim wieku; odczuwałem ją wszak i wówczas, kiedy mogłem iść do restauracji.

Za to przymus moralny mnie zabijał.

To nie było uczucie niesprawiedliwości i nienawiści do ciotki Serafi, jak w Grenobli.

Dałby Bóg, abym się był wykpił tego rodzaju niedolą! To było o wiele gorzej, to było nieustanne poczucie rzeczy, które chciałem czynić, a których nie mogłem osiągnąć.

Osądźcie rozmiar mego nieszczęścia! Ja, który się miałem równocześnie za Saint-Preux i Valmonta (z *Niebezpiecznych związków*, naśladowania *Klarysy*, które się stało brewiarzem prowincjonalów), ja, który czując w sobie nieskończoną skłonność do tego, aby kochać i być kochanym, sądziłem, że brak mi tylko sposobności — ja czułem się niezdarne i niezręczne w towarzystwie, które mi się wydawało smutne i markotne; cóż by dopiero było w miłym salonie!

Więc to był ów Paryż, którego tyle pragnąłem!

Nie rozumiem dzisiaj, w jaki sposób ja nie oszalałem od 10 listopada 1799 do 20 kwietnia w przybliżeniu, kiedy wyjechałem do Genewy.

Nie wiem jeszcze, czy poza obiadem nie musiałem bywać na śniadaniu.

Ale jak odmalować moje szaleństwo? Wyobrażałem sobie społeczeństwo jedynie i wyłącznie na podstawie *Sekretnych pamiętników* Duclosa, trzech czy siedmiu tomów Saint-Simona do owego czasu wydanych oraz romansów.

Widziałem świat — a i to przez szyjkę od butelki — jedynie u pani de Montmaur, oryginału pani de Merteuil z *Niebezpiecznych związków*. Była teraz stara, bogata i kulawa. Tego byłem pewny; co się tyczy strony moralnej, protestowała, kiedy mi chciano dać tylko pół smażonego orzecha, gdy przychodziłem do niej do Chevallon; zawsze mi kazała dawać cały. „To robi taką przykrość dzieciom!” — mówiła. To jest wszystko, co zaobserwowałem, jeżeli chodzi o jej stronę moralną. Pani de Montmaur wynajęła albo

<sup>108</sup> Pani Cambon zgłosiła (...) były minister wojny — Na marginesie: Dla porządku. [przypis autorski]



kupiła dom Drewnonów, młodych hulaków, przyjaciół mego wuja R. Gagnona, którzy się prawie zupełnie zrujnowali.

Autentyczny szczegół o pani de Montmaur, oryginalnie pani de Merteuil, jest może tu nie na miejscu, ale chciałem przez anegdotę z orzechem pokazać, ile ja znałem świata.

To nie wszystko, są gorsze rzeczy. Wyrzucałem sobie jak hańbę, prawie jak zbrodnię, milczenie, które panowało zbyt często na dworze starego mieszczanina, znudzonego despoty, jakim był stary Daru.

To była moja główna zgryzota. Mężczyzna powinien być — wedle mnie — namiętym kochankiem, a równocześnie wnosić radość i życie w każde towarzystwo.

A jeszcze ta powszechna radość, ta sztuka podobania się wszystkim nie powinna się opierać na sztuce schlebiana gustom i słabościom: nie śniło mi się zgoła o tej stronie sztuki podobania się, która byłaby mnie prawdopodobnie oburzyła. Przyjemność, której pragnąłem, to była czysta radość Szekspira w jego komediach, swoboda, która panuje na dworze wygnanego księcia w lesie ardeńskim.

Ta czysta i lotna radość na dworze starego prefekta-libertyna, do tego znudzonego i dewota, jak sądzę!!!

Absurd nie może sięgać dalej; ale moje nieszczęście, mimo że oparte na *absurdzie*, było mimo to niemniej realne.

Te milczenia, kiedy byłem w salonie pana Daru, doprowadzały mnie do rozpacz.

Czym byłem w tym salonie? Nie otwierałem ust, jak mi mówiła później pani Le Brun, margrabina de [Grave]. Hrabina d'Oraison wspomniała mi niedawno, że pani Le Brun lubi mnie; poprosić ją o jakieś objaśnienia co do miny, jaką miałem w salonie pana Daru w czasie mego pierwszego pobytu, z początkiem 1800.

Umierałem z przymusu, ze skrzepowania, z niezadowolenia z samego siebie. Kto byłby mi powiedział, że największa radość mego życia spadnie na mnie w pięć miesięcy później!

„Spadnie” to jest właściwe słowo: spadła ona z nieba, ale i tak płynęła z mojej duszy. Ta dusza była moją jedyną ucieczką przez cztery czy pięć miesięcy, przez które mieszkałem u pana Daru.

Wszystkie męki salonu i jadalni znikaly, kiedy sam w mojej izdebce z widokiem na ogródki powiadałem sobie: „Czy mam zostać kompozytorem muzycznym, czy też pisać komedie jak Molier?”. Czulem, mglisto co prawda, że nie znam na tyle ani świata, ani siebie, aby się zdecydować.

Od tych wielkich myśli odciągał mnie inny problem, o wiele bardziej ziemski i bardziej natrętny. Pan Daru, ten ścisły człowiek, nie rozumiał, czemu ja nie wstępuję do Szkoły Politechnicznej lub też, jeśli ten rok był stracony, czemu nie prowadzę dalej moich studiów, aby stanąć do egzaminu w przyszłym roku, w sierpniu 1800.

Ten surowy starzec dawał do zrozumienia z wielką grzecznością i miarą, że wyjaśnienie jest w tej sprawie nieodzowne. Właśnie ta miara i ta grzeczność, tak nowa dla mnie, to „pan”, które pierwszy raz słyszałem z ust krewnego, podsycaly moją nieśmiałość i moją szaloną wyobraźnię.

Tłumaczę to sobie teraz. Widziałem bardzo dobrze kwestię zasadniczą, ale te grzeczne i niezwykle przygotowania kazały mi podejrzewać jakieś nieznanne i przerażające przepaście, z których nie zdołałem się ocalić. Paraliżowały mnie dyplomatyczne maniery zręcznego eksprefekta, którym nie umiałem wówczas dać właściwego miana. Wszystko to sprawiało, że byłem niezdolny bronić wręcz moich poglądów.

Brak pobytu w kolegium czynił ze mnie dziesięcioletnie dziecko w stosunkach ze światem. Sam widok osobistości tak imponującej, przed którą drżał cały dom, zaczynając od żony i najstarszego syna, mówiącej do mnie sam na sam i przy zamkniętych drzwiach, sprawiało, że niepodobna mi było wyrzec dwóch słów z sensem. Widzę dziś, że ta twarz starego pana Daru, z okiem nieco kosym, była dla mnie istnym

*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate.*<sup>109</sup>

Nie widzieć tego oblicza było najwyższym szczęściem, jakie mi mógł dać.

<sup>109</sup>*Lasciate ogni speranza, voi ch'entrate* — „Rzućcie nadzieję, wy, co tu wchodzić!” *Boska Komedia*, (*Piekieło*, III, 9). Przekład A. Asnyka. [przypis redakcyjny]

Wielkie wzruszenie niweczy we mnie pamięć. Może stary Daru powiedział mi coś w rodzaju: „Drogi kuzynie, trzeba by coś postanowić do tygodnia”.

W bezmiarze mej nieśmiałości, mej trwogi i pomieszania, zdaje mi się, że spisałem sobie zawczasu rozmowę, jaką chciałem mieć z panem Daru.

Przypominam sobie tylko jeden szczegół tego strasznego widzenia. Powiedziałem, w słowach mniej jasnych:

— Ojciec zostawia mi mniej więcej swobodę postępowania.

— Widzę to aż nadto dobrze — odparł pan Daru, z ową wymowną intonacją, która mnie bardzo uderzyła u człowieka tak pełnego miary oraz nawyku dyplomatycznych omówień.

To słowo mnie uderzyło; wszystkiego innego zapomniałem.

Byłem bardzo zadowolony z mego pokoiku na ogrody między ulicą de Lille a Uniwersytecką, z widokiem na kawałek ulicy Bellechasse.

Dom należał niegdyś do Condorceta, którego ładna wdowa żyła wówczas z panem Fauriel (dziś z Instytutu, prawdziwego uczonego, kochającego wiedzę dla niej samej — rzecz rzadka w tej korporacji).

Condorcet, aby nie być nękanym przez ludzi, kazał sobie zrobić drabinkę, przy pomocy której drapał się na trzecie pięterko (ja mieszkalem na drugim) do pokoju nad moim. Jakby mnie to było przejęło trzy miesiące temu! Condorcet, autor owego *Szkicu przyszłego postępu*<sup>110</sup>, który czytałem z entuzjazmem dwa albo trzy razy!

Niestety! Serce moje było odmienione. Z chwilą gdy byłem sam i spokojny, skoro pozbyłem się mej nieśmiałości, wracało to głębokie uczucie: „Więc Paryż to tylko tyle?”.

To znaczyło: „To, czego tyle pragnąłem jako najwyższego dobra, rzecz, której poświęciłem moje życie od trzech lat, nudzi mnie”. To nie poświęcenie trzech lat bolało mnie; mimo obawy przed wstąpieniem do Szkoły Politechnicznej na rok przyszły kochałem matematykę. Straszliwa kwestia, której inteligencja moja nie była zdolna ogarnąć, była: „Gdzie tedy jest szczęście na ziemi?”. I czasami dochodziłem do tego pytania: „Czy istnieje szczęście na ziemi?”.

*Brak gór zgubił absolutnie Paryż w moich oczach.*

*Strzyżone drzewa w ogrodach dorznięły go.*

Bądź co bądź — i robi mi przyjemność stwierdzić to dzisiaj (w 1836) — nie byłem niesprawiedliwy dla pięknej zieleni tych drzew.

Czułem raczej, niż mówiłem sobie jasno: „Forma ich jest żalosna, ale co za rozkoszne kępy zieleni z uroczymi labiryntami, po których błądzi wyobraźnia!”. Ten ostatni szczegół jest dzisiejszy. Czułem wówczas, nie rozróżniając zbyt przyczyn. Spostrzegawczości, która nigdy nie była moją silną stroną, brakło mi zupełnie; byłem niby narowisty koń, który widzi nie to, co jest, ale urojone przeszkody lub niebezpieczeństwa. Dobre było to, że serce mi się wzdykało i że szedłem dumnie na największe niebezpieczeństwa. Jestem jeszcze dzisiaj taki.

Im dłużej wałęsałem się po Paryżu, tym bardziej mi się nie podobał. Rodzina Daru była bardzo uprzejma dla mnie, pani Cambon komplementowała mnie za mój surdut „artystyczny”, oliwkowy z aksamitnym kołnierzem. „Bardzo w nim panu dobrze” — poviadała.

Pani Cambon zaprowadziła mnie do muzeum z kimś z rodziny i z niejakim panem Gorse czy Gosse, tęgim pospolitym chłopakiem, który po trosze zalecał się do niej, ona zaś umierała z melancholii, straciwszy przed rokiem jedyną, szesnastoletnią córkę.

Wyszliśmy z muzeum, ofiarowano mi miejsce w powozie; wróciłem pieszo po błocie i, oczarowany dobrocią pani Cambon, wpadłem na wspaiały pomysł, aby zająć do niej. Zostałem ją sam na sam z panem Gorse.

Bądź co bądź uczułem całą rozciągłość — lub część rozciągłości mego głupstwa.

„Ależ czemu pan nie wsiadł do powozu?” — spytała pani Cambon zdziwiona.

Znikłem po upływie minuty. Pan Gorse musiał mieć o mnie ładne pojęcie! Musiałem być osobliwym problemem w rodzinie Daru; z pewnością odpowiedź wahała się między „to wariat” a „to idiota”.

<sup>110</sup>*Szkic przyszłego postępu* — dokładniej: *Szkic obrazu postępu ducha ludzkiego* (1794), podstawowe dzieło Condorceta. [przypis redakcyjny]

## ROZDZIAŁ XL

Pani Le Brun, dziś margrabina de [Grave], powiadała mi, że wszyscy mieszkańcy tego małego salonu zdumieni byli moim zupełnym milczeniem. Milczałem przez instynkt, czułem, że nikt by mnie nie zrozumiał. Tym gębom mówić o moim tkliwym uwielbieniu dla Bradamanty! Owo milczenie było najlepszą polityką, był to jedyny sposób, aby zachować trochę osobistej godności.

Jeśli kiedy jeszcze spotkam tę inteligentną kobietę, muszę ją wziąć na spytki, iżby mi powiedziała, czym byłem wówczas. W istocie, nie wiem. Mogę jedynie notować stopień szczęścia, jakim odczuwałem. Ponieważ zawsze grzebałem się później w tych samych ideach, jak zgadnąć mój stosunek do nich wówczas? Studnia miała dziesięć stóp głębokości, za każdym rokiem przydawałem pięć stóp; teraz, przy stu dziewięćdziesięciu stopach, jak zyskać obraz tego, czym była w lutym 1800, wówczas gdy miała tylko dziesięć stóp?

Podziwiano mego kuzyna Mure (wyblakłego szefa z Ministerium Handlu), istotę na wskroś prozaiczną, dlatego że wracając wieczór koło dziesiątej do domu pana Daru (ulica de Lille nr 505), szedł pieszo, aby wstąpić na ulubione ciasteczka na rogu ulicy Gaillon.

Ta prostota, ta naiwność łakomstwa, które by mnie rozśmieszyły dziś w chłopcu szesnastoletnim, przepelniały mnie zdumieniem w 1800. Nie wiem nawet, czy jednego wieczora nie wyszedłem w ową straszliwą wilgoć paryską, której nienawidziłem, aby zająć na te same ciasteczka. Było to trochę dla przyjemności, a wiele dla chwały. Przyjemność była nędzna, a chwała, zdaje się, także; jeżeli ktoś zwrócił uwagę, ujrzał w tym z pewnością jedynie płaskie naśladownictwo. Byłem daleki od naiwnego wyznania pobudek tego kroku; byłbym ja z kolei oryginalny i szczerzy i może moja wyprawa o dziesiątej wieczór wyludziłaby uśmiech tej znudzony rodzinie.

Choroba, która kazała doktorowi Portal drapać się na moje trzecie piętro w pasażu Sainte-Marie (ulica du Bac), musiała być poważna, bo straciłem wszystkie włosy. Nie omieszkałem kupić peruki, a mój przyjaciel Edmund Cardon nie omieszkał jej pewnego wieczora zarzucić na karnisz u portierni w salonie swojej matki.

Cardon był bardzo szczupły, bardzo wysoki, doskonale wychowany, bardzo bogaty, o miłych manierach, cudowna lalka, syn pani Cardon, pokojówki królowej Marii Antoiny.

Cóż za kontrast między Cardonem a mną! Mimo to zbliżyliśmy się. Byliśmy przyjaciółmi w czasie bitwy pod Marengo, był wówczas adiutantem ministra wojny Carnota; pisywaliśmy do siebie aż do 1804 lub 1805. W 1815 ten chłopiec wykwinny, szlachetny, uroczy strzelił sobie w łeb, widząc, że aresztują marszałka Neyą, jego powinowatego. Nie był skompromitowany w niczym, było to zupełnie przelotne szaleństwo spowodowane bezgraniczną próżnością dworaka, który nagle miał marszałka i księcia za kuzyna. Od 1803 lub 1804 kazał się nazywać Cardon de Montigny, przedstawił mnie swojej żonie, bogatej i eleganckiej, jękającej się nieco, która robiła wrażenie przestraszonej żywiołową energią tego allobrockiego górala. Syn tego dobrego i miłego chłopca nazywa się pan de Montigny, jest radcą czy audytorem przy Sądzie Apelacyjnym w Paryżu.

Ach, ileż dobrego zrobiłaby mi wówczas dobra rada! Ile dobrego zrobiłaby ta sama dobra rada w 1821! Ale, do diabła, nigdy mi jej nikt nie użyczył. Zrozumiałem to około 1826, ale było już prawie za późno, zresztą zanadto byłoby to sprzeczne z moimi przyzwyczajeniami. Widziałem później jasno, że to jest *sine qua non* w Paryżu, ale też byłoby mniej prawdy i oryginalności w moich pomysłach literackich.

Co za różnica, gdyby pan Daru lub pani Cambon byli mi powiedzieli w styczniu 1800: „Drogi kuzynie, jeżeli chcesz mieć jakieś znaczenie w społeczeństwie, musi dwadzieścia osób mieć interes w tym, aby dobrze mówić o tobie. Wybierz sobie tedy salon, nie zaniedbaj bywać tam w każdy wtorek (jeżeli taki jest dzień przyjęć), staraj się być miły lub przynajmniej bardzo grzeczny dla każdej z osób, które bywają w tym salonie. Będziesz czymś w świecie, będziesz miał nadzieję zdobyć uroczą kobietę, kiedy będziesz miał poparcie dwóch lub trzech salonów. Po dziesięciu latach stałości salony te, jeżeli je wybierzesz w naszej sferze, doprowadzą cię do wszystkiego. Najważniejsze to stałość: nie opuścić żadnego wtorku”.

Oto czego mi wiecznie brakło. Oto sens wykrzyknika pana Delécluze (z „Debatów” około 1828): „Gdybyś pan miał więcej wychowania!”

Musiał widocznie ten zacny człowiek być bardzo przejęty tą prawdą, bo był wściekle zazdrosny o kilka powiedzeń, które ku memu wielkiemu zdziwieniu zrobiły wielki efekt, na przykład u niego: „Bossuet to *bufon serio*”.

W 1800 rodzina Daru przebywała ulicę de Lille i szła na pierwsze piętro do pani Cardon, eks-pokojowej Marii Antoniny, bardzo radej, że ma protekcję dwóch komisarzy wojennych tak wpływowych, jak pan Daru, komisarz-intendent, i Marcjał Daru, prosty komisarz. Tak tłumaczę ten stosunek dziś i źle robię; z braku doświadczenia nie mogłem sądzić o niczym w 1800. Proszę tedy czytelnika, aby nie przywiązywał wagi do tych tłumaczeń, które mi się wyrwywają w 1836: to jest powieść mniej lub więcej prawdopodobna, to już nie historia.

Byłem tedy lub raczej zdawało mi się, że jestem bardzo dobrze przyjęty u pani Cardon w styczniu 1800.

Grano tam w szarady z przebieraniem, żartowano bez ustanku. Biedna pani Cambon nie zawsze tam przychodziła; wesołość ta raniła jej boleść, z której umarła w kilka miesięcy później.

Pan Daru (później minister) wydał właśnie *Kleopedię*, zdaje mi się, mały poemacik w rodzaju jezuickim, to znaczy w rodzaju poematów łacińskich fabrykowanych przez jezuitów około 1700. Zdawało mi się to płaskie i gładkie; jest już dobrych trzydzieści lat, jak to czytałem.

Pan Daru, człowiek bez talentu (ale odgaduję to w wielkim sekrecie, dopiero pisząc to), był bardzo dumny z tego, że jest prezesem czterech stowarzyszeń literackich równocześnie. Od tego rodzaju głupstw roilo się w 1800 i nie było to takie *czcze*, jak nam się wydaje dzisiaj. Społeczeństwo odradzało się po terrorze roku 93 w strachu lat następnych. To stary Daru oznajmił mi z cichą radością o tej chwale swego najstarszego syna.

Kiedy raz wracał z jednego z owych towarzystw literackich, Edmund, przebrany za dziewczynę, zaczepił go na ulicy o dwadzieścia kroków od domu. To było paradne. Pani Cardon miała jeszcze wesołość z 1788, to by raziło naszą pruderię z 1836.

Pan Daru, wchodząc do domu, ujrzał, że ściga go dziewczyna, która rozpasuje spódnice.

„Byłem bardzo zdziwiony — mówił — że w naszej dzielnicy możliwa jest taka ohyda”.

W jakiś czas potem zaprowadził mnie na posiedzenie jednego z towarzystw, którym przewodniczył. Zbierało się ono przy ulicy wyburzonej dla powiększenia placu Karuzelu, koło tej części nowej galerii, która na północ od placu sąsiaduje z osią ulicy Richelieu, o czterdzieści kroków bardziej na zachód.

Było w pół do ósmej wieczór, sale były jasno oświetlone. Poezja przejęła mnie zgrozą — cóż za różnica z Ariostem i Wolterem! Było to kołtuńskie i płaskie (co za dobrą szkołę miałem już wówczas!), ale podziwiałem łakomie biust pani Konstancji Pipelet, która odczytała jeden poemat. Powiedziałem jej to potem; była wówczas żoną biedaczyny chirurga, a rozmawiałem z nią u hrabiny Beugnot, kiedy była księżną de Salm-Dyck, zdaje mi się. Opowiem o jej małżeństwie poprzedzonym dwoma miesiącami pobytu u księcia de Salm wraz ze swoim kochankiem, aby zobaczyć, czy zamek się mu spodoba. Książę bynajmniej się nie łudził; wiedział wszystko i godził się ze wszystkim — i miał słuszość.

Byłem w Luwrze u pana Regnault, autora *Wychowania Achillesa*, płaskiego obrazu rytego przez zacnego Berwicka, i zostałem uczniem jego Akademii. Wszystkie smarunki, którymi trzeba było się opłacać, „kartonowe”, „krzesłowe” etc., zdziwiły mnie bardzo, zupełnie nie znałem tych zwyczajów paryskich, a prawdę mówiąc żadnych zwyczajów. Musiałem uchodzić za skąpego.

Wlokłem wszędzie moje straszliwe rozczarowanie.

*Znajdować płaskim i obrzydliwym ten Paryż, który wyobrażałem sobie jako najwyzsze dobro!* Wszystko mi się nie podobało; od kuchni, która nie była taka jak w domu rodzinnym, owym domu, który wprzód zdawał mi się zbiorem wszystkiego złego.

Aby mnie dobić, strach, że będę musiał przebyć egzamin, kazał mi znieawidzić moją ukochaną matematykę.

Zdaje mi się, że straszliwy pan Daru powiadał mi: „Skoro wedle świadectw, które posiadasz, jesteś o tyle tęższy od swoich siedmiu kolegów, których przyjęto, mógłbyś nawet dziś, gdyby cię przyjęto, dogonić ich z łatwością”.

Pan Daru mówił jak człowiek przyzwyczajony do wpływów i wyjątków.

Jedna rzecz musiała, szczęściem dla mnie, zwolnić zapał pana Daru w przynagłaniu mnie do studiów matematycznych. Rodzina moja obwołała mnie z pewnością cudem świata w każdym rodzaju; kochany dziadek ubóstwiał mnie, zresztą byłem jego dziełem, w gruncie nie miałem innego mistrza prócz niego, wyjąwszy matematykę. Przerabiał ze mną zadania łacińskie, robił prawie sam moje wiersze łacińskie o musze, która znajduje *czarną śmierć w białym mleku*.

Taki był duch ojca jezuita, autora poematu, którego wiersze przerabiałem. Gdyby nie autorowie czytani ukradkiem, było mi przeznaczone nabrać tego ducha i podziwiać *Kleopedię* hrabiego Daru oraz ducha Akademii (francuskiej). Czyby to było źle? Miałbym powodzenie od 1815 do 1830, reputację, pieniądze, ale moje utwory byłyby o wiele bardziej płaskie i o wiele *lepiej napisane*, niż są. Wierzę, że afektacja, którą nazywa się dobrym stylem między 1825 a 1836, będzie bardzo śmieszna około 1860, skoro Francja, uwolniona od przewrotów politycznych co piętnaście lat, będzie miała czas myśleć o rozkoszach ducha. Silny i brutalny rząd Napoleona (którego osobiście tak kochałem) trwał tylko piętnaście lat, od 1800 do 1815. O wymioty przyprawiający rząd tych kretynów Burbonów (patrz piosenka Bérangera) trwał także piętnaście lat, od 1815 do 1830. Ile będzie trwał trzeci? Czy dłużej?

Ale gubię się; nasze wnuki zechcą przebaczyć te odskoki, trzymamy jedną ręką pióro, a drugą miecz (pisząc to czekam wiadomości o egzekucji Fieschiego i o nowym ministerium z marca 1836 i właśnie, z mojego urzędu, podpisałem trzy listy adresowane do ministrów, których nie znam nazwiska).

Wróćmy do stycznia albo lutego 1800. W istocie, miałem doświadczenie dziewięcioletniego dziecka, a prawdopodobnie dumę diabelską. Byłem w istocie najwybitniejszym uczniem Szkoły Centralnej. Przy tym, co było więcej warte, miałem zdrowe poglądy na wszystko, masę czytałem, ubóstwiałem lekturę: nowa książka, której nie znałem, pocieszała mnie po wszystkim.

Ale rodzina Daru, mimo sukcesów autora przekładów z Horacego, nie była zgola literacka; była to rodzina dworaków Ludwika XIV, takich jakich maluje Saint-Simon. Kochano w młodym Daru jedynie fakt jego powodzenia; wszelka dyskusja literacka byłaby zbrodnią polityczną, jako zmierzająca do podania w wątpliwość chwały domu.

Jednym z nieszczęść mego charakteru jest to, że zapominam sukcesów, a pamiętam głęboko głupstwa, jakie strzeliłem. Pisałem w lutym 1800 do mojej rodziny: „Pani Cambon promieniuje władzę ducha, a pani Rebuffel zmysłów”. W dwa tygodnie potem wstydzilem się straszliwie mego stylu i samej rzeczy.

Był to fałsz, było to gorzej jeszcze: niewdzięczność. Jeżeli było miejsce, gdzie czułem mniej skępowany i bardziej naturalny, to salon tej przemilej i ślicznej pani Rebuffel, która mieszkała na pierwszym piętrze naszego domu; mój pokój był, zdaje mi się, nad salonem pani Rebuffel. Wujaszek Gagnon opowiadał mi, w jaki sposób zbałamucił ją w Lyonie, podziwiając jej ładną nóżkę i namawiając, aby ją postawiła na walizie, iżby ją mógł lepiej podziwiać. Raz, gdyby nie pan Bartelon, pan Rebuffel byłby przyłapał mego wuja w pozycji bardzo niedwuznacznej. Pani Rebuffel, moja kuzynka, miała córkę Adele, która zapowiadała wiele inteligencji; zdaje mi się, że nie dotrzymała słowa. Kochaliśmy się trochę miłością dziecinną; potem nienawiść, a potem obojętność zajęły miejsce tych dzieciństw, straciłem ją wreszcie zupełnie z oczu od 1804. Z dziennika z 1835 dowiedziałem się, że ten głupiec, jej mąż, baron August Petiet, ten sam, który zranił mnie szablą w lewą nogę, zostawił ją wdową z synem, uczniem Szkoły Politechnicznej.

Czy to w 1800 pani Rebuffel miała za kochanka pana Chieze, ciężkawego szlachcica w Walencji, przyjaciela mojej rodziny, czy dopiero w 1803? Czy to w 1800 czy w 1803 przeczny Rebuffel, człowiek z sercem i głową, na zawsze godzien szacunku w moich oczach, zaprosił mnie na obiad na ulicę Saint-Denis, do przedsiębiorstwa przewozowego, które prowadził z panną Barbereu, swą współniczką i kochanką?

Cóż za różnica dla mnie, gdyby dziadek Gagnon był mnie polecił panu Rebuffel zamiast panu Daru! Pan Rebuffel był siostrzeńcem pana Daru, mimo że młodszy tylko

o siedem czy osiem lat. Z racji swej godności politycznej lub raczej administracyjnej pan Daru (generalny sekretarz całej Langwedocji: siedem departamentów!) chciał tyranizować pana Rebuffel, który w rozmowach, jakie mi opowiadał, łączył cudownie szacunek ze stanowczością. Przypominam sobie, że ton jego porównywałem z tonem Jana Jakuba Rousseau w jego *Liście do Krzysztofa de Beaumont, arcybiskupa paryskiego*.

Pan Rebuffel byłby wszystko ze mnie zrobił; byłbym mądrzejszy, gdyby przypadek oddał mnie pod jego kierunek. Ale moim losem było wszystko zdobywać ostrzem szpady. Co za ocean *gwałtownych wzruszeń* miałem w życiu, zwłaszcza w tej epoce!

Miałem ich wiele z przyczyny małego wydarzenia, które opowiem. Ale w jakim sensie? Czego pragnąłem namiętnie? Nie przypominam już sobie.

Starszy syn pana Daru (będę go nazywał hrabią Daru mimo anachronizmu: został hrabią dopiero około 1809, zdaje mi się, ale przywykłem go tak nazywać), zatem hrabia Daru był w 1800 generalnym sekretarzem w Ministerium Wojny. Zabijał się pracą; ale trzeba przyznać, że mówił o tym bez ustanku i że zawsze był wściekły, gdy przyszedł na obiad. Czasami dawał czekać na siebie ojcu i całej rodzinie godzinę lub dwie. Przybywał wreszcie z fizjonomią wołu, przemęczony pracą, z czerwonymi oczami. Często wracał wieczorem do biura: w istocie wszystko było do zreorganizowania, a przygotowywano w tajemnicy kampanię Marengo.

Zaraz się urodzę, jak powiada Tristram Shandy; nareszcie czytelnik wyjdzie z dzieciństw.

Pewnego pięknego dnia pan Daru ojciec wziął mnie na stronę i przyprowadził mnie o dreszcz; powiedział mi tyle: „Mój syn weźmie pana z sobą, abyś z nim pracował w Ministerium Wojny”. Prawdopodobnie zamiast podziękować zachowałem ponure milczenie, płynące z bezmiaru nieśmiałości.

Nazajutrz rano szedłem obok hrabiego Daru, którego podziwiałem, ale którego bałem się straszliwie; nigdy nie mogłem się z nim oswoić ani on, zdaje mi się, ze mną. Widzę się, jak idę ulicą Hillerin Bertin, bardzo wąską wówczas. Ale gdzie było to Ministerium Wojny, dokąd szliśmy razem?

Widzę tylko moje miejsce przy stole; przy drugim stole pracował pan Mazoier, autor tragedii *Tezeusz*, bladej imitacji Racine’a.

## ROZDZIAŁ XLI

Na końcu ogrodu znajdowały się nieszczęśliwe lipy, krótko strzyżone, za które chodziliśmy się odlewać. Byli to pierwsi przyjaciele, których miałem w Paryżu. Los ich budził moją litość: tak krótko strzyżone! Porównywałem je z pięknymi lipami w Claix, które miały szczęście żyć wśród gór.

Ale czy byłbym chciał wrócić do tych gór?

Tak, zdaje mi się, gdybym nie miał tam spotkać ojca i mógł żyć z moim dziadkiem, owszem, ale *wolny*.

Oto do jakiego stopnia moja namiętność do Paryża spadła. I zdarzało mi się powiedzieć, że prawdziwy Paryż jest niewidzialny moim oczom.

Lipy z Ministerium Wojny czerwieniały górą. Pan Mazoier (z pewnością) przypomniał mi wiersz Wergilego:

*Nunc erubescit ver*<sup>111</sup>.

To nie tak; ale przypominam go sobie, pisząc, po raz pierwszy od trzydziestu sześciu lat; w gruncie Wergiliusz budził we mnie wstręt jako protegowany księży, którzy przychodzili do nas odprawiać mszę i mówić mi o łacinie. Nigdy, mimo wszystkich wysiłków mego rozsądku, Wergiliusz nie otrząsnął się dla mnie z wpływu tego lichego towarzystwa.

Lipy okryły się pączkami, wreszcie miały liście, byłem głęboko wzruszony — miałem tedy przyjaciół w Paryżu.

Za każdym razem, kiedy chodziłem się odlać za te lipy na końcu ogrodu, dusza moja czuła się *odświeżona* widokiem tych przyjaciół. Kocham je jeszcze mimo trzydziestu sześciu lat rozłąki.

<sup>111</sup>*Nunc erubescit ver* — „Właśnie czerwieni się wiosna” [komentatorzy Stendhala nie znajdują tych słów u Wergilego; red. WL]. [przypis redakcyjny]

Ale czy ci dobrzy przyjaciele istnieją? Tyle budowano w tej dzielnicy! Może to ministerium, gdzie pierwszy raz wziąłem do ręki urzędowe pióro, mieści się nadal przy ulicy Uniwersyteckiej, na wprost placu, którego nazwy nie pamiętam.

Pan Daru posadził mnie przy biurku i kazał mi przepisać list. Nie powiem nic o moim piśmie maczkim, jeszcze gorszym niż dzisiaj; ale spostrzegł, że napisałem *cela* przez dwa „l”: „*cella*”.

Więc to był ten literat, ten świetny *humanista*, który kwestionował wartość Racine’a i który brał wszystkie nagrody w Grenoble!!

Podziwiam dzisiaj, *ale dopiero dzisiaj*, dobroć całej tej rodziny Daru. Co począć z bydlakiem tak zarozumiałym, a tak niedouczonym?

Faktem jest wszelako, że doskonale atakowałem Racine’a w moich rozmowach z panem Mazoïer. Było nas tam czterech urzędników, a dwaj pozostali, zdaje mi się, przysłuchiwali się, kiedym się ucierał z panem Mazoïer.

Miałem prywatną teorię, którą chciałem zredagować pod tytułem *Filosofia nova*, tytuł pół-włoski, pół-laciński. Miałem podziw szczery, żywy, namiętny dla Szekspira, którego wszelako widziałem jedynie poprzez ciężkie i emfaticzne okresy pana Letourneur i jego współpracowników.

Ariost także miał wielką władzę nad moim sercem (ale Ariost pana de Tressan, ojca sympatycznego kapitana grającego na klawirze, który przyczynił się do tego, aby mnie nauczyć czytać, płaski „ultra” i marszałek polny około 1820).

Zdaje mi się, że to, co mnie broniło od złego gustu i od podziwiania *Kleopedii* hrabiego Daru i rychło potem księdza Delille, to była ta prywatna teoria oparta na szczerej przyjemności, przyjemności głębokiej, świadomej, dochodzącej aż do szczęścia, którą mi dali Cervantes, Szekspir, Corneille, Ariost, a nienawiść do błahostek Woltera i jego szkoły. Na tym punkcie, kiedy miałem odwagę mówić, byłem nieubłagany aż do fanatyzmu, bo nie miałem żadnej wątpliwości, że wszyscy ludzie zdrowi i niezepsuci złym wychowaniem literackim myślą jak ja. Doświadczenie nauczyło mnie, że większość pozwala kierować swoją naturalną wrażliwością autorowi w modzie: takim był Wolter w 1788, Walter Scott w 1828. A kto nim jest dziś, w 1836? Na szczęście nikt.

Ta miłość dla Szekspira, Ariosta — i *Nowej Heloizy* w drugim rzędzie — którzy byli panami mego literackiego serca za przybyciem do Paryża z końcem 1799, ustrzegła mnie od złego gustu (Delille bez jego wdzięku), który panował w salonach pana Daru i pani Cardon i który był dla mnie o tyle niebezpieczniejszy, o tyle zaraźliwszy, że hrabia Daru był autorem współczesnym, którego z innych względów cały świat podziwiał i którego ja sam podziwiałem. Zamianowano go wówczas właśnie naczelnym intendentem, zdaje mi się, owej armii helweckiej, która ocaliła Francję pod Zurychem, pod wodzą Masseny.<sup>112</sup> Stary Daru powtarzał nam bez ustanku, że generał Massena mówił wszystkim o jego synu: „Oto człowiek, którego mogę przedstawić moim przyjaciółom i moim wrogom”.

Mimo to Massena, którego dobrze znałem, kradł jak sroka, to znaczy z instynktu; jeszcze o nim mówią w Rzymie (monstrancja rodziny Doria, u Św. Agnieszki, plac Navone, zdaje mi się), a pan Daru nigdy nie ukradł ani szeląga.

Ale, wielki Boże, co za paplanie! Nie mogę dopłynąć do mówienia o Arioscie, którego figury, masztalercze i osiłki, tak mnie nudzą dzisiaj. Od 1796 do 1804 Ariost nie wywierał na mnie *właściwego wrażenia*. Brałem zupełnie serio czułe i romansowe ustępy. Żłobiły sobie bez mojej wiedzy jedyną drogę, jaką wzruszenie mogło dojść do mej duszy. Mogę być wzruszony aż do rozczulenia jedynie po *ustępie komicznym*.

Stąd moja miłość, wyłączna niemal, dla *opera buffa*; stąd przepaść, która dzieli moją duszę od duszy barona Poitou (patrz przedmowa do de Brosse’sa na końcu tomu, która tak oburzyła Colomba) i od całego pospólstwa z 1830, które widzi *odwagę jedynie z wąsami*.

Tam tylko, na *opera buffa*, mogę się wzruszyć aż do łez. Pretensja do wzruszania, jaką ma *opera seria*, natychmiast poraża u mnie możliwość wzruszenia się. Nawet w życiu realnym ubogi, który prosi o jałmużnę z żalonymi jękami, nie tylko nie budzi we mnie litości, ale każe mi z całą filozoficzną surowością myśleć o pożytku domu karnego.

<sup>112</sup>armii helweckiej, która ocaliła Francję pod Zurychem, pod wodzą Masseny — we wrześniu 1799 r. gen. Massena rozgromił pod Zurychem wojska drugiej koalicji. [przypis autorski]

Biedny, który nie mówi do mnie ani słowa, który nie wydaje rozpaczliwych i *tragicznych* jęków, jak jest obyczaj w Rzymie, i je na przykład jabłko, wlokąc się po ziemi (jak ów kaleka bez nóg sprzed tygodnia), wzrusza mnie natychmiast prawie do łez.

Stąd moja zupełna obojętność dla tragedii, moja obojętność aż do *ironii* wobec tragedii wierszem.

Istnieje wyjątek: ten prosty i wielki człowiek, Piotr Corneille, wedle mnie nieskończenie wyższy od Racine'a, dworaka zręcznego i gładkiego w słowach. Rzekome prawidła Arystotelesa były przeszkodą dla tego oryginalnego poety, zarówno jak wiersz. Racine jest oryginalny w oczach Niemców, Anglików etc. jedynie dlatego, że oni nie mieli jeszcze wykwintnego dworu jak dwór Ludwika XIV, zmuszającego wszystkich bogatych i dobrze urodzonych ludzi spędzać codziennie osiem godzin wspólnie w salonach Wersalu.

Przyszłość doprowadzi Anglików, Niemców, Amerykanów i innych ludzi z pieniędzmi lub szalonymi marzeniami do zrozumienia dworackiej zręczności Racine'a. Nawet najniewinniejsza naiwna, Junia albo Arycja, ucukrowane są w sprycie uczciwej ładacznicy. Racine nigdy nie umiał zrobić takiej pani de La Valliere<sup>113</sup>, ale zawsze dziewczynę nader sprytną i może cnotliwą fizycznie, ale z pewnością nie moralnie. Koło roku 1900 Niemcy, Amerykanie, Anglicy dojdą może do zrozumienia całego dworactwa duchowego Racine'a. W sto lat później zrozumieją, że on nigdy nie umiałby oddać takiej La Valliere.

Ale w jaki sposób ci słabeusze zdołają spostrzec gwiazdę tak bardzo zbliżoną do słońca? Podziw tych *grzecznych i skąpych chamów* dla cywilizacji dającej cudowny polor nawet marszałkowi de Boufflers (zmarłemu w 1712), który był głupcem, nie pozwoli im odczuć zupełnego braku prostoty i naturalności u Racine'a, a zrozumieć tych słów Kamili:

*Tout ce que je voyais me semblait Curiace*<sup>114</sup>.

Że to piszę w pięćdziesiątym trzecim roku, to bardzo proste; ale żem to czuł w 1800, że miałem wstręt do Woltera i do wdzięcznego mizdrzenia się Alzyry, mimo mojej rozumiałej pogardy, prawie nienawiści, dla r[eligii], oto co mnie dziwi, mnie, wychowanka pana Gagnon, który miał sobie za najwyższy zaszczyt, że był trzy dni gościem Woltera w Ferney, ja, wychowany u stóp małego biustu tego wielkiego człowieka, umocowanego na hebanowej nóżce.

Czy to ja, czy wielki człowiek jest na hebanowej nóżce?

Słowem, podziwiam to, czym byłem literacko w lutym 1800, kiedy pisałem „*cella*”.

Hrabia Daru, tak nieskończenie wyższy ode mnie i od tylu innych jako człowiek pracy, jako doradca prawny, nie miał na tyle inteligencji, aby odgadnąć wartość tego zarozumiałego szaleńca.

Pan Mazoïer, mój sąsiad w biurze, którego widocznie mniej nudziło moje szaleństwo zaprawne pychą niż tępota dwóch innych sekretarzy z płacą 2500 franków, okazywał mi pewne względy, na co byłem obojętny. Każdy, kto podziwiał tego *zręcznego dworaka* zwanego Racine'em, zdawał mi się niezdolny ujrzeć i odczuć *prawdziwe piękno*, którym w moich oczach była naiwność Imogeny wykrzykującej:

A teraz pokój tobie, biedny domu,  
Co sam się strzeżesz<sup>115</sup>

Wyzwiska skierowane pod adresem Szekspira przez pana Mazoïer — i to z jaką wżgardą!! — w roku 1800 rozczulały mnie do łez dla tego wielkiego poety. W przyszłości nic tak nie wzmagało mego ubóstwienia dla pani Dembowskiej jak krytyki, jakimi ją ściagały prozaiczne dusze w Mediolanie. Mogę wymienić tę uroczą kobietę, któż pamięta o niej

<sup>113</sup>pani de La Valliere — Metresa Ludwika XIV. [przypis redakcyjny]

<sup>114</sup>*Tout ce que je voyais me semblait Curiace* — „Wszystko dokoła wydawało mi się Kuriacuszem”, Corneille, *Horacjusz*, akt I, sc. 2. [przypis redakcyjny]

<sup>115</sup>*A teraz (...) strzeżesz* — Szekspir, *Cymbelin*, akt III, sc. 6. Zdanie to wypowiada nie Imogena, lecz Belarius. [przypis redakcyjny]



dzisiaj? Czyż nie ja jeden, po jedenastu latach, jak opuściła tę ziemię? To samo odnosi się do hrabiny Aleksandry Petit. Czy nie jestem dziś jej najlepszym przyjacielem, po dwudziestu dwu latach? I kiedy się to ukaże (jeśli kiedy księgarz nie będzie się bał stracić swego czasu i papieru!), kiedy się to ukaże po mojej śmierci, kto będzie jeszcze myślał o Metyldzie i o Aleksandrze? I mimo ich kobiecej skromności oraz tej ich niechęci do zajmowania sobą publiczności, jeżeli ujrzą wydaną tę książkę z miejsca, gdzie przebywają, czy nie będą bardzo rade?

*But who to dumb forgetfulness a prey*<sup>116</sup>, czy nie jest miło po tylu latach wiedzieć, że jego imię wymawiają przyjazne usta?

Ale gdzie ja, u diabła, byłem? W moim biurze, gdzie napisałem „cella”.

O ile czytelnik ma duszę pospolitą, wyobraz sobie, że ta dygresja ma na celu ukrycie wstydu, że napisałem „cella”. Myli się; ja jestem inny człowiek. Błędy człowieka z 1800 to są odkrycia, które robię przeważnie, spisując to. Pamiętam, po tylu latach i wypadkach, jedynie uśmiech kobiety, którą kochałem. Kiedyś zapomniałem kolor jednego z mundurów, które nosiłem. Otóż, czy ty wiesz, życzliwy czytelniku, co to jest mundur w armii zwycięskiej, będącej jedynym celem oczu całego narodu, jak armia Napoleona?

Dziś, dzięki niebu, mównica zaćmiła armię.

Stanowczo nie mogę sobie przypomnieć ulicy, gdzie znajdowało się owo biuro, w którym ująłem po raz pierwszy pióro urzędnicze. Było to gdzieś na końcu ulicy Hillerin Bertin, wówczas okolonej ogrodami. Widzę siebie, jak kroczę poważnie obok hrabiego Daru idącego do biura po ponurym i zimnym śniadaniu w domu nr 505, na rogu ulicy Bellechasse i de Lille.

Co za różnica byłaby dla mnie, gdyby pan Daru mi powiedział: „Kiedy piszesz list, zastanawiaj się dobrze nad tym, co chcesz powiedzieć, a następnie nad odcieniem nagany czy rozkazu, który minister mający podpisać twój list chciałby wyrazić. To rozstrzygnąwszy, pisz śmiało”.

Zamiast tego starałem się naśladować formę listów pana Daru; on powtarzał zbyt często słowo „w istocie”, ja nadziewałem moje listy słowem „w istocie”.

Jakaż to daleka droga do olbrzymich listów, jakie komponowałem w Wiedniu w 1809, mając strasznego syfa, troskę o szpital z czterema tysiącami rannych, kochankę, którą rznąłem, i kochankę, którą ubóstwiałem! Cała ta odmiana dokonała się jedynie siłą własnej refleksji, pan Daru nie dał mi nigdy innej wskazówki prócz swojej złości, kiedy mazał moje listy.

Dobry Marcjał Daru był zawsze ze mną na stopie żartobliwej. Przychodził często do Ministerium Wojny, to był *dwór* dla komisarza wojennego. Miał w 1800 zarząd szpitala Val-de-Grâce, zdaje mi się, a bez wątplenia hrabia Daru, najtęższa głowa w tym ministerium w 1800 (to niewiele powiedziane), miał sekrety armii rezerwowej. Wszystkie próżności komisarza wojennych wrzały wskutek sprawy stworzenia korpusu lub raczej ustalenia munduru inspektorów rewii. Zdaje się, że widziałem wówczas generała Olivier z jego drewnianą nogą, świeżo mianowanego naczelnym inspektorem rewii. Próżność ta, uwieńczona *haftowanym kapeluszem* i czerwonym frakiem, była tematem rozmów w domach Daru i Cardon. Edmund Cardon, popychany przez sprytną matkę i schlebiający otwarcie hrabiemu Daru, miał przyręczone miejsce zastępcy komisarza wojennego.

Dobry Marcjał ukazał mi niebawem możliwość tego zachwycającego munduru dla mnie.

Zdaje mi się, że pisząc to widzę, iż Cardon nosił ten mundur: błękitny kubrak, złoty haft na kołnierzu i na rękawach.

Na ten dystans w sprawach próżności (namiętność u mnie drugorzędna) rzeczy wyrojone i rzeczy widziane spływają się.

Kochany Marcjał odwiedziwszy mnie w moim biurze zauważył, że wysyłam do biura list z nagłówkiem „informacje”. „Tam do licha — rzekł, śmiejąc się — już tak puszczasz w kurs listy!” Był to, zdaje mi się, po trosze przywilej co najmniej zastępcy szefa, a ja byłem ostatnim z nadliczbowych.

<sup>116</sup>*But who to dumb forgetfulness a prey* — „Dla tego, kto staje się pastwą milczącego zapomnienia” Thomas Gray, *Elegia pisana na wiejskim cmentarzu*, strofa 22. [przypis redakcyjny]

Na to słowo „informacje” biuro żołdu, na przykład, dawało informacje w kwestii żołdu; biuro umundurowania w kwestii umundurowania. Przypuśćmy sprawę oficera umundurowania siódmego pułku szwoleżerów, mającego zwrócić ze swego żołdu 107 franków, cenę jakiegoś materiału, który otrzymał nieprawnie: trzeba by mi informacji dwóch wymienionych biur, aby sporządzić list, który pan Daru, sekretarz generalny, musiałby podpisać.

Jestem przekonany, że niewiele moich listów dochodziło do pana Daru; pan Bartheuf, człowiek pospolity, ale dobry urzędnik, zaczynał wówczas karierę jako jego sekretarz prywatny (to znaczy urzędnik płatny przez Ministerium Wojny). Zatrudniony w pokoju, w którym pisał pan Daru, cierpiał wszystkie napady humorów oraz nadmiar pracy, jakiej ten człowiek, straszliwy dla siebie i dla drugich, żądał od wszystkich, z którymi miał do czynienia. Niebawem udzielił mi się zaraźliwy strach, jaki budził pan Daru, i nigdy w stosunku do niego nie opuszczało mnie to uczucie. Urodziłem się nadzwyczaj wrażliwy, a brutalność jego słów była bez granic i bez miary.

Długi czas wszelako byłem za małą figurą, aby być maltretowany przez niego. I teraz, kiedy się nad tym rozsądnie zastanowię, widzę, że nigdy mnie naprawdę nie maltretował. Nie wycierpiałem ani setnej części tego, co wycierpiał pan de Baure, eks-generalny adwokat przy Parlamencie w Pau. (Czy istniał taki parlament? Nie mam w Civitavecchia żadnej książki, aby go poszukać; ale tym lepiej, ta książka, pisana jedynie z pamięci, nie będzie przepisana z innych książek).

Spostrzegam teraz, że między panem Daru i mną zawsze był jakby kawałek łożyska armatniego, porwany przez nieprzyjacielską kulę i stanowiący materac, który łagodzi uderzenie tej kuli (jak się zdarzyło nad Ticino w roku 1800).

Moim materacem był Joinville (dzisiaj baron Joinville, intendent wojskowy pierwszej dywizji w Paryżu), a później pan de Baure. Przychodzi mi do głowy myśl zupełnie dla mnie nowa: czy pan Daru nie chciał mnie oszczędzać? To bardzo możliwe. Ale *strach* był zawsze tak wielki, że ta myśl zjawia się dopiero w marcu 1836.

Wszystko w Ministerium Wojny drżało, wchodząc do gabinetu pana Daru. Co do mnie, bałem się już patrząc na jego drzwi. Pan Daru zauważył widocznie to uczucie w moich oczach i ze względu na swój charakter, teraz dla mnie zrozumiały (charakter *bojaźliwy*, który budząc trwogę tworzył *szaniec* przed samym sobą), musiał odczuwać mój strach jako rodzaj hołdu. Istoty pospolite, jak (w moim mniemaniu) pan Bartheuf, musiały mniej odczuwać nieprawdopodobne słowa, jakimi ten *wściekły wół* obrzucał każdego, kto się doń zbliżał, gdy był zavalony pracą.

Tymczasem postrachem popędzał siedmuset lub ośmuset urzędników w Ministerium Wojny, którego szefowie — piętnaście czy dwadzieścia grubych ryb, przeważnie bez śladu zdolności, mianowani szefami oddziałów — cierpieli największą poniewierkę od pana Daru. Bydlaki te zamiast skracać i upraszczać kwestie starały się często je zagmatwać, nawet dla pana Daru (*as makes every day with me my greek*<sup>117</sup>). Przyznaję, że to może rozwścieczyć człowieka, który widzi po lewej ręce na swoim biurku dwadzieścia lub trzydzieści pilnych listów do odpowiedzenia. A tych listów wymagających decyzji widziałem często na stopę wysoko na biurku pana Daru; do tego, czy mało jest ludzi, którzy byliby zachwyceni, mogąc powiedzieć: „Nie dostałem na czas rozkazów od waszej ekscelencji...”; wszystko z perspektywą Napoleona wściekającego się w Schönbrunnie i powiadającego, że zaniedbano coś etc.

## ROZDZIAŁ XLII

Moje stosunki z panem Daru, rozpoczęte w ten sposób w lutym lub w styczniu 1800, skończyły się aż z jego śmiercią w 1828 czy 1829. Był moim dobroczyńcą w tym znaczeniu, że używał mnie chętniej niż wielu innych, ale przebyłem wiele dni dżdżystych, z bólem głowy od pieca zbyt rozgrzanego, pisząc od dziesiątej z rana do pierwszej po północy, i to pod okiem człowieka wściekłego i wciąż rozgniewanego, bo *zawsze się bał*. To były rykoszety jego przyjaciela Picard: on miał śmiertelny strach przed Napoleonem, a ja śmiertelny strach przed nim.

<sup>117</sup>*as makes every day with me my greek* — co stale mi robi mój Grek; *mój Grek*: sekretarz konsulatu francuskiego w Civitavecchia w 1836 r. [przypis redakcyjny]

Czytelnik zobaczy w Erfurcie w 1809 *nec plus ultra* naszej pracy. Pan Daru i ja prowadziliśmy całą generalną intendenturę armii przez trzy czy osiem dni. Nie było nawet kopisty. Zachwycony swoją robotą pan Daru gniewał się może nie więcej niż dwa albo trzy razy dziennie; to była istna przyjemność. To ani nie ziębiło, ani grzało mojego awansu, zresztą ja nigdy nie leciałem na awans. Widzę to dziś: starałem się być jak najdalej od pana Daru, chociażby tylko za niedomkniętymi drzwiami. Jego wymyślenia na obecnych i nieobecnych były mi nieznośne.

Kiedy pisałem „*cela*” przez dwa „*ll*” w Ministerium Wojny, na końcu ulicy Hillerin Bertin, nie znałem całej gwałtowności pana Daru, tego wulkanu obelg. Byłem bardzo zdziwiony, miałem zaledwie doświadczenie dziewięcioletniego chłopca, mimo że miałem siedemnaście lat 23 stycznia 1800.

Co mnie przywodziło do rozpacz, to nieustanne rozmówki moich kolegów, którzy przeszkadzali mi pracować i myśleć. Przez więcej niż sześć tygodni, dosiedziawszy do godziny czwartej, byłem jak oglupiały.

Feliks Faure, z którym dość blisko byliśmy w Grenoble, nie dzielił bynajmniej moich szalonych marzeń o Miłości i Sztuce. Ten brak szaleństwa zawsze tępił ostrze naszej przyjaźni, która była jedynie kamaraderią. Jest dziś parem Francji, pierwszym prezesem i skazuje bez zbytnich wyrzutów, zdaje mi się, na dwadzieścia lat więzienia kwietniowych wariatów, dla których aż nadto byłoby pół roku więzienia, zważywszy wiarołomstwo *of the K[ing]*, a na śmierć tego drugiego Bailly, roztropnego Morey, zgilotynowanego 19 marca 1836, winnego może, ale bez dowodów. Feliks Faure oparłby się niesprawiedliwości, której by od niego żądano za pięć minut; ale jeśli dać dwadzieścia cztery godziny jego próżności, najbardziej mieszczańskiej, jaką znam, jeżeli k[ról] zażąda od niego głowy niewinnego, znajdzie racje, aby mu ją oddać. Egoizm i zupełny brak najmniejszej iskierki szlachetności, połączone z charakterem po angielsku markotnym i ze strachem, że dostanie obłędu jak jego matka i siostra, tworzą charakter tego mego kolegi. To najbardziej płaski ze wszystkich moich przyjaciół i ten, który zrobił największy los.

Co za różnica ze szlachetnością takiego Ludwika Crozet, Bigilliona! Mareste zrobiłby to samo, ale nie łudząc się, dla awansu, po włosku. Edmund Cardon zrobiłby to samo, jęcząc i nadrabiając wdziękiem; d'Argout z odwagą, myśląc o osobistym niebezpieczeństwie i przemagając tę obawę. Ludwik Crozet (naczelnym inżynierem w Grenoble) raczej naraziłby heroicznie swoje życie, niżby skazał na dwadzieścia lat więzienia szaleńca szlachetnego jak Kersausie (nigdy go nie widziałem), dla którego byłoby aż nadto pół roku więzienia. Colomb odmówiłby jeszcze bardziej stanowczo, ale można by go oszukać. Tak więc najbardziej płaską figurą z moich przyjaciół jest Feliks Faure (par Francji), z którym żyłem blisko w styczniu 1800, od 1803 do 1805 i od 1810 do 1815 i 1816.

Ludwik Crozet mówił mi, że to jest człowiek o zaledwie przeciętnych zdolnościach, ale wyglądał godnie dzięki nieodłącznemu wyrazowi smutku, który miał już wtedy, kiedy go poznałem „na matematyce”, zdaje mi się, chyba w roku 1797. Jego ojciec, pochodzący z bardzo ubogiej rodziny, zrobił piękną fortunę w administracji finansów i miał ładny majątek w Saint-Ismier (dwie mile od Grenoble, droga do Barraux i Chambéry).

Ale zastanawiam się, że moją surowość względem tego płaskiego para Francji wezmą za *zawiść*. Czy uwierzy kto, gdy dodam, że nie chciałbym się z nim zamienić na reputację? 10 000 franków i być wolnym od ścigania *for my futurs writings*<sup>118</sup> — byłoby moją buławą marszałkowską, idealną, to prawda.

Feliks Faure przedstawił mnie na moją prośbę Fabienowi, fechtmistrzowi z ulicy Montpensier, jeżeli się nie mylę, tej, gdzie zatrzymywały się kabriolety, tuż obok jest Teatr Francuski, z tyłu Corazza, niedaleko pasaż vis-a-vis fontanny i domu, w którym umarł Moliere. Tam robiłem bronię, nie razem, ale w tej samej sali, co wielu grenobelczyków.

Dwóch wielkich i brudnych łajdaków między innymi (mówię o gruncie, nie o pozorach, i o łajdactwie w sprawach prywatnych, nie państwowych), Kazimierz Perier, późniejszy minister, i Duchesne, poseł do Izby w 1836. Ten nie tylko oszukiwał w grze na 10 franków w Grenoble w 1820, ale złapano go na gorącym uczynku.

<sup>118</sup>*for my futurs writings* — za to, co napiszę w przyszłości. [przypis redakcyjny]

Kazimierz Perier był wówczas może najpiękniejszym młodym człowiekiem w Paryżu: był posępny, dziki, jego piękne oczy błyszczały szaleństwem.

Mówię „szaleństwem” w ścisłym znaczeniu słowa. Pani Savoye de Rollin, jego siostra, sławna dewotka, a mimo to niezła kobieta, była wariatką: przez wiele miesięcy wygłaszała rzeczy godne Aretina w słowach najbardziej jasnych, bez żadnej zasłony. To zabawne, skąd dewotka z bardzo dobrego towarzystwa może wziąć tuzin słów, których nie śmiem napisać tutaj. Elokwencję tę tłumaczy trochę to, że pan Savoye de Rollin, człowiek nader inteligentny, filozof i libertyn etc., przyjaciel mego wuja, stał się zupełnym eunuchem wskutek nadużyć, na rok czy dwa przed małżeństwem z córką milorda Perier. Tak nazywała Grenoble tego człowieka inteligentnego, przyjaciela mojej rodziny, który gardził z całego serca dobrym towarzystwem i który zostawił 350 000 franków każdemu z dziecięciorga czy dwanaściorga dzieci, wszystkich mniej lub więcej emfatycznych, głupich i niepoczytalnych. Ich preceptor był i moim, ów chytry i oschły drab, ksiądz Raillane.

Milord Perier myślał w życiu tylko o pieniądzach. Dziadek Gagnon, który go lubił mimo jego protestantyzmu na punkcie dobrego towarzystwa (co irytowało bardzo dziadka), opowiadał mi, że pan Perier, wchodząc do salonu, mimo woli od pierwszego rzutu oka obliczał bardzo ściśle wartość umeblowania. Dziadek, jak wszyscy ortodoksi, podsuwał upokarzające wyznania milordowi Perier, który unikał dobrego towarzystwa Grenoble jak zarazy (około 1780).

Pewnego wieczora dziadek spotkał go na ulicy:

— Chodź ze mną do pani de Quinsonnas.

— Przyznam ci się do jednej rzeczy, drogi Gagnon: kiedy się spędziło jakiś czas bez widoku dobrego towarzystwa i kiedy się przywykło po trosze do złego, człowiek czuje się w dobrym nie na swoim miejscu.

Przypuszczam, że dobre towarzystwo prezydentowych parlamentu w Grenoble, pań de Sassenage, de Quinsonnas, de Bailly, rozwijało jeszcze afektację w stopniu za silnym dla człowieka żywego i naturalnego jak milord Perier. Sądzę, że nudziłbym się mocno w towarzystwie, w którym Montesquieu błyszczał około roku 1745, u pani de Geoffrin albo u pani de Mirepoix. Odkryłem świeżo, że dowcip dwudziestu pierwszych stronic La Bruyère'a (który w 1803 był moim brewiarzem literackim na wiarę pochwał Saint-Simona przeczytanych w wydaniu trzy- i siedmiotomowym) jest wierną kopią tego, co Saint-Simon nazywa szczytem dowcipu. Otóż w 1836 te same stronice są błahe, puste, w bardzo dobrym tonie z pewnością, ale niezbyt warte trudu napisania ich. Styl jest cudowny w tym, że nie psuje myśli, która ma to nieszczęście, że jest *sine ictu*. Tych dwadzieścia stronic miało może smak aż do roku 1789. Dowcip, tak *rozkoszny* dla tego, kto go czuje, nie trwa. Jak piękna brzoskwinia psuje się w kilka dni, *dowcip* psuje się w dwieście lat, i o wiele szybciej, jeżeli zajdzie przewrót w stosunkach między klasami danego społeczeństwa, w rozdziale władzy w społeczeństwie.

Dowcip musi być o pięć czy sześć stopni powyżej pojęć, które tworzą inteligencję publiczności.

Jeśli jest o osiem stopni wyżej, przyprawia tę publiczność o *ból głowy* (wada konwersacji Dominika, kiedy się ożywi).

Aby do reszty objaśnić moją myśl, powiem, że La Bruyère był o pięć stopni powyżej inteligencji takich, jak książęta de Saint-Simon, de Charost, de Beauvilliers, de Chevreuse, de la Feuillade, de Villars, de Montfort, de Foix, de Lesdiguières (stary Canaples), d'Harcourt, de la Rocheguyon, de La Rochefoucauld, d'Humieres, panie de Maintenon, de Caylus, de Berry etc., etc.

La Bruyère musiał być na poziomie inteligencji z roku 1780, z czasu księcia de Richelieu, Woltera, pana de Vaudreuil, księcia de Nivernais (rzekomego syna Woltera), kiedy ten płaski Marmontel uchodził za perłę dowcipu, z czasu Duclosa, Collégo etc.

W 1836, wyjąwszy rzeczy dotyczące sztuki pisarskiej lub raczej *stylu* i wyjąwszy formalnie sądy o Racinie, Corneille'u, Bossuetcie etc., La Bruyère jest poniżej inteligencji społeczeństwa, które by się zebrało u pani Boni de Castellane i które by się składało z panów: Mérimée, Molé, Koreff, mnie, starszego Dupin, Thiersa, Bérangera, księcia de Fitz-James, Sainte-Aulaire, Arago, Villemain.

Faktem jest, że dowcip robi się rzadki; każdy zachowuje wszystkie siły na zawód, który mu daje stanowisko w świecie. Dowcip w brzęczącej monecie, nieprzewidziany nawet dla

jego autora, dowcip Dominika jest obrazą konwenansu. Jeżeli się nie mylę, *dowcip* schroni się do pań lekkich obyczajów, do pani Ancelot (która ma nie więcej kochanków niż pani de Talaru, pierwsza albo druga), ale u której ma się więcej swobody.

Cóż za straszliwa dygresja *na intencję* czytelników z 1880! Ale czy oni zrozumieją aluzję w tym „na intencję”? Wątpię, gazeciarze będą mieli wówczas inne hasła, aby skłonić do kupienia mowy króla. A czym jest aluzja, którą trzeba  *tłumaczyć*? Dowcipem à la Karol Nodier, dowcipem nudnym.

Chciałbym załączyć w tym miejscu przykład stylu z roku 1835. Będzie to pan Gozlan wypowiadający się na łamach „Temps”...

---

Najłagodniejszym, najszczerzej młodemu ze wszystkich tych ponurych grenobelczyków, którzy fechtowali się u wytwornego Fabiena, był z pewnością Cezary Pascal, syn ojca nie mniej miłego, któremu Kazimierz Perier dał krzyż, będąc ministrem, miejsce zaś generalnego poborcy w Auxerre jego przyrodniemu bratu, miłemu panu Turquin.

Ale przy swoim szelmostwie handlowym Kazimierz Perier miał jeden przymiot delinacki: umiał *chcieć*. Powietrze Paryża, osłabiające, zużywające zdolność „chcenia”, nie wniknęło jeszcze w nasze góry w roku 1800. Jestem tego wiernym świadkiem dla moich kolegów. Napoleon, Fieschi mieli zdolność „chcenia”, której brak panu Villemain, panu Kazimierzowi Delavigne, panu de Pastoret (Amadeuszowi), wychowanemu w Paryżu.

U eleganckiego Fabiena przekonałem się o moim antytalencie do szermierki. Jego fechtmistrz, ponury Renouvier, który się zabił, jak sądzę, zabiwszy w pojedynku jednym pchnięciem szpady swego najlepszego przyjaciela, uświadomił mi bardzo uczciwie mój brak talentu. Miałem szczęście, że zawsze się biłem na pistolety; nie przewidywałem tego szczęścia w 1800 i z irytacji, że zawsze paruję tercje i kwarty za późno, postanowiłem w danym razie rzucić się wprost na przeciwnika. To mnie krępowało za każdym razem, kiedy w armii miałem szpadę przy boku. W Brunszwiku, na przykład, niezręczność moja mogła mnie być wysłać *ad patres* z dłoni wielkiego szambelana von Münchhausen; na szczęście nie był przy odwadze tego dnia lub raczej nie chciał się skompromitować. Miałem ten sam antytalent do skrzypiec, a przeciwnie, naturalny i szczególny talent do zabijania kuropatw i zajęcy, a w Brunszwiku kruka z pistoletu na czterdzieści kroków, z powozu jadącego szybkim kłusem, co mi zyskało szacunek adiutantów generała Rivaud, tego nadzwyczaj grzecznego człowieka (Rivaud de la Raffinière, znenawidzony przez księcia de Neuchâtel (Berthier), później dowódca garnizonu pod Rouen i „reak” około 1825).

Udało mi się też przestrzelić banknot w Wiedniu, w Praterze, podczas pojedynku z panem Raindre, pułkownikiem czy dowódcą szwadronu lekkiej artylerii. Ten zuch nad zuchy wcale się takim nie okazał!

Słowem, nosiłem szpadę całe życie, nie umiając się z nią obchodzić. Zawsze byłem gruby i łatwo traciłem oddech. Zawsze najprzód rzucałem pytanie: „Gotów?” i natychmiast przechodziłem do parady w sekundzie.

W czasie kiedy robiłem bronią z Cezarym Pascal, Feliksem Faure, Duchesne’em, Kazimierzem Perier i paroma innymi krajanami, odwiedziłem milorda Perier. Zastałem go w jednym z jego pięknych domów przy ulicy des Feullants (w pobliżu dzisiejszej ulicy Castiglione); zajmował mieszkanie, którego nie mógł wynająć. Był to kutwa najweselszy i najmiłszy w świecie. Wyszedł ze mną, miał błękitny frak z rudą plamą o średnicy ośmiu cali.

Nie rozumiałem, w jaki sposób człowiek ten o wzięciu tak miłym (prawie tak jak mój kuzyn Rebuffel) mógł pozwolić umierać z głodu swoim synom, Kazimierzowi i Scypionowi.

Bank Periera brał na 5% oszczędności służących, woźnych, drobnych właścicieli, były to sumy po 500, 800, rzadko 1500 franków. Kiedy przyszły asygnaty i kiedy za ludwika dostawało się 100 franków, spłacił wszystkich tych biedaków; wielu się powiesiło albo utopiło.

Moja rodzina uważała to postępowanie za haniebne. Nie dziwi mnie ono u kupców, ale czemu, raz doszedłszy do milionów, nie znaleźć przyzwoitego pozorów dla odszkodowania tej biedoty?

Rodzina moja była idealna w sprawach pieniężnych; z trudem godziła się tolerować jednego z naszych krewnych, który spłacił w asygnatach sumę 8000 lub 10 000 franków pożyczoną w biletach banku Lawa (z 1718, sądzę, w 1793).

Wpadłbym w romans, gdybym chciał notować tutaj wrażenie, jakie zrobił na mnie Paryż; wrażenie bardzo odmienione później.

## ROZDZIAŁ XLIII

Nie wiem, czy powiedziałem, że na życzenie swego ojca pan Daru zaprowadził mnie do paru owych towarzystw literackich, którym przewodniczył, ku wielkiej dumie ojca. Podziwiałem talię, a zwłaszcza biust pani Pipelet, żony biednego chirurga od przepuklin. Znałem ją trochę później, po jej awansie na księżnę.

Pan Daru recytował swoje wiersze z dobroduszością, która zdawała mi się bardzo osobliwa na tej surowej i płomiennej twarzy; patrzyłem nań ze zdumieniem. Powiadałem sobie: trzeba go naśladować, ale nie czułem do tego żadnej ochoty.

Przypominam sobie głęboką nudę niedzieli, wałęsałem się bez celu; więc to był ów Paryż, którego tak pragnąłem! Brak gór i lasów ścisłał mi serce. Lasy były ściśle związane z moimi marzeniami o tkliwej i wiernej miłości, jak w *Ariście*. Wszyscy ludzie zdawali mi się *prozaiczni* i płacy w pojęciach swoich miłości i o literaturze. Strzegłem się zwierzać z moim rozczarowaniem co do Paryża. W ten sposób nie zauważyłem, że centrum Paryża jest o godzinę drogi od pięknego lasu, siedziby jeleni za czasu królów. Jakież byłby mój zachwyty w 1800 na widok lasu Fontainebleau, gdzie są małe skałki w miniaturze, na widok lasów Wersalu, Saint-Cloud etc. Prawdopodobnie byłbym osądził, że te lasy zbyt są podobne do ogrodu.

Była mowa o tym, by zamianować zastępców komisarzy wojennych. Spostrzegłem to ze zdwojonych uprzejmości pani Cardon dla rodziny Daru, a nawet dla mnie. Jednego dnia pan Daru udał się do ministra z raportem w tym przedmiocie.

Niepokój mój utrwalił w mej głowie obraz pokoju, w którym czekałem wyniku. Pan Daru przechodził tamtędy, wracając od ministra: uzyskał nominację, zdaje mi się, dla panów Cardon i Barthomeuf. Nie byłem zazdrosny o Cardona, ale o pana Barthomeuf, do którego miałem antypatię. Czekając wyniku, napisałem na mojej podkładce wielkimi literami: ZŁY KREWNY.

Zważcie, że pan Barthomeuf był wybornym urzędnikiem, którego wszystkie listy pan Daru podpisywał (to znaczy Barthomeuf przedkładał dwadzieścia listów, pan Daru podpisywał dwanaście, w tym sześć czy siedem z poprawkami, a odsyłał do przerobienia jeden lub dwa).

Z moich podpisywał ledwie połowę, i to jakie listy! Ale Barthomeuf miał ducha i fizjonomię sklepikarza i wyjąwszy autorów łacińskich, których umiał tak, jak umiał „Regulamin żołdu”, niezdolny był powiedzieć ani słowa o związkach literatury z naturą człowieka, ze sposobem jego odczuwania; ja zaś rozumiałem doskonale sposób, w jaki Helwecjusz tłumaczy Regulusa, robiłem sam z siebie mnóstwo zastosowań tego rodzaju, przegoniłem o wiele Cailhavę w sztuce pisania komedij etc., etc., tym samym uważałem się za wyższego lub co najmniej równego panu Barthomeuf.

Pan Daru powinien był mnie zamianować i następnie tęgo mnie wziąć w kluby. Ale los prowadził mnie za rękę w kilku wielkich okolicznościach mego życia. W istocie, winien jestem mały posążek Fortunie. To było prawdziwe szczęście, że nie zostałem mianowany z Cardonem. Ale wówczas byłem innego zdania; wdychałem trochę, patrząc na jego piękny złocisty mundur, na jego kapelusz, szpadę. Ale nie miałem najmniejszego uczucia zawiści. Widocznie rozumiałem, że nie mam matki takiej jak pani Cardon. Widziałem ją, jak męczy pana Daru (Piotra), aż do zniecierpliwienia najflegmatyczniejszego z ludzi. Pan Daru nie gniewał się, ale jego dzicze oczy warto było odmalować. Wreszcie powiedział jej przy mnie: „Pani, mam zaszczyt pani przyrzec, że jeżeli będą zastępcy komisarzy, syn pani będzie w ich liczbie”.

Siostrą pani Cardon była, zdaje mi się, pani Auguié, żona naczelnika poczty, której córki żyły wówczas blisko z obywatelką Hortensją Beauharnais. Panienki te chowały się u pani Campan, koleżanki i prawdopodobnie przyjaciółki pani Cardon.

Żartowałem i rozwijałem mój wdzięk z roku 1800 z pannami Auguié, z których jedna zaślubiła niedługo potem, zdaje mi się, generała Neyą.

Wydawały mi się wesołe, co do mnie zaś, musiała być ze mnie osobliwa figura; może te panienki miały dość sprytu, aby poznać, że ja byłem *dziwny*, a nie *pląski*. Wreszcie, nie wiem czemu, byłem tam mile widziany. Cóż za cudowny salon do kultywowania! Oto co stary pan Daru powinien mi być wytłumaczyć. Tę prawdę, fundamentalną w Paryżu, zrozumiałem pierwszy raz aż w dwadzieścia siedem lat później, po sławnej bitwie pod San Remo<sup>119</sup>. Los, któremu tyle zawdzięczam, oprowadzał mnie po wielu najwplywowszych salonach. Odrzuciłem w roku 1814 milionowe stanowisko; w 1828 byłem w najbliższych stosunkach z panami Thiers (wczoraj ministrem spraw zagranicznych), Mignet, Aubernon, Béranger. Miałem wielkie уваżanie w tym salonie. Pan Aubernon wydał mi się nudny, Mignet niedowcipny, Thiers zbyt beczelny i gadatliwy; jeden Béranger mi się podobał, ale aby nie wyglądać na człowieka, który schlebia władzy, nie odwiedziłem go w więzieniu i dopuściłem, aby mnie pani Aubernon znienawidziła jako człowieka niemoralnego.

A hrabina Bertrand w 1809 i 1810! Co za brak ambicji lub raczej co za lenistwo!

Mało żałuję straconej sposobności. Zamiast dziesięciu miałbym dwadzieścia tysięcy; zamiast kawalerem byłbym oficerem Legii Honorowej; ale spędziłbym trzy albo cztery godziny dziennie na tych podłostkach ambicji, które stroi się mianem polityki; popełniłbym wiele nikczemności, byłbym prefektem w Mans (w 1814 miałem być mianowany prefektem w Mans).

Jedyna rzecz, której żałuję, to pobyt w Paryżu; ale byłbym zmęczony Paryżem w 1836, tak jak jestem zmęczony moją samotnością wśród dzikich w Civitavecchia.

Razem wzięwszy, nie żałuję niczego, chyba tylko tego, że nie kupiłem renty za gratyfikacje Napoleona około roku 1808 i 1809.

Mimo to stary Daru popełnił błąd (w duchu swoich pojęć), że mi nie powiedział: „Powinieneś starać się spodobać pani Cardon i pannom Auguié, jej siostrzenicom. Przy ich protekcji byłbyś komisarzem wojennym o dwa lata wcześniej. Nie piśnij nigdy ani słowa, nawet panu Daru, o tym, co ci tu mówię. Pamiętaj, że nie dojdiesz do niczego inaczej niż przez salony. Pracuj dobrze rano, a wieczór tkwij w salonie, moją sprawą jest pokierować tobą. Zaczynaj od tego, aby sobie zdobyć zasługi pilności. Nie przepuść nigdy wtorku pani Cardon”.

Trzeba było aż tyle słów, aby trafić do pojęć wariata, który więcej myślał o *Hamlecie* i o *Mizantropie* niż o życiu rzeczywistym. Kiedy się nudziłem w salonie, nie przychodziłem następnego tygodnia, zjawiałem się aż za dwa tygodnie. Przy mojej szczerzej fizjonomii oraz straszliwej męce i wycieńczeniu, o jakie przyprawia mnie *nuda*, łatwo pojąć, ile zyskiwałem przez te zaniedbania! Zresztą zawsze mówiłem o głupcu: to głupiec. Mania ta zyskała mi cały tłum wrogów. Od czasu jak stałem się dowcipny (1826), tłumem cisnęły się złośliwości i „słówka, których się nie zapomina”, jak mówiła mi raz dobra pani Mérimée. Powiniennem być być zabity dziesięć razy, a przecież mam tylko trzy rany, z których dwie są dzieciństwem (w rękę i w lewą nogę).

Moje salony, od grudnia do kwietnia 1800, to były: pani Cardon, pani Rebuffel, pani Daru, pan Rebuffel, pani Sorel (zdaje mi się), której mąż służył mi za przyzwoitkę w czasie podróży. Byli to ludzie mili i usłużni, którzy interesowali się szczegółowo moimi sprawami, a nawet liczyli się ze mną z przyczyny wzrastającego wpływu pana Daru (hrabiego). Nudzili mnie, bo nie byli nic a nic romantyczni ani literaccy (*cut here*<sup>120</sup>), umykałem im, ile mogłem.

Moi kuzyni Marcjali i hrabia Daru wojowali niegdyś w Wandei. Nigdy nie widziałem ludzi bardziej wyzutyh z uczucia patriotyzmu; mimo to narażali się w Rennes, w Nantes, w całej Bretanii na to, że mogą zginąć dwadzieścia razy; nie uwielbiali wcale Burbonów, mówili o nich z szacunkiem, jaki się należy nieszczęściu. Pani Cardon mówiła nam mniej więcej prawdę o Marii Antoninie: dobra, ograniczona, wyniosła, bardzo skłonna do amorów i drwiąca sobie na potęgę ze ślusarza zwanego Ludwikiem XVI, tak różnego od miłego hrabiego d'Artois. Zresztą Wersal — dwór króla Fajdana... I nikt, z wyjątkiem

<sup>119</sup>*San Remo* — anagram Saint-Omer, gdzie przebywała Klementyna Curial w momencie zerwania ze Stendhalem (wrzesień 1826 r.). [przypis redakcyjny]

<sup>120</sup>*cut here* (ang.) — usunąć to [dosłownie: uciąć tu; red. WL]. [przypis redakcyjny]

może Ludwika XVI, i to rzadko, nie dał tam obietnicy lub przysięgi ludowi inaczej niż w intencji złamania jej.

Zdaje mi się, że czytano u pani Cardon *Pamiętniki* jej koleżanki, pani Campan, bardzo różne od cielących moralów wydrukowanych w 1820 r. Często wychodziliśmy stamtąd aż o drugiej rano, byłem w mojej sferze jako wielbiciel Saint-Simona i mówiłem w sposób, który odbijał od mego zwyczajnego niezdarstwa i egzaltacji.

Ubóstwiałem Saint-Simona w 1800 jak w 1836. Szpinak i Saint-Simon to były jedyne moje trwałe gusty, poza gustem do tego, by żyć w Paryżu, o 100 ludwikach renty, pisząc książki. Feliks Faure przypomniał mi w 1829, że mówiłem to do niego w 1798.

Rodzina Daru była zrazu pochłonięta dekretem organizacji korpusu inspektorów rewii, dekretem często poprawianym, zdaje mi się, przez pana Daru (hrabiego), a potem nominacją hrabiego Daru i Marcjala: pierwszy został inspektorem, a drugi podinspektorem rewii, obaj z haftowanym kapeluszem i czerwonym frakiem. Ten piękny mundur raził wojsko, o wiele mniej próżne wszakże w roku 1800 niż w dwa albo trzy lata później, kiedy rzymską cnotę obrócono w śmieszność.

Sądzę, że opisałem ściśle mój pierwszy pobyt w Paryżu, od listopada 1799 do kwietnia lub maja 1800; zanadto nawet paplałem, będzie trzeba niejedno wymazać. Wyjąwszy piękny mundur Cardona (kołnierz haftowany złotem), sałę fechtunku Fabiena i moje lipy w ogrodzie Ministerium, wszystko inne widzę jedynie przez mgłę.

W Ministerium Barthomeuf i Cardon byli wicekomisarzami, a ja bardzo urażony i bardzo pocieszny z pewnością w oczach pana Daru. Bo ostatecznie nie byłem zdolny napisać najgłupszego listu. Marcjał, ten kochany chłopiec, był zawsze ze mną na wesoło i nigdy nie dał mi uczuć, że jako urzędnik byłem zupełnie do niczego. Był cały pochłonięty swymi amatorami z panią Lavalette, z panią Petiet, dla której jego rozsądny brat, hrabia Daru, porobił wiele śmiesznych głupstw. Miał pretensje wzruszyć tę niedobrą wróżkę wierszami. Dowiedziałem się o tym w kilka miesięcy później.

Wszystkie te rzeczy, tak nowe dla mnie, stanowiły okrutną dystrakcję dla moich pojęć literackich lub marzeń o miłości namiętnej i romantycznej, co było wówczas jedno i to samo. Z drugiej strony, wstręt mój do Paryża malał, ale byłem zupełnie pomyłony: to, co mi się jednego dnia zdawało prawdziwe, nazajutrz wydawało mi się fałszywe. Głowa moja była absolutnie igraszką mojej duszy. Ale przynajmniej nie zwierzyłem się nigdy nikomu.

Od trzydziestu co najmniej lat zapomniałem tę tak pocieszną epokę mego pierwszego pobytu w Paryżu: czując z grubszą, że trzeba by tylko gwizdnąć, nie zatrzymywałem na niej myśli. Nie ma tygodnia, jak myślę o tym na nowo; jeżeli jest jakie uprzedzenie w tym, co piszę, odnosi się ono tylko do Brularda z owego czasu.

Nie wiem, czy robiłem słodkie oczy do pani Rebuffel i do jej córki w czasie tego pierwszego pobytu i czy byłem w Paryżu, kiedy straciliśmy panią Cambon. Przypominam sobie tylko, że panna Adela Rebuffel opowiadała mi szczególne rzeczy o pannie Cambon, której była towarzyszką i przyjaciółką. Panna Cambon, mając posagu 25 000 albo 30 000 franków renty, co wówczas, tuż po Republice, w 1800, było olbrzymie, doświadczyła losu wszystkich zbyt pięknych pozycji, stała się pastwą najgłupszych pojęć. Sądzę, że trzeba ją było wydać za mąż w szesnastym roku lub przynajmniej kazać jej zażywać wiele ruchu.

Nie zachowałem najmniejszego wspomnienia z mego wyjazdu do Dijon i z armii rezerwowej; nadmiar radości pochłonął wszystko. Pan Daru (hrabia), wówczas inspektor rewii, i Marcjał, podinspektor, pojechali przede mną.

Cardon nie przybył tak prędko, jego sprytna matka chciała dlań czego innego. Przybył niebawem do Mediolanu jako adiutant ministra wojny Carnota. Napoleon użył tego wielkiego obywatela, aby go *zuzyc* (*id est*<sup>121</sup> uczynić niepopularnym i śmiesznym, jeśli możebne. Niebawem Carnot popadł w szlachetne ubóstwo, którego Napoleon zawstydział się aż około 1810, kiedy się go już nie bał).

Nie mam żadnego pojęcia o moim przybyciu do Dijon, tak jak o moim przybyciu do Genewy. Obraz tych dwóch miast zatarły obrazy bardziej pełne, jakie mi zostały z późniejszych podróży. Zapewne byłem pijany radością, miałem z sobą jakieś trzydzieści tomików stereotypowanych. To udoskonalenie, *nowy wynalazek* sprawiała, że ubóstwiałem te tomy. Bardzo wrażliwy na zapachy, zawsze myłem sobie ręce po przeczytaniu książki;

<sup>121</sup>*id est* (łac.) — to jest. [przypis edytorski]



brzydki zapach zrodził we mnie uprzedzenie do Dantego i do pięknych wydań tego poety zgromadzonych przez moją biedną matkę, której pamięć była mi zawsze święta i droga; około 1800 r. myślałem o niej bardzo często.

Za przybyciem do Genewy (szalałem za *Nową Heloizą*) pierwszą moją myślą było pobiec do starego domu, gdzie się urodził J. J. Rousseau w 1712 r. W roku 1833 ujrzałem go zmienionym we wspaniały dom, obraz praktyczności i handlu.

W Genewie brak było dyliżansów; zastałem tam początek nieładu, który zaczął przejawiać się w armii. Miałem polecenie do kogoś, zapewne do francuskiego komisarza wojennego, zostawionego dla transportów. Hrabia Daru zostawił chorego konia, czekałem jego wyzdrowienia.

Tu wreszcie odnajduję moje wspomnienia. Po wielu mitręgach jednego rana około ósmej umieszczają na tym młodym koniu szwajcarskim, jasnym gniadoszu, mój olbrzymi tłumok i nieco za Bramą Lozańską wsiadam na konia.

Było to drugi albo trzeci raz w życiu. Serafia i ojciec stale sprzeciwiali się temu, abym jeździł konno, fechtował się etc.

Ten koń, który nie opuścił stajni od miesiąca, po dwudziestu krokach ponosi mnie, skręca z drogi i rzuca się ku jezioru, na pole zasadzone wierzbami: zdaje się, że tłumok go uwierał.

## ROZDZIAŁ XLIV

Umierałem ze strachu, ale ofiara była spełniona; największe niebezpieczeństwa nie byłyby mnie zatrzymały.

Patrzałem na łopatki mego konia, a trzy stopy, które mnie dzieliły od ziemi, zdawały mi się przepaścią bez dna. Na domiar śmieszności, zdaje mi się, że miałem ostrogi.

Mój młody rączy konik galopował tedy przed siebie wśród tych wierzb, kiedy usłyszałem, że mnie ktoś woła. Był to służący kapitana Burelviller, chłopiec roztropny i sprytny, który, wciąż krzycząc na mnie, abym ściągnął cugle, i zbliżając się do mnie, zdołał w końcu zatrzymać mego konia po dobrym kwadransie galopady we wszystkich kierunkach. Zdaje mi się, że pośród niezliczonych strachów miałem i ten strach, aby mnie koń nie wciągnął w jezioro.

— Czego chcesz? — rzekłem do służącego, skoro wreszcie zdołał uspokoić mego konia.

— Mój pan chce z panem mówić.

Natychmiast pomyślałem o moich pistoletach, to z pewnością ktoś, kto mnie chce aresztować. Droga była pełna ludzi, ale przez całe moje życie widziałem tylko moją ideę, a nie rzeczywistość („jak narowisty koń” — powiedział mi w siedemnaście lat później hrabia de Tracy).

Nawróciłem dumnie do kapitana, który uprzejmie czekał na gościńcu.

— Czego pan sobie życzy? — rzekłem, gotując się do strzału.

Kapitan był to wysoki blondyn w średnim wieku, chudy, z miną kpiarza i wygi, bynajmniej niebudzący zaufania, a raczej przeciwnie. Wytłumaczył mi, że kiedy mijał bramę, pan\*\*\* powiedział mu: „Jedzie tam młody człowiek, który udaje się do armii; siedzi pierwszy raz na koniu i nigdy armii nie widział. Niech pan spełni ten miłosierny uczynek, aby się nim zaopiekować przez pierwsze dni”.

Wciąż gotów się pogniewać i myśląc o moich pistoletach, patrzałem na prosty i nieskończenie długi rapier kapitana Burelviller, który, zdaje mi się, należał do cięższej kawalerii: mundur błękitny, guziki i epolety srebrne.

Zdaje mi się, że na domiar śmieszności miałem szablę; teraz nawet jestem tego pewny.

O ile mogę sądzić, spodobałem się temu panu Burelviller, który miał minę wielkiego ladaco; może go wypędzono z pułku i chciał się przyczepić do innego? Ale wszystko to są przypuszczenia, tak jak fizjonomia osób, które znałem w Grenoble przed 1800. Jak mógłbym o tym sądzić?

Pan Burelviller odpowiadał na moje pytania i uczył mnie jeździć konno. Odbywaliśmy etapy razem, chodziliśmy razem po bilety kwaterunkowe; trwało to aż do Casa d'Adda, Porta Nova w Mediolanie, na lewo, idąc w kierunku bramy.

Byłem zupełnie pijany, oszalały ze szczęścia i radości. Tutaj zaczyna się epoka entuzjazmu i doskonałego szczęścia. Radość moja, moje zachwycenie spadły nieco aż wówczas, kiedy zostałem dragonem w szóstym pułku, a i to była tylko krótka przerwa.

Nie myślałem wówczas, że jestem na szczycie szczęścia, jakie istota ludzka może znaleźć na ziemi.

To jest wszelako prawda. I to w cztery miesiące po tym, jak byłem tak nieszczęśliwy w Paryżu, kiedy spostrzegłem (lub zdawało mi się, że spostrzegłem), że Paryż nie jest sam przez się szczytem szczęścia.

Jak mógłbym oddać upojenie, jakiego znałem w Rolle?

Trzeba będzie może odczytać i poprawić ten ustęp wbrew memu zamiarowi, z obawy aby nie kłamać artystycznie jak J. J. Rousseau.

Ponieważ poświęcenie mego życia memu losowi było faktem dokonany, byłem nadzwyczaj śmiały na koniu, ale równocześnie pytałem wciąż kapitana Burelviller: „Czy ja skrucę kark?”.

Na szczęście mój koń był szwajcarski, spokojny i rozsądny jak Szwajcar; gdyby był rzymski i podstępny, byłby mnie zabił sto razy.

Widocznie spodobałem się panu Burelviller, starał się mnie wykształcić całkowicie. Był dla mnie od Genewy do Mediolanu, podczas cztero- lub pięćmiłowych etapów dziennych, tym, czym wyborny preceptor powinien być dla młodego księcia. Życie nasze było przyjemną rozmową, przeplataną wydarzeniami miłymi, a niewolnymi od pewnego niebezpieczeństwa — tym samym niepodobieństwo bodaj cienia nudy. Nie śmiałem mówić o moich chimerach ani paplać o literaturze przed tym wygą dwudziesto- lub trzydziestoletnim, który zdawał się przeciwieństwem wszelkiej egzaltacji.

Z chwilą gdy przybywaliśmy na etap, opuszczałem go, dawałem hojny napiwek słuzącemu, aby mi opatrzył konia, mogłem tedy iść dumać w spokoju.

W Rolle, zdaje mi się, przybywszy wcześniej, pijany szczęściem, lekturą *Nowej Heloizy* i myślą, że będę przejeżdżał przez Vevey — biorąc może Rolle za Vevey — usłyszałem nagle majestatyczny głos dzwonu w kościele położonym o ćwierć mili powyżej Rolle lub Nyon; udałem się tam. Ujrzałem to piękne jezioro rozciągające się przed moimi oczami, dźwięk dzwonu był czarującą muzyką, która towarzysząc moim myślom, dawała im boską fizjonomię.

Tam, zdaje mi się, najbardziej zbliżyłem się do *doskonałego szczęścia*.

Dla takiej chwili warto jest żyć.

W dalszym ciągu będę mówił o podobnych momentach, gdzie grunt, co się tyczy szczęścia, był może bardziej realny, ale czy wrażenie było równie żywe, upojenie równie doskonałe?

Co rzec o takiej chwili, aby nie kłamać, aby nie popaść w romans?

W Rolle czy w Nyon, nie wiem, czy tu, czy tu (sprawdzić, bo łatwo jest dostrzec ten kościół otoczony osmioma czy dziesięcioma wielkimi drzewami), ściśle w Rolle zaczął się szczęśliwy okres mego życia: mogło to być 8 albo 10 maja 1800.

Serce mi bije jeszcze, kiedy to piszę, po trzydziestu sześciu latach. Porzucam papier, błędzę po pokoju i wracam do pisania. Wolę raczej ominąć jakiś prawdziwy rys niż popaść w okropną przywarę deklamowania, jak jest w zwyczajach.

W Lozannie, zdaje mi się, zyskałem uznanie pana Burelviller. Emerytowany kapitan szwajcarski, młody jeszcze, był urzędnikiem miejskim. Był to jakiś „reak” zbiegły z Hiszpanii albo jakiego innego dworu. Wywiązując się z przykrego obowiązku rozdzielania biletów kwaterekowych tym hycłom Francuzom, wdał się z nami w zwadę i posunął się aż do słów, mówiąc o honorze, jaki mieliśmy służyć ojczyźnie: „Jeżeli to jest honor...”.

Zapewne we wspomnieniu przesadzam to wyrażenie. Położyłem rękę na szabli i chciałem ją wydobyć, co mi dowodzi, że miałem szablę.

Pan Burelviller zatrzymał mnie.

— Późno jest, miasto przepelnione, chodzi o to, aby mieć kwatere — powiedział mi, czy coś w tym rodzaju, i opuściliśmy ławnika, eks-kapitana, wygarnawszy mu słowa prawdy.

Nazajutrz, gdyśmy się znaleźli konno na drodze do Villeneuve, pan Burelviller zapytał mnie o moją biegłość w szermierce.

Zdumiony był, kiedy mu wyznałem moje zupełne nieuctwo. Kazał mi stanąć w pozycji za pierwszym razem, kiedy zatrzymaliśmy się pod kasztanami, aby dać się odlać koniom.

— I co byłbyś zrobił, gdyby ten pies arystokrata wyszedł na plac?

— Byłbym walił.

Z pewnością powiedziałem to tak, jak myślałem.

Od tego czasu kapitan Burelviller nabrał dla mnie szacunku i powiedział mi to.

Moja zupełna naiwność i wszelki brak kłamstwa musiały być bardzo oczywiste, skoro dały wartość temu, co w każdej innej sytuacji byłoby ordynarną bufonadą.

Dał mi parę lekcji fechtunku na popasach wieczorem.

— Inaczej nadzieją cię jak...

Zapomniałem porównania.

Martigny, zdaje mi się, u stóp Wielkiego Św. Bernarda, zostawiło mi jedno wspomnienie: piękny generał Marmont w mundurze radcy stanu, błękitne wyłogi na niebieskim, komenderujący przemarszem artylerii. Jakim cudem taki mundur? Nie wiem, ale widzę go jeszcze.

Może widziałem generała Marmont w mundurze generalskim, a dopiero później przyoblokłem go w mundur radcy stanu? (Teraz, w marcu 1836, ten *zdrajca* księżę Raguzy<sup>122</sup> znajduje się tuż obok, w Rzymie, mimo tego, co jakieś dziesięć dni temu generał-porucznik Despans nakłamał mi tu, koło tego kominka, przy którym piszę).

Kiedy koło siódmej rano wyruszaliśmy z Martigny — mogło to być 12 albo 14 maja 1800 — generał Marmont stał po lewej stronie drogi.

Byłem wesoly i rześki jak młody żrebak; wydawałem się sobie Calderonem w czasie jego kampanii włoskiej, czułem się niby amator wrażeń, przydzielony do armii, aby widzieć, ale przeznaczony do pisania komedij jak Molier. Jeżeli później objąłem jakieś stanowisko, to dlatego, aby żyć, nie będąc dość bogaty, aby włóczyć się po świecie na swój koszt... Chciałem po prostu widzieć wielkie rzeczy.

Z większą tedy jeszcze radością niż zwykle oglądałem Marmonta, młodego i pięknego faworyta Pierwszego Konsula.

Ponieważ Szwajcarzy, w których domach mieszkaliśmy w Lozannie, w Villeneuve, w Sion etc., skreślili nam okropny obraz Wielkiego Św. Bernarda, byłem weselszy niż zwykle. Nie weselszy, to złe słowo, raczej szczęśliwszy. Przyjemność moja była tak żywa, tak ostra, że aż przechodziła w zadumę.

Byłem, nie zdając sobie z tego sprawy, nadzwyczaj czuły na piękny krajobraz. Ponieważ mój ojciec i Serafia chwalili bardzo piękności natury w tonie zwykłej swojej hipokryzji, sądziłem, że nie cierpię natury. Gdyby mi ktoś mówił o pięknościach Szwajcarii, byłby mnie przyprowadził o mdłości; opuszczałem frazesy tego rodzaju w *Wyznaniach* i w *Helozie* Russa lub raczej, aby rzec ściślej, przebiegałem je szybko, ale te tak piękne obrazy wzruszały mnie mimo mej woli.

Musiałem czuć niezmierną przyjemność wspinania się na Św. Bernarda, ale, dalibóg, gdyby nie ostrożności kapitała Burelviller — ostrożności, które często wydawały mi się przesadne, prawie śmieszne — byłbym zginął może od pierwszego kroku.

Niech sobie czytelnik raczy przypomnieć moje pocieszne wychowanie. Aby mnie uchronić od wszelkiego niebezpieczeństwa, ojciec i Serafia nie pozwolili mi jeździć konno ani, o ile tylko mogli, chodzić na polowanie. Co najwyżej chodziłem na przechadzkę ze strzelbą, ale nigdy prawdziwego polowania, gdzie człowiek poznaje głód, deszcz, bezmiar zmęczenia.

Co więcej, natura dała mi delikatne nerwy i skórę wrażliwą jak u kobiety. Nie mogłem w kilka miesięcy później trzymać szabli przez dwie godziny, żeby nie mieć na ręce pełno pęcherzy. Na Św. Bernardzie byłem pod względem fizycznym niby czternastoletnia panienka; miałem siedemnaście lat i trzy miesiące, ale nigdy rozpieszczony syn magnacki nie otrzymał miększego wychowania.

Odwaga wojskowa w oczach mojej rodziny to była cnota jakobinów; cenilo się tylko odwagę sprzed rewolucji, która zyskała Krzyż Św. Ludwika głowie bogatszej linii (kapitan Beyle z Sassenage).

<sup>122</sup>ten *zdrajca* księżę Raguzy — zdrada marszałka Marmont, księcia Raguzy, w kwietniu 1814 r. przesądziła o abdykacji Napoleona. [przypis redakcyjny]

Wyjawszy stronę moralną, czerpaną przeze mnie w książkach zakazanych przez Serafię, przybyłem tedy na Św. Bernarda jako zupełna zmokła kura. Co byłoby się ze mną stało bez spotkania z panem Burelviller, gdybym wędrował sam? Miałem pieniądze i nawet nie przyszło mi do głowy wziąć służącego. Omamiony rozkosznymi marzeniami opartymi na Arioście i na *Nowej Heloizie*, puszczałem mimo uszu wszystkie rozsądne uwagi — wydawały mi się mieszczańskie, płaskie, wstrętne.

Stąd mój wstręt, nawet w 1836, do faktów *komicznych*, w których brodzi z konieczności człowiek z pospólstwa. Budzą we mnie odrazę, która dochodzi do ohydy.

Dziwna sytuacja dla następcy Moliera!

Wszystkie rozropne przestrogi hotelarzy szwajcarskich spłynęły tedy po mnie.

Na pewnej wysokości zimno stało się ostre, otoczyła nas wnikliwa mgła, śnieg okrywał drogę od dawna. Ta droga — mała ścieżka między dwoma murkami z kamieni — była, na osiem do dziesięciu cali, pełna topniejącego śniegu, a pod nim osuwających się kamyków (takich jak w Claix, nieregularnych wielościanów o nieco stępiących kantach).

Od czasu do czasu wierzchowiec mój wspinał się na widok zdechłego konia; niebawem, co o wiele gorsze, już się nie wspinał. W gruncie to była szkapa.

## ROZDZIAŁ XLV

### *Święty Bernard*

Z każdą chwilą było coraz gorzej. Pierwszy raz ujrzałem niebezpieczeństwo; niebezpieczeństwo to nie było wielkie, trzeba przyznać; ale dla młodej, piętnastoletniej dziewczyny, której nie zmoczył deszcz ani dziesięć razy w życiu!

Niebezpieczeństwo nie było tedy wielkie, ale było we mnie samym: okoliczności pomniejszały człowieka.

Nie będę się wstydził oddać sobie sprawiedliwości: byłem wciąż wesoły. Jeżeli marzyłem, to o okresach, jakimi J. J. Rousseau mógłby opisać te góry posępne, okryte śniegiem, wznoszące się aż pod chmury wierzchołkami wciąż zamglonymi przez wielkie, szare, szybko biegnące obłoki.

Koń mój ciągle się potykał, kapitan kłął i był ponury, jego rozropny służący, który stał się moim przyjacielem, był bardzo błądy.

Byłem przesiąknięty wilgocią; bez ustanku zastępowały nam drogę, a nawet zatrzymywały nas, gromadki po piętnastu lub dwudziestu żołnierzy, którzy pięli się pod górę.

Zamiast uczuć heroicznego przyjaźni, które w nich przypuszczałem po sześciu latach heroicznego marzeń opartych na charakterach Ferragusa i Rinalda, ujrzałem egoistów skwaszonych i złych. Często kłęli na nas ze złości, że byliśmy na koniach, a oni pieszo. Jeszcze trochę, a byliby nam skradli konie.

Ten widok natury ludzkiej był mi przykry, ale oddalałem go szybko, aby się napawać tą myślą: „widzę tedy rzecz trudną!”

Nie przypominam sobie tego wszystkiego, ale przypominam sobie lepiej późniejsze niebezpieczeństwa, bliżej roku 1800, na przykład koniec roku 1812, marsz z Moskwy do Królewca.

Wreszcie po niezmiernej ilości zygzaków, które zdawały się przedłużać drogę w nieskończoność, między dwiema ostrymi, olbrzymimi skałami ujrzałem po lewej niski domek, prawie pokryty przepływającą chmurą.

To było schronisko! Dano nam, jak całej armii, pół szklanki czerwonego wina, zimnego tak, że zęby cierpły.

Pamiętam tylko wino; z pewnością dodano kawał chleba i ser.

Zdaje mi się, żeśmy weszli do środka, lub też opisy wnętrza schroniska słyszane lub czytane stworzyły obraz, który od trzydziestu sześciu lat *zajął miejsce rzeczywistości*.

Oto niebezpieczeństwo kłamstwa, które spostrzegłem od trzech miesięcy, odkąd myślałem o tym prawdopodobnym dzienniku.

Wyobrażam sobie na przykład doskonale zejście. Ale nie chcę taić, że w pięć czy sześć lat później widziałem rycinę, która mi się wydała bardzo podobna — i moje wspomnienie *jest już tylko* tą ryciną.

Wspomnienia, Podróż

W tym leży niebezpieczeństwo kupowania rycin z pięknych obrazów, które się widzi w podróży. Niebawem rycina tworzy całe wspomnienie i niweczy wspomnienie rzeczywiste.

To mi się zdarzyło z *Madonną Sykstyńską* w Dreźnie. Piękna rycina Müllera zniweczyła ją dla mnie, podczas gdy doskonale sobie wyobrażam liche pastele Mengsa z tej samej Galerii Drezdeńskiej, których ryciny nie widziałem nigdzie.

Widzę dobrze trudności trzymania konia za uzdę: ścieżkę tworzyły tak oto ukształtowane skały. Z A do B mogło być trzy albo cztery stopy. D oznacza przepaść. W punkcie L, na zamrzniętym jeziorze, widziałem z piętnaście czy dwadzieścia koni i mułów, które spadły z tej ścieżki. Ściana RP wydawała mi się niemal pionowa, PB bardzo stroma.

Licho było w tym, że cztery nogi mego konia schodziły się w prostej linii utworzonej w punkcie O przez spotkanie się dwóch skał, które tworzyły drogę: wówczas koń robił taką minę, jakby się chciał przewrócić; na prawo nie było to tak groźne, ale na lewo! Co by powiedział pan Daru, gdybym mu zaprzepścił konia? A zresztą wszystkie moje rzeczy były w olbrzymim tobole, może i znaczna część pieniędzy.

Kapitan kłął na służącego, który mu okaleczył drugiego konia, walił trzcina po głowie własnego konia — był to człowiek bardzo gwałtowny. Mną nie zajmował się ani trochę.

Na domiar niedoli przejeżdżała, zdaje mi się, armata; trzeba było kazać koniom przeskoczyć na prawą stronę drogi, ale na tę okoliczność nie przysięgałbym — jest na rycinie.

Przypominam sobie wybornie to długie, okrężne schodzenie dokoła tego diabelskiego zamrzniętego jeziora.

Wreszcie koło Étroubles lub przez Étroubles, w pobliżu wioski nazwanej Saint... licho wie jak, natura zaczęła być mniej surowa.

Było to dla mnie rozkoszne wrażenie.

Rzekłem do kapitana Burelviller: „Święty Bernard to tylko to?”

Zdaje mi się, że się pogniewał; myślał, że udaję (w gwarze, którąśmy się posługiwali, że „puszczam blagę”).

Zdaje mi się, że widzę w moich wspomnieniach, że mnie potraktował od „rekruckiego ucha”, co mi się wydało zniewagą.

W Étroubles, gdzie nocowaliśmy, czy też w Saint... szczęście moje było bez granic, ale zaczynałem rozumieć, że jedynie w momentach dobrego humoru kapitana mogę sobie pozwalać na uwagi.

Powiedziałem sobie: „Jestem we Włoszech, to znaczy w kraju Zulietty, którą Rousseau spotkał w Wenecji, w Piemencie, kraju pani Bazile<sup>123</sup>”.

Rozumiałem dobrze, że te pojęcia były tym bardziej kontrabandą dla kapitana, który, zdaje mi się, potraktował raz Russa jako pisarczyka i łobuza.

Musiałbym układać romans i starać się wyobrazić sobie, co musi czuć chłopak siedemnastoletni, wymknąwszy się z klasztoru, oszalały ze szczęścia, gdybym chciał oddać moje uczucia od Étroubles do fortu Bard.

Zapomniałem powiedzieć, że wywozłem z Paryża moje dziewictwo; dopiero w Mediolanie miałem się pozbyć tego skarbu. Co zabawne, to że nie przypominam sobie dokładnie z kim.

Siła nieśmiałości i wrażenia zabiły absolutnie pamięć.

W drodze kapitan dawał mi lekcje jazdy konnej; aby zaś przyspieszyć marsz, walił trzcina przez głowę swego konia, który się bardzo narowił. Mój koń to była miękka i roztropna szkapa; podniecałem go ostrogą. Na szczęście był bardzo silny.

Moja szalona wyobraźnia, nie śmiejąc zwierzać swych tajemnic kapitanowi, podsuwała mi bodaj to, aby go wyciągnąć na kwestie jazdy konnej. Nie robiłem z tym sobie ceremonii.

— A kiedy koń się cofa i zbliża się, o tak, do głębokiego rowu, co trzeba robić?

— Co, u licha! Ledwie umiesz siedzieć na koniu, a już pytasz o rzeczy, z którymi będą się najlepsi jeźdźcy!

Z pewnością jakaś tęga kłątwa musiała towarzyszyć tej odpowiedzi, skorom ją tak dobrze zapamiętał.

Dziewictwo

<sup>123</sup>w Piemencie, kraju pani Bazile — *Wyznania* Russa. [J. J. Rousseau; red. WL]. [przypis redakcyjny]

Musiałem go diabelnie nudzić. Roztropny służący kapitana przestrzegał mnie, że jego pan daje swoim koniom przynajmniej połowę otrąb, które mi kazał kupować dla mojego. Ten roztropny służący objawił gotowość przejścia do mojej służby; byłby mnie wodził za nos, podczas gdy straszliwy Burelviller maltretował go.

Ta piękna przemowa nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. Uważałem z pewnością, że jestem winien nieskończoną wdzięczność kapitanowi.

Zresztą byłem tak szczęśliwy, że oglądałem te piękne widoki i huk tryumfalny w Aoscie, iż miałem tylko jedno pragnienie: aby to życie trwało ciągle.

Sądziłem, że armia jest o czterdzieści mil przed nami.

Naraz zastaliśmy ją wstrzymaną przez fort Bard.

Widzę się biwakującego o pół mili od fortu, na lewo od gościńca.

Nazajutrz miałem dwadzieścia dwa ukłucia komarów na twarzy i jedno oko zupełnie zamknięte.

Tutaj opowiadanie spływa się ze wspomnieniem.

Zdaje mi się, żeśmy się zatrzymali dwa albo trzy dni pod Bard.

Bąłem się nocy z powodu ukąszeń tych straszliwych komarów; miałem czas wyleczyć się do połowy.

Czy Pierwszy Konsul był z nami?

Czy to wówczas, jak mi się zdaje, gdyśmy byli na tej równinie pod fortem, pułkownik Dufour chciał go zdobyć siłą? I dwaj saperzy próbowali przeciąć łańcuchy zwodzonego mostu? Czy widziałem, jak koła armat obwiązywano słomą, czy też to jest echo opowiadania, które znajduję w głowie?

Przerażająca kanonada w tych tak wysokich skałach, w tej dolinie tak ciasnej sprawiała mi szalone emocje.

Wreszcie kapitan rzekł: „Weźmiemy się górami na lewo, tam jest droga”.

Dowiedziałem się później, że ta góra nazywa się Albaredo.

Po pół mili usłyszałem tę przestrożę biegnącą z ust do ust: „Trzymaj cugle tylko dwoma palcami prawej ręki, aby jeśli koń spadnie w przepaść, nie pociągnął cię!”.

„Tam do licha, więc jest niebezpieczeństwo!” — powiedziałem sobie.

Droga albo raczej ścieżka, niedawno zaledwie wytyczona oskardami, biegnie po linii CC, litera D oznacza przepaść, R — szaniec.

Zatrzymaliśmy się na małej platformie.

— Aha, celują do nas! — rzekł kapitan.

— Czy jesteście na odległość strzału? — spytałem.

— Aha, już się smarkacz boi! — odparł wściekły. Było przy tym siedem czy osiem osób.

Te słowa były niby pianie kura dla świętego Piotra. Widzę się znowu: zbliżam się do brzegu platformy, aby być bardziej narażony; kiedy kapitan ruszył, ociągałem się kilka minut, aby okazać moją odwagę.

Oto jak ujrzałem ogień po raz pierwszy.

Był to rodzaj dziewictwa, które ciążyło mi nie mniej niż tamto.

## ROZDZIAŁ XLVI

Wieczorem, zastanawiając się nad tym, nie mogłem się opamiętać ze zdumienia: „*Jak to, więc to tylko to!*” — powiadałem sobie.

To zdziwienie nieco głupawe i ten wykrzyknik towarzyszyły mi całe życie. Sądzę, że to wynika z wyobraźni; robię to odkrycie, tak jak wiele innych w 1836, pisząc.

Nawias. — Często powiadam sobie, ale bez żalu: „Ileż pięknych sposobności zmarnowałem! Bylbym bogaty albo przynajmniej zamożny!”. Ale widzę w 1836, że moją największą przyjemnością jest *marzyć*, ale marzyć o czym? Często o rzeczach, które mnie nudzą. Wytrwałość potrzebna na to, aby zebrać 10 000 franków renty, jest mi niepodobnym. Co więcej, trzeba schlebiać, nie narazić się nikomu etc. To ostatnie jest mi prawie niepodobne.

I cóż! Hrabia de Canclaux był porucznikiem albo podporucznikiem w szóstym pułku dragonów równocześnie ze mną; uchodził za intryganta, spryciarza nietracącego okazji

przypodobania się możliwym etc., nie robiącego ani kroku, który by nie miał swego celu etc. Generał Canclaux, jego stryj, spacyfikował Wandę, zdaje mi się, i nie zbywało mu na wpływach. Canclaux opuścił pułk dla kariery konsularnej, miał prawdopodobnie wszystkie przymioty, których mi zbywa, i jest konsulem w Nicei, jak ja w Civitavecchia. Oto co mnie powinno pocieszyć, że nie jestem intrygantem lub przynajmniej zręcznym, przezornym etc. Miałem rzadką przyjemność robienia całe życie wszystkiego mniej więcej, co mi się podobało, i zaszedłem tak samo daleko jak człowiek zimny, zręczny etc. Canclaux wyświadczył mi pewną grzeczność, kiedy przejeżdżałem przez Niceę w grudniu 1833. Może ma nade mną tę przewagę, że ma majątek, ale prawdopodobnie odziedziczył go po stryju; poza tym wziął sobie na kark żonę, starą babę. Nie zamieniłbym się z nim, to znaczy, nie chciałbym, aby moja dusza weszła w jego ciało.

Nie powinienem tedy skarżyć się na los. Miałem zły los od siedmiu do siedemnastu lat, ale od przejścia góry Św. Bernarda (2491 metrów nad oceanem) nie mam przyczyny skarżyć się na los, przeciwnie, mogę go sobie chwalić.

W 1804 pragnąłem 100 ludwików i swobody, w 1836 pragnę namiętnie 6000 franków i swobody. To, co ponadto, niewiele przyczyniłoby się do mego szczęścia. To nie znaczy, abym nie chciał uszczknąć 25 000 franków i swobody, aby mieć dobry powóz na elastycznych resorach, ale złodziejstwa stangreta dokuczyłyby mi może więcej, niż powóz sprawiłby mi przyjemności.

Szczęściem moim jest nie mieć nic do administrowania; byłbym bardzo nieszczęśliwy, gdybym miał 100 000 dochodu w domach i w ziemi. Wyprzedaliby co rychlej wszystko lub bodaj trzy czwarte, ze stratą, aby kupić rentę. Szczęście dla mnie to nie musieć rozkazywać nikomu i nie słuchać niczych rozkazów; sądzę tedy, iż dobrze zrobiłem, że się nie ożenił z panną Rietti albo z panną Vidau.

Koniec nawiasu.

Szczęście

Przypominam sobie, że doznałem niezmiernej przyjemności, wjeżdżając do Étroubles i do Aosty. „Jak to, przełącz Św. Bernarda *to tylko to*?” — powtarzałem sobie bez ustanku. Popeniłem nawet ten błąd, że powiedziałem to parę razy głośno; w końcu kapitan Burelviller zwymyślał mnie — mimo mej naiwności wziął to za bufonadę. Bardzo często moje naiwności mają ten skutek.

Śmieszne lub bodaj przesadzone słowo wystarczało często, aby mi zepsuć najpiękniejsze rzeczy: na przykład pod Wagram, obok armaty, kiedy trawa się zapalała z żaru, jakiś pułkownik, bufon, zresztą mój przyjaciel, rzekł: „To bitwa olbrzymów!”. Wrażenie wielkości pierzchno natychmiast na cały dzień.

Ale, wielki Boże! Kto to przeczyta? Cóż za groch z kapustą! Czy zdołam wreszcie wrócić do mego opowiadania? Czy czytelnik wie teraz, czy jest w roku 1800, przy pierwszych krokach młodego wariata, czy też przy roztropnych rozważaniach człowieka pięćdziesięcioletniego!

Zauważyłem przed opuszczeniem mojej skały, że kanonada pod Bard robiła straszliwy hałas; to było *wspaniałe*, zbyt bliskie co prawda niebezpieczeństwa. Dusza, zamiast sycić się w całej czystości, była jeszcze nieco zajęta tym, aby się trzymać w garści.

Ostrzegam raz na zawsze dzielnego człowieka, jedynego może, który będzie miał odwagę mnie czytać, że wszystkie piękne refleksje tego rodzaju są z r. 1836. Byłbym nimi bardzo zdziwiony w 1800; może mimo mego odczytania w Helwecjuszu i Szekspirze nie byłbym ich zrozumiał.

Zostało mi jedno wspomnienie, wyraźne i bardzo poważne, owego szanca, który tak do nas walił z armat. Komendant tej forteczki, położonej *opatrznościowo*, jak by powiedzieli poczciwi pisarze z 1836, myślał, że zatrzymuje generała Bonaparte.

Zdaje mi się, że wieczorna kwatery przypadła u jakiegoś proboszcza, już dość zmaltretowanego przez dwadzieścia pięć lub trzydzieści tysięcy ludzi, którzy przeciągnęli tamtędy przed kapitanem Burelviller i jego uczniem. Kapitan, egoista i zły, kłął; zdaje mi się, że

proboszcz obudził we mnie litość, odezwałem się do niego po łacinie, aby uśmierzyć jego strach. Był to ciężki grzech, była to w miniaturze zbrodnia tego hultaja Bourmont pod Waterloo<sup>124</sup>. Szczęściem kapitan nie słyszał.

Wdzięczny proboszcz nauczył mnie, że *donna* znaczy kobieta *cattiva* — zła i że trzeba powiedzieć: *Quante sono miglia di qua a Ivrea?*, kiedy chcę się dowiedzieć, ile jest mil stąd do Ivrei.

Był to początek mojej włoszczyzny.

Byłem tak uderzony mnogością martwych koni i innych szczątków armii, które widziałem między Bard a Ivrea, że nie zachowałem wyraźnego wspomnienia z tej drogi. Po raz pierwszy miałem to wrażenie, tak często powtarzające się później: znajdować się wśród kolumn armii Napoleona. Obecne wrażenie pochłaniało wszystko, absolutnie tak jak wspomnienie pierwszego wieczoru, kiedy Giul[ia] wzięła mnie za kochanka. Moje wspomnienie jest jedynie romansem sporządzonym z tej okazji.

Widzę jeszcze pierwszy obraz Ivrei oglądanej z trzech ćwierci mili, nieco na prawo; na lewo w oddali góry, może Monte Rosa i góry otaczające Biella, może góra Resegone w Lecco, którą miałem tak ubóstwiać później.

Trudność była nie w tym, aby uzyskać bilet kwaterunkowy od wystraszonych mieszkańców, ile w tym, aby obronić tę kwaterę od band żołnierzy włóczących się dla rabunku. Coś mi majaczy szabla dobyta, aby bronić bramy naszego domu, który konni strzelcy chcieli zdobyć, aby tam biwakować.

Wieczorem doznałem wrażenia, którego nie zapomnę nigdy. Poszedłem do teatru wbrew memu kapitanowi, który, widząc moje dzieciństwo i moją niezdarność w obchodzeniu się z szablą, zbyt dla mnie ciężką, bał się z pewnością, aby mnie gdzieś nie zamordowano na rogu ulicy. Nie miałem munduru, a to jest najgorsze, co być może, między oddziałami armii... etc., etc.

Bądź co bądź wybrałem się do teatru; dawano *Matrimonio segreto* Cimarosy; aktorce, która grała Karolinę, brakowało zęba z przodu. Oto wszystko, co mi zostało z boskiego szczęścia.

Skłamałbym i pisałbym romans, gdybym próbował je rozbierać.

W jednej chwili moje dwa wielkie czyny: 1° żem przeżył Św. Bernarda, 2° żem był w ogniu — znikły. Wszystko to zdało mi się grube i płaskie. Odczuwałem coś takiego, jak ów zachwyt wobec kościoła nad Rolle, ale o wiele czystszy i żywszy. Pedantyzm Julii d'Etange zawadzał mi w Russe, gdy wszystko było boskie — u Cimarosy.

W pauzach przyjemności mówiłem sobie: „I oto wdeplę<sup>125</sup> w to ordynarne rzemiosło zamiast poświęcić życie muzyce!”

Odpowiedź brzmiała, bez cienia zgryźliwości: „Trzeba żyć, zobaczę świat, zostanę dzielnym żołnierzem, a po roku lub dwóch wrócę do muzyki, *do mojej jedynej miłości*”. Powtarzałem sobie te napuszone frazesy.

Życie moje odnowiło się, całe moje paryskie rozczarowanie pogrzebane na zawsze! Ujrzałem wyraźnie, gdzie jest szczęście. Zdaje mi się dziś, że moje wielkie nieszczęście musiało tkwić w tym: nie znalazłem szczęścia w Paryżu, gdzie wierzyłem w nie tak długo — gdzież tedy jest? Czyżby było w naszych górach? W takim razie rodzina moja miałaby rację i lepiej uczyniłbym, wracając tam.

Wieczór w Ivrei zniweczył na zawsze Delfinat w mojej pamięci. Gdyby nie piękne góry, które oglądałem rano, może Berland, Saint-Ange i Taillefer nie byłyby pobite na zawsze.

Żyć we Włoszech i słyszeć tę muzykę stało się podstawą wszelkiego mego rozumowania.

Nazajutrz rano, idąc przy naszych koniach z kapitanem, który miał sześć stóp wzrostu, miałem to dzieciństwo, aby mówić o moim szczęściu; odpowiedział mi grubymi żartami na temat łatwości aktorek. To słowo było mi drogie i święte przez pannę Kubly; co więcej, tego rana byłem zakochany w Karolinie (z *Matrimonio*). Zdaje mi się, że przyszło między nami do poważnej sprzeczki, zastanawiałem się nawet, czy go nie wyzwąć.

<sup>124</sup>zbrodnia tego hultaja Bourmont pod Waterloo — na cztery dni przed bitwą gen. Bourmont zdezerterował z szeregów armii Napoleona do obozu nieprzyjaciela. [przypis redakcyjny]

<sup>125</sup>wdeplęm — dziś popr.: wdepnąłem. [przypis edytorski]



Nie rozumiem zupełnie mojego szaleństwa: to tak jak moje wyzwanie kochanego Joinville (obecnie baron Joinville, intendent, wojskowy w Paryżu), nie umiałem utrzymać szabli poziomo.

Skorośmy się pojednali z kapitanem, zajęła nas, zdaje mi się, bitwa nad Ticino, w którą, zdaje się, byliśmy wmieszani, ale bez niebezpieczeństwa. Nie powiem więcej z obawy, aby nie pisać romansu; tę bitwę czy utarczkę opowiedział mi w głównym zarysie w kilka miesięcy później pan Guyardet, major szóstego albo dziewiątego pułku szwoleżerów. Historia pana Guyardet, opowiadana, zdaje mi się, Joinville'owi w mojej obecności, uzupełnia moje wspomnienia i boję się, że biorę wrażenie tego opowiadania za wspomnienie.

Nie przypominam sobie nawet, czy bitwa nad Ticino liczyła się w moim wrażeniu za drugi widok ognia, w każdym razie mógł to być jedynie ogień armatni; może baliśmy się, że nas wezmą na szable, skoro znajdziemy się z garstką kawalerii zagarnięci przez nieprzyjaciół. Widzę jasno tylko dym armat albo strzelaniny. Wszystko jest mętne.

Wyjawszy szczęście najbardziej żywe i szalone, nie mam w istocie nic do powiedzenia od Ivrei do Mediolanu. Krajobraz zachwycał mnie. Nie wydał mi się ucieleśnieniem piękna, ale kiedy za Ticino — aż do Mediolanu — obfitość drzew oraz bujność roślinności (nawet łądygi kukurydzy, zdaje mi się) zasłaniały mi widok na sto kroków po prawej i lewej, uważałem, że to jest piękno.

Taki był dla mnie Mediolan, i to przez dwadzieścia lat (od 1800 do 1820). Zaledwie ten ubóstwiany obraz zaczyna się oddzielać od piękna. Rozsądek powiada mi: „Ależ prawdziwe piękno to Neapol i Posillipo na przykład, to okolice Drezna, zwalone mury Lipska, Łąba pod Altoną, Jezioro Genewskie etc.”. To mój rozum mi powiada, ale serce czuje tylko Mediolan i przepych pól, które go otaczają.

## ROZDZIAŁ XLVII

### *Mediolan*

Pewnego rana, wjeżdżając do Mediolanu, w cudny wiosenny ranek — i co za wiosna!... i w jakim kraju! — ujrzałem Marcjała o trzy kroki ode mnie po lewej stronie mego konia. Zdaje mi się, że go widzę jeszcze, to było w Corsia del Giardino, tuż za ulicą Bigli, z początkiem Corsia di Porta Nova.

Był w niebieskim mundurze, w haftowanym kapeluszu generalnego adiutanta.

Bardzo był rad, że mnie widzi.

— Myśleliśmy, żeś zginął — rzekł.

— Koń był chory w Genewie — odparłem — wyjechałem dopiero w...

— Pokażę ci mój dom, tu, o dwa kroki.

Pożegnałem kapitana Burelviller — nigdy go już nie ujrzałem.

Marcjał nawrócił i zaprowadził mnie do Casa d'Adda.

Front Casa d'Adda nie był skończony, główna część była z grubych cegieł, jak San Lorenzo we Florencji. Wszedłem we wspinały dziedziniec. Zsiadłem z konia, bardzo zdumiony podziwiając wszystko. Kroczyłem po wspinałych schodach. Służba Marcjała odpięła mój tłumok i odprowadziła konia.

Szedłem za nim, niebawem znalazłem się we wspinałym salonie wychodzącym na Corsia. Byłem zachwycony, pierwszy raz architektura przemówiła do mnie. Niebawem przyniesiono wyborne bite kotlety. Wiele lat potrawa ta przypominała mi Mediolan.

To miasto stało się dla mnie najpiękniejszym miejscem na ziemi. Nie czuję wcale uroku mojej ojczyzny; do miejsca, gdzie się urodziłem, mam odrazę dochodzącą aż do wstrętu fizycznego (morska choroba). Mediolan był dla mnie od 1800 do 1821 miejscem, gdzie stale pragnąłem mieszkać.

Spędziłem tam kilka miesięcy w 1800, był to najpiękniejszy czas mego życia. Wracałem tam tyle, ile tylko mogłem, w 1801 i 1802, stojąc garnizonom w Brescia i w Bergamo, mieszkałem tam z wyboru od 1815 do 1821. Jedynie rozsądek powiada mi, nawet w 1836, że Paryż jest czymś więcej. Około 1803 albo 1804 unikałem w gabinecie Marcjała spojrzenia na sztych, który w oddali ukazywał katedrę mediolańską — wspomnienie było zbyt rzewne, przyprawiało mnie o ból.

Było to może w końcu maja lub w początku czerwca, kiedy wszedłem do Casa d'Adda (to słowo zostało dla mnie święte).

Marcjał był idealny — i w istocie był zawsze idealny dla mnie. Przykro mi, że tego nie widziałem jaśniej za jego życia. Ponieważ miał mnóstwo próżnostek, oszczędzałem te próżnostki, ale to, co mu mówiłem wówczas przez uprzejmość światową, której nabierałem, a także przez sympatię, powinienem był mówić mu przez przyjaźń i przez wdzięczność.

Nie był romantyczny, a ja posuwałem tę słabość aż do szaleństwa; brak tego szaleństwa czynił go płaskim w moich oczach. Romantyczność rozciągała się u mnie na miłość, na odwagę, na wszystko. Lękiem przejmowała mnie chwila, gdy trzeba było dać napiwek odźwiernemu, z obawy że mu nie dam dosyć i że obrażę jego delikatność. Często zdarzyło mi się, że nie śmiałem dać napiwku człowiekowi za dobrze ubranemu z obawy, aby go nie obrazić, i musiałem uchodzić za skąpca. Wada przeciwna większości podporuczników, których znałem: ci myśleli tylko, jak by zwiąć w chwili napiwku.

Oto okres szczęścia szalonego, pełnego; będę z pewnością rozwlekły, opisując je. Może lepiej byłoby się trzymać w poprzedniej linii.

Od końca maja aż do października lub listopada, kiedy mnie mianowano podporucznikiem w szóstym pułku dragonów w Bagnolo lub Romanengo, między Brescią a Cremoną, znalazłem pięć czy sześć miesięcy szczęścia niebiańskiego, zupełnego.

Nie da się oglądać wyraźnie partii nieba zbyt bliskiej słońca; z podobnej przyczyny trudno byłoby mi opowiedzieć rozsądnie moją miłość do Angeli Pietragrua. Jak opowiedzieć bodaj trochę rozsądnie tyle szaleństw? Od czego zacząć? Jak uczynić to nieco zrozumiałym? Oto już zapominam ortografii, jak mi się to zdarza w wielkich wybuchach namiętności, a chodzi wszak o rzeczy, które się działy trzydzieści sześć lat temu.

Racz mi przebaczyć, łaskawy czytelniku! A raczej, jeśli masz więcej niż trzydzieści lat lub jeżeli, choć nie masz trzydziestu lat, przeszedłeś do stronnictwa prozaicznego, zamknij książkę.

Czy uwierzycie, wszystko się wyda niedorzeczne w moim opowiadaniu tego roku 1800. Ta miłość, tak niebiańska, tak namiętna, która mnie całkowicie oderwała od ziemi, aby mnie przenieść w krainę chimery, ale chimery najbardziej niebiańskich, najbardziej rozkosznych, osiągnęła to, co się nazywa *szczęściem*, aż w sierpniu 1811.

Bagatela, jedenaście lat nie wierności, ale pewnego rodzaju stałości!

Kobieta, którą kochałem i o której przypuszczałem, że mnie poniekąd kocha, miała innych kochanków, ale wolałaby przy równych szansach mnie, powiadałem sobie. Ja miałem inne kochanki.

(Chodziłem kwadrans po pokoju, nim siadłem do pisania).

Jak opowiedzieć rozsądnie te czasy? Wolę raczej odłożyć to do innego dnia.

Ograniczając się do sfery rozsądku, zbyt wielką uczyniłbym krzywdę temu, co chcę powiedzieć.

Nie chcę opowiadać rzeczy, jak były: odkrywam niemal po raz pierwszy w 1836, jak były; ale z drugiej strony nie mogę opisywać tego, czym były dla mnie w r. 1800: czytelnik rzuciłby książkę.

Na co się zdecydować? Jak odmalować szczęście szaleńca?

Czy czytelnik był kiedy zakochany do szaleństwa? Czy miał kiedy szczęście spędzić noc z tą, którą najbardziej kochał w życiu?

Doprawdy, nie mogę ciągnąć dalej, temat przerasta opowiadającego.

Czuje, że jestem śmieszny lub raczej nieprawdopodobny. Ręka mi omdlewa, odkładam do jutra.

Może byłoby lepiej opuścić po prostu te pół roku?

Jak odmalować bezmierne szczęście, które spływało na mnie ze wszystkiego? Nie umiem.

Zostaje mi nakreślić streszczenie, aby nie przerywać całkowicie opowiadania.

Jestem jak malarz, który nie ma odwagi wymalować jakiejś partii swego obrazu. Aby nie zepsuć reszty, szkicuje tylko to, czego nie może namalować.

O czytelniku, daruj mej pamięci lub raczej przeskocz pięćdziesiąt stron!

Oto streszczenie tego, czego po trzydziestu sześciu latach nie mogę opowiedzieć tak, aby straszliwie nie zepsuć.

Mógłbym spędzić w straszliwych cierpieniach pięć, dziesięć, dwadzieścia albo trzydzieści lat, które mi zostały do życia, a w chwili śmierci nie powiedziałbym: „Nie chcę zacząć na nowo”.

Przede wszystkim zadowolenie, że mogłem zawsze postępować zgodnie z moimi upodobaniami. Oto człowiek, z którym żyłem, przeciętny czy mniej niż przeciętny, jeżeli wolicie, ale dobry i pogodny lub raczej szczęśliwy w tej sytuacji.

Wszystko to są odkrycia, które robię, pisząc. Nie wiedząc, jak malować, czynię rozbiór tego, co czułem wówczas.

Jestem dziś bardzo zimny — dzień jest szary, jestem trochę cierpiący.

Nic nie może stłumić szaleństwa.

Jako uczciwy człowiek, który nienawidzi przesady, nie wiem, co począć.

Napisałem to i zawsze wszystko pisałem tak, jak Rossini pisze swoją muzykę; myślę o tym, pisząc co rano to, co mam przed sobą w librecie.

Czytam w książce, którą dziś otrzymałem<sup>126</sup>:

„Ten skutek nie zawsze jest widoczny dla współczesnych, ludzi, którzy go powodują i doświadczają na sobie. Ale z perspektywy i z punktu widzenia historii można określić epokę, w której naród zatracza oryginalność swego charakteru” etc., etc. (pan Villemain, przedmowa, strona X).

Psuje się uczucia tak tkliwe, opowiadając je szczegółowo.

---

<sup>126</sup>...w książce, którą dziś otrzymałem — były to *Rozważania o języku francuskim, stanowiące przedmowę do ostatniego wydania Słownika Akademii pióra François Villemain*. [przypis redakcyjny]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/standhal-zycie-henryka-brulard>

Tekst opracowany na podstawie: Stendhal, *Dzieła wybrane*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, tom 2, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1985

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Magdalenę Paul.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-0954-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).